

NORMA BEISHIR

Wieży krwi

Przełożyła  
Joanna Augulewicz

DC  
DA CAPO

Wydawnictwo Da Capo  
Warszawa 1994

# Prolog

*Waszyngton, D.C. wrzesień 1985*

Nie było żadnej wzmianki o jego śmierci.

Jaime wyłączyła przeglądarkę mikrofilmów i przez długą chwilę wpatrywała się w ciemny ekran. Wszystko, co dotychczas odkryła, wydawało się wręcz niewiarygodne. Nic też dziwnego, że nikt nie chciał jej uwierzyć. Choć była już tak blisko, tak niebezpiecznie blisko przełamania oporu milczenia, trwającego niemal od dziewiętnastu lat, wszyscy wciąż widzieli w niej tylko zrozpaczoną, niezdolną do pogodzenia się z rzeczywistością kobietę, która wymyśliła sobie bezsensowną historyjkę o szpiegostwie, tajemniczych sprawach i... Jaime z bezsilności uderzyła pięścią w stół. W końcu przecież musi znaleźć się ktoś, kto chciałby ją wysłuchać i pomóc.

Nawet w najwyższych sferach rządu Stanów Zjednoczonych trudno było utrzymać jakąkolwiek sprawę w pełnej tajemnicy. Zadawano sobie wiele trudu dla zachowania wszystkich możliwych środków ostrożności. Zazwyczaj zapomniano jednak o szczegółach. W tym wypadku luźne końce również nie zostały powiązane. Nie było grobu, choćby nawet wzmianki o nim; poza tym żadnego świadectwa śmierci. Wszystko to wyglądało bardzo nieciekawie. Boże, czy to możliwe, żeby on żył? - pytała siebie Jaime.

Jeżeli rzeczywiście nie żył - rozumowała - po cóż zadawaliby sobie tyle trudu, by zachować sprawę w ta-

jemnicy? Komu na tym zależało? Trudno było uwierzyć, że dla kogoś rzeczywiście mogło to mieć tak ogromne znaczenie. Z drugiej strony, czemu tak się zirytowali, gdy próbowała ustalić, co się z nim stało? A jeśli nie zginął? Jeżeli gdzieś żył, dlaczego chcieli, by wszyscy, nie wyłączając jej, sądzili, że nie żyje? Dlaczego próbowali ją straszyć, by zaprzestała poszukiwań?

Co to wszystko znaczy?

Zdjęła rolkę filmu z przeglądarki i odłożyła do pudełka. Zarzuciła na ramiona ciemnozielony zamszowy żakiet i podniosła z podłogi swoją dużą torbę. Zebrawszy wszystkie rzeczy, zwróciła filmy siedzącemu przy biurku urzędnikowi.

- Dziękuję za pomoc - powiedziała, szperając w torbie w poszukiwaniu kluczyków do samochodu.

- Znalazła pani coś dla siebie? - zapytał uprzejmie.

- Mam nadzieję. To znaczy, sądzę, że tak. Zresztą wkrótce się okaże.

Uśmiechnął się szeroko.

- **Życze** przyjemnego dnia.

- Nawzajem. - Skinęła głową.

Patrzył na nią, gdy szła do wyjścia długim, szybkim krokiem. Mierzyła jakieś sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, była szczupła i smukła jak trzcina, w stylu modelek. Jej ciężkie, długie włosy mieniły się czterdziestoma odcieniami czerwieni, zależnie od padającego na nie światła. Ich połysk przypominał sierść irlandzkiego setera. Oczy kobiety były zielone - głęboką, ciemną zielenią sosny. Rozmarzony urzędnik potrząsnął głową i ociągając się przystąpił do układania pudełek.

Po wyjściu z budynku Jaime zauważyła niebieskiego Forda Escorta, zaparkowanego po przeciwnej stronie ulicy. Uśmiechnęła się do siebie. A więc znowu na nią czeka. Próbowała przyjrzeć się bliżej kierowcy, ale zasłonił twarz gazetą i udawał, że czyta. **Śpiesznie** zeszła w dół po betonowych schodach i podążyła w kierunku

samochodu, zaparkowanego nie opodal budynku, tuż przy liczniku. Włożyła kluczyk do zamka i otworzyła drzwi. Wrzuciła torbę na tylne siedzenie i usiadła za kierownicą. Siedzenia samochodów z wypożyczalni są zwykle przystosowane dla ludzi niższych niż ona. Stąd zawsze czuła się w nich ściśnięta. Wycofując samochód z parkingu, spojrzała w lusterko. Mężczyzna w Escorcie odłożył gazetę i włączył silnik. Ciągle nie mogła przyjąć się jego twarzy. Nosił ciemne okulary.

Myślała o nim, jadąc w kierunku Veterans Administration na Vermont Avenue. Był zdecydowany na wszystko, musiała mu to przyznać. Śledził ją od chwili, gdy tego ranka opuściła lotnisko Dullas. Widziała go na parkingu przed lotniskiem, później dostrzegła nad rzeką Potomac, na moście Mason Memorial. Wszędzie był tuż za nią. Nie zastanawiała się nad tym do chwili, aż rzucił się jej w oczy kolejny raz, gdy wychodziła z biura kongresmana Blackwella. Zdała sobie sprawę, że szedł za nią nawet wówczas, kiedy udawała się do restauracji na lunch. Mam nadzieję, że nie będziesz musiał długo czekać przed VA - pomyślała, spoglądając w lusterko.

W Veterans Administration nikt nie był w stanie powiedzieć jej czegokolwiek więcej ponad to, co już wiedziała. Wychodząc zastanawiała się, kto dotarł tam pierwszy i usunął poszukiwane przez nią dokumenty.

Spojrzeła na drugą stronę ulicy. Escort czekał cierpliwie.

- Ty draniu - wycodziła przez zęby. - Nie boję się ciebie, nie widzisz tego? Chcę tylko wiedzieć, co się stało z moim ojcem!

Jaime była wyczerpana. To był długi, denerwujący dzień. Chciała już znaleźć się w hotelu, wziąć długą, gorącą kąpiel i wcześniej położyć się spać. Ale niestety musiała załatwić jeszcze jedną sprawę. To nie mogło czekać do jutra.

Gdy skręcała w Constitution Avenue, Ford Escort sie-

dział prawie na zderzaku jej samochodu. „Opieka” rządu potwierdzała tylko wiarę Jaime w to, że za zniknięciem ojca coś się kryło. Zaginał prawie dziewiętnaście lat temu. Gdyby nie żył, gdyby to, co jej mówiono, było prawdą, nie byłoby powodu, by ją śledzić. Teraz już nie tylko instynkt podpowiadał jej, że jest w tym coś dziwnego, coś bardzo dziwnego.

Skręciła w First Street i znalazła miejsce na zaparkowanie samochodu niedaleko biur. Wchodząc po schodach starego, ale wciąż imponującego budynku, gdzie mieściły się biura kilku senatorów i kongresmanów, odwróciła się i zerknęła za siebie. Escort, tak jak się spodziewała, stał w dyskretnej odległości. Twarz kierowcy znowu była ukryta za gazetą.

Weszła do holu i nacisnęła guzik przywołujący windę. Wjechała na czwarte piętro. Wchodząc do biura kongresmana Williama Blackwella, zauważyła, że za biurkiem nie ma sekretarki. Spojrzała na zegarek. Wpół do szóstej. Prawdopodobnie poszła już do domu. Drzwi pokoju Blackwella były już zamknięte, Jaime zapukała więc lekko.

- Proszę wejść - dobiegł ją głos z wewnątrz.

Jaime otworzyła drzwi. Kongresman siedział przy biurku. Jego skórzane krzesło z wysokim oparciem odwrócone było w stronę okna; mężczyzna spoglądał w zamyśleniu na kopułę Kapitolu.

William Blackwell był dystyngowanym dżentelmenem po sześćdziesiątce, o białych, rzędzących włosach i ciemnych wąsach. Wyglądał tak, jakby przed chwilą zszedł z pierwszej strony drogiego katalogu. Wielu polityków, których dotychczas poznała Jaime, pochodziło ze starych, zamożnych rodów. Ich zachowanie stanowiło kondensację kultury kilku, jeśli nie więcej pokoleń. Z reguły tylko bardzo bogaci ludzie mogą sobie pozwolić na luksus wejścia na arenę polityczną. Blackwell do nich należał.

- A... pani Lynde - powitał ją kongresman. - Oczekiwałem pani dopiero jutro.

- Nie mogłam się doczekać - przyznała się szczerze Jaime. - Czy dowiedział się pan czegoś?

Skinał głową.

- Proszę usiąść.

Jaime zajęła jedno z krzeseł stojących po przeciwnej stronie biurka - eleganckich antyków, przywiezionych przez żonę kongresmana z ostatniej podróży zagranicznej. Jaime z uznaniem pogładziła niebieski welwet na siedzeniu krzesła. Przypominał jej mebel z własnej sypialni, gdy była jeszcze dzieckiem. Ojciec przywiózł go z jednej ze swych tajemniczych podróży służbowych do Paryża.

- Czego się pan dowiedział? - zapytała w końcu Jaime. Spoglądał na nią z niepokojem.

- Nie spodoba się to pani - zaczął.

- Cała ta sprawa mi się nie podoba - przyznała, biorąc głęboki oddech. - Coś jest nie tak, i dotyczy to naszego rządu. - Uśmiechnęła się z wysiłkiem. - Sprawa robi się mocno podejrzana, zwłaszcza gdy zwykli obywatele są poddawani inwigilacji. Od momentu wylądowania samolotu ktoś mnie śledzi. Widziałam go tutaj, a także w Veterans Administration, nawet w restauracji, gdzie jadłam lunch. Jedynie do toalety nie mógł mi towarzyszyć.

- Nie byłbym tego taki pewny - powiedział Blackwell ponuro.

- Mówi pan poważnie? - Jaime wyprostowała się, spoglądając na niego z niepokojem. - Proszę... Czego się pan dowiedział?

Milczał przez chwilę.

- Czy jest pani pewna, że chce pani to wiedzieć? Czasami lepiej pozostawić sprawy bez odkrywania kart.

Jaime gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie. Minione lata, dziewiętnaście lat - podkreśliła - były dla mnie piekłem. Nie ma pan pojęcia, co to

# 1

## *Waszyngton, D.C. wrzesień 1942*

Czy będziecie zdolni wyskoczyć z samolotu poza liniami nieprzyjaciela, wiedząc z góry, że jeśli zostaniecie złapani, poddadzą was torturom, a potem zgładzą?

Pytanie, które wywołało śmiech i uwagi wśród żołnierzy Bazy Sił Powietrznych Andrews, nie było żartem. Wręcz przeciwnie. Kapitan wojsk Stanów Zjednoczonych, zwracając się do zebranych przed nim mężczyzn, zapewnił, że mówi całkiem poważnie. Poinformował ich, że przybył, by zwerbować ochotników do OSS - pierwszej agencji wywiadu w historii Stanów Zjednoczonych. Zakomunikował również, że w ciągu ostatnich kilku tygodni odwiedził wiele baz wojskowych w kraju. Choć wszędzie spotykał się z podobną reakcją na swoje słowa, z doświadczenia wiedział, że znakomita większość żołnierzy, teraz śmiejących się z jego pytań, później zgłosi się ochotniczo na tę niebezpieczną misję. Nie powiedział im jednak, że z tych kilku tysięcy, którzy się zgłoszą, tylko pięćdziesięciu - jeśli będzie miało szczęście - zostanie zakwalifikowanych do wysoce wyspecjalizowanej służby agenta OSS.

Z tyłu zatłoczonej sali, ściśnięty na niewygodnym krześle, siedział James Victor Lynde. Przy swoich stu dziewięćdziesięciu centymetrach wzrostu już dawno temu stwierdził, że standardowe krzesła nie były zaprojektowane z myślą o kimś jego wymiarów. Nie pomyślano, też o kimś takim, ustalając szerokość przejść między

rzędami krzeseł. Miejsca było tylko tyle, że jego długie, muskularne nogi z ledwością się mieściły.

Od momentu, gdy pojawił się w bazie dziewięć miesięcy temu, był czarną owcą plutonu. Był samotnikiem od pierwszego dnia służby. Zamknięty w sobie, odrzucał wszelkie próby kolegów, którzy usiłowali się do niego zbliżyć. Żaden z nich nie wiedział o nim nic, ponieważ nigdy o sobie nie mówił. W jego życiu nie było na stałe kobiety. Wprawdzie widziano go kilka razy z dziewczyną, ale za każdym razem z inną. Nie dziwiło to specjalnie nikogo w bazie, gdyż Lynde był niezwykle przystojnym mężczyzną. Wysoki, mocno zbudowany, robił duże wrażenie, które w połączeniu z powagą, wręcz surowością oblicza, dawało imponujący efekt. Mocne, regularne rysy nie zdradzały w żaden sposób jego pochodzenia. Oczy miały głęboką zieleń sosnowego lasu. Ciemnorude włosy były gęste i fałiste. Dla kobiet był mężczyzną wyjątkowo atrakcyjnym.

Ludzie w bazie wiedzieli, że James Lynde jest w szczytowej kondycji fizycznej - odkąd się pojawił, nie chorował przez ani jeden dzień. Był wyborowym strzelcem. Znał się na każdej broni i obchodził się z nią z godną podziwu pewnością. Z powodu chłodu i opanowania koledzy po cichu nazywali go „zimnokrwistym”. Zastanawiała ich jego izolacja, którą często komentowali, gdy nie było go w pobliżu. Żartowali za plecami Jamesa, że w jego żyłach płynie lodowata woda.

Nie wiedzieli jednak, i nie mogli tego wiedzieć, że Lynde był człowiekiem, który uwielbiał ryzykowną grę. Nie w sensie stawiania na konie czy gry w ruletkę lub pokera, ale raczej podejmowania wysublimowanego ryzyka, stawiania życia na jedną kartę. Nic nie fascynowało go tak, jak prawdziwe wyzwanie, a perspektywa pracy w wywiadzie była wyzwaniem większym niż wszystko, co w życiu przeszedł. Siedząc w załoczonej sali, słuchał w napięciu przedstawiciela OSS, ignorując uwagi kolegów o szaleństwie tego, o co prosił ich rząd. Zanim ka-



pitan zakończył przemówienie, Lynde podjął decyzję. Zostanie agentem OSS. Była to decyzja, która miała nieodwracalnie zmienić jego życie.

Przyglądając się młodemu człowiekowi, przedstawiciel OSS osądził Jamesa Lynde'a na więcej niż dwadzieścia cztery lata. Właściwie wyglądał na trzydziestkę. Był mężczyzną o imponującej postawie, którego niewątpliwie nie da się zgubić w tłumie. Możliwe - pomyślał kapitan - że sprawia to jego dumne, królewskie niemal zachowanie lub mocna, arystokratyczna twarz, a może arogancja, przebijająca w każdym spojrzeniu, w każdym geście.

- Proszę usiąść - powiedział kapitan. - Chciałbym zadać wam kilka pytań.

- Tak jest - Lynde usiadł naprzeciwko.

- Przejrzałem wasze akta, Lynde - zaczął kapitan - i jestem pod wrażeniem. Naprawdę.

Twarz żołnierza nie wyrażała żadnych uczuć.

- Dziękuję, sir.

- Jesteście tajemniczym człowiekiem, prawda?

- Nie rozumiem, sir. - Nawet głos nie zdradzał w najmniejszym stopniu jego myśli.

- Zdaje się, że nikt nie wie o was zbyt wiele, na przykład: skąd pochodzicie, z kim jesteście związani, czy macie rodzinę itp. - Kapitan przyglądał mu się wyczekująco.

Lynde zawahał się.

- No cóż, armia nie pytała o mój rodowód, gdy do niej wstępowałem, sir. Nie sądzę, żeby to kogokolwiek obchodziło - powiedział szczerze.

Kapitan coś zanotował.

- OSS obchodzi wasz rodowód, jak to nazwaliście, Lynde. Musimy wiedzieć, kogo przyjmujemy. Musimy dokładnie sprawdzać naszych ludzi. Nigdy nie można być zbyt pewnym, gdy chodzi o tajemnice państwowe.

Lynde milczał.

- Skąd więc pochodzicie? - zapytał kapitan.

- Z Baltimore.
- Macie rodzinę?
- Żadnej, która byłaby mi w czymkolwiek pomocna - odparł bez wahania.

Kapitan spojrzał na niego zaskoczony.

- Żadnych bliskich przyjaciół?
- Nigdy ich nie potrzebowałem.

Kapitan znów zanotował.

- Będziecie musieli przejść testy - powiedział w końcu. - Oprócz rutynowych kontroli będziemy musieli sprawdzić wasze umiejętności...

**Wraz** z innymi potencjalnymi agentami służby OSS James Lynde został wysłany do miejsca znanego jako Stacja S, gdzieś na przedmieściach Waszyngtonu. Tam mieli przejść trzydniowe, szczegółowe badania sprawności fizycznej i psychicznej. Testy obejmowały ćwiczenia, mające na celu sprawdzenie zdolności kandydatów do myślenia i działania w sytuacjach ekstremalnych. Były to niezwykle trudne egzaminy, niezbędne jednak do ustalenia kombinacji cech, których OSS wymagało od swoich agentów: mocnych nerwów, świetnej kondycji psychicznej i dużych zdolności lingwistycznych.

Już po krótkim czasie dowództwo OSS na Stacji S było zorientowane, że James Victor Lynde charakteryzował się wszystkim, czego wymagano od agenta wywiadu. Wszyscy specjaliści jednomyślnie zgodzili się, że jest to człowiek tak idealnie pasujący do roli agenta wywiadu, jak gdyby się nim urodził. Sprawnością fizyczną oraz rzadko spotykaną siłą i koordynacją ruchów przewyższał wszystkich kolegów w grupie. Był niezwykle błyskotliwy; w roku 1941 ukończył Wydział Ekonomiczny na Uniwersytecie George'a Washingtona, ze wspaniałymi wynikami, jako najlepszy student. Miał fotograficzną pamięć i duże zdolności językowe. Mówił płynnie po francusku, włosku i niemiecku.

Wszyscy uważali, że przezwisko nadane mu w pierwszych dniach jego kariery wojskowej - „zimnokrwisty” - precyzyjnie określa jego osobowość. Lynde, jak sam twierdził, wolał żyć i pracować samotnie. Nie miał bliskich przyjaciół, nie był związany z żadną kobietą. Przy sprawdzaniu jego danych personalnych okazało się, że zerwał wszelkie kontakty z rodziną w Baltimore na długo przed wstąpieniem do wojska. Zdawało się, że Lynde zdecydowanie odrzuca naturalną potrzebę człowieka obdarzania głębokim uczuciem kogoś drugiego.

- Jest idealny - powiedział jeden z instruktorów Stacji S kapitanowi Harry'emu Warnerowi, gdy przeglądali wyniki trzydniowego testu. - Nie mógłby być lepszy, gdyby go nawet ktoś stworzył według naszych wymogów.

Harry Warner przewracał w milczeniu kartki z wynikami. Po dodatniej stronie była szybkość myślenia Lynde'a i zdumiewająca sprawność fizyczna. Był opanowany, nawet wyrachowany - człowiek, który na pewno nie straci głowy w sytuacji kryzysowej. Potrafił myśleć bez emocji, nie miał żadnych uczuciowych związków, które mogłyby wejść w drogę jego obowiązkom. Posiadał fascynującą zdolność przyswajania informacji w rekordowym tempie. Po stronie ujemnej był jego wiek. Miał zaledwie dwadzieścia cztery lata, co w tym przypadku Warner uważał za wadę. Nie lubił zatrudniać tak młodych ludzi; uważał ich za nieodpowiedzialnych. Jednak generał William Danowen, szef OSS, nie podzielał jego opinii. Potrzebował błyskotliwych, zręcznych młodych ludzi, rozsądnie odważnych i zdyscyplinowanych, których można nauczyć agresywnego działania. Te ramy - pomyślał Warner - pasują do Jamesa Victora Lynde'a jak do nikogo innego.

I to był czynnik decydujący.

Obóz szkoleniowy OSS był zorganizowany w górach Catocin w Maryland. Podstawowe szkolenie agentów obejmowało dwadzieścia jeden dni osiemnastogodzin-

nych ćwiczeń w zakresie szyfrowania, testów sprawnościowych i pamięciowych, opracowanych zgodnie z wymogami OSS dla przygotowania kandydatów do realiów życia agenta - w warunkach ciągłego balansowania na krawędzi życia i śmierci. Uczono ich podstaw pracy wywiadu: rozpracowania, sabotażu i sztuki przetrwania w każdych warunkach. Adeptci przyswajali umiejętność przekazywania informacji alfabetem Morse'a i naprawy nadajników radiowych. Nauczyli się szybko i cicho zabijać - przez uduszenie lub pchnięcie nożem - używać broni alianckiej oraz broni państw osi; umiejętności niezbędnych dla agentów operujących poza liniami frontu. Opanowali technikę lądowania na spadochronie w każdym terenie i dowolnych warunkach.

Pewnego popołudnia na początku października Lynde brał udział w ćwiczeniach z różnych technik walki wręcz. Instruktor, zakończywszy demonstrowanie metody cichego zabijania cienkim sztyletem, wezwał Lynde'a, by wraz z kolegą wykazali się świeżo nabytymi umiejętnościami. Przeciwnik Lynde'a, uzbrojony w sztylet, miał zademonstrować zabójcze użycie tej broni, James jednak pokonał go szybko i rozbroiwszy rzucił na ziemię, przygważdżając kolegę własnym sztyletem, niemal pozbawiając go życia. Wydarzenie to wstrząsnęło nie tylko pokonanym, ale i całą grupą, która obserwowała walkę zastanawiając się, jak daleko posunie się Lynde.

- Sądzę, że mógłby wykończyć tego chłopaka bez zmruczenia oka - mówił później instruktor Harry'emu Warnerowi. - To przedziwny człowiek. Myślę, że on naprawdę ma lodowatą wodę w żyłach zamiast krwi.

- I tego od nich oczekujemy. - Warner przyglądał się scenie, która rozgrywała się kilka jardów od niego. Lynde pokonał właśnie dwóch kolegów gołymi rękami, z łatwością zdradzającą mistrzowsko opanowaną technikę tej walki.

- Lynde jest inny niż wszyscy - powiedział instruktor,

zapalając papierosa. - Od pierwszego dnia kładziemy w głowy wszystkim kandydatom, że muszą kontrolować emocje, że poczucie dobra i zła nie może wchodzić w drogę temu, co robią. Lynde zdaje się nie czuć w ogóle nic. On po prostu działa.

Warner uśmiechnął się.

- Ciekawe, czy taki sam będzie w terenie - powiedział cicho.

- Czasami zastanawiam się, czy w nim w ogóle jest człowiek - odparł instruktor, wzruszając ramionami.

W miarę jak Lynde przechodził coraz bardziej zaawansowane ćwiczenia, przygotowujące agentów OSS do przeprowadzania trudniejszych działań, instruktorzy zaczęli stwierdzać, że OSS znalazło wreszcie mistrza, superagenta, jakiego miał na myśli William Danoven, tworząc tę organizację.

Pomimo tak młodego wieku i braku doświadczenia Lynde zdumiewał dojrzałością i rozsądkiem. Był jak kameleon, zdolny dostosować się szybko i całkowicie do każdej sytuacji. Jak sądzono, potrafiłby przeżyć niemal w każdym miejscu na świecie, polegając wyłącznie na sobie. W ciągu kilku tygodni po mistrzowsku opanował umiejętność przetrwania w dowolnych warunkach, sztukę otwierania zamków, przydatną w sytuacji, gdy będzie musiał włamać się do twierdzy nieprzyjaciela, żeby zdobyć potrzebne dokumenty lub informacje. Perfekcyjnie opanował również sztukę sabotażu, jedną z najważniejszych w tej działalności. Dobry sabotaż, dokonany we właściwym miejscu i o właściwym czasie, może przynieść nieprzyjacielowi niepowetowane straty. Lynde był także świetny w podrabianiu podpisów oraz w dziedzinie, której w obozie OSS nie uczono - charakteryzacji. Potrafił zmienić swój wygląd nie do poznania.

- Własna matka by cię nie poznała - powiedział Warner, podziwiając jedno z jego przebrań. - Gdzie się tego nauczyłeś?

Lynde uśmiechnął się.

- Spotykałem się kiedyś z dziewczyną, która pracowała w dziale charakteryzacji wytwórni filmowej MGM - wyjaśnił. - Nauczyła mnie wszystkiego, co sama umiała. Wtedy niewiele mnie to obchodziło, chciałem ją tylko zabawić. Nigdy nie sądziłem, że mi się to kiedyś przyda.

Warner przyglądał mu się przez chwilę z zastanowieniem. Gdzie kończą się talenty tego człowieka? Kim naprawdę jest Lynde?

Musicie wiedzieć wszystko o nadajniku radiowym, którego używacie, jak się nim posługiwać i jak naprawiać - mówił instruktor. - Informacja, której nie możecie przekazać, jest bezużyteczna. Po zdobyciu jej należy podać ją dalej, tak szybko, jak tylko jest to możliwe.

Podczas gdy inni kandydaci na agentów biedzili się nad zaszyfrowanymi tekstami, zapamiętali wertując strony podręczników szyfrów, Lynde pewnie szyfrował i nadawał tekst z szybkością błyskawicy.

- Używajcie aparatów fotograficznych - podkreślał instruktor. - Cenne wiadomości mogą być często skomplikowane i zawiłe technicznie. Nawet nie próbujcie polegać wyłącznie na pamięci. Nie możecie konkurować z fotografią.

Lynde nauczył się posługiwać miniaturowym aparatem, skonstruowanym specjalnie dla potrzeb agentów OSS, a także ukrywania filmów tak, by ich nie znaleziono, nawet przy szczegółowym poszukiwaniu.

*Najważniejsze jest, byście zapomnieli o „sportowej postawie” i grze fair. Musicie zapomnieć o wszystkim z wyjątkiem faktu, że wasz kraj walczy o przetrwanie. Bądźcie zawsze tam, gdzie możecie najbardziej zaszkodzić nieprzyjacielowi Zabić albo zostać zabitym - a waszą jedyną szansą jest to pierwsze.*

Lynde długo myślał o tym po powrocie do swego pokoju. Leżąc w łóżku, rozważał wydarzenia, które wkrótce

miały nastąpić, i swoją w nich rolę. Wojna - pomyślał - przypomina grę... Śmiertelną grę, w której stawką jest życie i śmierć.

Pewnej zimowej, wietrznej nocy w lutym 1943 roku Lynde wraz z dwoma innymi agentami wylądował w północnej Francji, rozpoczynając misję, która miała trwać do momentu złamania linii frontu przez siły alianckie. Pod pseudonimem Jednorożec miał spędzić trudne następne dwa i pół roku we Francji, głównie północnej, żyjąc i pracując w ukryciu. Wkrótce okazało się, że jego misja jest podwójna - po pierwsze, miał zbierać informacje o ruchach nieprzyjaciela, lokalizacji kluczowych baz wojskowych oraz planach dotyczących tajnej broni nazistów i przekazywać je swojemu dowódcy, Harry'emu Warnerowi, przebywającemu przez całą wojnę w Londynie; po drugie, miał współpracować z francuskim ruchem oporu przy dostarczaniu broni i amunicji zrzuconej w północnej Francji, koordynując działania z ruchami wojsk alianckich. Grał kluczową rolę w wielu akcjach sabotażowych, głównie na terenach położonych pomiędzy Le Havre a Paryżem. Jego dziełem między innymi było wysadzenie w powietrze wielu francuskich linii kolejowych, którymi Niemcy transportowali broń i amunicję po całym kraju.

Jako agent wywiadu Lynde był w swoim żywiole. Traktował tę działalność jak grę, w której był mistrzem. Odkrył, że nic nie cieszy go tak bardzo, jak widok wylatującego w powietrze mostu, w momencie gdy przejeżdżają przezeń dwie niemieckie ciężarówki z amunicją. Często piekł dwie pieczenie na jednym ogniu: wysadzał most wraz z pociągiem, a jednocześnie zrywał trakcję elektryczną, blokując ruch na rzece. Używał specjalnych materiałów wybuchowych OSS, przypominających niewinne substancje, jak mąka, węgiel czy nawóz, które umożliwiały niszczenie różnych obiektów, do których

tylko mógł się dostać. Jego ulubionym środkiem był tzw. kret - umieszczony na zewnątrz pociągu detonował, gdy pojazd wjeżdżał w tunel.

Spryt i pomysłowość uniemożliwiały nazistom zidentyfikowanie go jako alianckiego agenta, a nawet nie przyszło im do głowy, że jeden człowiek jest odpowiedzialny za te wszystkie akcje; za każdym razem występował w innej charakterystyce. Pewnego dnia wysadził w powietrze magazyn kolejowy i odszedł, nie wzbudzając zainteresowania gestapo, gdyż wyglądał i zachowywał się jak włóczęga, jakich wielu spotykało się na drogach całej Francji. Innym razem wszedł do wiejskiego kościółka, usytuowanego tuż koło budynku zajmowanego przez niemieckich oficerów, i udał się na wieżę dzwonnicy. Stamtąd bez kłopotu dostał się na dach twierdzy nazistów i umieścił na nim bombę skonstruowaną tak, że zniszczyła budynek bez możliwości uratowania tego, co się w nim znajdowało. Współpracując z innym agentem OSS, znanym jako Minotaur, bez wzbudzania podejrzeń przekazywał informacje swemu dowódcy w Londynie, udając sprzedawcę wina. W tym celu używał wielkiej, umieszczonej na kółkach beczki, z rodzaju tych, jakie miejscowi sprzedawcy ciągnęli po mieście. Zamocował w jej połowie drewnianą przegrodę; dolną połowę wypełnił winem, którego upust znajdował się u dołu beczki, a w górnej części ukrywał się sam ze swoim nadajnikiem. Podczas gdy przebrany za handlarza Minotaur wędrował z beczką po ulicach, Lynde, niewidzialny w jej wnętrzu, spokojnie wysyłał informacje. Gdy pojawiała się niemiecka ciężarówka, Minotaur zatrzymywał się, dając znak Lynde'owi, by przerwał nadawanie. Wędrowali tak kilka miesięcy, przekazując wiele cennych informacji o ruchach wojsk niemieckich i lokalizacji celów do bombardowań.

Najbardziej osławioną akcją Jednorożca było przedostanie się do fortecy nazistowskiej przy pomocy fran-



cuskiej straży pożarnej zwanej Pompiers, która w owych czasach podlegała niemieckiej armii.

Julien Armand, przywódca ruchu oporu, dał się w końcu przekonać, że ten niesamowity plan może się udać, i udzielił Lynde'owi niezbędnych informacji o Pompiers i zaufaniu, jakim Niemcy ją obdarzali. Uzyskawszy pewność, że dowiedział się absolutnie wszystkiego i przewidział wszelkie możliwe komplikacje, Lynde przystąpił do działania. Zdobył kilka małych ładunków zapalających i przejeżdżając przez miasto, wrzucił jeden z nich przez okno do twierdzy nazistów, wywołując pożar. Kiedy przybyła Pompiers, wezwana do zagaszenia ognia, Lynde dostał się do budynku razem ze strażakami. Podczas gdy tamci faktycznie walczyli z ogniem, on zdołał wynieść ważne dokumenty, uchodząc tylnym wyjściem. Sześć miesięcy zajęło niemieckiemu dowództwu wykrycie, co się właściwie stało, i nawet wtedy nie mieli konkretnych dowodów. Pomimo tego wszyscy pracownicy Pompiers zostali wysłani na wschodni front - oczywiście z wyjątkiem tego jednego, faktycznie odpowiedzialnego za straty zadane nazistom.

Niemcy nigdy nie zdołali zidentyfikować swojej nemezis. Byli skłonni sądzić, że mają do czynienia raczej z grupą niż z jednym człowiekiem. Krążyły wśród nich dwie teorie, dotyczące tych wydarzeń. Jedna z nich uznawała, że sprawcą była grupa członków Magnilis, walczących o wolność francuskich patriotów. Według drugiej, sabotaże i kradzieże były dziełem małej grupy agentów brytyjskich i amerykańskich. Francuzi uznawali swego bezimiennego sprzymierzeńca za bohatera narodowego, który miał im dopomóc w zwycięstwie nad mroczną agresją faszystów. Dla dowódców OSS, jedy-nych, którzy znali prawdę, Jednorożec stał się czymś w rodzaju legendy. Był jak nadczłowiek, zdolny do wszystkiego, co mogło osłabić siłę i morale nieprzyjaciela. Doprowadzał Niemców do obłądu, gdyż nigdy nie mogli przewidzieć, jak i kiedy uderzy znowu.

Szkoda, że nie mamy więcej takich jak on - żałowali dowódcy OSS.

Wasi podwójni agenci przeniknęli do Abwehry - tłumaczył Lynde. - Już od miesiący przekazują im sprawdzone informacje. Musieli mówić im tyle, żeby uzyskać zaufanie kontrwywiadu. Hitler musi uwierzyć, gdy po całym świecie rozniesie się, że alianci rozpoczną swoją inwazję na wybrzeżach Bordeaux.

- A gdzie ta inwazja, o której pan mówi, będzie naprawdę miała miejsce? - zapytał Julien Armand.

- W Normandii. - Lynde przerwał na moment. - Kiedy więc Hitler skoncentruje swoje siły na wybrzeżach Atlantyku, nasze wojska zaatakują go od tyłu, od północy.

- Czy sądzi pan, że to ma szansę powodzenia? - Armand nie wyglądał na przekonanego.

Lynde uśmiechnął się.

- Oby tak było - powiedział, zwijając mapę rozłożoną na stole. - To nasz najlepszy strzał... możliwe, że ostatni. Jeżeli alianci teraz przegrają, wszyscy skończymy, salutując Fuhrerowi.

- Ci, którzy przeżyją - dodał Armand ponuro.

W pierwszym tygodniu czerwca 1944 roku siły oporu przypuściły zmasowany atak na grupy wojsk nazistowskich, starając się dezorientować je w najbardziej możliwy sposób przed zaplanowaną inwazją aliantów. Przez siedem dni - od trzydziestego maja do piątego czerwca - grupy oporu, instruowane przez agentów OSS, zdołały zniszczyć ponad osiemset niemieckich ciężarówek, pociągów i mostów, znajdujących się w północnej Francji. Zrobili wszystko, co było w ich mocy. Teraz mogli tylko czekać.

I modlić się.

Rankiem szóstego czerwca major Friedrich August Baron von der Heydte, dowódca Szóstego Niemieckiego Pułku Spadochronowego, kwaterującego trzydzieści mil

na południe od Cherbourg, wchodząc na wieżę kościołka wioski Saint Come-du-Mont, pierwszy dostrzegł flotę aliancką, zmierzającą ku wybrzeżom Normandii. Okręty wypełniały kanał La Manche od brzegu po horyzont. Niemcy nie byli przygotowani na inwazję blisko sześciuset okrętów wojennych, pięciu tysięcy jednostek transportowych i dziesięciu tysięcy samolotów, które wyrzuciły na plażę w Normandii niezliczoną masę żołnierzy. Niemniej walka była zacięta, a niewielu wiedziało, jak bliska załamania była kampania normandzka, pomimo tak świetnego przygotowania aliantów.

Normandia była jednym z głównych punktów zwrotnych wojny. W niecały rok po wylądowaniu wojsk na tamtejszych plażach 7 maja 1945 roku Niemcy skapitulowały przed aliantami w Reims we Francji. Ponieważ Stany Zjednoczone wciąż walczyły o odzyskanie swoich terytoriów na Pacyfiku, Lynde był pewien, że w krótkim czasie on i inni agenci OSS zostaną odesłani na Filipiny lub do innej placówki na Południowym Pacyfiku. Jednak nigdy do tego nie doszło. Szóstego sierpnia Amerykanie zrzucili pierwszą bombę atomową na japońskie miasto Hiroszima. Trzy dni później druga bomba zniszczyła Nagasaki. Straty w obu tych miastach były straszliwe. Nigdy przedtem świat nie doświadczył tak potwornie niszczącej siły.

Czternastego sierpnia na pokładzie okrętu wojennego „Missouri” generał Douglas Mac Arthur otrzymał notę o poddaniu się Japonii. Kiedy ta wieść rozniosła się na świecie, przyjęto ją z niedowierzaniem. Przez długą chwilę świat wstrzymał oddech czekając... I modląc się. Po tej ciszy nastąpił dziki wybuch radości i wdzięczności. W Nowym Jorku i Londynie tłumy na ulicach oszalały.

Wojna się skończyła.

## 2

Po zakończeniu wojny OSS zamknęło swoje podwoje i Lynde powrócił do Waszyngtonu, odkrywając nagle, że został bez pracy. Do tej pory nie myślał wiele o tym, co zrobi ze swoim życiem po wojnie. Z lekkim rozżaleniem zdał sobie sprawę, że nadeszły czasy, kiedy nie ma już zajęcia dla agentów wywiadu. A przynajmniej nie w jego kraju. Miał wykształcenie, oczywiście - tuż przed wybuchem wojny skończył uniwersytet - ale nie był wcale pewien, czy potrafiłby spędzić życie w jakimś małym biurze, stemplując codziennie kartę zegarową. Może kiedyś, ale nie teraz. Nie po tym, co przeżył we Francji, igrając z niebezpieczeństwem w każdej minucie życia, narażony ciągle na zdemaskowanie.

Jak wielu innych wstępujących w szeregi OSS Lynde wierzył, że walczył po słusznej stronie, że wszyscy agenci byli tam po to, by zwalczać zło. Co prawda nigdy nie był idealistą, jak niektórzy z jego kolegów, ale zawsze uważał się za patriotę. Wierzył w amerykańskie ideały i wartości. Odkrył jednak, że wojna nie pozostała bez wpływu na tych, którzy doświadczyli z całą mocą jej horroru. Zostawiła blizny w umysłach, utwardziła dusze. Większość z tych ludzi po jakimś czasie utraciła poczucie dobra i zła. Chcieli po prostu wygrać, bez względu na koszty. Zwycięstwo było jedyną sprawą, która miała jakieś znaczenie.

Dla niektórych nie było już odwrotu.

Za współpracę z francuskim ruchem oporu Lynde otrzymał Krzyż Zasługi. Tego dnia po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak wielu ludzi, zamożnych i wpływowych, poświęcało swe życie dla kraju. Wśród wyróżnionych było kilku potomków bogatych, znanych rodzin, jak na przykład Quentin Roosevelt, wnuk samego Teddiego, który służył jako specjalny reprezentant u Czang-Kai-Szeka; były też gwiazdy filmowe, jak Sterling Hayden, transportujący pod pseudonimem John Hamilton broń dla partyzantów w Jugosławii. Byli ludzie posiadający użyteczne talenty, jak hollywoodzki kaskader Rene Dusaq, znany jako człowiek-mucha, który także współpracował z francuskim ruchem oporu.

- Wygląda na to, że jestem w dobrym towarzystwie - powiedział z uśmiechem Lynde, gdy zbliżył się do niego Harry Warner.

Warner spojrzał mu w oczy.

- Byłeś jednym z najbardziej wartościowych ludzi, jakich mieliśmy we Francji. Zapewne najbardziej wartościowym - powiedział.

- Tak... - Lynde wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Przypuszczam, że OSS miało niezbyt wielu takich wariatów, którzy porwaliby się na wyczyny, jakich dokonywałem.

Warner odpowiedział uśmiechem.

- Przyznaję, że przez ciebie bliski byłem spadnięcia z krzesła częściej niż kiedykolwiek w moim życiu. W londyńskim sztabie mówiło się, że Jednorożec jest przypadkiem zasługującym na kaftan bezpieczeństwa. Często zastanawialiśmy się, co by było, gdyby cię zła-pano.

Lynde spojrzał na niego zdziwiony.

- Dłaczego się nad tym zastanawialiście?

- Tak cholernie trudno było odgadnąć, co ci chodzi po głowie i jaki będzie twój następny krok. Wszystkich paliła ciekawość, jak zdołałbyś wybrnąć z takiej lub

innej sytuacji, gdyby rzeczywiście zlecano ci nierealne zadania. - Warner przerwał na chwilę i mówił dalej: - Jesteś wciąż cenny dla rządu, Jim.

- Nie rozumiem. Wojna się skończyła. Nie sądzę, by Waszyngton miał nadal zapotrzebowanie na agentów wywiadu.

- Mówi się o reaktywacji OSS. Jeżeli tak się stanie, chcielibyśmy, żebyś wrócił.

Lynde zmarszczył brwi.

- Dlaczego chcieliby...

- Mówi się, że Rosjanie pracują nad własną bombą atomową - powiedział cicho Warner. - Musimy wiedzieć, co planują.

Lynde wpatrywał się w niego intensywnie.

- I chcecie wysyłać amerykańskich agentów do Rosji? - zapytał oszołomiony. - A oni myśleli, że to ja jestem wariatem!

- Jeżeli ktokolwiek mógłby dotrzeć do Rosjan i zdobyć potrzebne informacje, to stawiłbym tylko na ciebie, Jim - rzekł Warner. - Jak myślisz, ilu z naszych ludzi było zdolnych przywdziać gestapowski mundur i tańcząc walca, dostać się do ich kwatery głównej? Jeżeli mogłeś zwodzić Niemców, załóżę się, że potrafisz zrobić to samo z Rosjanami.

- I założyłbyś się o moje życie, tak? - Lynde zaśmiał się. - Wiesz co, Harry? Naprawdę nie doceniałem cię. Masz mocniejsze nerwy, niż sądziłem.

- Przyznaj się, Jim - nalegał Warner - niczego tak nie pragniesz, jak wrócić do akcji, w Rosji czy gdziekolwiek indziej.

Lynde wahał się przez chwilę.

- Tu mnie masz. Stwierdziłem właśnie, że nie jestem typem urzędnika.

- Więc możemy na ciebie liczyć?

- No cóż... tak. Tylko jeszcze jedno: co mam robić, zanim Wuj Sam zdecyduje, kiedy i gdzie Jednorożec ma

wrócić do akcji? Nie lubię siedzieć z założonymi rękami.

Warner myślał przez chwilę.

- A mógłbyś potraktować pracę w biurze jako tymczasową? - zapytał w końcu. - Kilku ludzi z Wydziału Badań i Analiz wciąż pracuje w tych starych budynkach, gdzie były laboratoria Instytutu Zdrowia. Wiem, że nie jest to twoja dziedzina, ale mogłoby pomóc...

- Masz rację, nie jest to moja dziedzina - zgodził się Lynde. - Ale mogę robić cokolwiek, jeżeli muszę. Pod warunkiem, że będzie to tylko tymczasowe.

Warner uśmiechnął się.

- Jasne - odparł. - Już ci powiedziałem: jesteś dla nas zbyt cenny w innej dziedzinie.

Lynde zastanawiał się, co naprawdę dla niego szykują.

W ciągu następnych dwóch lat OSS zostało zastąpione przez nowo utworzone National Intelligence Authority i jej następcę, Central Intelligence Group. Podczas gdy te organizacje pojawiały się i znikwały, Lynde pozostawał w Waszyngtonie, związany pracą, której nienawdził, wściekły, że Warner nie dotrzymuje złożonej po wojnie obietnicy. Zajęcie, do którego nigdy nie przywykł, było gorsze, niż mógł sobie wyobrazić, gdy wracał do Stanów, niepewny swojej przyszłości. Nie tylko nie korzystał ze swoich umiejętności w dziedzinie wywiadu, ale i z uniwersyteckiej wiedzy, która miała go przygotować do kariery w świecie biznesu.

Lynde nigdy nie był do końca pewny, czego nienawidzi bardziej: codziennego przykucia do biurka w regularnych godzinach czy papierkowej roboty, którą musiał wykonywać. Zadziwiające jednak było, że nikt w jego departamencie nie wiedział o tym niezadowoleniu, ponieważ był świetny w tym, co robił, a jeszcze lepszy w ukrywaniu uczuć.

Po trzech latach robienia dobrej miny do złej gry powinienem być w tym dobry - pomyślał gorzko.

Ile czasu jeszcze Warner i jego ludzie każą mi tu tkwić - zastanawiał się zniecierpliwiony.

W 1947 roku, przy narastającej wrogości pomiędzy Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim, rząd amerykański poważnie rozważał możliwość niespodziewanego ataku, analogicznego do ataku na Pearl Harbour. W tej sytuacji powołano do życia CIA, organizację mającą na celu zdobywanie i analizę informacji wywiadu. Agenci otrzymali zielone światło do wtrącania się w wewnętrzne sprawy państw - jeżeli uznają to za niezbędne. Zaznaczono przy tym jednak, że nie dotyczy to samych Stanów Zjednoczonych.

Brzmi to, jak gdyby nie ufali własnym ludziom - pomyślał Lynde.

Jedną z pierwszych akcji podjętych przez CIA było poparcie dla ruchów partyzanckich w Europie Wschodniej. W akcjach tych nareszcie znalazły się zadania dla Lynde'a, który wykonywał je z podobnym zaangażowaniem, jak w czasie wojny we Francji. Dzięki niemu i wielu innym agentom partyzanci otrzymali broń i amunicję, a także pomoc finansową. Lynde dzielił swój czas pomiędzy Niemcy Wschodnie a Włochy. CIA łożyło wielkie sumy na Włoską Partię Chrześcijańsko-Demokratyczną, chcąc w ten sposób zapobiec zwycięstwu komunistów w wyborach 1948 r. Zdawało się, że rząd Stanów Zjednoczonych podejmie się wszystkiego, lekceważąc koszty, byle tylko nie dopuścić do rozprzestrzeniania się komunizmu na świecie.

Podczas podróży po Europie Lynde zagustował w dobrych trunkach, wyszukanych potrawach i egzotycznych kobietach. Odkrył, że o wiele łatwiej jest mieć romans z kobietą, której prawdopodobnie nigdy więcej nie zobaczy, niż wiązać się z kimś, kto oczekiwałby po nim więcej, niż on mógłby czy chciałby dać.



Zresztą także i wcześniej nie był zdolny do głębokiego, trwałego związku. Chociaż nigdy nie zastanawiał się głębiej nad swoimi uczuciami, a raczej ich brakiem, zawsze podejrzewał, że ma to ścisły związek z faktem, iż w żadnym momencie życia nie zaznał prawdziwej miłości kobiecej. W dzieciństwie nie była mu bliska ani matka, ani siostry - nie miał więc podstaw ani wzorców dla tego typu uczuć. Dorastając zaczął myśleć o kobietach jak o czymś na kształt przedmiotów do zaspokajania potrzeb seksualnych.

I tak było mu dobrze. Nie miał ani czasu, ani ochoty na rodzinę. Nie potrafił sobie wyobrazić siebie żonatego, z dziećmi, prowadzącego monotonne życie domowe gdzieś daleko na przedmieściu. Ponadto, przy charakterze jego pracy, spędzałby większość czasu za granicą, co niewątpliwie odbiłoby się negatywnie na stosunkach rodzinnych.

W lutym 1949 roku Lynde wrócił do Waszyngtonu na spotkanie z Harrym Warnerem.

- Chcemy, byś zaczął regularne podróże do Rosji - powiedział Warner. - Dowiedzieliśmy się, że Rosjanie są gotowi do testowania swojej bomby i zamierzamy trzymać rękę na pulsie.

- Przedostanie się do Związku Radzieckiego nie będzie takie łatwe, Harry - odparł Lynde. - NKWD jest niezwykle podejrzliwe, jeśli chodzi o Amerykanów podróżujących do Moskwy. Jeżeli będą mieli jakiegokolwiek podejrzenia, że coś jest nie tak, jak to zostało przedstawione, aresztują mnie pod jakimkolwiek pretekstem. Przykrywka musi być niezwykle dobra, by utrzymać ich z dala od naszych tyłków.

- Ile czasu zajmie ci załatwienie przekonującej przykrywki?

Lynde wzruszył ramionami.

- Nie myślałem o tym. Jak powiedziałem, musi być

doskonała. Coś, co może być potwierdzone, jeśli ktoś z ich ludzi przyjedzie tu, żeby mnie sprawdzić.

Warner powoli skinął głową.

- Zostawiam to na twoim rudym łbie - powiedział w końcu. - Ale pamiętaj, że czas jest bardzo istotny. Jim, musisz tam być, jak tylko coś wymyślisz i załatwisz.

Lynde skinął głową. Nie miał zielonego pojęcia, od czego zacząć.

Kilka następnych tygodni Lynde spędził na rozmyślaniach. Potrzebował pracy, która dałaby mu nieskrępowaną możliwość podróżowania do Związku Radzieckiego. Potrzebował pozycji w zawodzie tłumaczącym częste podróże po świecie. Miał stosowne wykształcenie, więc - jak przypuszczał - znalezienie takiego stanowiska nie powinno być specjalnie trudne. Ile zawodów dałoby mu taką możliwość i jednocześnie uwalniało od podejrzeń? Biuro Informacji? Nie... Oni mieli swoje placówki w Związku Radzieckim, ale bez możliwości podróży w głąb tego kraju. Firmy produkcyjne? Była to pewna możliwość, ale ilu amerykańskich przemysłowców prowadzi tam interesy? Niewielu. Środki masowego przekazu? Nie bardzo. Podejrzewał, że Rosjanie nie będą zbyt otwarci w stosunku do amerykańskiego reportera. Linie lotnicze? Niezbyt wiele możliwości w tej dziedzinie. Finanse? To byłoby świetne rozwiązanie. Istniało kilka międzynarodowych banków, które miały siedziby w Nowym **Jorku** i Moskwie. Ich ludzie podróżowali po całym świecie, często spędzając za granicą większą część życia. Prowadzili interesy we wszystkich częściach świata. To byłoby idealne - pomyślał.

Sprawdził wszystkie międzynarodowe banki z siedzibą w Nowym **Jorku** i filiami w różnych miejscach na Wschodnim Wybrzeżu, odkrywając, że jest ich dość dużo. Nie tracąc czasu, skontaktował się z kilkoma, szukając zatrudnienia. Niestety, takich jak on - młodych,

wykształconych ludzi, którzy wrócili po wojnie do domu i szukali pracy - było bardzo wielu. Tymczasem, w przeciwieństwie do chętnych, liczba miejsc pracy była ograniczona. Znalezienie potrzebnego stanowiska okazało się sprawą trudniejszą, niż przypuszczał.

Rozwiązanie dylematu nadeszło zgoła niespodziewanie. Lynde miał zwyczaj codziennego czytania gazet „od deski do deski”. Odkąd wstąpił na uniwersytet, robił to co wieczór, przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Pewnego wieczoru, w lutym 1949 roku, kiedy jak zwykle spełniał swój gazetowy rytuał, jego uwagę przyciągnął krótki artykuł w rubryce towarzyskiej. Senator Stanów Zjednoczonych Harrison Colby z Nowego Jorku ogłosił, że w następnych wyborach nie będzie kandydował. Zamierzał wrócić do domu na Long Island i przejąć kierownictwo międzynarodowego banku, założonego przez jego teścia w początkach tego stulecia. Zmarły niedawno teść senatora nie pozostawił synów, którzy mogliby po nim dziedziczyć.

Obok artykułu zamieszczona była fotografia senatora i jego rodziny: żony - Colleen O'Donnel - i dwóch córek, Frances i Kathryn. Frances, atrakcyjna blondynka po dwudziestce, właśnie ukończyła Vassar. Jej młodsza siostra, Kathryn, dwudziestoletnia studentka Wellesley, była całkiem przystojną brunetką. Lynde wpatrywał się w fotografię przez dłuższy czas i gdzieś w jego umyśle zaczął się tworzyć plan. Ileż to razy słyszał, że najłatwiejszą drogą do kariery jest poślubienie córki szefa? Ponadto dzięki żonie jego przykrywka będzie niewątpliwie bardziej przekonująca. Obcy rząd będzie mniej podejrzliwy wobec człowieka połączonego węzłem małżeńskim z córką swojego pracodawcy. Nikt nie pozwoliłby przecież na użycie własnej córki jako przykrywki, gdyby był świadomy, co się dzieje. Do diabła, nawet Amerykanie patrzą podejrzliwie na człowieka w jego wieku, który nie jest żonaty.

Studiował postacie dziewcząt na fotografii, próbu-

jąc zdecydować, którą wybrać na obiekt swoich uczuć. Kathryn, chociaż ładniejsza, była za młoda. Nie widział siebie z dwudziestolatką, sam przecież skończył już trzydzieści jeden. Frances Colby miała jakieś dwadzieścia dwa, trzy lata. To brzmiało lepiej. Zrobi wszystko, by oczarować Frances.

Tę noc spędził bezsennie, analizując swój plan. Wiedział, że to, co robi, jest niemoralne, że nie ma prawa wykorzystywać niewinnej osoby jako zasłony dymnej. Nie ma prawa posłużyć się Frances Colby, by zdobyć pozycję w firmie jej ojca. Ale jednocześnie był świadomy, że jest agentem wywiadu, a jego podstawowym i najważniejszym zadaniem jest służyć rządowi, który na nim polega. CIA stało na pierwszym miejscu, więc usprawiedliwił się przed sobą, że to, co zamierza zrobić, uczyni dla dobra Stanów Zjednoczonych.

Poza tym - myślał - powinno to być tak naturalne, tak przekonujące, że każdy zainteresowany musi uwierzyć w jego czyste intencje. Nawet ta młoda kobieta nigdy nie może się dowiedzieć, że on jej nie kocha, że poślubił ją z innej przyczyny niż uwielbienie i płomiennie uczucie. To musi wyglądać na prawdziwe małżeństwo z miłości - dla wszystkich zainteresowanych.

To będzie trudniejsze niż przekonanie nazistów, że jestem gestapowcem - myślał Lynde, leżąc w ciemności.

Jeżeli potrafi dokonać tego, co zamierzał, potrafi wszystko.

Następnego ranka zadzwonił do Harry'ego Warnera.

- Muszę z tobą pogadać - oświadczył bez wstępów. - To ważne.

- Wymyśliłeś - zgadł Warner.

- Tak, ale jest pewien problem - odparł Lynde. - Będę potrzebował pomocy.

- Mówiłem ci już, że otrzymasz wszystko, czego potrzebujesz - przypomniał Warner. - Cokolwiek by to nie było.

- To może być trudne, nawet dla chłopaków z CIA - ostrzegł Lynde.
- Nie zastrzegaj się tak.
- Kiedy możemy porozmawiać?
- Dzisiaj po południu, odpowiada?
- W porządku.
- Wpadniesz tu około wpół do czwartej, Jim? Jakikolwiek problem by to nie był, jestem pewien, że damy mu radę.

**Powiedz** mi wszystko, co wiesz o senatorze Harrisonie Colby.

- Senator Colby? - Warner roześmiał się. - Niewiele mam do powiedzenia. Jest czysty jak łąza.

- A o jego życiu osobistym?

Warner przyglądał mu się przez chwilę.

- Najpierw może mi powiesz, dlaczego cię to interesuje?

- Czytałeś wczorajszą gazetę? - zapytał Linde.

Warner potrząsnął głową.

- Byłem na przyjęciu wieczorem... pomysł mojej żony, oczywiście - odparł. - Dlaczego? Coś tam jest?

- Zdaje się, że senator nie będzie kandydował w następnych wyborach. Niedawno zmarł jego teść, zostawiając w spadku międzynarodowy bank w Nowym Jorku. Senator wraca do domu, by przejąć rodzinny interes.

- I sądzisz, że to mogłaby być szansa na twoją przykrywkę?

- Mogłaby. Wiesz, że senator ma dwie śliczne córki.

- Tak. - Warner myślał przez chwilę. - Wiem, co masz na myśli: romans z jedną z dziewczyn i zatrudnienie u tatusia.

- Brawo - odparł Lynde z uśmiechem.

- Dobry pomysł. Jestem z ciebie dumny, Jim. Jak zwykle, dałeś sobie radę.

- Muszę wiedzieć wszystko o Colbym, wszystko - bez wyjątku. Później będę potrzebował kogoś z kręgu ich bliskich znajomych, by mnie przedstawił.

- Da się zrobić. Colby pochodzi z dobrej rodziny, ale niezbyt zamożnej. Cała fortuna stanowi majątek jego żony. Tak naprawdę to ojciec Colleen Colby wspierał i rozwinął kampanię senatorską, gdy zięć startował jakieś dwadzieścia lat temu. Myślę, że przez to czuje się teraz zobowiązany do przejęcia interesów teścia, gdy go zabrakło wśród żyjących.

- Więc pani Colby pochodzi z bogatej rodziny?

- Najbogatszej - odparł Warner. - Śmietanka towarzyska Long Island, można powiedzieć.

- A ich córki? Co o nich wiesz? - zapytał Lynde.

- Cóż... Frances jest starsza... dwadzieścia jeden czy dwa lata. Właśnie ukończyła Vassar. Jest śliczną kobietą, blondynka, niebieskooka, dystygowana. Słowem, młoda dama. Jej młodsza siostra jest nieco postrzelona. Wyrzucono ją z dwóch prywatnych szkół, o mały włos nie wyleciała także z Wellesley. Wygląda na to, że uważa życie za wielki festyn. Rodzice martwią się o nią, nie bez powodu, jak sądzę.

- Rozumiem - powiedział w zamyśleniu Lynde.

- I którą to zamierzasz się zainteresować? - zapytał Warner. - Czy może nie powinienem pytać?

- Czemu nie? - odparł Lynde. - Myślę, że Frances Colby będzie idealną żoną dla początkującego bankiera.

**Harry Warner** obiecał skontaktować Jima z kimś, kto mógłby przedstawić go Colby'emu. Lynde nie niepokoił się. Warner miał kontakty wszędzie. Mogło mu to zająć jakiś czas, ale na pewno mu się uda. Przyglądał się fotografii w gazecie, myśląc o tym, co zamierza zrobić. Był dobry, ale nie miał pewności, czy aż tak dobry. Czy naprawdę potrafi tego dokonać?

Harry Warner zadzwonił do Lynde'a w czwartek wieczorem, prosząc, by wpadł do jego biura następnego dnia rano.

- Znalazłem kogoś, kto przedstawi cię Colbym - powiedział. - Zapoznam cię z nim jutro.

- Będę więc rano.

Lewis Baldwin był mniej więcej w wieku Lynde'a. Wysoki, atrakcyjny mężczyzna o ciemnych, kręconych włosach i brązowych oczach, wyglądał jak młody, bogaty naukowiec. Lynde miał wrażenie, że Warner wytrzasnął go z jakiegoś teatru, złożył zamówienie na ten właśnie typ - przystojny, ale nie za przystojny, dobrze wychowany, o arystokratycznych rysach i idealnym uzębieniu. Uśmiechnął się, wyciągając rękę na powitanie. Trzeba by dodać dobry uniwersytet - pomyślał.

- Lewis pracował w OSS - mówił Warner. - Był we Francji w tym samym czasie co ty, tylko na południu, w Prowansji.

- Pracowałeś w OSS? - Lynde nie ukrywał zdumienia.

- Dziwi cię to?

- Szczerze powiedziawszy, tak. Przypuszczam, że nie powinno. Niewiele dziwi w tych czasach, ale...

- Lewis jest dobrym przyjacielem Colbych - wtrącił się do rozmowy Warner. - Był jednym z adoratorów Kathryn Colby.

- Doprawdy? - Lynde zwrócił się znów do Baldwina.

- Znasz ją dobrze?

Baldwin uśmiechnął się.

- Dość dobrze. - Wyjął z kieszeni papierosy i poczęstował Lynde'a.

- Nie, dziękuję. Nie palę.

- Od kiedy? - zapytał Warner.

- Od czasów Francji - odparł Lynde z uśmiechem. - To było zbyt ryzykowne. Za każdym razem, gdy wyrzucałem zapałkę albo gasiłem niedopałek, ryzykowałem wysadzenie czegoś w powietrze.

- Państwo Colby nie wiedzą, że Lewis pracuje dla nas - oświadczył Warner. - Wiedzą jedynie, że był w wojsku i walczył we Francji po inwazji w Normandii.

- Zamierzam im powiedzieć, że byliśmy w tym samym plutonie - wyjaśnił Baldwin. - Jesteśmy starymi przyjaciółmi, przynajmniej jak dla Colbych. Musimy nad tym popracować. Nasze wspomnienia powinny się zgadzać.

- Brzmi nieźle - zgodził się Lynde. - Zostawmy Harry'emu opracowanie szczegółowego planu.

- Myślę, że powinniśmy zacząć natychmiast - stwierdził Lewis. - Nie mamy znów tak wiele czasu.

- Kiedy i gdzie się z nimi spotykamy?

- W następną sobotę - odparł Baldwin, zapalając papierosa. - Byłeś kiedyś w klubie Lake Forest Country?

Lynde potrząsnął głową.

- Nie.

- To jeden z najważniejszych prywatnych klubów w Waszyngtonie, dokładniej, w Georgetown - wyjaśnił Lewis. - Dostać się tam można albo gdy się należy do jednej z założycielskich rodzin, albo poprzez ożenek z którąś z ich córek.

- Dbanie o czystość rasy.

- Idealne określenie. - Baldwin roześmiał się.

Lynde już nienawidził tego pomysłu. Kluby... elegancie restauracje... koneksje rodzinne... Był to świat, który odrzucił dawno temu. Odetchnął głąboko.

- W porządku, przyjacielu - powiedział, patrząc na Baldwina. - Zacznijmy więc od zaraz. Co robisz w porze lunchu?

Baldwin uśmiechnął się.

- Spotykam się ze starym przyjacielem.



# 3

Jesteś pewien, że senator Colby tu będzie? - zapytał Lynde, wchodząc z Baldwinem na zatłoczoną salę balową w klubie Lake Forest Country.

- Zaufaj mi - odparł Lewis pewnym głosem. - Od trzech lat nie opuścił żadnej soboty. Każdy, kto jest w tym mieście, przychodzi na te imprezy. Colleen Colby, żona senatora, zajmuje wysoką pozycję. Sądzę, że zjawia się tu tylko po to, by następnego dnia zobaczyć swoje zdjęcie w lokalnej gazecie. Zresztą senator też stara się nie stać zbyt w cieniu.

- Czy to nie przywara wszystkich polityków? - zapytał Lynde z uśmiechem.

- Możliwe, ale Harrisona Colby'ego cechuje ona bardziej niż innych. Jest szalenie ambitnym człowiekiem. - Baldwin rozejrzał się po sali, po czym trącił lekko Jima. - A nie mówiłem? Otóż i on. Stoi tam.

Lynde spojrział we wskazanym kierunku. Zgadza się. To był senator Colby. Imponująca postać, średniego wzrostu, mocno zbudowany, żywe, inteligentne oczy, gęste włosy miejscami pokryte siwizną. Wyglądał dokładnie tak, jak na fotografii.

Przecisnąwszy się przez tłum, podeszli do senatora i jego żony. Colleen powitała Baldwina niezwykle serdecznie.

- Gdzie się podziewałeś, Lew? - zapytała. - Długo cię nie było.

- Zbyt długo - przyznał Baldwin, po czym przedstawił Lynde'a. - Jim i ja podczas wojny walczyliśmy razem we Francji - powiedział. - Może widzieliście jego zdjęcia w gazetach? Został odznaczony Krzyżem Zasługi.

- Ach, tak. - Twarz senatora rozjaśniła się. - Chyba pamiętam. Miło mi pana poznać - zwrócił się do Lynde'a.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł Jim.

- A gdzie są pani śliczne córki? - Baldwin skierował to pytanie do Colleen Colby. - Przecież muszą tu być?

- Oczywiście. Dziwię się, że nie dostrzegłeś Kathryn przy pianinie, gdy tylko wszedłeś. - Wskazała głową w kierunku instrumentu po drugiej stronie sali. Orkiestra miała przerwę, więc zastąpiła ją Kathryn; otoczona gronem wielbicieli, wygrywała z dużym talentem szybkie, znane kawałki. - Czasami zastanawiam się, co ja mam z tą dziewczyną zrobić.

- A Frannie? - zapytał Baldwin.

- Frances jest w garderobie. Wiesz, jak to jest z młodymi damami, Lew. - Uśmiechnęła się idealnym, pięknym uśmiechem.

Lynde miał wrażenie, że wszystko, co robiła, musiało być idealne. Prawdopodobnie nawet nie potrafiła inaczej. Przypominała mu... Nie, to było dawno temu - powiedział sobie. Obserwował ją przez chwilę. Musiała mieć około pięćdziesiątki. Jej toaleta była subtelnie podkreślona dodatkami, pojedynczym sznurem pereł na szyi, małymi kolczykami z perłą i diamentem na palcu lewej dłoni, tak dużym, że mógłby się nim udławić słoń. Była urodzoną żoną polityka.

- Lewis Baldwin! - wykrzyknął damski głos za ich plecami.

Wszyscy odwrócili się; przez tłum żeglowała Kathryn Colby, która dostrzegła Baldwina ze swoimi rodzicami. Przywitała go entuzjastycznie.

- Gdzieś ty się ukrywał, na Boga?

- Nie ukrywałem się, Kate. Byłaś po prostu zbyt za-

jęta innymi wielbicielami, by mnie dostrzec - odrzekł Baldwin. - Jim, to jest Kate Colby; to jest Jim Lynde, mój stary przyjaciel.

Kate uśmiechnęła się ciepło.

- Milo cię poznać, Jim - powiedziała. - Każdy przyjaciel Lew jest też moim przyjacielem.

- Kathryn... - zaczęła jej matka zniżonym głosem.

- Och, mamó, nie bądź taka sztywna. Gdybym ja nie ożywiła tego towarzystwa, to miejsce byłoby równie zabawne jak mauzoleum! Czy Frannie wie, że tu jesteś? - zwróciła się do Baldwina.

- Jeszcze jej nie widziałem.

- Ucieszy się, jak cię zobaczy.

Lynde, patrząc na tę młodą kobietę, uśmiechnął się z uznaniem. Była niewysoka, zgrabna, miała delikatne rysy i ciepłe brązowe oczy. Wspaniałe czarne włosy zaczesywała do góry. Biała suknia bez ramion podkreślała znakomitą figurę. Zastanawiał się, jaka będzie jej siostra.

- Nie widziałem Frannie, od kiedy wróciła z Vassar - zwrócił się Baldwin do senatora Colby'ego. - Przypuszczam, że tłumy dobijają się do drzwi, odkąd znowu jest w domu.

- Och, znasz przecież Frannie - odparł senator z uśmiechem. - To nie w jej stylu. Ona woli, gdy sprawy toczą się powoli i spokojnie. Wejście jaskiniowców jest bardziej w stylu Kate.

- Tato!

- Obydwoje wiemy, że to prawda, kochanie - powiedział łagodnie. - Bóg jeden wie, dlaczego ty wydajesz się przepadać za tego typu romansami, jeśli w ogóle można to nazwać romansem, ale...

- Harrison. - Colleen Colby położyła dłoń na ramieniu męża, dając niemy sygnał, by zostawił ten temat.

- Tak, kochanie - odparł.

- A otóż i Frannie - powiedziała Kate, widząc nadchodzącą starszą siostrę.

Frances Colby w żaden sposób nie przypominała młodszej córki senatora, choć była równie śliczna. Wyższa i szczuplejsza od Kate, miała włosy koloru popielatego i bladoniebieskie oczy. Jej twarz była piękna, choć rysy miała może nie tak delikatne jak siostra.

Baldwin dokonał prezentacji.

- Jim, to jest Frannie Colby; Frannie, chcę ci przedstawić mojego starego przyjaciela, Jima Lynde'a.

- Miło mi pana poznać - powiedziała niskim głosem. Ujął jej dłoń i lekko się skłoniwszy, ucałował.

- Cała przyjemność po mojej stronie, zapewniam panią - odparł.

Frances Colby zarumieniła się. Jej oczy pobiegły niespokojnie od rodziców ku siostrze i z powrotem.

- Chodź, Kate - powiedział Baldwin, ujmując rękę dziewczyny. - Pokażemy temu tłumowi, jak się tańczy.

Spojrzała na niego, uśmiechając się szatańsko.

- Jasne.

Kiedy odeszli, Lynde popatrzył na Frances z prośbą w oczach.

- Czy zatańczy pani ze mną?

- Z przyjemnością.

Poprowadził ją na parkiet i otoczył ramieniem. Z początku była spięta, powoli jednak rozluźniła się.

- Jest więc pan przyjacielem Lew - powiedziała w końcu, próbując nawiązać rozmowę. - Jak długo się znacie?

- Od wojny. - Uśmiechnął się. - Człowieka można naprawdę poznać, gdy walczy się u jego boku dzień w dzień, a ze wszystkich stron padają strzały.

- Mówi pan o wojnie jak o meczu sportowym. - Odwzajemniła uśmiech.

- W pewnym sensie to jest gra - odparł. - Przypomina szachy.

- To znaczy?
- To gra strategiczna. I choć wielu ludzi nie zdaje sobie z tego sprawy, jest to strategia bardziej psychiczna niż fizyczna.
- Brzmi to tak, jakby pan lubił walczyć.
- Nikt nie lubi wojny, panno Colby - powiedział poważnie.
- Przepraszam - odparła speszona. - Nie chciałam...
- Zapomnijmy o tym po prostu, dobrze? - zaproponował. - Lew mówił mi, że skończyła pani Vassar. Jaki kierunek, jeśli wolno spytać?
- Historię sztuki.
- Interesuje się pani sztuką.
- Bardzo. - Przerwała na chwilę. - Kiedyś chciałam sama zostać artystką. Malarką. Ale mój talent nic dorównywał ambicjom.
- Twarz Lynde'a wyrażała wątpliwość.
- Jestem pewien, że to tylko skromność - powiedział.
- Ach, nie, nie - zaprotestowała szybko. - Najbardziej unieszczęśliwia mnie fakt, że podziwiając wielką sztukę, nie mogę patrzeć bez niesmaku na własne dzieła.
- Nie powinna pani być tak surowa wobec siebie - rzekł z przekornym błyskiem w oczach. - Powiedziałbym, że wszystko jest kwestią gustu.
- Tylko do pewnego stopnia.
- Weźmy jako przykład panią. Obie z siostrą jesteście piękne, tylko na różne sposoby. Jej biała sukienka pasuje wyśmienicie, pani zaś wyglądałaby w niej blado. Natomiast ten fiolet, w którym pani tak cudownie do twarzy, jej nie odpowiadałby w ogóle.
- Oczy Frannie zwięzły się podejrzliwie.
- Sądzę, że się pan ze mnie naigrawa.
- Ależ skąd. Staram się jedynie uzmysłwić pani, że coś, co pani się nie podoba, może odpowiadać komuś innemu. - Uśmiechnął się. - Chciałbym zobaczyć pani prace.

- Czy lubi pan sztukę, panie Lynde?  
Spojrzał jej w oczy.
- Można tak powiedzieć. Lubię wszystko, co jest piękne.

**Podczas** wojny elegantki z wyższych sfer, które zwykle dwa razy do roku jeździły do Paryża na pokazy kolekcji najświetniejszych francuskich projektantów mody, musiały zwrócić się ku osiągnięciom Amerykanów. Po wojnie wiele z nich kontynuowało paryskie wzorce mody, ale Colleen Colby i jej córki nie uznały tego za konieczne. Pani Colby zawsze faworyzowała projekty Hattie Carnegie. Nosiła czarujące kapelusze kupione u Saksa na Piątej Alei, nie odczuwając potrzeby oddalania się poza Nowy Jork, by znaleźć dokładnie to, czego szukała. Jedynie gdy towarzyszyła mężowi w podróżach dyplomatycznych, pozwalała sobie na ekstrawaganckie suknie balowe od Diora czy Chanel, których projekty uznawała za najlepiej pasujące do jej figury.

Od dwóch lat ubrania jej córek projektował młody człowiek z Waszyngtonu, znany tylko z imienia Sebastian. Zarówno Fran, jak i Kate przekonały się, że Sebastian, bardziej niż jakikolwiek inny projektant, wyczuł ich upodobania do bardziej współczesnych ubiorów.

Colleen patrzyła, jak Fran podziwia kostium prezentowany przez jedną z modelek, mocno dopasowany, ciemnoniebieski, z czarnymi aksamitnymi klapkami. Był to niezwykle wdzięczny strój. Fran wyglądałaby w nim cudownie. Żakiet, obcisły w talii, na biodrach rozszerzał się w baskinę, spod której wychodziła wąska, długa spódnica. Wytworną całość podkreślały idealnie dobrane dodatki: czarne skórzane rękawiczki i buty **na** wysokim obcasie. Najbardziej oryginalny był jednak kapelusz: mały, elegancki, z najlepszego czarnego aksamitu, którego krótką woalka kończyła się **na** wysokości nosa modelki.

- Weźmiemy go? - zapytała pani Colby. - Jest świetny.

- Nie wiem, mam - odparła Fran, wzruszając ramionami. - Nie mogę się zdecydować.

Colleen Colby w milczeniu obserwowała modelki prezentujące najnowsze kreacje Sebastiana. Cały dzień miała wrażenie, że Fran nie czuje się najlepiej. Z pewnością nie była zainteresowana wybieraniem nowych sukien do swojej i tak imponująco wypełnionej szafy. Nie. Frances nie była tego dnia sobą. Gdy jadły lunch w Casello, ich ulubionej restauracji, Fran zaledwie dziobała posiłek, przesuwając kawałki widelcem po talerzu. Pani Colby zastanawiała się, co to może oznaczać. Córka bynajmniej nie sprawiała wrażenia chorej.

- Dobrze się czujesz, Frances? - zapytała w końcu. - Jesteś taka cicha. Jeżeli nie interesuje cię dzisiejszy pokaz, możemy przyjść innego dnia.

- Nic mi nie jest, mam - odparła szybko Fran. - Po prostu nie mam dziś nastroju.

- Jesteś po prostu zakochana, to wszystko - powiedziała Kate, podziwiając szyfonową suknię balową w kolorze morskiej zieleni. - Zauroczył ją ten fascynujący dżentelmen, którego w sobotę przedstawił nam Lew, James Lyn-de.

Fran spojrzała na siostrę zażenowana.

- Doprawdy, Kate. Powiedziałam tylko, zgodziłaś się ze mną zresztą, że jest niezwykle atrakcyjny... i czarujący!

Matka myślała przez chwilę.

- Wobec tego może zaprosilibyśmy go na kolację któregoś dnia - zaproponowała. - Moglibyśmy poznać go lepiej.

- Byłoby cudownie. - Fran rozjaśniła się. - Ale jak ja... Nie byłoby w dobrym stylu, gdybym ja go zaprosiła, prawda?

- Masz rację. Też sędzę, że to niezbyt dobry pomysł - powiedziała Colleen Colby w zamyśleniu. - Ale mógłby to zrobić twój ojciec.

- Myślisz, że chciałby...? - W głosie Fran brzmiała radość, która ewidentnie zdradzała jej uczucia.

- Oczywiście, że tak - odparła Colleen z przekonaniem. - Jeszcze dzisiaj z nim porozmawiam.

**Rodzina** Colbych mieszkała w Georgetown, zajmując wytworną, jasną, czteropiętrową rezydencję, której wiek Lynde ocenił na co najmniej dwieście lat. Do wnętrza wprowadził go majordomus w nieskazitelnie czystej marynarce i czarnych spodniach. Hol przywoływał wspomnienie dawno minionych czasów. Ogarniając wzrokiem białe marmurowe posadzki, wypolerowane dębowe schody, kryształowy stary żyrandol, nie mógł się opędzić od ponurych myśli. Senator czekał już na niego w gabinecie.

- Dobry wieczór - powitał gościa z uśmiechem. - Państwo są jeszcze na górze... wie pan, jakie są kobiety, więc pomyślałem, że moglibyśmy przez ten czas poznać się bliżej. W klubie nie mieliśmy zbyt wiele okazji, by porozmawiać.

Lynde skinął głową, zastanawiając się, do czego Colby zmierza.

- Frances nie jest z natury impulsywną dziewczyną - mówił senator. - Zawsze była bardzo rozsądna i zrównoważona. O wiele bardziej niż jej siostra.

- Tak, odniosłem podobne wrażenie - zgodził się Lynde.

- Dlatego, szczerze mówiąc, jesteście zdumieni, żona i ja, że Fran jest panem tak zafascynowana, po zaledwie jednym spotkaniu - ciągnął Colby. - Zauroczył ją pan.

- Muszę się przyznać, że z wzajemnością, sir - odparł cicho Lynde. - Ona również mnie zauroczyła.

Colby skinął głową.

- Rozumiem. - Nalał whisky do dwóch szklanek. - Jestem pewien, że rozumie pan, dlaczego mnie to tak obchodzi. Los mojej córki jest dla mnie bardzo ważny. Nie chciałbym, żeby ktoś ją skrzywdził.



- Ja również.

W tej chwili drzwi się otworzyły i pojawiła się Colleen Colby z córkami. Twarz Frances rozbłysła uśmiechem, gdy zobaczyła Lynde'a. Podbiegła, by go powitać.

- Tak się cieszę, że mogłeś przyjść, Jim - powiedziała, nie starając się zbytnio ukrywać uczuć.

- Za nic nie straciłbym takiej okazji - zapewnił, całując jej dłonie. - Wyglądasz cudownie, Frances.

- Czy mógłbyś mówić do mnie Fran? - poprosiła. - Nie znoszę, gdy nazywa się mnie Frances, to mi przypomina tego okropnego muła z filmów!

- Oczywiście, Fran - obiecał.

Jedli kolację w olbrzymiej, staromodnej jadalni, w przyćmionym blasku świec. Srebrne świeczniki, ciężki, haftowany obrus, piękne serwetki, wypolerowane srebra, kosztowna porcelana, służba w liberii - wszystko to przypominało Lynde'owi przeszłość, o której chciał zapomnieć. Odepchnął od siebie wspomnienia i zwrócił całą uwagę na Fran, siedzącą po jego prawej ręce. Była cudowną kobietą.

Mam nadzieję, że postępuję właściwie - pomyślał niepewnie, kiedy żegnał się z Frances Colby.

Cieszę się, że przyszedłeś, Jim - szczerze wyznała Frances.

Fran i Lynde stali na schodach przed posesją.

- Chciałbym cię znowu zobaczyć, Fran - powiedział.

Jej serce zatrzepotało. Spojrzała mu w oczy i zaczerwieniła się.

- Kiedy? - zapytała.

- Na przykład w czwartek wieczorem? - zaproponował.

- Byłoby cudownie.

- Myślałem, że może... W Arlington otwierają galerię jakiegoś nowego artysty. O ile pamiętam, gazety nazwały go „największym nowym talentem dziesięciolecia”.

- To pewnie Tom Kelly - powiedziała Fran.  
 - O, to znaczy, że słyszałaś o tej wystawie?  
 - Tak, i bardzo chciałabym ją zobaczyć.  
 - **Świetnie.** Mógłbym więc przyjść po ciebie około siódmej? - zapytał. - Poszlibyśmy do galerii, a potem, jeśli będziesz miała ochotę, na późną kolację. Znam cudowne miejsce po drugiej stronie rzeki.

Fran uśmiechnęła się.

- Brzmi fantastycznie - powiedziała. Wiedziona impulsem pocałowała go lekko w policzek. - Więc do zobaczenia w czwartek?

- Tak. Do widzenia.

Fran weszła do domu. Lynde przez dłuższy czas siedział w samochodzie, myśląc o tym, co robi i dlaczego.

Było to coś, co nie dawało mu powodu do dumy.

**Wciąż** jeszcze mi nie powiedziałaś, jaka jest twoja opinia o Tomie Kellym jako artyście. Jesteś przecież ekspertem.

Fran, sącząc wino, zamyśliła się na chwilę.

- Cóż, po pierwsze, nie czuję się ekspertem, chociaż znam się na sztuce - mówiła powoli. - Ale podobało mi się. Jest o wiele lepszy, niż tego oczekiwałam.

- Naprawdę? - Uniósł brew. - Dlaczego tak sądzisz?

- Zwykle nie oczekuję wiele od takich małych galerii - wyjaśniła. - W dzisiejszych czasach tak mało jest rzeczywiście dobrych artystów.

- Może jesteś po prostu rozpuszczona przez starych mistrzów - stwierdził, przypominając sobie obrazy wiszące w posesji Colbych.

- Możliwe - zgodziła się. - Zdecydowanie wolę francuskich impresjonistów. Monet, Renoir... to moi ulubieńcy. - Spojrzała na jego talerz. - Nic nie zjadłeś! Nie smakuje ci?

- Nie... To nie to. Jedzenie jest wyśmienite. - Uśmiechnął się do dziewczyny. - Tylko trudno jest myśleć

o jedzeniu w towarzystwie tak uroczej i czarującej damy.

Policzki Fran zaczerwieniły się.

- Pochlebiasz mi.

Sięgnął przez stół i ujął jej dłoń.

- Jesteś cudowną kobietą, Fran. Wiesz o tym?

- Czuję się cudownie, gdy jestem z tobą - przyznała się, nieco speszona.

- Ogromnie się cieszę, że to mówisz - powiedział miękko - ponieważ bardzo chciałbym spotykać się z tobą częściej.

- Ja też - odparła.

Przez następne tygodnie Lynde i Fran Colby spotykali się prawie codziennie. Chodzili na wystawy sztuki i do lokalnych galerii. Żeglowali. Sobotnie wieczory spędzali z jej rodziną w klubie. Chodzili na długie spacery wzdłuż rzeki Potomac. Lynde kupował Fran kosztowne prezenty i adorował na wiele możliwych sposobów. Wiedział, że jest na dobrej drodze do realizacji swego planu, i był z tego zadowolony. Wiedział również, że Fran go pokochała, ale z tego nie był zadowolony.

Pomysł wykorzystania Fran Colby, by otrzymać zatrudnienie u jej ojca, przestał mu się podobać, gdy zaczął się z nią częściej spotykać. Była wspaniałą dziewczyną. Lynde zdawał sobie sprawę, że byłaby świetną żoną dla kogoś innego. Ale nie dla niego. On nie był dobrym typem na męża. Nie potrafił sobie wyobrazić siebie żonatego - z Fran czy z inną kobietą - i związanego dwójką czy trójką dzieci. To nie było w jego stylu. On musiał być wolny jak ptak, by móc zerwać się i odlecieć, kiedy tylko chciał. Było jednak za późno, by się wycofać.

- Nigdy nie mówisz o sobie, Jim - powiedziała Fran pewnego popołudnia, gdy szli brzegiem rzeki, trzymając się za ręce. - Dlaczego?

- Nie mam za bardzo o czym mówić - odparł, wzruszając ramionami. - Prowadzę bardzo nieciekawe życie. Pracuję dla rządu.

Fran roześmiała się. Zdał sobie sprawę, jak zabawnie musiało to zabrzmieć.

- To znaczy, nie to miałem na myśli - sprostował szybko. - Ja...

- Wiem, co miałeś na myśli - zapewniła go. - Tylko to tak śmiesznie zabrzmiało.

- Domyślam się. - Skinął głową.

- Nie sądziłabym, że twoje życie może być monotonne - mówiła Fran. - W końcu byłeś przecież bohaterem. Zostałeś odznaczony. To duży zaszczyt.

- Wykonywałem tylko zlecane mi zadania, to wszystko - stwierdził. - To mój zawód.

- Twoim zadaniem było ryzykowanie życia, gdy pomagałeś francuskiemu ruchowi oporu? - zapytała.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Skąd o tym wiesz?

- Bo... Nie chciałabym, żebyś się obraził, ale tato sprawdził wszystko o tobie, gdy zaczynaliśmy się spotykać - wyznała. - On jest nieco nadoopiekuńczy w stosunku do nas. Lubi wiedzieć, z kim się spotykamy... Chociaż obawiam się, że gdyby chciał sprawdzać wszystkich znajomych Kate, nie miałby czasu na nic innego.

- I czegoś się o mnie dowiedział? - zapytał Lynde ostro.

Ujęła jego twarz w dłonie.

- Nie bądź zły, kochanie, proszę - powiedziała łagodnie. - Był bardzo zadowolony. Mówił, że jesteś prawdziwym mężczyzną. - Pocałowała go. - I, oczywiście, zgadzam się z nim w stu procentach.

- Nie jestem zły - wymamrotał. Musiał panować nad sobą. Nie mógł pozwolić, by Colby nabrał teraz podejrzeń. Zwłaszcza że nie było możliwości, by senator dowiedział się czegoś naprawdę ważnego. - I sądzę, że go nawet rozumiem.

- Dziękuję za zrozumienie - powiedziała Fran cicho.  
- Tak bardzo chcę, żebyście się polubili.

- Kiedy przyszedłem do was pierwszy raz - przypomniał sobie - twój ojciec powiedział mi, że obawia się, iż złamię ci serce, czy coś w tym rodzaju. Myślę, że powinniśmy go uspokoić, raz na zawsze.

Roześmiała się.

- Jak? Tato się nie uspokoi, dopóki obydwie z Kate nie ustatkujemy się, powychodzimy za mąż i... - Przerwała nagle, spojrzawszy na niego z nadzieją. - Czy ty...

Skinął głową.

- Fran, chcę się z tobą ożenić - powiedział po prostu.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się mocno.

- Och, tak, Jim, tak!

Lynde przytrzymał ją przy sobie i pogładził po włosach. Wiedział, że to powinno zadowolić Colby'ego.

Oświadczyłeś się? - Harry Warner uśmiechnął się od ucha do ucha. - To cudownie! Jesteś szybki, Jim.

- Nie podoba mi się to, Harry - powiedział Lynde. - Nie podoba mi się to, co robię. Ona mnie kocha, do diabła. Sądzę, że nigdy nie brałem pod uwagę tej możliwości.

- To znaczy, że o niebo łatwiej będzie skłonić senatora, by zaproponował ci pracę w rodzinnym biznesie - powiedział ostro Warner. - Czy ja muszę wciąż ci przypominać, jak ważne zadania cię czekają? Czy muszę ci przypominać...

- Nie, do diabła, nie musisz! - syknął Lynde. - Wszedłem w to z otwartymi oczami.

- Wszyscy musimy robić rzeczy, które nam się nie podobają - skwitował Warner.

- Nawet ty?

- Tak. Nawet ja. Dziwi cię to? Robiłem wiele rzeczy w OSS, których nie chciałem robić. Ale to był mój obowiązek i wykonywałem go, ponieważ wiedziałem, że nie

mam wyboru. Myślisz, że lubiłem przyjmować w szeregi tych młodych chłopców, wiedząc, że wielu z nich zginie?

- Nigdy o tym nie pomyślałem - przyznał Lynde.

- Często stoją mi przed oczyma ci ludzie, których złapano i torturowano, nie pozwalano im umrzeć. Czuję się winny, wiedząc, że moją zasługą jest przekonanie ich o konieczności wstąpienia do OSS - mówił Warner matowym głosem. - Czułem się odpowiedzialny za ich śmierć, tak jak odpowiedzialni byli Niemcy czy Japończycy. Nie miałem lekkich snów, jeśli cię to obchodzi.

Lynde milczał przez dłuższą chwilę.

- To nie to samo, Harry. Fran mnie kocha.

- Połowa kobiet we Francji cię kochała, przyjacielu, i zostawiałaś je, nie czując winy.

- To było coś innego, Harry - powtórzył Lynde. - Nie znałem żadnej z nich tak naprawdę. One mnie nie знаły...

- I Fran Colby też cię nie zna - powiedział Warner. - Nie wiem, dlaczego uważasz, że ją krzywdzisz. Kocha cię, chce za ciebie wyjść i to ją uszczęśliwi.

- Powinno. Ale jeśli nie potrafię być dla niej dobrym mężem? Wiesz, jak trudno mi...

- Wierzę w ciebie.

Lynde popatrzył na Warnera. Chciałby podzielać jego wiarę.

**Czy** jesteś pewna, że tego chcesz, kochanie? - zapytał senator Colby córkę.

Fran uśmiechnęła się. Jej twarz płonęła.

- Tato, nigdy w życiu nie byłam niczego tak pewna. Kocham go i wiem, że on mnie kocha. Nikt nie może mnie tak uszczęśliwić jak on.

- Czy ty go naprawdę znasz? - indagował Colby. - Spotykacie się zaledwie od kilku miesięcy...

- Znam go na tyle, na ile mi to potrzebne - stwierdziła Fran. - Och, wiem, że on nie mówi wiele o sobie, ale to

nie ma znaczenia. Sam przecież mówiłeś, że był bohaterem w czasie wojny.

- To niekoniecznie oznacza, że będzie dobrym mężem - przypomniał ojciec.

Fran roześmiała się.

- Myślę, że za bardzo się martwisz, tato - powiedziała. - Jim i ja będziemy świetnym małżeństwem. Zobaczysz.

- Mam nadzieję. - Colby musiał przyznać, że nigdy nie widział córki tak szczęśliwej. - Czy on planuje zostać przy rządzie, czy też chciałby w przyszłości robić coś innego?

Fran zamyśliła się na chwilę.

- Nie wiem. Nie rozmawiałam o tym - przyznała. - A dlaczego pytasz?

- Myślałem o tym, by zaproponować mu pracę.

Fran spojrzała na ojca.

- W Nowym Jorku?

- Skończył przecież studia.

- Tato, to byłoby cudowne! Moglibyśmy wtedy być wszyscy razem i... Och, może trochę przesadzam. Nie wiem, czy Jim chciałby tego.

- Więc może go zapytaj - zaproponował Colby. - Albo lepiej ja go zapytam.

- Zrobiłbyś to, tato?

- Z przyjemnością - odparł Colby. - Zaraz do niego zadzwonię i zaproponuję mu lunch w klubie.

**Klub** Jeffersona - Lynde upewnił się, czy dobrze usłyszał. - Tak, wiem gdzie to jest. O której mam tam być?... O pierwszej... Oczywiście, nie ma problemu... Do zobaczenia, senatorze. - Odłożył słuchawkę i spojrzał na Harry'ego Warnera, który stał w drzwiach jego biura.

- Senator Colby? - zapytał Warner.

Lynde skinął głową.

- Zaprosił mnie na lunch. Mówi, że chciałby przedyskutować ze mną pewną propozycję.

**Klub** Jeffersona, usytuowany przy F Street, był najbardziej ekskluzywnym klubem w mieście. Najprostszym sposobem wejścia doń było po prostu być synem jednego z członków, a jeśli ktoś nie miał tyle szczęścia, by być „członkiem z urodzenia”, uzyskanie członkostwa było możliwe, gdy otrzymało się poparcie i rekomendację trzech wysoko postawionych osób z klubu. Ten drugi sposób był czymś w rodzaju hazardu: uda się lub nie. Jeśli bowiem któryś ze stałych członków sprzeciwił się wprowadzeniu nowej osoby, jej wejście zostało definitywnie przekreślone. Raz na zawsze.

Wystrój klubu imponował nawet najwybredniejszym. Był zaprojektowany przez jednego z najlepszych światowych dekoratorów wnętrz, idealnie dopracowany, do najdrobniejszych szczegółów. Całość podobała się zwłaszcza kobietom, które odkrywały, że ich urodę bardzo podkreśla łagodny blask świec. Kuchnia była fantastyczna, a piwnicę z winami uważano za jedną z najlepiej zaopatrzonych w całych Stanach.

Lynde, idąc za kelnerem prowadzącym go do stolika senatora Colby'ego, rozglądał się uważnie po sali. Dostrzegł kilku innych senatorów, dwóch sędziów Sądu Najwyższego, grupę członków gabinetu i kilku wpływowych przemysłowców, ludzi władających największymi korporacjami na świecie, a także jednego z adiutantów prezydenta Trumana.

Gdyby Rosjanie chcieli zlikwidować całą „góre” tego kraju - pomyślał Lynde z lekkim rozbawieniem - wystarczyłoby rzucić bombę na ten budynek.

Na widok senatora, który wstał, by go powitać, zmusił się do uśmiechu.

- To miło z twojej strony, że się wyrwałeś - powiedział Colby, gdy usiedli. - Myślałem, że możesz mieć inne plany.

- Rzadko wychodzę w porze lunchu - odparł Lynde wymijająco. - Zawsze jest zbyt dużo do zrobienia, a zbyt mało czasu.



- Lubisz tę pracę dla rządu? - zapytał Colby. - Czy chciałbyś to robić przez resztę życia?

Lynde przyglądał mu się przez chwilę.

- Nie myślałem o tym do tej pory - powiedział ostrożnie. - Po wojnie potrzebowałem pracy, zaproponowali mi to, więc...

- A co byś powiedział na lepszą propozycję?

- Przypuszczam, że odrzucenie jej nie byłoby zbyt rozsądne. Ale, muszę zaznaczyć, zależałoby to od rodzaju propozycji.

- A co powiedziałbyś na przeprowadzkę do Nowego Jorku? - zapytał Colby.

Lynde zawahał się.

- Czy proponuje mi pan pracę, senatorze?

- Możliwe.

Uśmiechając się Lynde rzekł powoli:

- Coś mi mówi, że Fran powiedziała panu o naszych planach.

- Owszem, tak - przyznał Colby. - Fran wychowała się właściwie w Nowym Jorku, Jim. Kocha to miasto.

Lynde skinął głową.

- Często o tym mówiła.

- Jak wiesz, po zakończeniu tej kadencji odchodzę z Senatu, by przejąć firmę ojca Colleen. To międzynarodowy bank. Teść założył go wiele lat temu, jeszcze przed wielkim kryzysem.

- I wciąż jest na silnej pozycji?

- Szczęśliwie tak. - Colby w zamyśleniu obserwował przyszłego zięcia. - Potrzebni mi będą operatywni, młodzi ludzie, tacy jak ty, i sądzę, że Fran byłaby szczęśliwsza w Nowym Jorku, bliżej rodziny.

Lynde uśmiechnął się.

- Myślę, że Fran i ja bylibyśmy szczęśliwi wszędzie tam, gdzie będziemy razem.

- Jestem pewien, że masz rację - zgodził się. - Ale myślę, że warto, byś się przynajmniej zastanowił nad

moją propozycją. To byłaby duża szansa dla ciebie, szansa kariery na wielce obiecującym polu. Fran także byłaby szczęśliwa.

- W porządku. Gdyby podał mi pan więcej szczegółów o proponowanej pracy, czego się pan po mnie spodziewa, jaka będzie płaca i temu podobne, przedyskutowałbym to z Fran i dał panu -odpowieź w ciągu, powiedzmy, tygodnia. Czy tak będzie dobrze?

- Brzmi nieźle.

Colby zaczął mówić, Lynde słuchał z zainteresowaniem, uważając jednak, żeby nie okazać zbytniego entuzjazmu.

Nie chciał, żeby Colby poznał po nim, że decyzję podjął już dużo wcześniej.

# 4

**Zaręczyny** Frances Colby z Jamesem Victorem Lynde'em zostały oficjalnie ogłoszone w grudniu, tuż przed Bożym Narodzeniem. Jak można było przewidzieć, jej fotografie zamieściły gazety zarówno w Waszyngtonie, jak i Nowym Jorku, łącznie z informacją, że ślub odbędzie się w kwietniu, w rezydencji Colbych na Long Island.

Chociaż Lynde wolałby skromny ślub, bez szumu, wiedział, że to raczej niemożliwe. Ludzie pokroju Colbych nie miewali skromnych ślubów. Wyprawiali wielkie przyjęcia z orkiestrą i sznurem drухen, ubranych przez najlepszych projektantów mody. Kupowali i prezentowali wszystko, co najlepsze. Zapraszali połowę stanu. Oczywiście, musiała być cała śmietanka, „najlepsi” ludzie, jak również główni redaktorzy, ponieważ cały ten splendor byłby na nic, gdyby nie został opisany w gazetach. Zdecydowanie nie było to w stylu Lynde'a, ale musiał wypić to piwo, które sam nawarzył.

Wykazywał duże zainteresowanie, którego w rzeczywistości nie czuł, słuchając, jak Fran opowiada z entuzjazmem o sukience projektowanej dla niej przez Sebastiana, o srebrach, porcelanie i innych rzeczach, wybranych przez nią osobiście. Chodzili razem na nudne oficjalne przyjęcia, gdzie musiał uprzejmie rozmawiać z ludźmi, których nie znał - i nie chciał znać. Nikt

nie domyślał się nawet jego uczuć, ponieważ grał swoją rolę znakomicie.

Kilka razy pojechał do Nowego Jorku, by spotkać się z pracownikami firmy, wybrać meble do biura, w których zapewne nie będzie spędzał zbyt wiele czasu, a także porozmawiać z architektem wewnątrz urządzającym ich nowy dom. Rodzice Fran dali młodemu ten dom - imponujący, stary dom, zwrócony frontem do Long Island Sound, obok Sound Beach - w prezencie ślubnym.

Lynde i Fran spędzili kiedyś cały dzień na Manhattanie. Wybierali obrączki u Cartiera, jedli lunch w L'Aiglon i zaplanowali miodowy miesiąc w Paryżu. Gdy wrócili do Waszyngtonu, Lynde poszedł z narzeczoną do salonu Sebastiana, by z przekonującym żywieniem pomagać w wyborze drobiazgów do wyprawy. Spotykali się z przyjaciółkami Fran oraz ich mężami. Chodzili na przyjęcia urządzane na ich cześć. Wszystkie prezentowane mu kobiety były młode, eleganckie i nieco konserwatywne. Mężczyźni wyglądali tak, jak gdyby pochodzili z tego samego katalogu - uśmiechnięci, przyziani, amerykańscy.

Kiedyś zbuntował się przeciwko temu światu, uciekł od niego i tych wszystkich ludzi, których nienawidził. Nie chciał być jednym z nich. Na ironię, wyglądało na to, że przez małżeństwo wchodzi w ten świat z powrotem.

Zwłaszcza po tak ciężkiej walce, by się z niego wyrwać.

**Lynde** stał w oknie, obserwując dostawców, dekoratorów i muzyków, biegających w pośpiechu, ponieważ zaczęli już przybywać pierwsi goście. Z pokoju gościnnego domu Colbych, który teraz zajmował, miał świetny widok na miejsce, gdzie zaplanowana była ceremonia. Odszedł od okna, wyjął z kieszeni małe złote kółeczko i przyglądał mu się dłuższą chwilę. Obrączka Fran. Już

na samym początku zdołał usprawiedliwić przed sobą to, co robił. Zdawał sobie sprawę, że było to niemoralne, nie w porządku wobec Fran, ale przecież nie on pierwszy i nie ostatni żenił się dla pozycji.

Po prostu robię to, co muszę - pomyślał, wkładając obrączkę do kieszeni.

Kiedy otworzył drzwi i wyszedł na korytarz, u szczytu schodów dostrzegł Colleen Colby. Miała na sobie bładożółtą suknię, kilka odcieni jaśniejszą niż kolor wybrany dla druchen. Można to było przewidzieć, wiedząc, że Fran wybrała żółć i biel na kolory wesela i kwiatów. Uśmiechnął się. Śluby na tym poziomie były zawsze zgrane kolorystycznie. Boże broń, gdyby coś nie pasowało.

U dołu schodów czekał na niego świadek, Lewis Baldwin. Lynde podał mu obrączkę.

- Czy Harry już przyszedł? - zapytał.

Baldwin przytaknął.

- Dlaczego chcesz go przedstawić jako swego wuja? - zapytał.

Przez twarz Jima przemknął uśmiech.

- Doszedłem do wniosku, że moim teściom mogłoby się wydać podejrzanym, gdyby na ślubie nie było ani jednego przedstawiciela rodziny zięcia.

- Czy ty nie masz w ogóle żadnej rodziny? - zapytał Lewis.

- Żadnej wartej wspomnienia - odparł zimno Lynde. Odwrócił się na pięcie i odszedł. Baldwin podążył za nim.

Przez drzwi z tyłu domu wyszli na trawnik i zatrzymali się w miejscu, gdzie nowożeńcy mieli złożyć przysięgę. Goście zajęli wyznaczone im miejsca, orkiestra zaczęła grać. Lynde uśmiechnął się promiennie do Colleen Colby siedzącej w pierwszym rzędzie obok babci Fran, która - jak na swoje osiemdziesiąt lat - wyglądała zdumiewająco dobrze.

Pojawiło się sześć druchen w identycznych żółtych su-

kienkach. Przeszły wzdłuż bocznego przejścia, wyłożonego białym dywanem. Lynde skierował wzrok ku drzwiom. Pojawiła się w nich Kate, ubrana w jedwabną suknię o ciemniejszym odcieniu żółci, haftowaną w drobne białe kwiatuszki. Włosy miała zaczesane do góry, z tyłu głowy ozdobione bukiecikiem żółtych kwiatów. Gdy doszła do swojego miejsca, orkiestra zaczęła grać melodię dla panny młodej i w drzwiach ukazała się Fran, wsparta na ramieniu ojca.

Nigdy nie wyglądała piękniej - pomyślał Lynde, patrząc, jak zbliża się do niego z jaśniejącymi miłością oczami, skrytymi za delikatną woalką. Jej strój był jak z bajki: z wysokim kołnierzem w stylu wiktoriańskim, uszyty z najlepszego jedwabiu, pokrytego delikatną, wyszywaną perłami koronką. Przy kołnierzyku przypięta była wytworna złota broszka, która - jak twierdziła Fran - miała ponad sto lat. Jej blond włosy upięte były na czubku głowy w luźny kok, otoczony wianuszkami białych kwiatków. Lynde uśmiechnął się, gdy stanęła u jego boku.

- Zdenerwowana? - zapytał tak cicho, że tylko ona mogła usłyszeć.

Potrząsnęła głową.

- Kocham cię, Jim - szepnęła.

- Ja też cię kocham.

Gdy pastor rozpoczął ceremonię, myśli Lynde'a odpływały. Rozważał swój pierwszy wyjazd do Związku Radzieckiego, który niewątpliwie nastąpi niebawem, myślał o swojej pozycji w firmie Colby'ego na Manhattanie, o nowej roli, którą sobie wyznaczył. Automatycznie powtarzał słowa przysięgi, wsuwając obrączkę na palec Fran. Ledwie słyszał, że pastor ogłosił ich mężem i żoną.

- Może pan pocałować pannę młodą - powiedział duchowny.

Lynde zwrócił się do Fran, powoli podnosząc jej wo-

alkę znad twarzy. Wziął ją w ramiona i delikatnie pocałował.

Pierwsza część misji została zakończona.

**Zwykle** ten statek nie zawija nigdzie pomiędzy Nowym Jorkiem a Southampton - powiedział Lynde do **żony**, gdy znaleźli się na pokładzie „Queen Mary” - ale my wysiadziemy w Cherbourg. Wynajęłam samochód wycieczkowy z kierowcą mówiącym po angielsku, oczywiście. Pomyślałem, że spodoba ci się, jak do Paryża pojedziemy samochodem. Trasa z Cherbourg jest do prawdy śliczna. Cały czas wzdłuż drogi rosną topole.

Fran spojrzała na męża z rozjaśnioną twarzą.

- Jestem pewna, że będzie mi się podobało - powiedziała. - Będę szczęśliwa wszędzie, jeżeli tylko będziemy razem.

Pierwszą rzeczą, którą dostrzegli, gdy weszli do kabiny, były kwiaty - żółte i białe kwiaty, poustawiane wszędzie. Na stoliku stał duży kosz egzotycznych owoców oraz talerze z kawiozem i melbą. W wiaderku z lodem chłodziła się butelka Dom Perignon.

Lynde zastanawiał się, kto to wszystko przysłał. Fran nie miała wątpliwości.

- Tato pomyślał o wszystkim. - Zaśmiała się.

- Oczywiście - zgodził się. - Musieli to zrobić twoi rodzice. - Ale nie był tego pewien. Mógł to być na przykład prezent od Warnera.

Kolację zjedli w messie, zaproszeni do stołu kapitana. Fran była podekscytowana. Obwieściła, że ma nową sukienkę, idealną na tę specjalną okazję. Czekała, aż się ubierze, bez większego zainteresowania zastanawiała się, jaka to kreacja. Sądził, że widział wszystko, co kupowała, ale Fran twierdziła, że tej nie widział na pewno.

Kobiety są takie śmieszne, jeśli chodzi o stroje... Pamietają, jak kiedyś... Nie, nie chciał o tym myśleć. Przyrzekł sobie, że nigdy więcej nie będzie o tym myślał.

Fran wyszła wreszcie z kabiny, jej twarz promieniała.

- No i co o tym sądzisz? - zapytała. - Czy będziesz się wstydził przedstawić mnie jako swoją żonę?

Miała na sobie długą wieczorową suknię bez ramion, z wielu nałożonych na siebie warstw szyfonu. Spodnia warstwa była błękitna, każda następna o ton jaśniejsza, aż do ostatniej, czysto białej. Na ramiona zarzuciła szal, z takiego samego szyfonu, ozdobiony gdzieś błękitnymi kwiatkami. Włosy podpięła do góry, jak na ślubie, i ozdobiła kilkoma bladoniebieskimi kwiatkami. Na szyi wisiał pojedynczy sznur pereł - tych samych, które dał jej ojciec na osiemnaste urodziny.

- Wstydzić się? - Lynde roześmiał się. - Ach, Frannie, nigdy nie wstydziłbym się przedstawić mojej pięknej żony.

**Kiedy** po kolacji wrócili do kabiny, Lynde wyczuł, że Fran jest spięta. Jak większość panien z jej klasy, nigdy jeszcze nie była w łóżku z mężczyzną. Nie zdziwił się, że poślubił dziewicę. Trzeba to będzie zrobić ostrożnie - pomyślał. Była inną kobietą niż wszystkie te, które poznał we Francji czy Włoszech.

- Może otworzymy tę butelkę Dom Perignon? - zaproponował, gdy zostali sami. - Jest jeszcze wczesnie. Poza tym, zrelaksujesz się trochę.

Spojrzała na niego.

- Czy to widać?

Uśmiechnął się.

- Tak. Ale nie przejmuj się tym. Każdy jest spięty za pierwszym razem.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

- To może nalej? - zaproponowała. - Przebiorę się tymczasem w coś wygodniejszego. - Przerwała i uśmiechnęła się. - Musi to brzmieć obrzydliwie sztucznie...

- I tak brzmi. Ale kogo to obchodzi?



Skinęła głową.

- Zaraz wracam.

Kiedy zniknęła w łazience, wyjął butelkę chłodzącą się w wiaderku z lodem, otworzył ją i napełnił dwa kieliszki, które postawił na stoliku przy łóżku. Rozebrał się, włożył niebieski jedwabny szlafrok, kupiony specjalnie na tę okazję (zwykle nie nosił nawet piżamy i nie posiadał nigdy szlafroka) - i wyciągnął się na łóżku, czekając na oblubienicę.

Drzwi łazienki otworzyły się i przez chwilę pokój załało jasne światło. Fran stanęła na progu w przejrzystym błękitnym negligu. W padającym od tyłu świetle Lynde wyraźnie widział zarys jej ciała pod cieniutkim materiałem. Miała lepszą figurę, niż się tego spodziewał. Była miłośniczką sportu, lubiła pływać, żeglować i robić wszystko, co mogło pomóc w utrzymaniu dobrej kondycji. Milcząc wyciągnął przed siebie ramiona. Zbliżyła się, jej usta drżały lekko, gdy zawstydzona kładła się koło męża.

- Nie jestem zbyt uwodzicielska, prawda? - zapytała cicho, starając się zapanować nad głosem.

Podał jej kieliszek.

- Jesteś piękna, Fran - powiedział miękko. - Piękniejsza, niż można się było spodziewać.

- Naprawdę tak uważasz? - zapytała nie dowierzając.

- Nie mówiłbym tego, gdybym tak nie uważał - odrzekł, przyglądając się jej uważnie, gdy piła wino, niemal łąpczywie.

Była jak małe, przerażone zwierzątko, kiedy podając mu pusty kieliszek, poprosiła o następny. Spełnił prośbę i opróżnił swój. Wypiła zachłannie i po raz drugi wyciągnęła rękę w kierunku butelki.

Tym razem odstawił kieliszek na stół.

- Wystarczy - stwierdził. - Nie chcę, żebyś się wstała pierwszej nocy.

Jego usta dotknęły jej warg, delikatnie, ale stanowczo.

- Tak długo pragnąłem ciebie, Fran - szeptał, gładząc jej ciało przez jedwab negligu, kiedy prawe ramiączko obsunęło się, ukazując piersi. Ujął sutek pomiędzy dwa palce i zaczął delikatnie masować. Fran drżała, gdy usta Jamesa przesuwały się w dół, z szyi w kierunku obnażonych piersi. Gładziła go po włosach, nie bardzo wiedząc, co jeszcze może w takiej chwili zrobić. Drgnęła, gdy jego wargi objęły sutek i zaczęły go ssać. Nagle oderwał się od niej i usiadł. Zrzucił szlafrok i całując ją cały czas, zdejmował z niej bieliznę.

- Och, Fran - szeptał namiętnie.

Ciekawie patrzyła na jego obnażone ciało, a on, pochylony nad nią, przemawiał czułymi słowami, gładził jej nagość i rozpałał dotykem swoich dłoni.

- Kochaj mnie, Jim - szepnęła, gdy przykrył jej ciało swoim.

- Jesteś taka piękna - mrucał w ciemność, podczas gdy jego dłonie, wargi, język zanurzały się w otchłań namiętności. - Moja śliczna Frannie.

- Kocham cię, Jim. Chcę, żebyś był szczęśliwy.

Jęknęła, gdy dotknął jej łona i zaczął delikatnie naciskać, tak, że zwilgotniała z pożądania.

- Dajesz mi szczęście...

W końcu, pewny, że jest gotowa na jego przyjęcie, wsunął się pomiędzy jej uda, ledwo dotykając pulsującego ciepła żony.

- Odpręż się kochanie, bądź swobodna...

Gdy w nią wszedł, Fran zagryzła dolną wargę. Czuła ból, ale była zdecydowana tego nie okazać. Przyłgnęła do męża, wbijając mu paznokcie w ramiona, kiedy wchodził w nią coraz głębiej i szybciej, coraz gwałtowniej. Poczuła, że jego ciało nagle napięło się, a oddech stał się urywany.

- Och, Jim! - krzyknęła rozpalona oszałamiającym uczuciem.

Wspiał się na nią i ukrył twarz między piersiami.

Leżeli długi czas w milczeniu, nie poruszając się. Wreszcie Lynde uniósł się na łokciu i spojrział z dziwnym wyrazem twarzy. Pochylił się i pocałował ją delikatnie.

- Dobrze się czujesz? - zapytał cicho.

Przytaknęła.

- To było takie dziwne uczucie - zaczęła powoli. - Czułam, jak moje ciało drży, jak gdyby cały pokój wirował...

Uśmiechnął się.

- To się nazywa orgazm, kochanie - wyjaśnił, znów ją całując. - Jestem zadziwiony wiedząc, jak bardzo byłaś przed tym zdenerwowana.

- Po prostu cię kocham - powiedziała. - Samo przebywanie z tobą sprawia, że świat wiruje wokół mnie. - Dotknęła jego policzka. - Mam nadzieję, że cię nie rozczarowałam.

Pocałował ją w czubek nosa.

- Ani trochę - odparł.

Jak mógłbym być zawiedziony? Jak by nie było, to ma być idealne małżeństwo - pomyślał.

**Kiedy** w maju wrócili po miodowym miesiącu, Fran wciąż promieniała jak panna młoda na ślubie. Paryż był cudowny - opowiadała rodzicom - ale mąż jeszcze bardziej. Szczęśliwsza już być nie mogła, gdy wyruszyli na Long Island, do ich nowego domu.

Podczas kiedy Fran przyzwyczajała się do błęgiego zacisza w Sound Beach, Lynde zapoznawał się z nowymi obowiązkami w firmie teścia na Manhattanie. Przywykał powoli do rutynowych, dwugodzinnych lunchów z innymi bankierami, do ich opowieści o hipotekach, rachunkach płaconych ortodontom dbającym o uzębienie ich dzieci, o kochankach mieszkających wygodnie na Manhattanie, podczas gdy ich żony siedziały w domach w Connecticut albo na Long Island.

Jakkolwiek pomysł utrzymywania kochanki wydał się Lynde'owi niezły, gdyż zawsze lubił odmiany w życiu seksualnym, wiedział, że w jego przypadku równałoby się to samobójstwu. Colby dowiedziałyby się o tym - i to byłby koniec wszystkiego. Harrison Colby był biznesmenem i mógł zrozumieć częstą nieobecność zięcia w domu z przyczyn zawodowych. Ale nie wykazałyby zrozumienia, gdyby zięć zaniedbywał dom dla kochanki. Nie. Lynde zdawał sobie sprawę, że poślubiwszy Fran Colby, musi być wiernym mężem. Stwierdził, że nie będzie to takie złe. Fran była śliczna, pociągająca, a na dodatek uwielbiała go.

Lynde okazał się świetnym pracownikiem i teść nie szczędził mu pochwał.

- Robisz świetną robotę, Jim - powtarzał nieraz. - Tak trzymaj, a niedługo będziesz pełnoprawnym współnikiem w firmie.

Lynde wiedział, czego teść od niego oczekiwał. Wiele lat temu Colby został spadkobiercą firmy założonej przez teścia, ponieważ ojciec Colleen Colby nie miał synów, którzy kontynuowaliby jego dzieło. Teraz Harrison Colby był w takiej samej sytuacji, miał bowiem tylko dwie córki. Jim ani na chwilę nie dał się zwieść pochwałom. Wspólnik? Niewątpliwie. Ale gdy Colby mówił te słowa, widział w nim już swego następcę. To dobrze - myślał Lynde - to znaczy, że mi ufa.

W biurze Colby często mówił o wnukach, które urodzi mu córka, jakby już było postanowione, że Fran będzie miała co najmniej dwóch synów. W domu znowu Fran opowiadała o dziecku swojej przyjaciółki, z tęsknotą oczekując, kiedy i ona zajdzie w ciążę. Lynde nie chciał mieć dzieci. Wystarczy - myślał - że jestem przywiązany do kobiety, której nie kocham.

Nie sądził, żeby dziecko mogło dodać coś do jego przykrywki. Poza tym, to nie byłoby w porządku wobec dziecka, które musiałyby dorastać bez ojca, ciągle po-

dróżyjącego po świecie na zlecenie rządu. Nie byłoby w porządku, gdyby dziecko musiało rosnać w domu, w którym jedno z rodziców go nie chciało. Jak gorzko żyć takiemu małemu człowiekowi - tego nie wiedział nikt lepiej niż on. Może gdyby jego przeszłość, jego dzieciństwo były inne, myślałby teraz inaczej. Ale było za późno, by rozważać, co mogłoby być. Miał tylko nadzieję, że przez jego częstą nieobecność Fran nie zajdzie w ciążę, a przynajmniej nie nastąpi to zbyt szybko. Nie mógł po prostu jej powiedzieć, że nie chce mieć dzieci. Musiał udawać, że jest wprost przeciwnie. Tego od niego oczekiwano.

Czasami zastanawiał się, czy nie za wiele od niego oczekiwano.

### *Nowy Jork, sierpień 1954*

**Było** upalne popołudnie. Harrison Colby, siedzący przy stoliku w El-Marocco, wstał uśmiechając się szeroko na widok córki, zmierzającej w jego stronę.

- Miło cię znowu widzieć, Frannie - powiedział, gdy usiedli. - Co cię sprowadza na Manhattan?

- Byłam u lekarza - odparła cicho.

- O! - Uniósł brew zaniepokojony. - Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Nie sądzę - odparła. - Byłam u ginekologa na szczegółowych badaniach. Chcę wiedzieć, czy to ze mną jest coś nie w porządku i czy istnieje jakaś przyczyna, że nie mogę zajść w ciążę.

- I co mówi lekarz?

Fran uśmiechnęła się słabo.

- Zrobił jakieś badania. Twierdzi, że będzie wiedział za kilka dni. - Przerwała. - Myślę, że to nic nie da.

Colby spojrział na córkę.

- Dlaczego tak uważasz?

- Och, tato, ileż ja mam okazji, by zajść w ciążę, kie-

dy mojego męża prawie nigdy nie ma w domu? - poskarżyła się. - Jim spędza w Europie więcej czasu niż ze mną.

- Kochanie, mówiliśmy już o tym - przypomniał jej Colby. - Taka jest jego praca. Podróżuje, bo musi. Jest bardzo ważną częścią firmy.

- Jest też bardzo ważną częścią naszego małżeństwa, tato, chociaż dla niego to nie wydaje się być istotne. - Fran przerwała, po czym uniosła głos. - Mam wrażenie, że mieszkam w tym starym, wielkim domu zupełnie sama. Czy ty wiesz, że w ciągu czterech lat naszego małżeństwa nigdy nie był obecny w rocznicę naszego ślubu?

Oboje zamilkli, gdy do stolika podszedł kelner pytając, czy chcieliby coś wypić przed posiłkiem. Colby zamówił martini, Fran - daiquiri. Gdy zostali sami, Colby spojrzął na córkę z dezaprobatą.

- Dziwię ci się, Frances. Nie jesteś już dzieckiem.

- Nie, nie jestem dzieckiem - zgodziła się. - Jestem żoną, która rozpaczliwie tęskni za mężem, która bardzo chciałaby spędzać z nim więcej czasu i mieć z nim dziecko! Czy to tak wiele?

Colby potrząsnął głową.

- Fran, ja też byłem częściej w podróży niż w domu, kiedy wy z Kate dorastałyście. Czy pamiętasz, by twoja matka kiedykolwiek zachowywała się tak jak ty?

- Nie. Ale mama nigdy nie okazywała swoich uczuć - odparła.

- Nie uważam, by twoja matka była ze mną nieszczęśliwa - powiedział Colby. - Nauczyła się dawać sobie radę i wychowała ciebie oraz twoją siostrę bez większych problemów. Powiedz mi, czy kiedykolwiek odczułaś, że cię zaniedbuję?

- Nie - odparła Fran powoli. - Ale pamiętam, jak bardzo pragnęłam, byś był z nami częściej.

- Czy uważasz, że Jim cię zaniedbuje? - zapytał Colby.

Zamilkli na chwilę, gdyż podszedł kelner z drinkami.

- Nie winię Jima za nic - zaczęła, gdy odszedł. - Myślę, że on chciałby być częściej w domu. Sądzę, że mógłbyś to jakoś urządzić, gdybyś naprawdę chciał.

- Już ci mówiłem, Fran, taka jest praca twojego męża i za nią jest odpowiedzialny - cicho tłumaczył Colby, sącząc martini. - Musi traktować pracę poważnie, jeśli ma zapewnić ci życie na poziomie, do jakiego przywykłaś. Jim jest dobry w tym, co robi. Pewnego dnia on obejmie firmę.

- Cudownie - odparła Fran z przekąsem. - Czasami myślę, tato, że lepiej byłoby, gdybym wyszła za robotnika albo ulicznego sprzedawcę.

W przyszłym tygodniu muszę lecieć do Paryża - powiedział Lynde, gdy ubierali się przed wyjściem na kolację do jednego z zaprzyjaźnionych bankowców.

Fran odwróciła się gwałtownie.

- Ależ dopiero wczoraj wróciłeś! - zaprotestowała. Zmarszczył brwi.

- Wiem, lecz nie mogę tego uniknąć.

- To nie jest w porządku - powiedziała ze złością, ciskając szczotkę do włosów na toaletkę. - Ciebie prawie nigdy nie ma w domu.

- Wiesz, że chętnie bym tu z tobą został, gdybym mógł. Boże, Fran, ze wszystkich ludzi ty najlepiej powinnaś wiedzieć.

- Mówisz jak mój ojciec! Wiesz, Jim, czasami mam wrażenie, że ty lubisz te swoje podróże, że celowo chcesz być z dala ode mnie!

- Wiesz, że to nieprawda - powiedział cicho.

- Moja rozsądna połowa mówi mi, że tak jest, ale zrozpaczona żona we mnie czuje, że ostatnio mam męża tylko na papierze! - krzyknęła.

Zamilkł na chwilę.

- Może lepiej odwołajmy tę kolację - odezwał się

w końcu. - Lepiej będzie, jak pozostaniemy w domu i spróbujemy wyjaśnić sobie pewne problemy.

Skinęła głową.

- Nie sądzę, żebym mogła dziś spokojnie prowadzić rozmowę z Shermanami - przyznała.

- Dobrze. Zadzwońię do nich i jakoś nas usprawiedliwię.

Podszedł do telefonu i wykręcił numer. Ledwo słu-chała, jak wyjaśnił, że ona poczuła się źle i muszą zostać w domu.

Boże, on naprawdę chwilami przypomina ojca - pomyślała.

Skończył rozmowę i odwrócił się do niej.

- Jak sądzisz, czy Sadie mogłaby nam zrobić coś pro-стого na kolację? - zapytał. - Umieram z głodu.

- Ja to zrobię. - Fran przypomniała sobie, że dała służącej wychodne. - Sadie już wyszła. Obawiam się, że wróci bardzo późno.

Lynde uśmiechnął się.

- Kochanie, obydwójce wiemy, że nie potrafisz ugoto-wać nawet wody - powiedział łagodnie. -I nikt tego od ciebie nie wymaga. To znaczy, mam na myśli gotowania.

Skinęła głową.

- To może posłalibyśmy po coś.

- A ile jest wokół lokali, które zajmują się dostawą do domów? - zapytał.

Ponownie pokręciła głową.

- Sama nie wiem, o czym myślałam - powiedziała lekko zażenowana.

Popatrzył na nią przez chwilę.

- Coś cię trapi? Nie jesteś sobą, odkąd wróciłem do domu. Na lotnisku byłaś taka cicha.

- Och, zebrało się zbyt dużo problemów naraz. - Wes-tchnęła. - Twoje wyjazdy, nieczułość ojca na moje pro-sby. Poszłam do doktora Ellermana, kiedy cię nie było.

Spojrzał na nią z niepokojem.



- Tego ginekologa? - zapytał. - Po co? Chyba ci nic...

- Och, nie - przerwała mu. - Chciałam się dowiedzieć, czy istnieje jakaś przyczyna powodująca, że do tej pory nie zaszłam jeszcze w ciążę.

- I cóż?

- Mówi, że jestem całkiem zdrowa. Nie ma powodów, dla których nie mogłabym mieć tuzina dzieci, gdybym chciała, jeśli tylko mój mąż spędzi ze mną trochę czasu i... postara się. - Podeszła do Jamesa i objęła go. - Chcę mieć dziecko, Jim - powiedziała cicho, patrząc w jego ciemnozielone oczy. - Wszyscy moi znajomi mają dzieci albo ich oczekują. Chcę mieć dziecko. Z tobą. Twoje dziecko. Gdybym je miała, nie byłabym taka samotna.

Przyglądał się jej przez moment. Może miała rację. Może tego właśnie potrzebowała.

- No cóż - powiedział i na jego ustach z wolna pojawił się uśmiech. - Nie osiągniesz tego, włócząc się po lekarzach - zaczął powoli rozpinąć jej bluzkę.

- Jim! Co ty robisz? - Była zaszokowana.

Uśmiechnął się.

- A jak myślisz?

- Ależ jest dopiero szósta!

- Gdzie jest napisane, że należy się trzymać określonych godzin? - zapytał, siadając na skraju łóżka. Objął ją, by odpiąć biustonosz. - Jeżeli chcesz mieć dziecko, musimy się do tego chociaż trochę przyłożyć - zażartował, dotykając jej piersi.

Drgnęła mimowolnie, gdy wziął sutek do ust i zaczął gwałtownie ssać. Jego dłonie zsunęły się niżej i rozpięły spódnicę, która spadła na dywan, a zaraz za nią podażyła halka, potem figi, pas do pończoch i same pończochy. Uniósł Fran z podłogi, położył na łóżku obok siebie i trzymając blisko, gładził jej piersi, biodra, rozbudzając w niej pożądanie.

Kiedy nagle się od niej oderwał, otworzyła oczy i spojrzała w górę. Zdierał z siebie gwałtownie ubranie.

Wrócił do Fran, nakrył jej nagie ciało swoim, rozpalając ją dłońmi i ustami. Od kiedy zdał sobie sprawę, że zbyt ryzykowne byłoby wplątanie się w jakiś romans, ograniczył swoje kontakty seksualne do współżycia z żoną, co w zasadzie zaspokajało jego potrzeby. Fran jako kochanka nie wyróżniała się wprawdzie zbytnią aktywnością, ale była osiągalna, kiedy tylko jej zapragnął. Poza tym, mimo wszystko, była pociągająca.

Spojrzał na nią, jakby chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się. Oderwał usta od jej twarzy, zsunął się w dół, aż jego głowa znalazła się dokładnie nad trójkątem złotych miękkich włosów. Delikatnie rozchylił jej uda i ukrył tam twarz. Fran zaczęła się wić na łóżku. Obejmując jej pośladki, językiem doprowadzał ją do orgazmu. Nagle uniósł się i wszedł w nią z gwałtownością, która ją zdumiała. Jęczała i wiła się pod nim, gdy wchodził w nią szybkimi, ostrymi ruchami. Kiedy osiągnął orgazm, wtulił twarz w jej szyję.

- Och, Frannie - szepnął - Frannie...

Gładziła go po włosach i wpatrywała się w sufit. Był dla niej dobry. Był delikatnym i podniecającym kochankiem. Mówił zawsze to co trzeba i robił to co trzeba. Wiele z jej przyjaciółek sądziło, że mając takiego męża, wygrała los na loterii. A jednak...

Rozpłakała się.

**Fran** rozstawiła sztalugi na trawiastym wzgórzu z widokiem na Sound. Wiele czasu minęło, odkąd ostatnio miała pędzel w ręku. Teraz szukała ulgi w malowaniu, choć swoje obrazy uważała zawsze za niegodne oglądania przez kogokolwiek innego niż ona sama. Z uwagą studiowała spokojne, połyskliwe wody Sound, kontemplując widok, który chciała uwiecznić na płótnie. Spokojny... łagodny... cichy.

Zupełnie odmienny od dzikiej burzy uczuć, która szalała w jej duszy.

Z pędzlem w dłoni patrzyła w zamyśleniu na puste płótno. W końcu zaczęła malować, wkładając w pracę całą swoją ekspresję i skupiając wszystkie swoje myśli. Miała nadzieję, że przelewając na płótno gniew i miotając ją rozpacz, jak to robili inni malarze, pozbędzie się desperacji. Mówiła sobie, że jest nierozsądna i niepoważna, że nie wolno jej dać się ponieść szałowi rozpacz - ale mimo to nie mogła sobie z tym poradzić.

Fran nie mogła sobie przypomnieć, kiedy zaczęła się czuć tak beznadziejnie nieszczęśliwa; wiedziała tylko, że obudziła się któregoś dnia z przeświadczeniem, że Jim nie jest ofiarą swojej pracy, a wręcz przeciwnie, wykorzystuje pracę, by spędzać jak najwięcej czasu z dala od niej. Zaczęła podejrzewać, że tak naprawdę to jej nigdy nie kochał, że przestała budzić jego zainteresowanie już wkrótce po ślubie. Nie umiając wyperswadować sobie tych podejrzeń, zwróciła się o pomoc do Kate, ale siostra określiła jej uczucia jako niepoważne i zasugerowała wizytę u psychiatry. Z początku Fran była oburzona tą propozycją. Niepotrzebna jej była rozmowa z psychiatrą - nie była wariatką! Była po prostu nieszczęśliwa... nieszczęśliwa, ponieważ jej męża prawie nigdy nie było w domu, ponieważ wciąż nie miała dziecka... I nikt nie chciał jej zrozumieć. Każdy w jej sytuacji - twierdziła niezachwianie - czułby się tak samo.

Próbowała wybadać ojca, by powiedział jej szczerze, co Jim naprawdę sądzi o niej i ich małżeństwie. Colby zapewniał ją niezmiennie, że Lynde wykonuje jedynie swoje obowiązki zawodowe i że gdyby mógł, na pewno spędzałby z nią więcej czasu. Ojciec był zachwycony Jimem. Widział w nim syna, którego zawsze chciał mieć, syna, który pewnego dnia obejmie po nim firmę. Według niego nie miała podstaw do obaw. Najlepiej by było, gdyby zaszła w ciążę, może myślałaby inaczej.

Jak miała mu wytłumaczyć, że pragnęła tego bardziej

niż czegokolwiek, ale do spłodzenia dziecka potrzeba dwojga ludzi, a ponieważ Jim dziewięćdziesiąt procent życia spędzał poza domem, szanse zajścia w ciążę praktycznie nie istniały.

Analizując ich pożycie małżeńskie, stwierdziła, że Jim był poza domem nie tylko w rocznice ich ślubu czy w jej urodziny, ale że w ciągu tych czterech lat spędzili razem tylko jedno Boże Narodzenie. W dniu jej urodzin przysyłał zawsze piękne prezenty - raz z Paryża, dwa razy z Rzymu, ostatnio z Londynu. Nigdy jednak nie spędzili romantycznego wieczoru przy świecach, by uczcić wspólne rocznice, nigdy nie przeżyli intymnej uroczystości w sypialni, by zaznaczyć kolejny rok małżeństwa. Zawsze wtedy był w podróży. Pozostawały tylko telefony z hotelu lub lotniska.

Ile ma pani lat, pani Lynde? - zapytał lekarz, osłuchując stetoskopem płuca i serce Fran.

- Dwadzieścia osiem - odpowiedziała. - Czy to coś poważnego?

Za tydzień przypadała szósta rocznica ich ślubu i po raz pierwszy Jim miał być w domu. Choroba? To była ostatnia rzecz, jakiej mogła się spodziewać. Tyle czasu snuła plany intymnej, romantycznej uroczystości... że nie mogła znieść myśli, iż coś stanęłoby na przeszkodzie i plany mogły się nie udać. Musiała mu wynagrodzić wszystkie podejrzenia i na niczym nie oparte domysły.

- Ma pani nieco podwyższone ciśnienie - powiedział lekarz, odwijając jej rękaw - ale to nic poważnego. Co panią trapi?

Fran zamyśliła się na chwilę. Chciała powiedzieć, że tak naprawdę to sama nie wie, ale zdała sobie sprawę, że mógłby to uznać za objawy choroby psychicznej.

- Jestem wciąż taka zmęczona. Ledwo wstaję z łóżka co rano - powiedziała zniechęcona.

- Czy czuje się pani gorzej rano niż wieczorem? - zapytał lekarz, robiąc notatki w jej karcie.

- Najczęściej.

Sprawdził, że węzły chłonne na szyi nie są powiększone, po czym przystąpił do badania oczu.

- Kiedy miała pani ostatnią menstruację? - spytał, zdejmując oftalmoskop.

Zastanawiała się przez chwilę.

- Szóstego marca, jak pamiętam.

- Czy pani cykl jest regularny?

Wzruszyła ramionami.

- Mój mąż mówi, że jestem tak regularna, iż mogłabym się przydać w Greenwich - powiedziała, przypominając sobie niezadowolenie Jima, gdy wróciwszy któregoś razu z podróży, dowiedział się, że z powodu jej niedyspozycji muszą odłożyć seks do końca tygodnia.

- Rozumiem. Czy w pani rodzinie były jakieś choroby?

- Nie bardzo wiem. A o jakich chorobach pan myśli?

- Na przykład serca?

- Tak. Mój ojciec miał zawał kilka lat temu. Jakiś czas był w szpitalu. Od tej pory bierze leki i nie sądzę, by "miał następne ataki.

- A w rodzinie pani męża?

Fran zawahała się, lekko speszona.

- Nie wiem nic o rodzinie mojego męża - przyznała się w końcu. - Nigdy o nikim nie mówił. Właściwie poznałam jednego jego krewnego, wuja Harry'ego. Był na naszym weselu, ale od tamtej pory go nie widziałam.

- Rozumiem. - Znowu coś zanotował. - Czy przechodziła pani odrę, pani Lynde?

- Tak.

- W jakim wieku?

- Dziewięciu lat, chyba się nie mylę.

- A świnkę?
- Nie.
- Koklusz?
- Nie.
- Jakież operacje?
- Nie. Tak. Wyrostek robaczkowy. Miałam wtedy jakieś dwanaście lat. Dwanaście albo trzynaście.
- Nie było komplikacji?
- Nie, chyba nie.
- Coś jeszcze? - zapytał.
- Nie, nie pamiętam nic więcej.
- Rozumiem. - Znowu notował. - Sądzę, że powinienem zrobić pewne badania.
- Badania? - zdenerwowała się Fran.
- Proszę się uspokoić, to nic poważnego, pani Lynde, zapewniam panią. Po prostu rutynowe badania krwi i moczu, każdy je przechodzi co jakiś czas. Chcę po prostu coś sprawdzić.

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Czy coś mi jest, panie doktorze? - zapytała zaniepokojona. - To znaczy, czy pan przypuszcza, że coś mi jest? Musi pan mieć jakieś podejrzenia, skoro...

Lekarz uśmiechnął się z wyrozumiałością.

- Wolałbym nie zdradzać domysłów, dopóki nie wiem nic konkretnego - powiedział. - Ale jeśli to panią uspokoi, jestem pewien, że to nic poważnego.

- Kiedy pan będzie wiedział?

Wypisał jej receptę.

- Proszę zadzwonić w czwartek po południu. Powinienem już mieć wyniki. Do tego czasu proszę to wykupić i brać po jednej tabletki, gdy się pani źle poczuje. Powinno pomóc.

Skinęła głową.

- Czwartek?
- Czwartek. Gdybym miał je wcześniej, zadzwonię do pani. Obiecuję.

**Fran** jechała wzdłuż Sound, kierując się w stronę domu. Wizyta u doktora Ellermana nie uspokoiła jej. Dlaczego nie mógł jej przynajmniej powiedzieć, co podejrzewa? To było takie irytujące. Jakby miała mało problemów na głowie.

Zatrzymała się przed apteką, by kupić lekarstwo: benedectin. Nazwa wydała jej się znajoma; zastanawiała się, gdzie ją mogła słyszeć. Na wszelki wypadek wzięła też lek w kroplach, gdyby tabletki były mało skuteczne. Przypomniawszy sobie, że w domu nie ma aspiryny, wybrała jedno opakowanie i zaniósła wszystko do kasy. Gdy płaciła za leki, zauważyła po drugiej stronie ulicy niewielką cukiernię i, wiedziona impulsem, postanowiła tam wstąpić. Wrzuciła zakupy do samochodu i przeszła przez ruchliwą jezdnię na drugą stronę.

Zamówiła olbrzymie bananowe lody ozdobione orzechami, czereśniami i górą bitej śmietany. Siedząc samotnie przy małym stoliku koło okna, stwierdziła, że nie spełniała swoich zachcianek od wielu lat, odkąd przestała być dzieckiem. Przypomniała sobie te cudowne lata na Manhattanie, gdy wraz z Kate, rozpieszczane przez bogatych rodziców, miały wszystko, czego tylko zapragnęły.

Wspominała, jak ojciec zabierał je do Macy'ego i kupował, co chciały, potem szli wspólnie do Schraffta i pozwalał im zamawiać desery według własnej woli. Obydwie wybierały zawsze lody bananowe, konsumując ich tyle, że miały wrażenie, że im brzuchy popękają. „Nie przesadzajcie, dziewczynki - upominał ojciec. - Jeżeli będziecie za dużo jadły, utyjecie jak beczki i trudno mi będzie znaleźć przystojnego księcia dla każdej z was.”

Nie mówił, oczywiście, poważnie, ale Fran miała wrażenie, że wszystkie jej dziewczęce marzenia spełniły się, gdy spotkała Jima. Był w każdym calu taki, jak sobie wymarzyła: przystojny, czarujący, dowcipny i romanty-

czny. Zawrócił jej w głowie już pierwszej nocy w klubie Lake Forest Country. Tej nocy zakochała się w nim tak, że nie potrafiła sobie wyobrazić, by życie u jego boku mogło nie być absolutnym szczęściem. Na początku było szczęśliwe - pomyślała ze smutkiem.

Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, dlaczego odnosiła wrażenie, że mąż w rzeczywistości jej nie kocha... Dopiero dzisiaj rano w gabinecie doktora Ellermana... Wyznając lekarzowi, że nie wie niemal nic o rodzinie Jima, uświadomiła sobie, że nie pamięta, by kiedykolwiek jej się zwierzał. Nigdy nie mówił o swojej rodzinie, dzieciństwie, nie pozwolił jej nigdy zajrzeć w swoją duszę. Fran poczuła, że łzy napływają jej do oczu. To była prawda. Był idealnym mężem tylko z wierzchu. Mówił wiele słów i czynił wiele gestów. Przysyłał prezenty i wyrażał zainteresowanie wszystkim, co robiła - na powierzchni. Wszystko co dla niej robił, było powierzchowne.

Jim dawał jej wszystko, czego mogła zapragnąć, oprócz jednego, najważniejszego: nie dał nic z siebie.

**Lynde** zadzwonił do Fran w środę wieczorem. Był w Zurichu.

- Za kilka dni będę w domu - powiedział. - Sprawy trochę się skomplikowały.

Zawsze się komplikują - pomyślała.

- W porządku, kochanie - odparła. - Rozumiem.

- U ciebie wszystko w porządku? - zapytał.

Połączenie było fatalne, ledwo rozumiała jego słowa.

- W zasadzie tak. Byłam wczoraj u doktora Ellermana - przyznała się. - Zrobił jakieś badania, czysto kontrolne, i powiedział, że jutro będzie znalazł odpowiedź, w czym problem. To prawdopodobnie tylko jakiś wirus.

- Uważaj na siebie, dobrze? Jeżeli nie będziesz mogła wyjechać do Idlewild, to nie przyjeżdżaj po mnie. Dam sobie radę - zapewniał.



- Och, jestem przekonana, że wydobrzeję do tej pory - odparła. - Nie martw się o mnie.

- Nie mogę się o ciebie nie martwić, Frannie. Obiecuj, że pójdziesz do łóżka, jak tylko odłożysz słuchawkę, dobrze? Z tego, co słyszę, nie jesteś dziś sobą.

- Jestem po prostu zmęczona - stwierdziła. - Myślę, że się położę.

- To dobrze. Do zobaczenia w poniedziałek. Uważaj na siebie.

- Postaram się.

- Kocham cię.

- I ja cię kocham, Jim.

Powoli odłożyła słuchawkę i weszła po schodach do sypialni.

Gdy usiadła przed toaletką i zaczęła szczotkować włosy, jego słowa odbijały się echem w jej głowie. „Kocham cię... Kocham cię... Kocham cię.” Ile razy to powtarzał? Ile razy mówił te słowa, trzymając ją w ramionach i patrząc czule w oczy? Ile razy uśmiechał się do niej mówiąc, że jest dla niego wszystkim?

Spojrzała na stojącą w ramkach fotografię. Jim w dniu ich ślubu... Uśmiechnięty, szczęśliwy.

Czego ode mnie naprawdę oczekujesz, Jim? - zastanawiała się. - Co naprawdę czujesz, gdy na mnie patrzysz?

**Czwartek** mijał tak powoli, że Fran odnosiła wrażenie, iż nigdy się nie skończy. Wreszcie, około drugiej, była już tak zdenerwowana, że nie wytrzymała. Zadzwoniła do doktora Ellermana. Kazano jej poczekać chwilę, która zdawała się wiecznością. Te młode pielęgniarki są czasami tak niesympatyczne - pomyślała. W końcu lekarz podniósł słuchawkę.

- Dzień dobry, pani Lynde - powiedział uprzejmie. - Jak się pani czuje?

- Okropnie - wyznała. - Czy ma pan już wyniki moich badań?

*NORMA BEISHIR*

- Tak, właśnie mam je przed sobą - odparł. - Jak panią zapewniałem, to nic poważnego...

- Powiedział pan, iż pan sądzi, że to nic poważnego - poprawiła go.

- I miałem rację. To, co panią trapi, jest często spotykane u młodych, zdrowych kobiet. Pani Lynde, oczekuje pani dziecka.

# 5

*Nowy Jork, maj 1956*

Obserwując córkę, jak przeciska się do jego stolika przez zatłoczoną restaurację, Harrison Colby przypomniał sobie ostatni lunch, który na jej prośbę zjedli kiedyś razem. Miał nadzieję, że nie będzie chciała znowu naciskać, by Jim był rzadziej w Europie, a więcej czasu spędzał tu, w Stanach. Dlaczego nie próbowała tego zrozumieć? - myślał zniechęcony. Praktycznie została wychowana na żonę biznesmena. Jej matka miała na nią dobry wpływ - tak przynajmniej sądził. Ostatnio jednak Fran stała się wręcz uporczywa w naleganiu, by zwolnił Jima z części obowiązków. Colby'ego zaczęła niepokoić nierozsądne zachowanie córki, jej dziwne nastroje.

Wstał, gdy dotarła do stolika. Wyglądała piękniej niż kiedykolwiek w ostatnich czasach, niemal promieniała. Miała na sobie biały kostium i letni kapelusz z szerokim rondem, na szyję założyła perły, które dał jej wiele lat temu. Włosy upięła z tyłu w klasyczny kok. Delikatny makijaż podkreślał jej urodę. Ucisnęła ojca lekko, z nim usiadła.

- Cieszę się, że mogłeś przyjść, tato - powiedziała. - Wiem, że jesteś taki zajęty.

Uśmiechnął się i usiadł.

- Nigdy aż tak, by nie móc zjeść z tobą lunchu, kochanie - odparł. - Wiesz przecież.

- Dostałam list od Kate w zeszłym tygodniu - zaczęła rozmowę.

- O! - Uniósł brew. - Wciąż jest w Europie?

Przytaknęła.

- Niedługo wraca.

- Martwię się o nią - przyznał się Colby.

- Dlaczego? Kate jest już dorosła - przypomniała mu.

- Doskonale daje sobie radę.

- Miałem nadzieję, że do tej pory wyjdzie za mąż i się ustatkuje. Lecz ona wydaje się z rozmysłem tego unikać.

- Myślę, tato, że robisz z igły widły.

- Możliwe, ale nie jestem pewien. - Jego głos był pełen obaw.

- Miałeś jakieś wieści od Jima? - zapytała.

- Tak. Mówił, że dzwonił do ciebie, ale nikt nie odbierał. Robiłaś zakupy?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Byłam u lekarza.

- Źle się czujesz?

- Nie, to nie to. Nie mogłabym czuć się lepiej. Po prostu badania kontrolne.

Podszedł kelner, by odebrać zamówienie. Colby poprosił o drugą lampkę martini - jedną wypił, czekając na Fran. Ona nic nie zamówiła.

- Nie chcesz daiquiri? - zapytał zdziwiony.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł. - Zawiesiła głos. - Chciałam się z tobą spotkać, tato, bo... oczekuję dziecka.

Colby wpatrywał się w córkę z niedowierzaniem.

- Naprawdę jesteś w ciąży? - zapytał. - Kochanie, to najlepsze, co mogłem od ciebie usłyszeć. Czy Jim już wie?

Zaprzeczyła.

- Dlatego chciałam wiedzieć, czy masz od niego jakieś wiadomości. Myślałam, że orientujesz się, kiedy wróci do domu. - Zawahała się. - Wiem, że nie ma go

dopiero od czterech tygodni, ale dla mnie to całe wieki. Po pierwsze, znów go nie było na naszej rocznicy... a takie snułam plany! Musiał wprost z Londynu polecieć do Paryża. Wiem, że powinnam to zrozumieć, tato, ale nie mogę. Jim ma zostać ojcem i nawet o tym nie wie. Czasami się zastanawiam, czy on zdąży zobaczyć swoje dziecko, zanim ono skończy uniwersytet!

- Frannie, mówiliśmy już o tym tyle razy...

- I zawsze mówisz to samo - upierała się Fran. - Tato, nie chcę przyjąć tego dziecka sama. Chcę, by Jim w czasie porodu był tu ze mną. Chcę wiedzieć, że jest tuż obok w poczekalni, że będzie tam, gdy pielęgniarka przyjdzie mu powiedzieć, że ma córkę lub syna. Ty też miałeś mnóstwo obowiązków, a jednak byłeś z mamą, gdy Kate i ja przychodziłyśmy na świat!

- Tak, kochanie - zgodził się - ale to nie jest polityka. Wiesz o tym.

- Nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć, tato - odparła. - Powiedz mi prawdę: czy Jim rzeczywiście chce być ze mną w domu, czy też sam prosi o te wszystkie podróże?

- Frances! Myślę, że znasz odpowiedź na to pytanie i nie musisz ci na nie odpowiadać - wykrzyknął zdumiony.

- Tato, ja się boję - wyznała. - Boję się tego dziecka. Nie chcę mieć go sama. Boję się, że Jim nie kocha mnie tak jak dawniej, że zawiodłam go jako żona. Próbuje sobie wytłumaczyć, że to tylko nastroje spowodowane ciążą, ale, szczerze mówiąc, miałam takie wrażenie już dużo wcześniej.

Sięgnął przez stół i poklepał ją po dłoni.

- Jim będzie w domu za kilka dni. Poczekaj, a sama zobaczysz. Wieść o dziecku tak go uraduje, że nie będziesz wątpić w jego uczucia ani minuty dłużej. Wiesz, kobiety nie są jedynymi, które przejmują się narodzinami dziecka.

- Mam nadzieję, że masz rację - powiedziała, z trudem się uśmiechając.

- Wiesz, że tak. Tylko poczekaj, a sama zobaczysz.

**Lynde** nie był aż tak uradowany wieścią o ciąży Fran, jak to przepowiadał Colby. Usiłował wyglądać na ucieszonego, gdy żona obwieściła mu nowinę, ale podświadomie wyczuła, że coś jest nie tak.

- Nie chcesz tego dziecka, Jim? - zapytała, gdy leżeli bezsennie w ciemności.

- Oczywiście, że chcę - odparł. - Dlaczego zadajesz takie pytania?

- Nie wiem. Po prostu nie wyglądasz na uszczęśliwionego. To wszystko - szepnęła.

- Po prostu nie potrafię okazywać uczuć - odparł. - Nigdy dotąd nie byłem ojcem. To ogromna odpowiedzialność. Ale cieszę się ogromnie, naprawdę.

- Wiem o tym. Myślałam tylko, że będziesz okazywał większą radość, gdy się dowiesz.

Pochylił się w ciemności i pocałował ją.

- Jestem szczęśliwy - powtórzył. - Powiedz mi... Czy lekarz mówił, że można... - Urwał i wsunąwszy dłoń pod jej koszulę, gładził delikatnie jej piersi.

- Powiedział, że tak, do ośmiu tygodni przed narodzeniem dziecka, później mogą być komplikacje.

Fran nie miała nastroju na seks - była zmęczona i przygnębiona jego reakcją na wiadomość, że zostanie ojcem, ale rozpaczliwie pragnęła być blisko niego w jakikolwiek sposób. Leżała w ciemnościach, walcząc z nieprzyjemnym uczuciem, które ogarniało ją, gdy pieścił jej piersi. Czując dłonie męża pomiędzy udami, próbowała wzbudzić w sobie podniecenie. Podsunął jej koszulę do góry i wszedł w nią, aż jęknęła. Usiłowała dać mu do zrozumienia, że nie jest jeszcze gotowa, ale nie reagował, brał ją z gwałtownością, której nie oczekiwała. Była zadowolona, że w ciemno-

ści nie mógł widzieć jej twarzy i łez płynących po policzkach.

**Dziecko** miało przyjść na świat w grudniu. Miesiące ciągnęły się w nieskończoność. Fran miała wrażenie, że Jim spędzał poza domem więcej czasu niż przedtem, mimo jej próśb i stanu uzasadniającego potrzebę jego obecności. Chociaż z każdej podróży przywoził prezenty dla dziecka, była przekonana, że nie chciał go, że tylko udawał uczucia, których w gruncie rzeczy nie doznawał.

Pokój dla dziecka przygotowała w kolorach różowym i niebieskim, żeby pasowały zarówno dla chłopca, jak i dziewczynki. Kilka razy wybrała się na Manhattan, by kupić rzeczy potrzebne przy porodzie, i za którymś razem nabyła srebrną łyżeczkę. Ja urodziłam się z przysłowiową srebrną łyżeczką, a teraz otrzyma taką samą moje dziecko - pomyślała, regulując za nią rachunek. Zdecydowała, że po urodzeniu maleństwa da ją do wygrawerowania, z imieniem dziecka i datą narodzin.

Jim nie był zainteresowany wyborem imienia dla swego pierworodnego. Fran wybrała je więc sama. Syn miał otrzymać imię James, po ojcu, a córka - Amanda. Imię to zawsze jej się podobało. Poza tym dużo by dała, żeby wiedzieć, jakie imiona lubi jej mąż.

W pewien poniedziałek w lipcu Lynde wyjechał do Rzymu, obiecując, że wróci w piątek. W czwartek zatelefonował do domu.

- Posłuchaj, kochanie. Jest mi strasznie przykro, ale coś mi wypadło. Nie będę mógł się stąd wyrwać przez co najmniej tydzień.

- Rozumiem, kochanie - powiedziała, powstrzymując łzy. - Kiedy wrócisz, urządzimy sobie specjalne przyjęcie, dobrze?

- Będzie cudownie.

Dzwonił do niej z lotniska Leonardo da Vinci w Rzy-

mie. Pół godziny później wszedł na pokład samolotu do Moskwy.

Zadzwonił tydzień później.

- Obiecuję, że będę w domu jutro, tym razem nie zawiodę - powiedział. - Wstaw do lodówki butelkę Dom Perignon, będziemy świętować.

Tym razem dzwonił z lotniska Dullas w Waszyngtonie, gdzie zatrzymał się, by przekazać zebrane informacje.

Sytuacja nie uległa zmianie przez cały okres ciąży Fran. Kiedy go oczekiwała, nie przyjeżdżał. Potem zjawiał się na krótko i znowu niespodziewanie wybywał. Mam wrażenie, że on mnie unika - myślała mocno przygnębiona, obserwując pewnego razu z okien samochodu odlot jego samolotu do Londynu.

Coraz częściej miewała stany depresji. Lekarz, któremu się poskarżyła, orzekł, że nie może jej przepisać nic, co mogłoby zmniejszyć lub wyeliminować te nastroje. Wyjaśnił, że w związku ze zmianami hormonalnymi kobiety brzemiennie często bywają rozstrojone, aż do ciężkich stanów depresyjnych. Nie ma innej rady, jak uzbroić się w cierpliwość.

Wtedy, kiedy powinna być najszczęśliwsza w życiu, odnosiła wrażenie, że cały świat wokół niej wali się w gruzy. Czuła się samotna i nie kochana, porzucona przez męża - przynajmniej uczuciowo, a i do pewnego stopnia fizycznie. A tak go teraz potrzebowała, bardziej niż kiedykolwiek. Była przerażona, że nie wróci na czas wyznaczony jako moment narodzin dziecka, że zatrzyma się gdzieś w obcym kraju, a ona zacznie rodzić w samotności, opuszczona przez wszystkich. Bała się być sama w chwili największej próby. Błagała Boga całą duszą, by mąż był wtedy przy niej, by dodawał jej otuchy.

Fran wybuchała teraz często żalonym płaczem bez powodu, szlochając nad nieważnymi drobiazgami tak



nieopanowanie, że przerażona służąca, Sadie, dzwoniła po pomoc do Kate lub Colleen Colby. Matka nie wahała się długo, by za ten stan obwinić Jima Lynde'a, choć jej mąż twierdził niezachwianie, że zięć wykonuje jedynie swoje obowiązki zawodowe. Kate niepokoiła się o siostrę, ponownie sugerując, by była rozsądna i poszła do psychiatry. Jakież byłoby zdumienie ich wszystkich, gdyby dowiedzieli się, co naprawdę robi James Lynde w Europie.

**Fran** poczuła pierwsze bóle tuż po północy w czwartek szóstego grudnia. W pierwszej chwili była przerażona. Zadzwoiła do jedynej osoby, która w jej mniemaniu mogła pomóc, to jest do siostry.

- Kate, bóle się zaczęły - krzyczała do słuchawki, niemal tracąc oddech. - Jim jest w Rzymie, nie wiem, co mam robić.

- Spokojnie - odparła Kate. - Już jadę. Zadzwoń do doktora Ellermana i powiedz mu, że przywiozę cię wkrótce do szpitala. Niech na nas czeka, dobrze?

Fran przytaknęła słabo.

- Dobrze, zadzwonię.

Kate pojawiła się niemal natychmiast.

- Cieszę się, że po drodze z Shoreham nie spotkałam policji - powiedziała, znosząc walizkę Fran po schodach. - Jechałam szybciej niż przewidują ograniczenia prędkości, i to o wiele szybciej.

- Powiedziałaś mamie i tacie? - zapytała Fran zbolalym głosem.

- Tak, oczywiście. Kiedy wychodziłam, tato usiłował uzyskać połączenie z Rzymem, by zawiadomić Jima.

- On ma wrócić dopiero pod koniec przyszłego tygodnia - poinformowała Fran ponuro.

- Och, myślę, że będzie o wiele wcześniej, jak tylko usłyszysz o dziecku - odparła Kate, pomagając siostrze wsiąść do samochodu.

- Wątpię - zaprzeczyła Fran. - Sądzę, że on nie chce tego dziecka, Kate.

- Nonsens. - Kate zatrzasnęła drzwi i śpiesznie okrążyła samochód, by sięść za kierownicą. - Nawet jeśli teraz nie okazuje zbyt dużego zainteresowania, zmieni się w chwili, gdy weźmie dziecko w ramiona. Zobaczysz.

- Jim nie jest taki jak inni - twierdziła uparcie Fran. - On nie okazuje uczuć tak łatwo.

- A jednak robił to, gdy chodziło o ciebie - odparła Kate, włączając silnik.

- Ja też tak myślałam. Ale wiesz, ostatnio zdałam sobie sprawę, że on nigdy nie powiedział mi nic o swojej rodzinie. Nie wiem, czy coś do nich czuje, czy ktoś z nich jeszcze żyje... nic nie wiem.

- Może nie ma o czym mówić - zasugerowała Kate.

Fran spojrzała na nią zdziwiona.

- No cóż, mówiłaś, że nie kontaktuje się z nimi. Z wyjątkiem tego wuja, który był na waszym ślubie. Może on po prostu chce o nich zapomnieć.

- Możliwe - powiedziała Fran przygnębiona. - Niemniej chciałabym wiedzieć, co naprawdę myśli i czuje.

Poród trwał prawie czternaście godzin. Za piętnaście druga, z wielkim krzykiem, na świat przyszła dziewczynka, natychmiast próbując wepchnąć małą piąstkę do buzi.

- Ona jest głodna - powiedziała Kate do siostry przełożonej, trzymającej noworodka.

- O nie, to niemożliwe - stwierdziła siostra. - Noworodki nie odczuwają głodu przez co najmniej sześć godzin od przyjścia na świat.

Kate uśmiechnęła się złośliwie.

- Proszę jej to powiedzieć. Moja siostrzenica jest głodna.

Fran pozwolono wziąć dziecko w ramiona dopiero

**późnym** popołudniem. Chociaż chciała nadać dziewczynce imię Amanda, zmieniła zdanie, gdy tylko ujrzała córeczkę.

- Ona wygląda dokładnie tak jak Jim - powiedziała, patrząc na maleńką twarzyczkę.

- Zdecydowanie - zgodziła się Kate.

Frannie wpatrywała się w dziecko długą chwilę.

- Otrzyma imię po ojcu - powiedziała w końcu.

Kate patrzyła na siostrę w osłupieniu.

- Jim? - wykrztusiła.

- Nie - odparła Fran uśmiechając się. - Jaime. Jaime Victoria Lynde.

**Harrison** Colby wyjechał po zięcia na lotnisko i wiozł go teraz do szpitala.

- Cieszę się, że dostałeś miejsce na ten wcześniejszy lot - powiedział. - Wiesz, jak nerwowa była ostatnio twoja żona. Jest przekonana, że nie wrócisz przed końcem przyszłego tygodnia, że nie obchodzi cię własne dziecko.

- Nonsens - prychnął Lynde. - Próbowałem z nią rozmawiać, tłumaczyłem, że to, co robię, nie jest naprawdę tym, co chciałbym robić, zwłaszcza w ostatnim czasie. Rozmawiałem z jej lekarzem. Mówił, że jej depresje są następstwem ciąży, że zdarza się to częściej, niż można przypuszczać. Sam już nie wiem, co mógłbym jeszcze zrobić, chyba jedynie zostawić firmę i znaleźć pracę w regularnych godzinach, co umożliwiłoby mi codzienne przebywanie w domu.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne, Jim - powiedział Colby z przekonaniem. - Teraz, gdy ma dziecko, musi się czymś zająć i z radością będzie grała rolę matki. Masz na to moje słowo. Colleen nie była w ogóle „domowym” typem, a po urodzeniu dziewczynek stała się naprawdę świetną matką.

- Może kiedy wróci do siebie, fizycznie, jej depresja

zniknie - myślał głośno Lynde. - Doktor Ellerman mówi, że to jest związane z hormonami.

- Wszystko będzie w porządku, Jim. Zobacysz.

**Fran** odpoczywała, gdy Jim wszedł do pokoju. Pochylił się nad nią i lekko pocałował w czoło. Otworzyła oczy.

- Jim... Sądziłam, że nie wrócisz do...

- I miałyby mnie ominąć narodziny mojego pierwszego dziecka? - zawołał z entuzjazmem, którego w rzeczywistości nie czuł. - Nic nie mogłoby mnie powstrzymać.

- Nic, z wyjątkiem KGB - pomyślał chmurnie.

- Czy już ją widziałeś?

Lynde potrząsnęła głową.

- Dopiero przyjechałem. Twój ojciec odebrał mnie z lotniska.

- Ona wygląda dokładnie tak jak ty. W miniaturze. Mam nadzieję, że nie będziesz oponował przeciwko... Zdecydowałam dać jej imiona po tobie: Jaime Victoria. Jak to brzmi?

- Cudownie - odparł. - Jestem zachwycony.

- Ona jest twoją córką, jak by nie było, i naprawdę wygląda jak ty - powiedziała Fran.

- Aż tak źle? - Pogładził ją po włosach.

- Gorzej - odparła z uśmiechem. - Kate mówi, że wrzeszczała z całych sił, gdy tylko ją zobaczyła. I urodziła się głodna.

Roześmiał się.

- W takim razie to na pewno moje dziecko.

W drzwiach pojawiła się pielęgniarka.

- Pani Lynde, wkrótce przyniosą dziecko. - Spojrzała na Jima. - To pani mąż?

Fran uśmiechnęła się.

- Tak.

- No cóż, panie Lynde, jeśli chce pan zostać, będzie pan musiał włożyć fartuch i maskę. Takie są przepisy - powiedziała niemal przeprasząco.

- Nie ma sprawy, mogę zaczekać na zewnątrz, aż...

- Ależ nie ma mowy, nie zrobisz tego! - przerwała mu Fran szybko. - Może równie dobrze poznać swoją córkę zaraz. - Zwróciła się do pielęgniarki: - Proszę przynieść fartuch i maskę.

- Tak, proszę pani.

Lynde czuł się śmiesznie w masce i workowatym fartuchu na plecach, ale próbował utrzymać Fran w dobrym humorze. Mógł nawet potrzymać to dziecko, jeśliby tego chciała; zrobi wszystko, żeby była teraz szczęśliwa. Miał tylko nadzieję, że nie upuści noworodka. Dzieci zawsze go denerwowały.

Kwadrans później pojawiła się pielęgniarka, niosąca zawiniątko w różowym kocyku. Podała dziecko Fran, po czym zwróciła się do Lynde'a:

- Od razu widać, że to pana córka.

- Tak też mi powiedziano. - Uśmiechnął się nerwowo.

Frannie pociągnęła go ku sobie. Odwinęła koczek, tak by mógł zobaczyć twarzyczkę dziecka. Na Boga - pomyślał - ona naprawdę wygląda jak ja.

- Czy mogę ją potrzymać? - usłyszał swój własny głos.

- Oczywiście. - Fran podała mu córkę, pokazując, jak podtrzymać kark i główkę. - Bez obaw, ona się nie złamie. Jest o wiele mocniejsza, niż na to wygląda. Pamiętaj, ona przeżyje nas obydwójce.

Lynde nie słuchał. Wpatrywał się w tę niewiarygodnie delikatną istotkę, która patrzyła na niego z absolutną ufnością. Miała jego twarz - mocną, ładną buzię - i jego oczy, o barwie zieleni sosnowego lasu. I włosy. Jej mała główka pokryta była ciemnorudymi loczkami w odcieniu dokładnie takim, jak jego włosy...

Do tej pory, dokładnie do tej chwili, Lynde nigdy nie myślał o swojej śmiertelności, o potrzebie posiadania kogoś, kto przedłużyłby jego egzystencję. Nigdy nie dbał o rodzinę, nie chciał mieć dzieci. Teraz jednak, patrząc na córkę, dał się ogarnąć gorącej fali uczuć, która cał-

kowicie go pochłonęła. Był zdumiony siłą własnej miłości, miłości, której istnienia nigdy w sobie nie podejrzewał. Wszystko, co kryło się zamknięte w jego duszy przez tyle lat, zostało teraz uwolnione. Trzymał w ramionach swoje maleńkie dziecko. Na chwilę cały świat przestać dla niego istnieć: Fran, rodzina Colbych, personel szpitalny, Harry Warner, CIA, KGB - wszystko. Istniała tylko ta delikatna dziewczynka, którą ostrożnie tulił do siebie. I chciałby ją zachować dla siebie na zawsze.

Jaime - pomyślał - czy zdołam kiedykolwiek ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham?

# 6

## *Sound Beach, Long Island, czerwiec 1962*

**Lynde** stał w gabinecie przy oknie, obserwując Jaime, bawiącą się przed domem z dziećmi sąsiadów. Uśmiechnął się do siebie. Jego córka była cudem. Absolutnym cudem. Wysoka, jak na swoje pięć i pół roku, była głośnym, gwałtownym dzieckiem. Silnym i odważnym. Wśród rówieśniczek wyróżniała się urodą, tak samo jak wyróżniał się Jim, gdy był dzieckiem. Ponieważ Fran nie była zainteresowana wyrabianiem w córce dziewczęcych cech i wpajaniem zasad kulturalnego postępowania, mała nie miała pojęcia, jak powinna zachowywać się dziewczynka. A przynajmniej, jak tego wymagało społeczeństwo jej klasy. Wzrastająca z każdym rokiem obojętność Fran wobec własnego dziecka sprawiła, że Jaime obrała sobie ojca za wzór do naśladowania. Zawsze ubrana w dżinsy i bluzę, określała koronkowe sukienki jako „całkiem głupie”.

Ciemnorude włosy miała najczęściej zawiązane w kitki, co nadawało jej łobuzerski wygląd. Wspinająca się na drzewa, grała w piłkę i często miała procę w kieszeni. To dziecko ma świetne oko - myślał Lynde rozbawiony. Zaśmiał się do siebie cicho. - Jak będzie nastolatką, zażąda strzelby. I zapewne ją dostanie.

Potrząsnął głową i wrócił do biurka. To niewiarygodne, jak całkowicie i drastycznie Jaime zmieniła jego życie, od kiedy pojawiła się na świecie. On, który nigdy

nie chciał mieć dzieci, bo niepotrzebny był mu kontynuator jego myśli i imienia, on, który nie pozwolił się wcisnąć w ramki członka tradycyjnej rodziny - był bezgranicznie zakochany w córce, małej, żeńskiej replice jego postaci, która nie mogła być bardziej do niego podobna, nawet gdyby była chłopcem.

Jaime - śliczna, uparta Jaime, która poruszyła uczucia śpiące tak głęboko w jego duszy, że sam nie wiedział o ich istnieniu - aż do chwili urodzenia córki.

Odkąd pojawiła się Jaime, spędzał w domu każdą wolną chwilę. Kiedy miała cztery miesiące, zażądał - z pozytywnym skutkiem - ograniczenia obowiązków wobec firmy. Nie było go w domu, gdy stawiała pierwsze kroki ani gdy mówiła pierwsze słowa, ale był w stanie spędzić z nią wystarczającą ilość czasu, by wytworzyła się między nimi bliska więź, o wiele silniejsza niż zwykle między ojcami a córkami. Związek między nim a Jaime był jednocześnie bardzo zamknięty, wykluczający dostęp innym, rodzinie, przyjaciołom - nawet Fran.

Lynde spojrział na stojącą na biurku fotografię żony. Fran była nadal ładna i atrakcyjna, ale nie miała w sobie życiowej energii. Wziął zdjęcie do ręki i przyglądał mu się dłuższą chwilę. Jej długie, miękkie blond włosy były teraz krótko przycięte, błękitny kostium wzorowany był na strojach noszonych przez Pierwszą Damę, Jackie Kennedy. Można ją było uznać za piękność. Brakowało jej jednak iskry, pasji życia, entuzjazmu. Nie było w niej nic z ognia i zapału, które córka niewątpliwie odziedziczyła po nim.

Zmarszczył brwi. Fran skarżyła się całe lata, że za mało bywał w domu. Teraz jednak, gdy spędzał tu więcej czasu, nie była z tego zadowolona; zamykała się w sobie jak w pancerzu. Straciła zainteresowanie domem, malowaniem. Nawet własna córka, której tak kiedyś pragnęła, coraz mniej ją obchodziła. Tak. Kiedyś pragnęła. Odstawił fotografię na biurko.



Kiedy przywiózł obie ze szpitala, Fran oddała się macierzyństwu całą duszą. Przez pierwsze trzy lata była cudowną matką. Jej stosunek zmieniał się tak powoli i stopniowo, że Lynde z początku nic nie zauważył. Z czasem jednak zmiana ta stała się tak widoczna, że nie mógł jej lekceważyć. Fran spędzała większość czasu zamknięta w swojej sypialni, poświęcając się czytaniu romantycznych powieści w stylu *Przeminęło z wiatrem*. Czas przeciekał jej przez palce, chodziła przygnębiona i z dnia na dzień wpadała w coraz głębszą depresję.

Ile jest w tym mojej winy? - pytał samego siebie. Poślubił ją nie z miłości, a z wyrachowania. Żeniąc się z nią, wiedział, jak bardzo go kochała. Niestety, jego uczucia do żony nie zmieniły się w ciągu ostatnich sześciu lat, chociaż do czegoś dojrzał. Nauczył się litości. Jej uczucia i potrzeby nie były mu już tak zupełnie obojętne, jednak...

Gniewnie podniesiony głos córki przerwał rozmyślenia. Podniósł się gwałtownie z krzesła i podszedł śpiesznie do okna. Zobaczył, że Jaime tłucze po głowie chłopca, z którym chwilę wcześniej się bawiła. Przygwoździła go do ziemi i waliła małymi piąstkami, gdzie popadło.

- Jaime! - zawołał.

Kiedy nie zareagowała, wybiegł z pokoju, minął hol i wypadł na zewnątrz.

- Jaime! - krzyknął znowu, przechylając się przez balustradę. - Jaime, przestań w tej chwili.

Mała spojrzała w górę. Zobaczywszy ojca, zerwała się na nogi. Chłopak szybko wstał i umknął. Widząc wroga w sromotnej ucieczce, dziewczynka odwróciła się i pogroziła mu pięścią.

- Pokaż się tu jeszcze raz, a kopnę cię w tyłek, ty gnido! - wrzasnęła.

- Jaime! - zawołał ojciec, zaszokowany jej językiem i agresywnym zachowaniem. - Tego już za wiele.

Odwróciła się do ojca, wciskając głęboko ręce w kie-

szenie brudnych i podartych spodni. Jej ciemnozielone oczy błyskały gniewem. Na lewym policzku miała smugę kurzu. Jeden warkoczyk był rozpleciony, na drugim brakowało związanej tam zwykle wstążeczki. Rude włosy rozsypały się po karku.

- Po co to zrobiłeś? - zapytała, gdy zszedł ze schodów, by ją podnieść. - Zbiłabym go.

Uśmiechnął się, klękając przy niej i wyciągając z kieszeni chusteczkę.

- I zrobiłaś to. - Stłumił śmiech, wycierając delikatnie jej policzek. - Nie dawałaś mu forów, co?

Starał się być poważny, by zniechęcić ją do dalszych wybryków w tym stylu.

- Jasne, że nie - odparła entuzjastycznie. - Wygrałabym, nawet gdybyś go nie przestraszył!

Roześmiał się.

- Nie wątpię w to ani chwili, księżniczko - powiedział, biorąc ją na rękę. - Jednak nie możesz tak bić każdego chłopca z sąsiedztwa.

Mała twarzyczka Jaime pociemniała z gniewu.

- A czemu nie? - zapytała. - Mogę ich wszystkich pobić, i oni o tym wiedzą.

- Nie o to mi chodzi - odrzekł, wichrząc jej włosy. - To nie jest w stylu damy.

Jaime zmarszczyła nos z niechęcią.

- Bo co?

Lynde, niosąc ją na jednej ręce, wszedł po schodach i otworzył drzwi.

- Nie wyrośniesz na wielką damę, jeżeli będziesz się tak zachowywać.

- Nie chcę być damą - stwierdziła. - Chcą być taka jak ty. - Popatrzyła na niego figlarnie.

- Boże broń!

- Tego właśnie chcę - powtórzyła.

- Ależ nie chcesz - zapewniał ją, stawiając na podłodze. - Jesteś dziewczynką i zamierzam dopilnować, byś

została wychowana właściwie. A skoro już przy tym jesteśmy, gdzie nauczyłaś się takich słów?

- Jakich słów, tato? - zapytała.

- Wiesz dokładnie, jakich słów. - Rozmawiając z córką, starał się zawsze unikać wulgarnych słów, co teraz niezmiernie utrudniało sytuację.

- Ach, to.

- Tak, to. - Lynde patrzył na córkę z dezaprobatą.

Zrobiła zdziwioną minę.

- Słyszę takie słowa ciągle - przyznała się.

- Gdzie? - wypytywał.

Unikała jego wzroku, wiedząc, że jest zły.

- W stajni - wyznała w końcu.

- Mówią tak przy tobie? - W pierwszym odruchu chciał zwolnić wszystkich zatrudnionych stajennych.

Jaime potrząsnęła głową.

- Nie. Ale ja i tak ich słyszę, kiedy myślą, że mnie nie ma w pobliżu. - Uśmiechnęła się. - Ja słyszę wiele rzeczy, kiedy ludzie myślą, że mnie nie ma w pobliżu.

- Na przykład co? - indagował.

- Dużo różnych rzeczy.

Lynde roześmiał się.

- Żal mi człowieka, który się z tobą ożeni, księżniczko.

Jaime zachichotała. Ojciec wyprostował się.

- Sadie! - zawołał głośno. - Sadie!

- Tak, proszę pana. - U szczytu schodów pojawiła się wysoka, siwa służąca.

- Gdzie jest pani Lynde? - zapytał.

Kobieta zmarszczyła brwi.

- Sądzę, że w swoim pokoju, proszę pana - odparła.

Jak zwykle - pomyślał.

- Sadie, mogłabyś zabrać Jaime na górę i przebrać ją? - poprosił. - Obawiam się, że miała mały wypadek.

- Znowu? - parsknęła kobieta. - To już czwarty raz dzisiaj. Nie jestem pewna, czy mam jeszcze coś do przebrania.

- Więc sprawdź dobrze! - krzyknął z irytacją, rozdrażniony faktem, że Fran jak zwykle nie było, by dopilnować córki.

- Tak, proszę pana. - Sadie ciężko westchnęła. - Chodź, Jaime.

Patrząc, jak córka wspina się po schodach, poczuł narastający niepokój o jej przyszłość. Wychowywano ją źle. Sadie oczywiście robiła co mogła, ale była zbyt surowa dla dziecka, zbyt sztywna i oficjalna. Dziecku po prostu była potrzebna matka.

**Frances** Lynde siedziała w sypialni przed toaletką. Czesząc włosy, automatycznie liczyła pociągnięcia szczoteczki. Mąż siedział na skraju łóżka. Zdejmował buty.

- Sądzę, że dobrze by było, gdybyś spędzała więcej czasu z Jaime - powiedział. - Ona potrzebuje kobiecej ręki, ręki matki.

- A po cóż byłabym jej potrzebna? - zapytała Fran zimno, nie przerywając szczotkowania. - Ona jest twoją córką. Zapytaj ją.

Lynde znieruchomiał i spojrzał na żonę, ale siedziała plecami do niego i wpatrywała się w lustro.

- A cóż, do diabła, ma to znaczyć? - zapytał, nie kryjąc irytacji.

- Dokładnie to, co powiedziałam. - Jej głos był obojętny. - Ona jest twoją córką. Jest taka jak ty. Nie potrzebuje mnie; nie potrzebuje zresztą nikogo.

- Oczywiście, do cholery! - Zerwał się gwałtownie z łóżka. - Czy ty wiesz, że ona znowu dzisiaj się bila? Czy ciebie to w ogóle nie obchodzi?

- Z tego, co słyszę, świetnie daje sobie radę sama. - Doszedłszy do stu pociągnięć, Fran odłożyła szczotkę, ale wciąż się nie odwracała.

- Bo musi. Nie może z pewnością polegać na tobie! - Starał się zapanować nad ogarniającym go gniewem.

Nigdy dotąd nie uderzył kobiety, ale w tej chwili był niebezpiecznie bliski podniesienia ręki na własną żonę. - Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak krzywdzisz to dziecko, odpychając je ciągle od siebie? Ona bawi się zawsze z chłopcami, nigdy z dziewczynkami w jej wieku. Bije się z nimi codziennie. Włóczy się po stajniach. Powinnaś usłyszeć język, jakiego używa.

Fran odwróciła się na stołku.

- Ona nie chce mojej pomocy ani towarzystwa. Nie chce mnie ani trochę. Chce ciebie i odrzuca każdego, kto przeszkadza jej w przebywaniu z tobą.

Lynde patrzył na nią, nie wierząc własnym uszom.

- Dobry Boże, Fran, to brzmi tak, jakbyś jej nienawidziła! Ona jest tylko dzieckiem, twoim dzieckiem!

Potrząsnął głową z niedowierzaniem. Machnąwszy ręką, wszedł do łazienki i zatrasnął za sobą drzwi, zaznaczając tym swoje oburzenie.

Fran odetchnęła i przyglądała się swojemu obliczu w lustrze. Jedyne, co mogło wzbudzić gniew męża, to świadomość, że ktokolwiek krzywdzi jego cudowną córkę. Jim miał dla niej tyle uczucia, że nie starczało już dla żony. To dziecko było jego życiem - tak przynajmniej wydawało się Fran.

Do urodzenia córki Jim robił wszystko, by pozostawać poza domem. Z dała od niej. Wierzyła, że dając mu dziecko, zmieni to, i miała rację. Teraz nie znosił wyjazdów, ale kiedy był w domu, każdą chwilę poświęcał Jaime. Nie miał czasu dla nikogo innego.

Wszystko zawsze dla Jaime - myślała ponuro Fran - Jaime jest dla niego wszystkim.

Dobry Boże - opamiętała się nagle - jestem zazdrosna o własną córkę!

Lynde spojrzeła na żonę, gdy Jaime, zbyt podniecona, by jeść, opowiadała o lekcji konnej jazdy, którą przed godziną zakończyła. Fran nie odrywała wzroku od tale-

rza, ale nie jadła. Przesuwała tylko potrawę, jak gdyby myślami była daleko.

- ...i Hank mówi, że ja już jeżdżę lepiej niż wszyscy chłopcy z klasy - Jaime zachłysnęła się, przerywając na chwilę, by przełknąć trochę mleka. - W przyszłym tygodniu pozwoli mi skakać. Przyjdiesz popatrzeć, tato? - zwróciła się do ojca. Jej zielone oczy płonęły.

- Za nic nie chciałbym stracić takiego widowiska, księżniczko - zapewnił ją. Zerknął na Fran, wciąż pochyloną nad talerzem. - Twój pierwszy skok, to doprawdy warte zobaczenia.

- Cholerna racja - zgodziła się Jaime z entuzjazmem.

- Jaime! - Spojrzał na nią z dezaprobatą.

Pochyliła lekko głowę.

- Przepraszam, tato.

- Myślę - zaczął, unosząc się z krzesła - że pierwszy skok jest jakby kamieniem milowym w życiu dziewczynki, jak sądzisz? - Jego wzrok przesunął się z milczącej Fran na Jaime, która potwierdziła z radością. - Sądzę, że należy ci się nagroda.

- Nagroda? - Jaime spojrzała na ojca nieco zdziwiona. - Ależ, tato, ty przecież nie wiedziałeś o tym skoku!

Roześmiał się serdecznie.

- Niczego nie podarujesz, co, księżniczko? - zapytał, wręczając jej dużą paczkę, owiniętą w biały papier i przewiazaną szeroką czerwoną wstążką.

Spojrzała na niego pytająco.

- Co to jest, tato?

- Proponuję, byś otworzyła i sama zobaczyła.

Zerwała delikatny papier, drąc go na strzępy z tą samą energią, z jaką robiła wszystko. Kiedy opakowanie leżało już u jej stóp w postaci góry skrawków, ściągnęła pokrywkę z pudełka i zaparło jej dech. Wewnątrz leżał dziewczęcy strój do konnej jazdy: białe bryczesy, czarna kurtka i czapeczka.

- Sądzę, że to jest to, co ci się tak podobało, gdy

ostatnio byliśmy na Manhattanie - powiedział z uśmiechem.

- Och tak, tato! - Zeskoczyła z krzesła i objęła ojca w niedźwiedzim uścisku.

- Mogie go zaraz przymierzyć?

- Mogę - poprawił ją.

- Tak, wiem - fuknęła niecierpliwie. - Mogie?

Roześmiał się.

- Jeśli mama się zgodzi - odrzekł, chcąc wciągnąć Fran do rozmowy.

Jaime zerknęła na matkę.

- Zgodzisz się, mamó?

Fran spojrzała na dziecko obojętnie.

- Sądzę, że wystarczy zgoda ojca.

- Bosko! - Jaime wystartowała od stołu z taką energią, że o mało go nie przewróciła. Popędziła do drzwi z pudłem w ramionach. Strój powiewał z niego radośnie.

- Poproś Sadie, żeby ci pomogła, księżniczko! - zawołał za nią Lynde.

- Dobrze, tato! - Wspinając się po schodach, krzyknęła głośno: - Sadie, rusz tyłek i chodź tu w te pędy!

- Jaime! - W jego głosie było ostrzeżenie.

- Przepraszam, tato!

Upewniwszy się, że Jaime nie może ich już słyszeć, zwrócił się do żony:

- To było niepotrzebne - powiedział gniewnie.

- Co znowu, kochanie? - zapytała, unikając jego wzroku. Uniosła do ust kieliszek z winem i sączyła powoli.

- Sposób, w jaki zwróciłaś się przed chwilą do Jaime - odparł ostro. - Jak możesz być tak diabelnie zimna i nieczuła?

Spojrzała na niego bez wyrazu.

- To proste, mój drogi mężu. - Jej głos był bezbarwny.

- Nauczyłam się tego od mistrza, od ciebie.

Szczęki Jima zacisnęły się.

- Cokolwiek masz przeciwko mnie, nie odgrywaj się na dziecku, do cholery!

Błękitne oczy Fran rozbłysły gniewem. Była to, pierwsza od długiego czasu, oznaka emocji na jej twarzy.

- Boże broń! - odparła wściekła. - Bez przerwy umieszczasz to dziecko na piedestale! Nic się dla ciebie nie liczy oprócz Jaime. Przez wszystkie lata naszego małżeństwa robiłeś, co mogłeś, by trzymać się jak najdalej ode mnie. A teraz masz swoją cudowną córkę... - Zaczęła gwałtownie szlochać. - Boże, nie mogę na ciebie patrzeć! - Rzuciła na talerz serwetkę i wstała gwałtownie. Przyglądała mu się przez chwilę, po czym wybiegła z pokoju.

Lynde potrząsnął głową i nabrał głęboko powietrza. Co się z nią dzieje? Zadawał sobie to pytanie nie pierwszy raz. Chwilami miał wrażenie, że ona nienawidzi własnego dziecka. Zmarszczył brwi. Postanowił porozmawiać z Harrisonem Colby, i to bezzwłocznie. Fran zdecydowanie potrzebowała konsultacji z lekarzem. Może psychiatra...

- Tato, jak wyglądam?

Drgnął. W drzwiach stała Jaime, ubrana w nowy strój. Jej włosy były ściągnięte z tyłu i związane na karku zieloną wstążeczką. Kilka loczków wymknęło się spod czarnej czapeczki i obramowało buzię rudym blaskiem. Na szyi miała zieloną jedwabną apaszkę, spiętą małą złotą szpilką. Czarne buty do konnej jazdy były tak wypolerowane, że aż błyszczały - prawdopodobnie dzięki staraniom Sadie.

- Wyglądasz naprawdę ślicznie - powiedział. - W każdym calu jeździec.

Okręciła się wokół własnej osi, by mógł ją obejrzeć ze wszystkich stron.

- Naprawdę tak myślisz, tato?

- Czy mógłbym cię okłamać?

Uśmiechnęła się, ucieszona z komplementu.

- Nie. Myślę, że nie. - Rozejrzała się po pokoju. - Gdzie jest mama?

Zawahał się.



- Mama nie czuje się dobrze, kochanie - odpart w końcu. - Poszła się położyć.

Mała zmarszczyła brwi.

- Mama dużo choruje, prawda? - zapytała chmurnym tonem.

Lynde przytaknęła.

- Tak, kochanie. - Wyciągnął do niej ręce. Wdrapała mu się na kolana i przytuliła mocno. - Tak mi przykro, maleńka - szepnął cicho, kołyszając ją w ramionach.

Tak mi przykro, że Fran nie może być matką, jakiej potrzebujesz - pomyślał.

W miarę jak mijały pory roku i lato zastąpiła jesień, Fran Lynde popadała w coraz głębszą depresję. Niewiele spała, jadła jeszcze mniej, przebywając najczęściej w swojej bawialni. W końcu sierpnia Lynde wyprowadził się ze wspólnej sypialni i przeniósł do jednego z pokoi gościnnych. Zanim nastał październik, Frannie straciła dwadzieścia funtów ze swojej, i tak niewielkiej, wagi. Wszystkie sukienki stały się zbyt obszerne i wisały na niej, tak jak na drewnianych wieszakach w szafie. Piła zbyt wiele i uzależniała się od leków. Lynde zaprzestał prób pogodzenia jej z Jaime. Już nie wytykał żonie braku zainteresowania córką, nie zarzucał oschłości, nie usiłował dojść do porozumienia - po prostu przestał z nią rozmawiać. Rodzice i Kate próbowali przekonać Frannie, by zwróciła się do lekarza, ale na próżno.

Dlaczego nie potrafią zrozumieć, że chce jedynie zostać sama - myślała z irytacją. Psychiatra nie mógł jej pomóc. Nikt nie mógł. Może tylko Jim. Ale na męża przestała liczyć już dawno temu. Nie mógł lub nie chciał dać jej tego, czego potrzebowała, by czuć się szczęśliwą. Rozpłakała się. Wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła - to jego miłości. Czyż nie próbowała być dobrą żoną? Czy nie dawała mu tego, czego oczekiwał od kobiety? Gdzie tkwił jej błąd?

Zbyt późno zdała sobie sprawę, że Jim tak naprawdę jej nie kochał. Była przekonana, że ożenił się z nią po to, by zyskać względy jej ojca i zdobyć stanowisko w banku. Z początku próbowała zrobić dobrą minę do złej gry, by nikt nie odgadł prawdy o ich małżeństwie, ale od urodzenia Jaime przestało jej na tym zależeć.

Jaime. Jaime była wszystkim, co miało dla Jima znaczenie. Uwielbiał ją. Tak niepotrzebnie się bała, że nie chciał dziecka. Narodziny córki sprawiły, że Jim spędzał w domu więcej czasu niż przedtem, ale wbrew nadziejom Fran nie wniosły niczego dobrego w ich wzajemne stosunki. Wręcz przeciwnie - stali się sobie bardziej obcy, jeżeli to było jeszcze możliwe. Jako żona przestała w ogóle istnieć. Liczyła się tylko Jaime. Gdybym miała jutro umrzeć - myślała ponuro - mojego własnego męża niewiele by to obeszło. Moją córkę także!

Gdyby umarła. Fran myślała już o tym. Chciałaby nie żyć. Z pewnością śmierć nie mogła być gorsza od koszmarnego życia. Musiała być lepsza niż to małżeństwo bez miłości, niż świadomość, że nie potrafi kochać własnego dziecka. Jaime jej nie potrzebowała. Odnosiła wrażenie, że córka byłaby bez niej szczęśliwsza. Dla Jaime ważny był tylko ojciec. Byłaby szczęśliwsza, mając go wyłącznie dla siebie.

Spojrzała na stary zegarek stojący na toaletce. Sadie tego dnia miała wolne. Frances była w domu całkiem sama. Jim z małą poszli na pokazy konne. Odkąd Jaime zaczęła pasjonować się końmi, chodzili na tor wyścigowy co tydzień. Lynde kupił także córce kucyka, który pochłonał całą ich uwagę. Nie wrócą do wieczora. Miała więc mnóstwo czasu, by to zrobić. To było jej jedyne wyjście. Zdecydowała.

Weszła do garderoby i wybrała najładniejszą sukienkę. Pogładziła czule błękitny jedwab. Sebastian zaprojektował ją dla niej tuż przed ślubem. Ile czasu minęło, odkąd miała ją na sobie? Nie pamiętała. Odłożyła su-

kienkę na łóżko i dobrała dodatki: buty, pończochy, kolczyki, perły. Po skończeniu makijażu ubrała się powoli i starannie uczesała włosy, jakby wybierała się na przyjęcie. Patrzyła na wychudzoną twarz, spoglądając z lustra. Z niesmakiem odwróciła oczy.

Zabrawszy torebkę, zeszła powoli ze schodów i udała się do garażu, gdzie stał, nie ruszany od sześciu miesięcy, jej niebieski Cadillac. Zastanawiała się, czy w baku będzie dosyć paliwa. Szczelnie zamknęła drzwi garażu, wsiadła do samochodu i przekręciła kluczyk w stacyjce. Cichy szum silnika wypełnił pomieszczenie. Odchyliła głowę na oparcie i wciągając głęboko oddech, modliła się, by nastąpiło to szybko.

**Tato**, och, tato, nie mogę się już doczekać, kiedy będę skakała na Cristobalu w prawdziwych zawodach! - mówiła radośnie Jaime, gdy wracali do domu wzdłuż Long Island Sound. - Tak się cieszę! Przyjdiesz mnie zobaczyć, prawda?

- Jeżeli tylko będę mógł, księżniczko - obiecał jej. - Wiesz, że nie zawsze jestem w domu.

- Wiem. - Z żalem pokiwała główką. - Ale jeśli będziesz w domu, przyjdiesz?

- Bez wątpienia.

Przyglądał się córce. Chwilami wyglądała jak aniołek, ale w tej samej chwili potrafiła przemienić się w małego diabełka z płomiennie rudą aureolą włosów, powiewających wokół buzi. Jej żywe, płomiennie oczy błyszczały podnieceniem i triumfem. W rękę ścisnęła błękitną wstążeczkę, którą wygrała tego popołudnia.

- A mama? - Pytanie córki przerwało jego rozmyślenia. - Myślisz, że mama też przyjdzie?

Zasepił się. Pomimo napiętej sytuacji Jaime nie rezygnowała. Wciąż szukała kontaktu z matką.

- Nie sędzę, księżniczko - odparł szczerze, nie chcąc jej robić złudnych nadziei.

Dlaczego Fran jest wobec niej taka zimna - zastanawiał się gorzko. - Mała potrzebuje matki, a ta odnosi się do niej jak do zupełnie obcego dziecka. W miarę jak Jaime rosła, matka coraz bardziej się od niej oddalała. Z wyjątkiem rozpaczliwych prób podejmowanych przez córkę, kontakt między nimi właściwie nie istniał.

Gdy zajechali przed dom, Lynde zauważył, że drzwi do garażu są zamknięte. Rano zostawił je otwarte. Zatrzymał samochód i pomógł córce wysiąść.

- Biegnij do góry i przebierz się - powiedział. - Zabiorę tymczasem Cristobala do stajni.

- Dobrze, tato. - Pocałowała go w policzek i pomknęła, powiewając niebieską wstążeczką.

Schodząc ze schodów do samochodu, odniósł wrażenie, że słyszy warkot silnika, dobiegający z garażu. Zatrzymał się nasłuchując. To był warkot silnika. Pobiegł do garażu i siłą otworzył ciężkie drzwi. Gdy zobaczył samochód Fran z włączonym silnikiem i ogarnęły go ciężkie opary dymu, uświadomił sobie natychmiast, co się stało, a raczej, co zrobiła jego doprowadzona do ostateczności żona. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i zasłaniając nią usta, wbiegł do środka. Spaliny z Cadillacca były tak gęste, że utrudniały widzenie. Wyciągnął Fran z samochodu i wyniósł na zewnątrz. Położył ją na trawie i uderzając lekko w twarz, próbował ocucić. Bez skutku. Nie oddychała. Sprawdził puls i bicie serca. Nic. Mój Boże - pomyślał przerażony - ona nie żyje!

- Mamusiu!

Drgnął. Jaime stała kilka stóp od niego, przyciskając do piersi błękitną wstążeczkę. Jej mała buzia była biała jak kreda.

- Wracaj do domu, natychmiast! - rozkazał.

- Co się stało mamie? - zapytała, podchodząc bliżej. Jej usta drżały, była bliska łez. - Dlaczego się nie budzi? Nie odpowiedział. Nie mógł.

Jak miał córce powiedzieć, że jej matka nie żyje?!

# 7

## *Waszyngton, D.C. kwiecień 1966*

**Rozumiem** cię, Harry. I zgadzam się z tobą. W stu procentach. Jedyne, czego nie rozumiem, to twojego przekonania, że ja jestem jedynym agentem, który może wyjechać do Moskwy. - Lynde stał przy oknie w biurze Warnera, odwrócony plecami do imponującego widoku na budynek Kapitolu. - A co z Baldwinem albo Allenem Harrisonem?

Warner potrząsnął głową.

- Nikt nie zna tego miasta ani tamtejszych ludzi tak jak ty. - Przerwał, by zapalić fajkę.

- Znać? - Lynde roześmiał się głośno. - To był mój drugi dom przez większą część tych pięciu lat.

- Na twoją własną prośbę - przypomniał mu Warner.

- Na moją własną prośbę.

Warner wstał.

- O ile pamiętam, wolałeś Moskwę niż przebywanie w domu z żoną. - Nalał dwie filiżanki kawy z dzbanka, który stał na stoliku obok jego biurka.

- Małżeństwo zawarte celem stworzenia przykrywki - powiedział ponuro. - Czego oczekiwałeś, kwiatów i wyznań? Wielkiej miłości?

- Ale dziecko to już inna sprawa, tak? - przerwał mu Warner.

Lynde zacisnął szczęki.

- Zrozum, Harry. Moja córka potrzebuje mnie teraz

bardziej niż kiedykolwiek. To samobójstwo było dla niej ogromnym ciosem. Jest twardym dzieckiem, ale wiem, że została głęboko zraniona. Nawet kiedy Fran jeszcze żyła, nie była dla niej prawdziwą matką. Ale teraz, kiedy jej zabrakło... - Głos mu się załamał.

- Rozumiem twoją troskę o córkę - Warner wyważał ostrożnie słowa - ale czekają cię zadania.

Lynde wznosił oczy do sufitu.

- Wiem, wiem - powiedział z sarkazmem w głosie.

- Masz przecież gosposię, prawda?

Jim wysączył gorącą kawę, odstawił na bok filiżankę, wreszcie odezwał się:

- Tak... Niby mam. Ale Sadie starzeje się, a Jaime w miarę dorastania będzie coraz bardziej samodzielna i coraz trudniejsza do utrzymania w ryzach, nawet dla kogoś młodszego niż Sadie.

- To najmij guwernantkę - zasugerował Warner. - Kogoś z referencjami, kto zna się na wychowywaniu dzieci.

- Ona potrzebuje ojca, Harry. Potrzebuje mnie - przerwał mu ostro Lynde. - Musi mieć pewność, że ma przynajmniej jednego rodzica, któremu na niej zależy! A niania nie może jej zastąpić matki ani ojca. Wierz mi!

James sam wiedział to aż nazbyt dobrze. W jego najwcześniejszych wspomnieniach nie było matki, która czytałaby mu bajki i tuliła do snu wieczorem; ani ojca, który grałby z nim w piłkę i nosił na barana. Jego wspomnienia to niania, która starała się być dobra, ale prawdziwej matki zastąpić nie mogła; dalekie głosy rodziców składających mu przez telefon życzenia z okazji kolejnych urodzin, które spędzał sam, bo oni przebywali w jakimś egzotycznym kraju. Nie takiego życia chciał dla swojej córki.

- A co z teściami albo szwagierką?

Potrząsnął głową.

- Colleen Colby wciąż wini mnie za samobójstwo cór-

ki. Nie zostawię z nią Jaime ani na chwilę, chociaż jej męża nadal zaliczam do ludzi, których mogę nazwać przyjaciółmi. A Kate wyszła niedawno za mąż za senatora Craiga Pearsona. Mieszka tu, w Waszyngtonie, i ma swoje własne życie.

- A twoja rodzina?

- Wiesz dobrze. - Przerwał, spoglądając na zegarek. - Musisz mi wybaczyć, ale mam zaraz samolot. Córka oczekuje mnie przed wieczorem. - Złapał płaszcz i wyszedł, zostawiając sprawę nie rozwiązana.

Warner zamyślił się. Zawsze szanował Jima, nawet jeśli nie zawsze go lubił. Był twardym orzechem do zgryzienia, zimny, opanowany, zamknięty w sobie. Nigdy nie było wiadomo, co myśli i czuje. Niejednokrotnie zastanawiał się, czy Lynde w ogóle jest zdolny do jakiegokolwiek uczucia. Zawsze odkładał swoje osobiste zainteresowania na bok, ponieważ w ostatecznym wyniku liczyło się tylko jedno.

Był jednym z najlepszych - jeśli nie najlepszym - agentów, wyszkolonych w obozach OSS. Zawsze robił wszystko, co miał robić, i to bez pytania. Teraz się zmienił. Ojcostwo uczyniło go miękkiem.

Warner był przekonany, że i tym razem, jak zawsze, Lynde da sobie radę.

Wracając samolotem do Nowego Jorku, Lynde zagrożony był w niewesołych myślach. W ciągu minionych trzech lat, które upłynęły od śmierci Fran, stopniowo zdał sobie sprawę, jak trudno jest wychować dziewczynkę bez matki. Mimo że Fran nieustannie lekceważyła Jaime, była z córką, jeśli nawet nie duchem, to ciałem. Odbierając sobie życie, zadała małej cios, po którym dziecko jeszcze się nie odnalazło. Jaime bardzo się zmieniła w ciągu ostatnich lat. Wciąż była żywym, błyskotliwym i szczerym dzieckiem, ale starała się opanować uczucia, jak gdyby bała się pokochać kogoś lub coś

w obawie, że zostanie odrzucona. Jak jej ojciec - pomyślał przygnębiony Lynde.

Wróciły do niego wspomnienia, które wolałyby pogrzebać na zawsze. Wspomnienia własnych rodziców, światowej sławy archeologów, którzy spędzali życie, podróżując po świecie w poszukiwaniu cennych odkryć. Ich zdjęcia i nazwiska figurowały na pierwszych stronach czasopism wielu krajów. Prawdę mówiąc, częściej widywał twarze rodziców w gazetach niż w rzeczywistości. Miał album pełen zdjęć, wycinków i pocztówek, a także paczkę listów, pisanych w pośpiechu, zwykle z przeprosinami, że nie wrócą do domu wtedy, gdy obiecali. Nigdy nie pytali go, jak mu się wiodło, co w szkole... Zawsze dostawał egzotyczne prezenty, które nie obchodziły małego chłopca, bo on pragnął jedynie tego, by rodzice wrócili do domu, chociaż na krótką chwilę.

Pamiętał, jak bardzo był rozczarowany któregoś razu, gdy czekając na nich, dowiedział się w ostatniej chwili, że czeka na darmo. Pamiętał, jak w miarę gdy dorastał, samotność i rozczarowanie zmieniło się w bunt i sprzeciw. Pamiętał gniew, jaki go ogarnął, gdy powiedziano mu, że rodzice zginęli w czasie jakiejś wyprawy do Egiptu. Pamiętał, jak zniechęcił ich za to, że umarli, że nie wrócili do domu, tak jak obiecali. Pamiętając o tym, zdawał sobie sprawę, jak musiała się czuć jego córka, gdy Fran odebrała sobie życie.

Wiedział, że zawinił wobec Jaime nie mniej niż matka. Był tak rzadko w domu, kiedy dziewczynka go potrzebowała, a zanosilo się na to, że będzie spędzała za granicą więcej czasu niż kiedykolwiek przedtem. Nawet jeśli zatrudniłby wykwalifikowaną guwernantkę, miał wrażenie, że Jaime będzie rosła dziko, bez określonego kierunku, pozbawiona związków uczuciowych, których na pewno potrzebowała.

Mimo że bardzo się starał, nigdy nie był zbyt surowy dla Jaime. Próbował być stanowczy, ponieważ wiedział,



że charakter dziewczynki tego wymaga, ale w końcu nigdy nie potrafił jej niczego odmówić. Niestety, jego słabość wyrządziła dziecku więcej krzywdy niż korzyści.

Wiedział, że Jaime nie jest rozmyślnie złośliwa - miała tylko żywy charakter. Jej ogromne zapasy energii, upór, naturalna ciekawość świata czyniły ją dzieckiem trudnym do prowadzenia. Nie wspominał o tym Warnerowi, ale prawda była taka, że żadna guwernantka nie chciała pozostać dłużej w jego domu, chociaż usilnie je namawiał. W ciągu osiemnastu miesięcy sześć zrezygnowało z posady, i to z tych samych powodów: uwielbiały Jaime, była cudownym dzieckiem, a on nie był złym pracodawcą. Ale nie potrafiły sobie poradzić z jej temperamentem. To było za wiele, jak na ich możliwości. Nawet Sadie, która była w ich domu przed urodzeniem dziewczynki, zaczęła się ostatnio skarżyć. Nie winił jej. Sadie była coraz starsza, a Jaime coraz trudniejsza do utrzymania w posłuszeństwie.

- Nie, dziękuję. - Odpawił gestem stewardesę proponującą drinka. Patrząc przez okno, dostrzegł znajome kształty drapaczy chmur na Manhattanie.

Zanim samolot wylądował na La Guardia, w głowie Jima zrodziło się rozwiązanie problemu.

**Ale** dlaczego, tato? - Jaime patrzyła na niego błagalnym spojrzeniem zielonych oczu. - Dlaczego?

Tym razem musiał być stanowczy. Dla jej własnego dobra.

- Ponieważ tak będzie dla ciebie najlepiej, księżniczko - powiedział. - Potrzebujesz towarzystwa dziewczynek w twoim wieku. Musisz się nauczyć, jak być małą damą.

- Cholerne bzdury!

- Dokładnie to mam na myśli. - Starał się nadać głosowi ostre brzmienie. - Te ciągłe walki i twój język są godne pożałowania.

- A jeśli przestanę klnąć i bić chłopaków, to zapomnisz o tym? - próbowała go przekupić.

Pohamował śmiech.

- Obawiam się, że nie. - Potrząsnął głową. - Wiesz, że dużo podróżuję. W ten sposób nie będziesz musiała być sama.

- Ale szkoła z internatem! - płaczliwie zawołała Jaime. - Tam jest tak okropnie!

- Skąd wiesz? Przecież nigdy tam nie byłaś.

- I nie chcę być. - Jaime wcisnęła ręce głęboko w kieszenie spodni, jak robiła zawsze, gdy była zła lub smutna.

- Nie będzie tak źle - zapewnił ją ojciec.

- Jasne, do diabła! wszystkie te nudne dziewczuchy w głupich sweterkach i kraciatych spódniczkach. I te ich maniery...

- Mogłabyś się nauczyć tych manier. Chociaż trochę.

- Gówno!

Spojrzał na nią z dezaprobatą.

- To jest właśnie to, co, mam nadzieję, zmienia damy z Briar Ridge - powiedział surowo. - Twój język, księżniczko, jest gorszy niż woźnicy.

Popatrzyła na niego błagalnie.

- Tato, ja chcę tu zostać - poprosiła miękko. - Chcę być z tobą i Sadie, mimo że czasami jest okropna.

- Sadie jest za stara, by dać ci taką opiekę, jakiej potrzebujesz, a wiesz doskonale, że ja spędzam tu jedynie połowę czasu - wyjaśniał cierpliwie. - Wybrałem dla ciebie to, co uważam za najlepsze, i nie zamierzam dać się od tego odwieść.

- Ale tato... - Była bliska łez.

- Nie ma żadnego ale - przerwał jej, potrząsając głową. - Chcę, byś została właściwie wychowana, księżniczko, bez względu na to, czy się to tobie podoba, czy nie.

Szkoła dla dziewcząt w Briar Ridge, położona w ma-

lowniczej okolicy koło Greenwich w stanie Connecticut, była uznawana za jedną z najlepszych szkół prywatnych w całej Nowej Anglii. Jej wychowankami były córki najbogatszych rodzin. Z zewnątrz przypominała starą, gregoriańską rezydencję, oddzieloną od drogi szerokim pasem zielonych trawników, w środku jednak była typową szkołą, pomimo antycznego umeblowania. Nauczycielki zajmowały pokoje na parterze, gdzie znajdowała się także kancelaria. Pierwsze piętro służyło jako internat dla pensjonariuszek, dziewcząt w wieku od sześciu do trzynastu lat. Sypialnie były dwuosobowe. Klasy mieściły się w bocznym skrzydle. Szkoła wyposażona była także w salę gimnastyczną, posiadała studio tańca i stajnie. Wszystko to urządzone było w odrębnych budynkach. Personel stanowiły inteligentne, wykształcone i dobrze wychowane damy, niewątpliwie dobierane bardzo starannie.

Jaime znienawidziła szkołę od pierwszej chwili, ale starała się jak mogła, odkąd odkryła, że ojciec na tym punkcie jest i będzie nieustępliwy. Mimo jej próśb, błagania, płaczu, a nawet kłótni - postanowienia nie zmienił. Najgorsze było to, iż on naprawdę był przekonany, że robił to dla jej dobra.

Z trudem powstrzymując łzy, weszła za szkolną administratorką, Anitą Raney, do pokoju, w którym miała mieszkać. Kobieta przedstawiła Jaime sublokatorkę - Andree Marler, śliczną blondyneczkę w jej wieku.

Andrea była niewysoka, dobrze wychowana i ubrana w jedną z tych grzecznych sukienek, których ona nienawidziła. Już tylko za to Jaime była gotowa znienawidzić ją natychmiast. Andrea okazała się jednak przyjazną, przyjacielską duszą i ciepło przywitała nową koleżankę, jakby znały się od lat.

- Mam nadzieję, że się polubimy - powiedziała, uśmiechając się szeroko. - Możesz nazywać mnie Andie. Wszyscy tak do mnie mówią.

Mimo że Jaime gotowa była wyszycić wszystko, co miało jakikolwiek związek z tą szkołą, z radością uściśnęła rękę dziewczynki.

- Jasne - odrzekła. - Jestem Jaime, a to jest mój tata.  
- Wskazała na stojącego za nią ojca.

- Okrutnie wysoki - skomentowała Andrea, patrząc do góry.

Jaime wzruszyła ramionami.

- Jak wszyscy w naszej rodzinie.

- Andrea, może oprowadzisz koleżankę po szkole, kiedy się rozpakuje - zaproponowała panna Raney.

- Oczywiście - odparła dziewczynka, wciąż z uśmiechem na ustach.

Gdy panna Raney wróciła do swego biura, a Andrea wyszła na chwilę, Jaime miała parę minut na pożegnanie z ojcem.

- Głowa do góry, księżniczko - powiedział Lynde, wycierając łzę, która uciekła z kącika jej oka i spłynęła po policzku. - Nie wyjeżdżam przecież na zawsze. Kiedy tylko będę w domu, zawsze zabiorę cię na weekend. Obiecuję.

- Mógłbyś mi to dać na piśmie? - zapytała, próbując się uśmiechnąć.

- Nawet podpisane krwią, jeśli chcesz - zgodził się.

- Nie, dziękuję. - Potrząsnęła głową. - To zbyt obrzydliwe.

Pocałował ją w czoło.

- Przyjadę po ciebie w piątek po południu, zaraz po ostatniej lekcji - obiecał. - Spędzimy razem wyjątkowo cudowny weekend.

Przytuliła się do niego mocno.

- Zawsze jest wyjątkowo cudownie, gdy robimy coś razem.

Chociaż Jaime nigdy nie pokochała życia w Briar Ridge, nauczyła się je tolerować. Oceny miała dobre,

nigdy nie uciekała z lekcji, ponieważ oznaczałoby to zakaz opuszczania szkoły na weekend, który zazwyczaj spędzała z ojcem. Była świetną tancerką. Jeździła konno lepiej od innych dziewcząt i szalenie lubiła pływanie. Zaprzyjaźniła się z Andrea; po raz pierwszy w życiu obdarzyła przyjaźnią dziewczynkę. Polubiła też inne koleżanki. Nigdy jednak, mimo zaproszeń, nie wyjeżdżała do ich domów na weekendy, ponieważ musiałaby je także zaprosić, a to oznaczałoby zakłócenie spotkań z ojcem. Wolała więc zostać w szkole. Nie chciała dzielić się z nikim cennym czasem spędzonym w dwoje.

Kiedy Lynde był w Nowym Jorku, przyjeżdżał po nią w piątek po południu i odwoził z powrotem w niedzielę późnym wieczorem. Panna Raney próbowała co prawda zniechęcić go do odwożenia dziecka zbyt późno, ale jej słowa zostały po prostu zignorowane.

- Proszę zrozumieć, ona jest wszystkim, co mam, a nie mamy zbyt wiele okazji, by się widywać - powtarzał Lynde. - Dopóki nie zasypia na lekcjach w poniedziałki, pani obawy są bezpodstawne.

W domu na Sound Beach robili wszystko, co zawsze lubili robić razem: jeździli konno, strzelali z łuku, żeglowali jachtem „Daysailer” po Long Island Sound, robili sobie zdjęcia aparatem, który dał jej na ósme urodziny. Lynde nie był dobrym fotografem. Natomiast Jaime, jak na swój wiek, uzyskiwała zdumiewające efekty. Robiła setki zdjęć: Sadie, swojego kucyka, ptaków na Sound - głównie jednak ojca. Lynde często się zastanawiał, które z nich lepiej bawiło się w czasie tych weekendów.

Był szczerze zdumiony faktem, że Jaime nigdy nie wspominała matki. Od dnia jej pogrzebu ani razu nie nawiązała w rozmowie do tego strasznego popołudnia. W ogóle nie mówiła o matce. Wiedział, że rana wciąż jeszcze się nie zagoiła. Nawet teraz, po trzech latach,

nieraz słyszał wieczorami, jak Jaime, leżąc w łóżku, płacze. Nie pytał jej o przyczynę łez. Wolał zostawić to własnemu biegowi.

Któregoś dnia wreszcie przemówiła. Szli boso po plaży wzdłuż Sound, gdy nagle spytała:

- Dlaczego mama umarła, tato?

Pytanie, które padło tak niespodziewanie, zaskoczyło go całkowicie.

Spojrzał na nią oszołomiony. Żadnych wstępów, żadnego kluczenia. Po prostu zadała pytanie i od razu w samo sedno, jak strzał w serce. To była cała jego córka - kładła wszystkie swoje karty od razu na stół, szczerze i bezpośrednio.

- Dlaczego? - powtórzył pytanie, chcąc zyskać na czasie, by dać jej odpowiedź rozsądniejszą niż: Była nieszczęśliwa, więc się zabiła. Szukał w myślach odpowiednich słów, by wyjaśnić dziecku to, co dręczyło go przez ostatnie lata.

Jaime spojrzała na ojca. Jej mała buzia była poważna.

- Dlaczego ona była taka nieszczęśliwa? - powtórzyła. Westchnął.

- Cóż, księżniczko. - Przysiadł na piasku. - Myślę, że twoja matka była nieszczęśliwa, ponieważ pragnęła czegoś, czego nie mogła znaleźć.

- I dlatego umarła?

Przytaknął.

- Kiedy ludzie pragną rzeczy, których nie mogą mieć, dręczy ich to tak, że pewnego dnia po prostu przestają żyć.

- I to ją zabiło?

- Obawiam się, że tak, księżniczko.

- Jak myślisz, czy ona mnie w ogóle kochała, tato? - zapytała ze smutkiem w oczach.

Nie mógł uwierzyć, że tak po prostu wyraziła swoją niepewność co do uczuć, jakie żywiła do niej Fran.

- Oczywiście, że tak - powiedział pewnym głosem. -

Twoja mama kochała cię od chwili, w której się urodziłaś. - Nie był o tym przekonany, ale nie mógł jej nic innego powiedzieć. Była zbyt mała, by zrozumieć. On sam nie rozumiał. - Mama była chora. Była tak nieszczęśliwa, że zachorowała. Nie potrafiła okazać swojej miłości, mimo że ją czuła.

Jaime spojrzała mu w oczy. Jej twarzyczka była lustrzanym odbiciem jego twarzy.

- Mnie się to nigdy nie zdarzy, tato - powiedziała zdecydowanym głosem. - Nie pozwolę na to. Wszystko, czego będę pragnęła, zdobędę!

Roześmiał się i zwichrzył jej włosy.

- Nie wątpię w to ani przez chwilę, księżniczko.

Dlaczego musisz jechać do Paryża, tato? - pytała Jaime, gdy jechali aleją w stronę Briar Ridge. - Tak niedługo Boże Narodzenie.

- Wiem, księżniczko, ale nic na to nie poradzimy. Taka jest moja praca - przypomniał jej.

- Nienawidzę twojej pracy. - Nadała się.

- Czasami ja też - przyznał.

Jak zawsze był rozdarty pomiędzy miłością do córki i pragnieniem wspólnego spędzania z nią czasu a nęcącym ryzykiem pracy. Przypuszczał, że ma we krwi potrzebę podróżowania, stawiania życia na jedną kartę. Było to dziedzictwo genetyczne, które otrzymał od rodziców. Podczas wojny, we Francji, był ciągle na granicy życia i śmierci. Każdy dzień był nowym wyzwaniem w grze z wrogiem. Koniec wojny uwolnił go od takiego napięcia. Teraz jednak, gdy podróżował do Związku Radzieckiego, do samego Kremla niemalże, znów poczuł dreszcz, który go przenikał, jak wtedy w Paryżu. Był mu potrzebny do życia jak woda, powietrze i jedzenie. Musiał być aktywny, robić to, co potrafił najlepiej, ale jednocześnie czuł się winny wobec córki, że znowu zostawia ją samą. Zwłaszcza teraz.

- Wrócisz na Boże Narodzenie? - upewniała się Jaime.

- Nie wiem, księżniczko - odparł szczerze. - Ale będę próbował. - Sięgnął po jej małą rękę i uścisnął ją pocieszająco. - Przywiozę ci coś super.

- Chcę tylko ciebie, tato. To jest wystarczająco super.

Zaparkował samochód przed budynkiem szkoły. Patrzyła w milczeniu, jak wysiadł i obszedł samochód, by otworzyć drzwi z jej strony. Wyjmując walizkę z tylnego siedzenia, zawahał się, zauważywszy smutny wyraz jej twarzy.

- Nie będzie tak źle, księżniczko.

- Potrzebuję cię, tato. Wiesz o tym.

- A ja ciebie - zapewnił ją szybko. - Ale muszę pracować, zdajesz sobie z tego sprawę. Poza tym potrzebujesz też koleżanek w twoim wieku. I nauczycielek, pań, które nauczą cię wszystkiego, czego ja nie potrafię.

- Mogę się tego wszystkiego nauczyć od babci albo ciotki Kate.

- Księżniczko, przecież z babcią nie widziałaś się już od dłuższego czasu, a ciotka Kate mieszka ze swoim mężem w Waszyngtonie - przypomniał jej.

Jaime się skrzywiła.

- Dlaczego nienawidzę wszystkiego, co jest dla mnie najlepsze?

- To, kochanie, jest jednym z niepisanych praw natury - odpowiedział szczerze.

Jaime siedziała przy biurku w swoim pokoju, dzielnym z Andrea, i wpatrywała się w szare grudniowe niebo. Za oknem było ponuro. Zastanawiała się, czy spadnie śnieg. Wszystkie dziewczynki chciały, żeby Boże Narodzenie było białe. Wszystkie, oprócz mnie - myślała z przygnębieniem. - Ja chciałabym, żeby pogoda była dobra i żeby tato mógł przylecieć do domu.

Ostatnio coś ją zaniepokoiło. Nie bardzo rozumiała,



co się mogło stać. Kiedy ojciec był w podróży, pisywał do niej zazwyczaj co najmniej raz w tygodniu. Przysyłał pocztówki i prezenty. Tym razem nie dawał znaku życia. Może chce zrobić mi niespodziankę - pomyślała.

Była niespokojna o wyniki egzaminu z matematyki. Boże, jak bardzo nienawidzę tego przedmiotu. Na cóż komukolwiek na świecie może być potrzebna matematyka? - zastanawiała się. Spojrzała na leżący przed nią list od ciotki Kate z Waszyngtonu. Zapraszała ją na święta, gdyby ojciec nie wrócił do domu. Mimo że kochała ciotkę, miała nadzieję, że nie będzie musiała skorzystać z gościny w jej domu. Jediną osobą, z którą chciała spędzić święta, był ojciec.

Wzięła do ręki oprawioną w ramki fotografię ojca, która zawsze stała na jej biurku. Zrobiła ją sama. Każdy, kto oglądał wykonane przez nią zdjęcia, uważał, że w przyszłości może być fotografem. Sama nigdy o tym nie myślała. Robiła zdjęcia dla przyjemności, bez określonego celu. Jak na przykład to, kiedy sfotografowała ojca podczas jednego z tych cudownych weekendów na plaży.

- Jaime - Andrea wpadła zdyszana do pokoju. - Go dzilla Raney cię szuka. Masz zaraz przyjść do jej biura!

- Po co? - zapytała Jaime z ciężkim westchnieniem i podniosła się z krzesła. - Co znowu zrobiłam?

- Nic, o ile mi wiadomo - odparła Andrea. - Ktoś do ciebie przyjechał, twoja ciotka i wuj, jak sądzę.

Jaime nie ukrywała zdumienia.

- Moja ciotka Kate?

Andrea wzruszyła ramionami.

- Myślę, że tak.

- To musi być ona. Nie mam innej ciotki - zdecydowała Jaime, wkładając buty.

Idąc wzdłuż pustego korytarza, zastanawiała się, po cóż mogła przyjechać ciotka Kate. Czy po to, by zabrać ją na święta do Waszyngtonu? A może wiedziała coś

o ojcu? Może ojciec napisał do Kate, że nie wraca na święta? Oczywiście. To musiało być to. Serce Jaime uspokoiło się. Mogę jedynie wykorzystać sytuację - pomyślała, zatrzymując się u szczytu schodów. Rozejrzała się, czy nikt jej nie widzi, po czym wskoczyła na poręcz i zjechała na sam dół. Zeskoczyła lekko na podłogę i pobiegła do biura Anity Raney.

- Panno Raney, Andie mówiła, że mam przyjść. - Zatrzymała się gwałtownie w drzwiach.

Mężczyzna i kobieta, siedzący przed biurkiem administratorki, nie byli jej wujem i ciotką. Nigdy ich nie widziała. Mieli około pięćdziesiątki, byli staromodnie ubrani, oboje z siwizną na skroniach. Dziewczynka przebiegła myślami wszystkie znane jej opowieści o ludziach, którzy porywali dzieci ze szkół, podając się za krewnych.

- Nigdy nie widziałam tych państwa - powiedziała stanowczo. - To nie jest moja ciotka ani wuj.

- Oczywiście, że tak, moja droga. - Nieznajoma wstała i podeszła do niej. Jaime cofnęła się o krok. - Nie znasz nas, ponieważ nie spotykaliśmy się z twoim ojcem, a moim bratem, od wielu lat. Ostatnio widzieliśmy go na trzy lata przed twoim urodzeniem. Jestem ciotka Alice, a to jest twój wuj, a mój mąż, Joseph Harcourt.

- Gdzie jest mój ojciec? - zapytała Jaime, teraz już pewna, że coś nie jest w porządku.

- Porozmawiamy o tym, gdy będziemy w domu - odparła kobieta.

- W domu? - Jaime nastroszyła się. Jej oczy błyszczały gniewem. - Nigdzie z wami nie pojedę, jeżeli się nie dowiem, gdzie jest mój ojciec i dlaczego do mnie nie pisze!

- Jaime, kochanie...

- Proszę mnie nie dotykać! - krzyknęła, odpychając kobietę gwałtownie.

- Dobrze więc - powiedziała Alice z rezygnacją. - Nie

#### WIĘZY KRWI

chciałam mówić ci o tym w ten sposób, ale nie pozostawiasz mi wyboru. Zdarzył się wypadek. Twój ojciec... Twój ojciec zginął w katastrofie lotniczej. On nie żyje, moje dziecko.

Jaime potrząsnęła głową, gdyż pokój wokół niej zaczął gwałtownie wirować. Nagle wszystko ogarnęła ciemność.

# 8

**Jaime** siedziała wciśnięta w kąt tylnego siedzenia samochodu, którym człowiek podający się za jej wujka wiozł ją przez Westcher County. Kobieta oglądała się na nią od czasu do czasu, ale nic nie mówiła. Jaime także nie odzywała się ani słowem. Ciągle nie mogła się otrząsnąć po **tym**, co powiedzieli jej w szkole. Ojciec nie żyje. Nie przyjmowała tego do wiadomości. To nie mogła być prawda. A jeśli to nie jest prawda, dlaczego nie dawał znaku życia? Wiedziałyby cokolwiek. Czy dlatego nie było od niego żadnej wiadomości, listu czy pocztówki, które zwykle przysyłał? Chciała płakać, lecz nie mogła. Czuła tylko tępy ból. Czy naprawdę zemdląca tam, w pokoju panny Raney? Nie pamiętała.

Nie chciała wyjeżdżać z Briar Ridge z tymi ludźmi. Wciąż nie była pewna, czy im wierzyć. Czuła jednak, że powinna. Gdy zabrakło ojca, dokąd mogła pójść? Do dziadków? Nie widziała ich od śmierci matki. Z tego, co wiedziała, prawdopodobnie nie chcieli jej widzieć. A ciotka Kate? Wizyta to inna sprawa, ale czy mąż Kate, z którym niedawno się pobrała, wyraziłby zgodę na to, by z nimi mogła zamieszkać? Może nie lubi dzieci. Może nie polubiłby jej. Czy Sadie nie mówiła jej nieraz, że nie jest „normalną” dziewczynką?

Spojrzała na pudełko, które trzymała na kolanach. Powoli podniosła przykrywkę. W środku leżały listy

i pocztówki, które dostała od ojca. Była tam też pozytywka, prezent od niego na dziewiąte urodziny. Piękny, mosiężny koń z rogiem na łbie. „Jednorożec” - powiedział ojciec. Widziała takiego na obrazku w książce o mitach, którą znalazła w bibliotece w Briar Ridge.

Ostrożnie wyjęła pozytywkę z pudełka i nacisnęła mały przycisk z boku grubej okrągłej podstawy. Jednorożec zaczął się powoli obracać. Rozległa się melodia *The Impossible Dream*.

Jaime zacisnęła powieki. Melodia przywołała wspomnienia tej nocy, gdy ojciec zabrał ją do teatru **na Człowieka z La Manchy**. Oczyma wyobraźni widziała siebie siedzącą obok niego w ciemnej sali, z małą dłonią schowaną w jego dużej ręce. Pamiętała restaurację, do której poszli przed przedstawieniem, gdzie ojciec poprosił kelnera o przyniesienie „jego dziewczynce” **dużych** lodów czekoladowych.

Czy naprawdę ciebie już nie **ma**, tato? - pomyślała. - Czy naprawdę umarłeś?

**Musisz** coś zjeść - powiedziała Alice, wchodząc **do** sypialni Jaime z tacą, **na** której Sadie przygotowała kolację. - Mamy **tu** wszystko, **co** lubisz najbardziej: pizzę, ciasto z wiśniami i...

- Tato nie pozwolił **mi** jeść takich rzeczy **na** kolację. Tylko **na** specjalne okazje - przerwała jej Jaime, nie spojrzawszy nawet w stronę kobiety. Siedziała skulona **na** parapecie okna wychodzącego **na** Sound.

- Myślę, że możesz raz zrobić wyjątek - łagodnie zaproponowała Alice, stawiając tacę **na** wiklinowym stole w drugim końcu pokoju.

- Nie sądzę. Ale dziękuję pani. - Dziewczynka wciąż patrzyła w okno.

Pani Harcourt uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Nie musisz być taka oficjalna, kochanie - powiedziała. - Jestem twoją cicią. Stanowimy rodzinę.

- Być może, proszę pani, ale ja wciąż pani nie znam.  
 - Jaime mówiła powoli i dobitnie. - Jest pani dla mnie obcą osobą. Nigdy przedtem pani nie widziałam, a tato nigdy o pani nie wspominał.

- Nie dziwię się - odparła Alice. - Nie byliśmy sobie zbyt bliscy.

- Więc dlaczego chcecie się mną zajmować? Skąd mam mieć pewność, że jest pani moją ciotką? Skąd mam wiedzieć, że tato nie żyje?

Kobieta wyprostowała się i nabrała głęboko powietrza.

- Jaime, mówiliśmy już o tym - tłumaczyła cicho. - Twój ojciec nie wróci. Musisz to zrozumieć. Wuj i ja jesteśmy teraz twoimi prawnymi opiekunami.

- Co to znaczy? - zapytała Jaime, nie odwracając głowy od okna.

- To znaczy - zaczęła Alice, próbując znaleźć słowa zrozumiałe dla dziecka - że kiedy dowiedzieliśmy się o śmierci twojego ojca, poszliśmy do sądu i zostaliśmy ogłoszeni twoimi opiekunami do czasu uzyskania przez ciebie pełnoletności.

- Czego?

- Ukończenia przez ciebie osiemnastu lat.

Jaime skinęła głową.

- Zrobiliście to okropnie szybko.

- Musieliśmy - stwierdziła Alice. - Nie miałaś nikogo...

- A co z moją ciotką Kate? Ją przynajmniej znam.

- Twoja ciotka wiele podróżuje. Wiesz o tym. Nie mogłaby zapewnić ci dostatecznej opieki.

Jaime odwróciła się, po raz pierwszy patrząc kobiecie w oczy.

- Czy mój ojciec naprawdę nie żyje, czy tylko tak mówicie? - zapytała.

- Tłumaczyłam ci już w szkole.

Dziewczynka przerwała jej.

- Wiem, co mi pani mówiła - powiedziała ostro. - Czy to jest prawda, czy tylko powiedzieliście to pannie Rane, po to tylko, żeby mnie zabrać ze szkoły?

- Dlaczego zadajesz takie pytania? - zaczęła ostrożnie Alice. - Dlaczego mielibyśmy cię okłamywać w tak poważnej sprawie?

Jaime zeskoczyła z parapetu i podeszła bliżej.

- Nie wiem - przyznała się otwarcie. - Wiem tylko, że praca taty była dziwna. Inna niż praca ojców moich koleżanek.

- Inna? Jaka inna? - dopytywała się Alice.

- Po prostu inna. - Wzruszyła ramionami.

- Czy ojciec rozmawiał z tobą o swojej pracy?

- Nie bardzo. W każdym razie niewiele. - Podeszła do stolika z tacą. - Jak on umarł?

- Mówiłam ci, w katastrofie. - Kobieta była wyraźnie zdenerwowana.

- Gdzie? Jak to się stało?

Alice zawahała się.

- W Rzymie. Wylatywał z Rzymu, by spędzić z tobą Boże Narodzenie i...

- Mój tato nie był w Rzymie - powiedziała Jaime szybko. - I nie miał wrócić do domu. Był w Paryżu. Tak mi powiedział przed wyjazdem. Miał tam sprawy do załatwienia, a potem miał pojechać do Londynu. Mówił, że zadzwoni do szkoły, by mi powiedzieć, kiedy wraca, żebym mogła spędzić święta u którejś ze szkolnych koleżanek albo u ciotki Kate, gdyby musiał pozostać.

Alice przełknęła ślinę.

- Jaime, nie chciałam, żebyś o tym wiedziała. Jesteś za mała, by słyszeć takie rzeczy, ale twój ojciec nie był tam, gdzie ci powiedział.

Dziecko spojrzało na nią podejrzliwie.

- To znaczy?

- Usiądź, proszę. - Alice klepnęła miejsce na łóżku obok siebie.

- Wolałabym stać, jeśli to pani nie przeszkadza. -  
Przesunęła widelczyk po talerzu.

Kobieta skinęła głową zrezygnowana.

- Dobrze więc. - Zawahała się. - Wiesz, kim był twój ojciec, prawda?

Jaime zmarszczyła brwi.

- Bankierem.

- Coś w tym rodzaju. Pracował w dużej firmie inwestycyjnej. Załatwiał wiele interesów w obcych krajach. Czasami był odpowiedzialny za ogromne sumy pieniędzy.

- Więc cóż?

- Twój ojciec miał do załatwienia sprawę w Rzymie, nie w Paryżu, jak ci powiedział - wyjaśniła Alice cicho.

- Skąd pani to wszystko wie? - zapytała Jaime wyzywająco. - Mówiła pani, że nie byliście zbyt blisko z moim ojcem.

- Nie byliśmy. Dowiedziałam się tego wszystkiego, gdy mieliśmy odebrać cię ze szkoły.

- Od kogo? - Jaime nie dawała za wygraną. - Kto kazał wam przyjechać po mnie?

- To naprawdę nie ma teraz znaczenia.

- Dla mnie ma - upierała się.

Alice zignorowała pytania dziewczynki.

- Jaime, tu chodzi o to, że twój ojciec przywłaszczył sobie wielką sumę pieniędzy, które nie należały do niego. Zamierzał z nimi uciec, ale samolot się rozbił.

Dziewczynka gwałtownie potrząsnęła głową.

- Nie. Mój tato nie zrobiłby czegoś takiego. Nie wierzę w to. I nie obchodzi mnie, co mówi pani i wszyscy inni.

Głos kobiety złagodniał, był niemal przeproszający.

- Przykro mi, mała. Nie chciałam, żebyś się dowiedziała o tym wszystkim. Twój ojciec nigdy nie zamierzał wrócić do domu.

- Kłamstwo! - wrzasnęła Jaime i chwyciwszy z tacy



szklanek mleka, cisnęła nią w Alice. - Pani kłamie! - Szklanka rozbiła się na podłodze. Dziewczynka wybiegła z pokoju, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi.

**Jaime** siedziała nieruchomo na wielkim gładzie leżącym na plaży, wpatrując się bezmyślnie w spokojną ciemność nad Long Island Sound. Oczy miała podpuchnięte i zaczerwienione od płaczu, włosy przykleiły jej się do mokrych od łez policzków. Wiał przenikliwy, silny wiatr. Było zimno, ale dla niej to nie miało znaczenia. Już nie. Nie obchodziło jej, czy zamarznie tu na śmierć. Nigdy nie wróci do domu. Przenigdy. Alice mówiła tak podle o jej ojcu, że nie chciała nigdy więcej widzieć tej kobiety.

- Tak myślałem, że cię tu znajdę.

Jaime spojrzała w stronę, skąd dochodził głos. O kilka stóp od niej stał Joseph Harcourt, owinięty w gruby płaszcz. Patrzył na nią ze smutnym uśmiechem.

- Nie wrócę do domu - powiedziała. - Nie może mnie pan zmusić.

- Mógłbym - zaprzeczył jej. - Ale nie chcę.

Przyglądała mu się, niepewna, czy dobrze go rozumiała.

- Chcę, żebyś wróciła z własnej woli.

Potrząsnęła głową przecząco.

- Niemożliwe. Nie chcę nigdy więcej widzieć tej kobiety.

Joseph uśmiechnął się.

- Przez „tę kobietę” rozumiesz zapewne twoją ciotkę?

Przytaknęła, marszcząc brwi.

- Ona skłamała. Wiem, że tak.

Zawahał się na chwilę.

- Nie, Jaime - zaprzeczył łagodnie, siadając obok niej. - Alice powiedziała ci wszystko, co powiedziano nam.

- Tato nie zrobiłby tego wszystkiego, o czym ona mówiła - upierała się chmurnie.

Popatrzył na nią ze zrozumieniem.

- Wiem, jak bardzo kochasz ojca i jak mocno w niego wierzysz. I prawdę mówiąc, nikt z nas nie może wiedzieć, co naprawdę się zdarzyło. - Objął ją ramieniem i popatrzył na jej buzię. - Przecież ty zmarzłaś! Dam ci mój płaszcz.

- Nic mi nie jest - powiedziała szybko.

- Może to oni się mylą - dodał.

- Na pewno oni się mylą - podchwyciła. - Wiem, że tak.

- Jestem przekonany, że cię kochał, i wiem, że jeśli byłby jakiś sposób, by wrócić do ciebie, zrobiłby to na pewno.

- Może pan być pewny - przerwała mu. - Czy on naprawdę nie żyje? To znaczy, że przyślą nam jego zwłoki, żebyśmy mogli go pochować, tak jak mamę?

Zmarszczył brwi.

- Nie mogą tego zrobić.

Spojrzała na niego pytająco.

- Dlaczego nie?

Mężczyzna wciągnął głęboki oddech.

- Jaime, samolot rozbił się doszczętnie i wszystko się spaliło. Niewiele zostało.

Dziewczynka drgnęła.

- To może mój tato w ogóle nie umarł?! - Uśmiechnęła się po raz pierwszy z nadzieją.

- Jego nazwisko było na liście pasażerów - powiedział Harcourt poważnie.

- Tato często robił rezerwacje, a potem z nich rezygnował - przypomniała sobie. - Jego praca była tak zważowana, że często do ostatniej chwili nie wiedział...

- Jaime, nie powinnaś robić sobie takich nadziei - zaczął.

Przerwała mu, potrząsając głową.

- Czy pan nie rozumie? Jeśli tato żyje, wróci do mnie. Wiem, że wróci.

Przytulił ją do siebie.

- Mam nadzieję, że masz rację, dziecko, dla twojego dobra.

Nie miała pojęcia, jak bardzo tego pragnął.

W miarę jak mijały dni, początkowe nadzieje Jaime stopniowo znikwały. Zdarzało się, że nocami płakała. Większość czasu spędzała zamknięta na klucz w swojej sypialni lub na samotnych spacerach wzdłuż Sound. Rzadko chodziła do stajni, pozostawiając stajennym troskę o kucyka. Straciła zainteresowanie wszystkim, co kiedyś tak ją zajmowało. Nie rozmawiała z nikim, z wyjątkiem Josepha, i jak mogła unikała Alice.

Mimo początkowych protestów ciotki, wszystkie posiłki jadła w swoim pokoju. Tam też samotnie spędzała wieczory, słuchając muzyki i oglądając zdjęcia w albumie. Czasami długo przyglądała się fotografii Fran w sukni ślubnej, jak gdyby chciała zajrzeć w duszę matki. Próbowała ją zrozumieć, odkryć, co sprawiło, że matka nie mogła jej pokochać.

Byłaś piękna, mamó. Wyglądasz na taką szczęśliwą - rozmyślała Jaime, gładząc palcami zdjęcie. - Dlaczego nie pamiętam cię szczęśliwej? Dlaczego nie mam żadnych dobrych wspomnień o tobie, o tym, że mnie kochałaś?

Później przechodziła do fotografii ojca - tej ulubionej, którą sama zrobiła. Opierał się o płot koło stajni, ubrany w niebieską koszulę i szarą marynarkę. Uśmiechał się. Był szczęśliwy. Wszystkie jej wspomnienia z ojcem były szczęśliwe. Kochała go bardziej niż kogokolwiek i cokolwiek na świecie - i wiedziała na pewno, że on też ją kochał. Nigdy by jej nie porzucił, gdyby nie musiał.

- Jeżeli żyjesz, tato, wrócisz do mnie. Wiem, że wrócisz.

**Chcę** wrócić do Briar Ridge - powiedziała Jaime przy śniadaniu którejś niedzieli.

Minał już miesiąc, odkąd Harcourtowie przywieźli ją na Sound Beach. Tego dnia po raz pierwszy zeszła do jadalni, by zjeść wspólnie posiłek.

Alice wyglądała na zaniepokojoną. Przysunęła mężowi koszyczek z pieczywem.

- Czy jesteś tego pewne, moje dziecko?

Dziewczynka przytaknęła.

- Sądzę, że powinnam - powiedziała po prostu. - Zostałam już tak bardzo w tyle z lekcjami, że wiele czasu zajmie mi nadrabianie zaległości.

- Nie to mam na myśli, kochanie - odparła Alice, patrząc, jak Sadie nalewa małej drugą szklanekę soku pomarańczowego. - Myślałam, że może chciałabyś zostać tutaj i chodzić do szkoły gdzieś bliżej domu.

Jaime, biorąc herbatnika, potrząsnęła głową.

- Nie chcę. - Nabrała nożem trochę masła. - Tato wybrał Briar Ridge i jestem pewna, że uważał ją za najlepszą dla mnie. Z początku jej nie lubiłam, ale teraz, kiedy taty już nie ma, jest inaczej. Ta szkoła jest bardziej moim domem niż ten tutaj. Tam mam przyjaciółkę. - Przerwała. - Nie, nie chcę zmieniać szkoły. Zbyt wiele już się zmieniło.

- Jeśli naprawdę tego chcesz, to w porządku - powiedział szybko Harcourt, po czym zwrócił się do żony: - Prawda, Alice?

- Tak, oczywiście - zgodziła się jakby niechętnie.

- Dziękuję. - Jaime odłożyła sztucce i zmusiła się do uśmiechu. - Czy mogę odejść?

- Oczywiście.

Wstała, wyszła z pokoju i pobiegła na górę. Słyszając jej spieszne kroki, Alice odwróciła się do męża z wyrzutem:

- Jak mogłeś się zgodzić, by wróciła do Briar Ridge, nie podejmując nawet próby wybicia jej tego z głowy? - szeptała poirytowanym głosem.

- Sama słyszałaś, że to jedyne miejsce, gdzie czuje się swojsko. - Skończył pić kawę. - Dzieciak ma całkowitą rację. Tam są jej przyjaciele. To wszystko, co jej zostało.

Alice sprawdziła, czy Sadie nie znajduje się w zasięgu słuchu.

- A jeśli on spróbuje się z nią skontaktować? Jeśli do niej napisze lub zadzwoni?

- Za bardzo się martwisz, kochanie - powiedział z uśmiechem. - Nawet jeśli, to Anita Raney poinformuje nas o tym natychmiast

- Chciałabym mieć tę pewność co ty.

- Możesz być spokojna. Poza tym, nie wierzę, żeby Lynde zrobił coś głupiego.

**Jaime**, tak się cieszę, że wróciłaś - mówiła Andrea, pomagając jej się rozpakować. - Odkąd wyjechałaś, nic już nie było takie samo.

Jaime uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Możesz mi nie wierzyć, ale naprawdę dobrze jest być tu z powrotem - odparła bez entuzjazmu, wkładając sweter do szuflady.

- Co się stało z twoim ojcem? - zapytała Andie. - Judy mówiła, że Carol podsłuchiwała, jak panna Raney mówiła do panny Harrold, że twój tata miał jakieś kłopoty, gdy jego samolot się rozbił...

- Nie chcę o tym mówić - przerwała jej ostro Jaime.

Koleżanka przyglądała się jej przez chwilę.

- A więc to prawda?

- Nie, do diabła, to nie jest prawda! - krzyknęła Jaime, z hukiem zatrzaskując walizkę. Odwróciła się twarzą do przyjaciółki. - Mój ojciec został oskarżony o coś, czego nie zrobił. I nie ma go tu, aby mógł się bronić. Możesz to powiedzieć i Judy, i Carol, i pannie Raney, i pannie Harrold, i wszystkim, którzy wtykają nos w nie swoje sprawy.

- Przepraszam - wyjąkała Andie. - Nie chciałam...

**Jaime** machnęła ręką.

- W porządku. - Westchnęła. - Nie chciałam na ciebie krzyczeć.

- Nic się nie stało - odparła Andrea, wzruszając ramionami. - Myślę, że czułabym się tak samo, gdyby to o moim ojcu tak mówiono. - Przerwała. - A może chcesz kakao? Mogę pójść zobaczyć, czy mi dadzą.

**Jaime** skinęła głową.

- Świetnie. Dziękuję.

Właściwie nie miała ochoty na kakao, ale chciała, by Andrea wyszła. Potrzebowała samotności, chociaż na parę minut. Kiedy za koleżanką zamknęły się drzwi, wyjęła pozytywkę z jednoróżcem i ustawiła ją na nocnym stoliku. Siedząc na skraju łóżka, przez dłuższą chwilę wpatrywała się w mosiężną figurkę, po czym włączyła mechanizm. Słuchając dźwięków znajomej melodii, obserwowwała, jak powoli się obraca, i łzy napłynęły jej do oczu.

- Dlaczego, tato? Dlaczego mnie opuściłeś?

**Na** dole w swoim biurze Anita Raney rozmawiała przez telefon z Alice Harcourt.

- Prosiła pani o informację, jeśli ojciec **Jaime** będzie próbował się z nią skontaktować - mówiła, patrząc na dużą paczkę leżącą na jej biurku. - Właśnie przyszła jakaś paczka. Słucham? Nie, nie jestem pewna. Nie ma adresu zwrotnego, ale jest nadana z Paryża.

# 9

## *Sound Beach, kwiecień 1978*

**Jaime** szła bosą po plaży wzdłuż Sound. Miała na sobie jasne dżinsy podwinięte do kolan i białą koszulę, której rękawy zawinęła do łokci. Jej długie ciemnorude włosy powiewały na wietrze. Skierowała aparat fotograficzny na oddaloną żaglówkę, sprawdziła światłomierz, nastawiła i pstryknęła. Zmieniła przesłonę i powtórzyła motyw jeszcze raz.

Odłożyła swojego Nikona. Obserwowała łódkę przez dłuższą chwilę, w końcu odwróciła się i ruszyła w kierunku domu. Plaża była wciąż jej ulubionym miejscem, gdzie przychodziła, kiedy chciała być sama, gdy potrzebowała spokoju do rozmyślań. Kochała to miejsce, ponieważ ojciec zawsze ją tu zabierał.

Tato - myślała ze smutkiem. - Chyba rzeczywiście zginąłeś. To musiała być prawda, bo wiem, że nigdy nie zostawiłbyś mnie na tak długo, jeśli byś żył. Gdybyś mógł wrócić... Wiem, że wróciłbyś.

Nawet teraz, prawie dwanaście lat później, ból odczuwany przez Jaime był tak samo mocny, jak tego ranka, gdy Alice i Joseph Harcourt przyjechali po nią do Briar Ridge. Nigdy nie zapomni tego dnia.

***Kłamiecie! - krzychała. - Mój tato nie umarł! Nie umarł!***

***Kobieta, która podawała się za jej ciotkę, dziwna kobieta,***

*której nigdy przedtem nie widziała, o której ojciec nigdy jej nie mówił, próbowała ją objąć, ale Jaime wyrwała się.*

*- Wiem, że to musi być dla ciebie straszny szok, kochanie - mówiła kobieta cierpliwie. - Ale to prawda. Twój ojciec nie żyje, choć wiele bym dała, by nie przywozić ci tak strasznej wiadomości.*

*- Nie! - Jaime odwróciła się i wybiegła z pokoju, zanim ktokolwiek zdołał ją powstrzymać.*

*Nie zatrzymując się po drodze, wbiegła do łazienki na dolnym korytarzu. Przecisnąwszy się między dwiema koleżankami, wpadła do jednej z kabin i runęła na kolana. Wymiotowała długo, obejmując ramionami zimną, porcelanową muszlę.*

*- Jaime...*

*Głos zza jej pleców dochodził do niej słabo, jakby oddalony o wiele mil. Poczwała na ramieniu czyjaś dłoń. To była panna Raney.*

*- Proszę odejść. - Jaime płakała. - Proszę mnie zostawić.*

*- Przykro mi. - Głos administratorki brzmiał lekko.*

*- On nie umarł - upierała się dziewczynka. - Wiem, że nie!*

*- Wiem, jak musisz się czuć.*

*- Nie, nie wie pani. Nie może pani wiedzieć, jak się czuję. Jaime wciąż klęczała na podłodze, obejmując muszlę, jakby to było koło ratunkowe.*

*- Musisz iść na górę i spakować swoje rzeczy.*

*Potrząsnęła głową.*

*- Nie jadę z nimi*

*- Ale musisz. To twoja ciotka i wuj. Są twoimi prawnymi opiekunami.*

*- Nie obchodzi mnie, kim są. Nie znam ich i nie zamierzam z nimi pojechać.*

A jednak pojechała z nimi, ponieważ nie miała wyboru.

Pamiętała uczucia zagubienia, przerażenia i osamot-



nienia, ogarniające ją z siłą, jakiej w życiu jeszcze nie zaznała. Nawet utrata matki nie była tak bolesna. Mimo że Jaime przeżyła tę stratę mocno, tak naprawdę nie miała już matki na długo przed jej śmiercią. Wiele lat później uświadomiła sobie, że zawsze miała wrażenie, jak gdyby życie w ogóle pozbawiło ją matki. Fran, odwracając się od córki, sprawiła, że dziecko czuło się nie chciane i nie kochane. Ojciec rekompensował jej w dużym stopniu ten brak uczuć ze strony matki. Utraciwszy i jego, poczuła, że cały świat legł w gruzach.

Łza wymknęła jej się spod powieki i stoczyła się po policzku. Jaime szła dalej, odgarniając włosy z twarzy. Zimny wiatr znad Sound smagał jej ciało. Spojrzała w górę, na ciemne chmury pędzące po niebie. Zaczęło padać. Tego dnia, kiedy Alice powiedziała jej o śmierci ojca, też padało.

**Jak** ci idzie w Princeton? - zapytał Harcourt przy kolacji.

Kiedy Jaime przyjechała do domu na ferie wiosenne, wuj Joseph był w jednej ze swoich tajemniczych podróży służbowych do Waszyngtonu. Wrócił dopiero tego popołudnia.

- Jak zwykle. - Jaime sięgnęła po kromkę chleba. - Egzamininy na koniec semestru kosztowały mnie wiele nerwów, ale myślę, że zdałam wszystkie.

Harcourt uśmiechnął się.

- Mówisz tak, jakbyś z ledwością dawała sobie radę - powiedział, delikatnie ją strofując. Wiedział, że jest świetną studentką i zdaje zawsze na najwyższe oceny.

Skrzywiła się.

- Powiedzmy, że zapaliłam kilka świeczek w pewnym miejscu, by przejść bezpiecznie tych ostatnich kilka tygodni.

Mimo że Jaime odwróciła się plecami do wiary katolickiej, w której ją wychowano (było to jedyne ustępstwo

ojca na rzecz Colleen Colby, matki Fran), w chwilach krytycznych wciąż jeszcze powracała do tradycji Kościoła.

- Ależ przestań, Jaime - wtrąciła Alice. - Nie było przecież tak źle.

- Gorzej - stwierdziła Jaime, atakując swój talerz z taką energią, jakby to był jej pierwszy posiłek od tygodni. - Rachunek prawdopodobieństwa zdecydowanie przekracza moje możliwości. Wciąż nie pojmuję, jak oni mogą twierdzić, że człowiek ma z tego wielką korzyść w życiu codziennym.

- Tak cię to dziwi? - powiedział Harcourt rozbawiony.

- Tak. - Ugryzła kawałek chleba i żuła w zamyśleniu.

- Zastanawiałaś się już, co chcesz zrobić po studiach? - zapytała Alice.

Jaime rozpromieniła się.

- Chciałabym spróbować szczęścia jako fotoreporterka w jednym z tych czasopism na Manhattanie - powiedziała, wycierając serwetką kąciuki ust. - „Time”, „Newsweek”. Kończę przecież dziennikarstwo, a mówiono mi, że jestem niezłym fotografem. Ktokolwiek mnie zatrudni, będzie miał podwójną korzyść za jedną pensję.

Harcourt odłożył widelec.

- Może mógłbym ci pomóc. Znam kilka osób z prasy.

- To byłoby genialne, Joe! - zawołała entuzjastycznie.

Przestała ich tytułować wujem i ciotką już dawno temu i choć jej stosunki z Alice nigdy nie stały się ciepłe, polubiła Josepha, z radością przyjmując jego rady i pomoc. Dziwiło ją co prawda, że były wojskowy ma tak wiele kontaktów z ludźmi spoza militarnych kręgów, ale nigdy go o to nie pytała. Wstała z krzesła i obeszła stół, by go pocałować.

- Dzięki! Uwielbiam cię!

Kiedy Jaime zniknęła na górce, Alice spojrzała na męża z uśmiechem.

- Przywiązałeś się do niej, prawda? - Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.

- Jest dla mnie jak własna córka - przyznał. - Myślę, że Jim byłby dumny, gdyby mógł ją teraz zobaczyć.

Alice zawahała się.

- Żałujesz, że nie mamy własnych dzieci? - zapytała.

Alice nie mogła mieć dzieci, co w pierwszych latach małżeństwa było dla nich obojga wielkim rozczarowaniem.

Westchnął ciężko.

- I tak, i nie - powiedział w końcu. - Myślę, że mogliśmy być dobrymi rodzicami, gdyby warunki były nieco inne.

- Warunki? - zapytała.

Harcourt pokiwał głową.

- Spójrz na Jima i Jaime - powiedział po prostu.

**Strych** był ciemny, zapchany skrzyniami, kuframi i stosami starych, zakurzonych książek, które przeleżały tu, zapomniane, wiele lat. Ściągając pajęczyny, by oczyścić sobie drogę, Jaime brnęła przez ten labirynt w poszukiwaniu starych albumów ze zdjęciami, które gdzieś tu musiały leżeć. W ciągu ostatnich lat wzrosło jej zainteresowanie przodkami - i to z obu stron, zarówno matki, jak i ojca. Mówiła sobie, że to po prostu ciekawość. W rzeczywistości szukała czegoś, co potwierdzałoby jej przynależność do jakiejś rodziny, jej tożsamość.

Oboje rodzice już nie żyli. Babka ze strony matki odeszła z tego świata kilka lat temu. Dziadek przeżył ataki serca i teraz nawet jej nie poznawał. Ciotka Kate wciąż mieszkała w Waszyngtonie, gdzie jej mąż robił karierę. Z rodziny ojca nie znała nikogo - z wyjątkiem Alice i Josepha oczywiście - ale była pewna, że w albumach znajdzie coś, co jej pomoże. Nikt nie chciał z nią o tym rozmawiać. Nie rozumiała dlaczego.

Usadowiła się w starym, zniszczonym fotelu, obok je-

dynego okna, małego i okrągłego, przypominającego okrętowy bulaj. Otworzyła najbliższy kufer. Był wypełniony listami i pożółkłymi ze starości fotografiami. Jaime wyjęła gruby stosik i położyła sobie na kolanach, przeglądając go ostrożnie. Boże, jakie to stare - pomyślała z rozrzewnieniem. Część z tych listów była datowana w latach trzydziestych i czterdziestych. Znajdowały się tam listy babki i Kate adresowane do Fran, kiedy była jeszcze w Vassar. Listy pisane przez jej matkę do ojca, kiedy był w podróżach... Nigdy nie wysyłane. Fotografie matki, ciotki, dziadków. Kilka pożółkłych zdjęć ojca - przystojnego mężczyzny w mundurze, atrakcyjnego, lecz poważnego, bez uśmiechu. Daty na odwrotnych stronach świadczyły, że zdjęcia pochodzą z końca wojny.

Przeglądając skrzynię za skrzynią, stwierdziła, że nie ma między starociami pamiątek ani zdjęć rodziny ojca. Żadnych listów z domu, nic. Alice wprawdzie mówiła, że nie utrzymywali bliskich kontaktów. Wygląda to tak, jakby ojciec nie istniał przed 1942 rokiem - pomyślała zdziwiona.

Wiele zdjęć przedstawiało jej rodziców tuż po ślubie. I sam ślub. Podróż na „Queen Mary”. Miodowy miesiąc we Francji. Na wszystkich jej matka się uśmiechała. Wygląda tak szczęśliwie - zauważyła Jaime. - Dlaczego nie pamiętam jej szczęśliwej?

Matka była ładna - nie oszałamiająco piękna, ale ładna, w spokojnym, łagodnym stylu. Ojciec natomiast był diablo przystojny. Jaime uśmiechnęła się do siebie, przypomniawszy sobie pewien dzień dawno temu, kiedy oświadczyła ojcu, że chce wyjść za mąż tylko za takiego mężczyznę jak on.

„Nigdy na to nie pozwolę! - odparł wyraźnie poruszony jej zamiarem. - Jesteś jeszcze dzieckiem, księżniczko. Kochasz mnie i ja kocham ciebie, ale nie widzisz mnie takim, jaki naprawdę jestem. Mam wszelkie możliwe wady i ostatnią rzeczą, jakiej mógłbym pragnąć, to

widzieć moją jedyną córkę poślubiającą kogoś takiego jak ja."

I to jest właśnie mój ojciec - pomyślała w zadumie. - Boleśnie uczciwy. Jak człowiek tak uczciwy mógłby uczynić to, o co go oskarżano? Niemożliwe było to, co o nim mówiła Alice. Alice... Zawsze wszystko wracało do niej. Chociaż Jaime do końca nie wiedziała dlaczego, nigdy nie ufała tej kobiecie. Było w niej coś, jakaś struna, która brzmiała fałszywie. Ojciec nazwałby to instynktem. Zawsze wierzył w instynkt, a ona miała to po nim. W końcu była jego córką.

Dokładnie przeszukawszy strych, wszystkie pudła i skrzynie, wybrała sobie stos starych listów i fotografii, które chciała dokładnie przestudiować, i ruszyła do drzwi. Kiedy je otworzyła, jasne światło z korytarza przecięło mrok i oświetliło wielki kufer w rogu zagrabanego pokoju, ukryty pod zakurzoną stertą starych szmat i lin. Wiedziona ciekawością przebrnęła pomiędzy gratami, by sprawdzić, co jest w środku.

Gdy podeszła bliżej, stwierdziła, że jest to bardzo stary kufer wojskowy. Podważywszy zardzewiały zamek dużym śrubokrętem, który przyniosła ze sobą, z wysiłkiem otworzyła wieko. Wewnątrz leżało mnóstwo różnej wielkości paczek, wszystkie zaadresowane do niej i częściowo rozpakowane. Wzięła jedną z samego wierzchu i otworzyła. W środku była śliczna lalka ubrana w strój do konnej jazdy, dokładnie taki, jaki kupił jej ojciec wiele lat temu. Do lalki dołączona była kartka z datą 14 lutego 1967 r. i słowami: „Wszystkiego najlepszego mojej ukochanej córeczce życzy - tato".

Tato! Serce Jaime niemal przestało bić. Luty 1967 - dwa miesiące po tym, jak rzekomo zginął w katastrofie! Gwałtownie, drżącymi rękami, otwierała po kolei wszystkie paczki. Były tam prezenty na Gwiazdkę i urodziny, wysyłane do niej co roku! wszystkie z krótkimi życzeniami albo dłuższym listem opisującym miejsca,

w których przebywał. We wszystkich pisał, jak bardzo za nią tęskni, natomiast w żadnym nie wspominał ani słowem o jakichkolwiek problemach!

Gdy wyjęła wszystkie listy i zamknęła kufer, łzy napłynęły jej do oczu. Kłamali! Przez wszystkie te lata myślała, że ojciec nie żyje - a oni świadomie utwierdzali w niej to przekonanie. Niech ich diabli wezmą za to piekło, które jej zgotowali! Uderzyła pięścią w ścianę. Czy on jeszcze żył? Czy miał jakieś straszne kłopoty? Czy stało się coś, co nie pozwoliło mu do niej wrócić? Dobry Boże - coś musiało się stać, że przez te wszystkie lata pozwolił jej żyć samej!

Ale co?

Alice była w bibliotece, gdy Jaime wpadła jak burza, z twarzą pociemniałą od gniewu, w furii wymachując listami trzymanymi w prawej ręce.

- Dlaczego mnie okłamaliście!?! - wybuchnęła, rzucając listy na biurko.

- Okłamaliśmy? O co ci chodzi, kochanie? - Alice uniosła głowę znad domowych rachunków.

- O mojego ojca! - krzyknęła. - Powiedziałaś, że zginął w katastrofie!

- Bo zginął, kochanie. - Kobieta nie traciła równowagi. - Wiesz, że...

- Ty kłamliwa suko! - wrzasnęła Jaime. - Właśnie znalazłam to na strychu!

Alice spojrzała na leżące przed nią listy. Nie musiała ich otwierać, by domyślić się, skąd pochodzą. Jedno spojrzenie na wściekłą twarz Jaime powiedziało jej więcej, niż chciałyby wiedzieć.

- Co robiłaś na strychu? - zapytała ostrożnie.

- Nie twój wszawy interes! Ważne jest, że znalazłam tam stary kufer ojca i wiem o wszystkich listach i prezentach! I mogę się założyć, że ojciec wciąż jeszcze żyje, choć nie wiem gdzie! Ukrywaliście to przede mną, Alice. Co jeszcze ukrywaliście?

- Uspokój się, kochanie - Alice uniosła się z krzesła. Musiała załagodzić sprawę, i to szybko.

Jaime nie dała się podejść.

- Oszczędź mi kłamstw - powiedziała zimno. Była niebezpiecznie bliska pobicia starszej kobiety. - Myślę, że dokonałaś już wystarczających zniszczeń, jak na jedno ludzkie życie! - Zabrała listy i ruszyła do drzwi.

- Jaime, zaczekaj, proszę.

Zatrzymała się, ale nie odwróciła.

- Co znowu? - zapytała pogardliwie.

- Ja... Dokąd idziesz? - w głosie Alice słychać było zdenerwowanie.

Jaime odwróciła się do niej.

- Po pierwsze, idę na górę się spakować - odparła. Jej oczy błyszczały gniewem. - Później wracam do Princeton. Muszę się dowiedzieć, co naprawdę stało się z moim ojcem. Co zrobię potem, nie wiem. Wiem natomiast, że nie wrócę do tego domu, dopóki wy tu będziecie.

Wyszła z pokoju, zostawiając Alice w osłupieniu.

**Jaime** siedziała sama w przedziale. Oczy miała czerwone i podpuchnięte od płaczu. Zdawało się, że nie została w niej ani jedna łza. Płakała z bólu i gniewu po doświadczonej zdradzie - aż poczuła, że jej wewnątrz jest wielką, opustoszałą próżnią, niezdolną do wytworzenia ani jednej kropelki wilgoci więcej. Po raz pierwszy w życiu wiedziała, jak to jest, gdy się chce kogoś zabić. Chciała zamordować Alice Harcourt gołymi rękami. Zdawała sobie sprawę, że musi opuścić ten dom, zanim nieopatrnie tego dokona. Nigdy nie sądziła, że potrafi tak bardzo nienawidzić.

Minionych dwanaście lat było kłamstwem. Instynkt mówił jej, że ojciec gdzieś żyje, że znalazł się w kłopotcie i potrzebuje jej pomocy. Nie zginął w katastrofie. Nie przywłaszczył sobie pieniędzy z firmy dziadka. Alice i Joseph mieszkali z nią tyle lat tylko po to, żeby ukryć

prawdę? To wszystko nie miało sensownego wytłumaczenia.

Ale będzie miało - obiecała sobie. - Dowiem się prawdy. Bez względu na to, jak długo przyjdzie mi szukać.

*Waszyngton, D.C.*

**Harry** Warner siedział w swoim biurze i kończył lekki posiłek, gdy zadzwonił telefon.

- Są już - powiedział sekretarz.

Przełknął ostatni kęs.

- Wpuść ich, Terry - polecił.

- Tak jest, sir.

Po chwili drzwi się otworzyły i pojawili się Harcourtowie. Warner przyglądał im się przez jakiś czas.

- Jak mam to rozumieć - zaczął wreszcie, nie tając gniewu. - Mieliście mieszkać z tą dziewczyną i dopilnować, żeby Lynde nie próbował się z nią kontaktować. Mieliście się dowiedzieć, co wie - jeśli w ogóle wie - o jego pracy. I nagle, ni stąd ni zowąd, dzwonicie do mnie, mówiąc, że wszystko się wydało, że ona wie, że jej ojciec żyje, i na dodatek zamierza go odnaleźć. Jak mogliście dopuścić do czegoś takiego?

- Znalazła paczki i listy, które do niej wysyłał - wyjaśnił Harcourt. - Były w starym kufrze na strychu...

- A co, u diabła, tam robiły? - wybuchnął wściekły. - Mieliście zniszczyć wszystko!

- Jest już za późno, by coś zrobić - powiedziała Alice, nie wspominając Warnerowi, że Joseph nie potrafił zniszczyć ostatniej więzi Jaime z ojcem, ponieważ zbyt przywiązał się do dziewczyny przez te lata. Nie wspominała też o liście, który przysłał do nich Lynde wkrótce po tym, jak zostali prawnymi opiekunami Jaime. W liście tym pisał:

*Jaime jest wszystkim, co na tym świecie ma jakies znaczenie. Jeśli nie mogę być ojcem w sensie fizycznym, chcę*



*przynajmniej ofiarować jej moją miłość. Wiem, że dopilnujesz, by kiedyś dostała to wszystko...*

W jakiś sposób udało mu się. Przez swoje liczne kontakty przekazywał jej listy i paczki ze zdumiewającą regularnością.

- Myślę, że może sprawić nam wiele kłopotów - powiedziała na głos Alice. - Szczerze wątpię, czy pozostawi sprawę tak jak są, gdy wie tak mało.

- Sądzicie, że zacznie węszyć? - Warner przynosił wzrok z kobiety na mężczyznę i z powrotem.

Odpowiedzi udzielił mu Harcourt.

- Nie sądzę. Jestem tego pewien.

*Nowy Jork, kwiecień 1984*

**Jaime** przeszła energicznie przez światła na Madison Avenue. Wiatr szarpał gwałtownie jej czerwoną pelerynę przeciwdeszczową. Wskoczywszy na krawężnik, szybko przebiła się przez zatłoczony chodnik i weszła do budynku Patterson Publications na południowo-zachodnim rogu Madison i Trzydziestej Szóstej. Przeszła przez hol i wskoczyła do windy, w chwili gdy drzwi zaczęły się zamykać.

Pasażerowie windy patrzyli na nią z zaciekawieniem. Zignorowała te spojrzenia. Przy swoich stu siedemdziesięciu pięciu centymetrach dorównywała wzrostem większości mężczyzn i o dobre pół głowy przewyższała ogół kobiet. W przeciwieństwie do wielu wysokich kobiet nie garbiła się, odczuwając satysfakcję ze swego wzrostu. Jej postawa, w połączeniu z dumnym spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu i wspaniałymi rudymi włosami, tworzyła imponujący zestaw, bez względu na to, czy ubrana była w wizytową sukienkę, czy dres. Mając dwadzieścia siedem lat Jaime Lynde była jedną z niewielu kobiet które zwracały na siebie uwagę wszędzie, gdzie się znalazły.

Winda zatrzymała się na piętnastym piętrze. Jaime przecisnęła się przez drzwi, gdy tylko zaczęły się otwierać, i skierowała kroki ku szklanym drzwiom, na których złotymi literami wypisano: „World Views Magazine”. Choć pracowała tu od sześciu lat, niezmiennie dziwił ją kontrast pomiędzy nowoczesnymi biurami a antycznymi wręcz windami i staromodnym holem.

- Cześć, Holly! - przywitała młodą, ładną dziewczynę, przechodząc obok jej olbrzymiego biurka z telefonami i interkomami.

Szła wzdłuż korytarza, ozdobionego okładkami dotychczas wydanych numerów czasopisma. Skręciwszy w korytarzyk wiodący do jej pokoju, przystanęła gwałtownie i radosny wyraz twarzy dziewczyny przeszedł w gniewny mars na widok, który ukazał się jej oczom. Mike Turner, kierownik plastyczny - i samozwańczy biurowy Romeo - siedział rozparty w jej fotelu, z rękami splecionymi nad głową i nogami na biurku.

Turner był niewątpliwie najprzystojniejszym mężczyzną w wydawnictwie - i najbardziej nieznośnym. Gorszy był tylko naczelny redaktor, Terence Hillyer. Mike był wysoki, dobrze zbudowany, miał mocne rysy, złośliwe, niebieskie oczy i gęste czarne włosy. Każdą z kobiet, pracujących w biurze, ucieszyłby widok oczekującego na nią Turnera - z wyjątkiem Jaime, która wyraźnie nie była zainteresowana kontaktami z nim, zarówno przypadkowymi, jak i celowymi. Z tego też powodu znajdował on wielką przyjemność w nachodzeniu jej o różnych porach dnia.

- Co, u diabła, tutaj robisz? - zapytała ze złością, energicznie spychając z biurka jego nogi.

- Czekam na ciebie, to oczywiste - odparł ze złośliwym uśmiechem.

Wyjął z kieszeni płaską złotą papierošnicę i wstał.

- Spóźniłaś się na kolegium redakcyjne. - Wyjął papierosa, włożył go do ust i zapalił niedbale. - Jakież jest twoje wytłumaczenie, skarbie?

- Żadne, jeśli chodzi o ciebie.

Zdjęła wilgotną pelerynę i powiesiła na metalowym haku na drzwiach. Ubrana była w luźny ciemnozielony sweter, ściągnięty w talii paskiem, i piaskowe spodnie wciśnięte w brązowe skórzane botki. Na szyi miała luźno związaną apaszkę w kolorach kości słoniowej, zieleni i złota. Jedyną biżuterię stanowił męski złoty zegarek na rękę, który należał kiedyś do jej ojca, i ulubiony złoty pierścionek matki.

- Kolegium wybrało artykuły na przyszły tydzień, jeżeli cię to interesuje - oświadczył Turner.

- O! A powinno? - zapytała siadając.

- Tak sędzę. Wyrzucili twój artykuł o protestach na Uniwersytecie Browna.

- To ten drań Hillyer, niewątpliwie to jego robota - powiedziała porywczo. - Gust tego człowieka siedzi wyłączenie w podniebieniu.

- O! To jednak w czymś się zgadzamy! - Turner był najwyraźniej rozbawiony swoim odkryciem. - Wiesz, Ruda, to jest to, co najbardziej w tobie lubię: jesteś taka cholernie dyplomatyczna.

Zaciągnął się papierosem.

- Posłuchaj, jeżeli potrzebujesz męskiego ramienia, by się wypłakać...

- Potrzebuję jedynie - przerwała mu zirytowana - zostać sama, by wydumać coś nowego.

- Żeby Hillyer, bez wątpienia, mógł znów postawić veto - odbił piłeczkę.

W zamyśleniu potarła czoło.

- Czy mógłbyś stąd wyjść? - zapytała, będąc o krok od wyrzucenia go siłą.

- Już mnie tu nie ma - odparł, zmierzając tyłem w stronę drzwi. - Nikt nie może twierdzić, że Michael R. Turner nie łapie aluzji w lot

- Czasami mam wrażenie, że może po tobie przejechać ciężarówka, zanim zrozumiesz aluzję - powiedziała groźnym tonem.

Roześmiał się i wyszedł.

Jaime wstała i zamknęła drzwi, po czym rzuciła się na krzesło. Była tak wściekła na Hillyera, że miała ochotę nabić go na rożen i piec na wolnym ogniu. Już trzeci raz w ciągu dwóch miesięcy naczelny odrzucił jej artykuł. Odkąd sześć miesięcy temu objął to stanowisko, woda sodowa zdecydowanie uderzyła mu do głowy. Jak to mówią, władza pociąga za sobą korupcję. A władza absolutna pociąga korupcję absolutną - pomyślała.

Odwróciła się na krzesle twarzą do okna. Spojrzała na zdjęcia w ramkach, stojące na parapecie, wzięła jedno z nich do ręki i przyjrzała mu się w zamyśleniu. Ona i ojciec. Zrobione, kiedy miała osiem lat. Matka nie żyła wówczas już od roku. Powróciły wspomnienia...

*Dlaczego nazwałś pana Saundersa cholernym skurwysynem, tato?*

*Stała w drzwiach łazienki w różowej piżamce i patrzyła, jak ojciec się goli. Zdumiony odłożył maszynkę i odwrócił się do niej. Miał na sobie dżinsy i biały podkoszulek, na jednym ramieniu wisiał ręcznik. Prawą stronę jego twarzy pokrywała piana z kremu do golenia.*

- *A gdzieżes ty, u licha, to słyszała?*

- *Od ciebie - odparła bystro, przechylając głowę na jedną stronę. - Słyszałam, jak mówiłeś to dziadkowi, dzisiaj w bibliotece.*

*Ojciec próbował ukryć rozbawienie.*

- *Czy nie ma rzeczy, której ty byś nie słyszała?*

- *Nie bardzo - odparła z psotnym uśmiechem,*

- *Jaime, czasami zastanawiam się, co mam z tobą zrobić.*

- *Dlaczego nie lubisz pana Saundersa? - nalegała.*

*Roześmiał się.*

- *Zapewniam cię, księżniczko, że on odwzajemnia to uczucie. - Wziął do ręki maszynkę do golenia.*

- *Dlaczego? - Szarpała niecierpliwie swoje rude loki. Odłożył ponownie maszynkę.*

- *Wiesz co, księżniczko, byłabyś genialnym reporterem*
- *Co to jest reporter, tato? - zapytała.*
- *Reporter, moja droga, to jest ktoś, kto wtyka nos wszędzie, gdzie go nie proszą; słyszy i widzi wiek rzeczy, których nie powinien*

*Jaime rozpromieniła się.*

- *Myszę, że to by mi się podobało - zaakceptowała szybko. Ojciec parsknął śmiechem.*
- *Jestem pewien, że tak, księżniczko.*

**Jaime** już od dawna stwierdziła, że wszystko, co działo się w „World Views”, było szaleńczym wyścigiem z czasem. Odprężenie następowało w poniedziałki wieczorem, kiedy ostatecznie zamykano kolejny numer czasopisma. Materiały wysyłano śpiesznie do drukarni w Filadelfii, by magazyn zdążył w piątek dotrzeć do sprzedawców w całym kraju, a w poniedziałek pojawić się na półkach. Każdy kolejny numer był przełomowy w stosunku do poprzednich, a napięcie panujące w poniedziałki wśród pracowników redakcji rosło systematycznie, tak że do godziny czwartej wszyscy byli potencjalnymi kandydatami do domu wariatów.

W ciągu tych sześciu lat pracy w redakcji magazynu Jaime nieraz już widziała reporterów, którzy kulili się nad swoimi biurkami, by choć trochę się zdrzemnąć po przepracowanej nocy.

- W poniedziałki ten budynek przypomina szpital psychiatryczny - powiedział Ben Rollins, jeden z redaktorów, podczas pierwszego dnia jej pracy. Nie był daleki od prawdy.

Jaime uśmiechnęła się na to wspomnienie. Niewiele się zmieniło od tego czasu. Miała wciąż wrażenie, że jest poddawana nieustannemu testowi na wytrzymałość. Pracowała ciągle w krańcowym napięciu. To jej jednak nie przeszkadzało. Nie było rzeczy, która by pociągała

ją bardziej niż prawdziwe wyzwanie. W końcu, jestem córką swojego ojca - mówiła sobie.

Nieoczekiwany wybuch gorących inwektyw w holu, podkreślonych hukiem zatrzaskiwanych drzwi, wyrwał ją z zamyślenia. Głośny, wściekły potok przekleństw wskazywał na to, że ostatni artykuł Hannibala Crowforda, najlepszego dziennikarza wydawnictwa, został znów mocno okrojony. Jaime stłumiła śmiech. Patterson powinien zwolnić Hillyera, zanim ktoś go zamorduje - stwierdziła.

Drgnęła. W drzwiach stała Holly Christopher, młoda sekretarka. Podeszła do biurka i podała Jaime dwie różowe karteczki z wiadomościami telefonicznymi. Spojrzała na nie przelotnie. Holly zauważyła śpiwór zwinięty w rogu pokoju.

- Znowu planujesz biwakować tu w nocy?

Jaime uśmiechnęła się.

- Moja poniedziałkowa garsoniera, z dała od domu. Powinam już do tego przywyknąć.

- Myślałam, że będzie nam łatwiej, jak wprowadzą komputery. - Holly jęknęła. - Chciałam poprosić Hillyera o dodatkowe zatrudnienie w poniedziałki, bo w ten dzień wszystko robi się w takim zwariowanym tempie, że nie daję rady.

- Uważaj, o co prosisz - ostrzegła Jaime ze złośliwym uśmiechem. - Ostatnia osoba, która prosiła Terence'a Hillyera o przysługę, została znaleziona na dnie basenu portowego Nowego Jorku.

Holly spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Nie wygłupiaj się.

- Nie wygłupiam się - odparła poważnie. - Kiedy prosisz go o coś, bądź przygotowana, że musisz zapłacić jego cenę. Jeśli będziesz mu dłużna i nie zapłacisz, to już po tobie. Pracuje dla niego człowiek imieniem Vito. Poproś o coś i nie zwróć kosztów, a Vito cię odwiedzi.

Holly roześmiała się.

- Mówisz o nim, jakby to był potwór z Loch Ness!

- Przy tyra człowieku potwór z Loch Ness wygląda jak Matka Teresa - odparła Jaime.
- To co, mam zamówić pizzę? - Holly zmieniła temat
- Jasne. - Jaime skinęła głową.
- Taką jak zwykle?
- Aha.
- O.K - Holly podeszła do drzwi.
- I powiedz im, niech nie przesadzą znowu z tymi cholernymi przyprawami! - krzyknęła za nią Jaime.

Gdy Holly zniknęła, Jaime podniosła z biurka różowe karteczki i przeczytała ich treść raz jeszcze. Jedna była od kogoś z Waszyngtonu. Zadzwoi tam później. Odłożyła informację i spojrzała na drugą. Była od Alice Harcourt.

Gniewnie zmięta papier w dłoni i wyrzuciła go do kosza.

Rosyjska restauracja na Zachodniej Pięćdziesiątej Siódmej ulicy znana jest bardziej ze swojego wystroju niż kuchni. Impresjonistyczne obrazy, błyszczące samowary i żyrandole ozdobione bombkami choinkowymi tworzą niezwykle efektowne wnętrze, ale powszechnie wiadomo, że pora lunchu nie jest najlepszą na kontemplację tego piękna. W restauracji wypełnionej po brzegi grubymi rybami z różnych gałęzi przemysłu, i nie tylko, jedynym spokojnym miejscem jest mała sala na górze, dla bywalców znana jako Syberia.

- Mam tylko godzinę - oświadczyła Jaime, gdy spóźniona dziesięć minut podeszła do stolika, przy którym czekała na nią Andrea Marler. Jaime spojrzała na przyjaciółkę przepaszająco. - Zamierzam wtargnąć do francuskiej ambasady po południu.

Andrea uśmiechnęła się.

- Wiesz, nic się nie zmieniłaś od czasów Briar Ridge - zauważyła. - Zawsze przychodzisz lub odchodzisz. Nigdzie nie zagrzejesz miejsca.

- *Cóż*, za to ty się zmieniałaś i to zupełnie fantastycznie - odparła Jaime.

Dwudziestosiedmioletnia Andrea już szósty rok była jedną z najlepszych modelek świata biznesu. Była wysoką blondynką - choć nie tak wysoką jak Jaime - o delikatnej twarzy w kształcie serca i wielkich niebieskich oczach.

- W Briar Ridge byłaś zwykłym dzieciakiem z mysimi ogonkami.

- I pieniądze tatusia zrobiły z brzydkiego kaczątka łabędzia. - Andrea zaśmiała się, przypominając sobie powiedzenie, które krążyło między jej koleżankami, gdy zaczęła dorastać i zgubiła dziecięcą pulchność. - Jaime, chciałam się z tobą spotkać, ponieważ wychodzę za męża.

Jaime uśmiechnęła się szeroko.

- Za tego maklera giełdowego, jakżeż on się miewa? - Dała znak kelnerowi, który przechodził obok ich stolika.

- Mówisz jak tato! - Andrea oburzyła się. - Nazywa się, jakbyś nie wiedziała, Tom. Tom O'Halloran. - Przerwały na chwilę, kiedy Jaime zamawiała drinka.

Gdy kelner odszedł, Jaime podjęła temat.

- To kiedy mamy ten wielki dzień?

- Czternastego lipca, u nas w Southampton. To najwcześniejsza data, kiedy Tom mógł się wyrwać z pracy na prawdziwy miesiąc miodowy - wyjaśniła Andrea. - Jedziemy do Francji. Do Bretanii.

- A co chcesz na prezent ślubny? - zapytała Jaime z uśmiechem. - Toster? Mikser? Nazwisko dobrego adwokata?

- Ciebie.

Jaime uniosła pytająco brwi.

- Chcę, żebyś była moją druhną - oświadczyła Andrea, gdy kelner przyniósł drinki.

- Ależ z radością! - odparła bez wahania. - Pod jednym warunkiem.



Andrea spojrzała na nią podejrzliwie.

- Jakim?

- Że nie będę musiała nosić różowej sukienki. Boże, nienawidzę różu! - Jaime jęknęła.

- Żadnego różu nie będzie.

- W takim razie zgoda. Jeśli już to ustaliłyśmy, czy dasz się skusić na coś do zjedzenia? Umieram z głodu, **tu** dają genialne kotlety cielęce...

**Stopy** równym rytmem odbijały się od ziemi, gdy w chłodny, kwietniowy wieczór biegała po Central Parku ubrana w ciepły dres i grubą opaskę na głowie. Policzki miała zaróżowione od chłodu, oddech w zętknięciu z zimnym powietrzem zmieniał się w obłoczki pary, ale mimo niskiej temperatury nie przerywała biegu.

Trenowała co wieczór, z wyjątkiem poniedziałków, poświęcając na bieg co najmniej godzinę, bez względu na pogodę. Jeszcze w Princeton odkryła fizyczne i psychiczne efekty biegania. Sport ten nie tylko utrzymywał ją w formie, ale działał uspokajająco. Ojciec nieraz powtarzał, że Jaime skupia w sobie energię dziesięciu ludzi, i miał rację. Już jako dziecko była nieustannie na „wysokich obrotach”. Nigdy nie starczało jej cierpliwości, by ćwiczyć jogę, nie potrafiła skoncentrować się na tyle, by osiągnąć stan transcendentalnej medytacji. Chodzenie dokądkolwiek na zbiorowe ćwiczenia sprawiało zbyt wiele kłopotów. Zdecydowanie najbardziej odpowiadało jej bieganie, wpływające na nią jak środek uspokajający.

Zwolniła do marszu, zawróciła i skierowała się na zachód, do wyjścia z parku na Siedemdziesiątą Drugą. Mijając Dakotę, przypomniła sobie noc, kiedy zbierała tu materiał do reportażu o zabójstwie Johna Lennona. Był to jeden z jej największych reportaży. Zyskała nim duże uznanie profesjonalistów. To było pierwsze opisa-

ne przez nią morderstwo i młoda fotoreporterka miała się wykazać. Udało jej się nad podziw.

Jak zwykle pobiegła myślami do ojca, co się z nim stało, gdzie się podziewa, żyje jeszcze czy też nie...

Weszła do domu przy West End Avenue, gdzie znajdowało się jej mieszkanie. Stróż przywitał ją przyjaźnie, przytrzymując uprzejmie drzwi.

- Nie mógłbym tak biegać jak pani, panno Lynde - powiedział. - Jak pani to robi zimą!

- Ostrożnie. - Roześmiała się. - Bardzo ostrożnie.

Wjechała windą na górę. Wyciągnęła spod dresu zawieszony na szyi łańcuszek, zdjęła z niego klucz i otworzyła drzwi. Zapaliła światło w małym przedpokoju i skierowała się do kuchni. Wyjąwszy z lodówki puszkę soku pomarańczowo-ananasowego (piła go regularnie po każdym bieganiu, by wyrównać poziom cukru we krwi), otworzyła ją i stanęła przy oknie, patrząc na Hudson River i New Jersey. Uśmiechnęła się na wspomnienie dnia, gdy ojciec zabrał ją na najwyższe piętro Empire State Building.

- *Czy zobaczymy stąd New Jersey, tato? - zapytała, gdy uniósł ją do jednego z teleskopów na osiemdziesiątym szóstym piętrze.*

- *Oczywiście, księżniczko. Ale nie ma tu zbyt wiele do podziwiania. New Jersey, w każdym razie ta część, nie jest zbyt malownicze.*

*Jaime skrzywiła się.*

- *Ależ tato!*

**Zdecydowanie** nie jest malownicze, przynajmniej stąd - skonstatowała Jaime, wracając do rzeczywistości.

Weszła do pokoju i włączyła automat przy telefonie. Dobrze jest wrócić do domu - pomyślała. Dom. Jej pierwszy, prawdziwy dom, odkąd skończyła dziewięć lat. Kiedy wprowadziła się tu pięć lat temu, urządziła mieszkanie sama, w swoim własnym stylu. Kupiła na aukcji

antyczne łóżko i stare biurko. Znalazła gdzieś kilka starych, orientalnych dywaników w żywych kolorach. Na ścianach powiesiła obrazy malowane przez matkę na Sound Beach - chłodne, spokojne widoki morza, żagli i koni na łąkach. Na dużym orzechowym stole, obok kanapy, postawiła ulubione zdjęcia w mosiężnych, odpowiednio dobranych ramkach, w towarzystwie pozytywki, którą dał jej ojciec na rok przed zniknięciem. Jednorożec przetrwał wszystkie te lata i wciąż grał *The Impossible Dream*.

Kufer ojca stał w sypialni, u stóp jej łóżka, nakryty kolorowym sukniem. Jego zawartość została nie zmieniona przez te lata - wszystkie kartki, prezenty i listy wciąż leżały w środku. Od czasu do czasu wyjmowała je i przeglądała. Czytając listy ojca, wspominała spędzone wspólnie szczęśliwe lata dzieciństwa.

Zawsze doprowadzało ją to do płaczu.

A jednak wciąż otaczała się pamiątkami, które nie pozwalały jej zapomnieć o przeszłości - chwil zarówno dobrych, jak i złych. Bez względu na ból, jaki jej to sprawiało, wkładała dużo wysiłku, by ożywiać w pamięci postać ojca i rodzinny dom.

Dobrze jest - myślała Jaime - odczuwać, że niezależnie od licznych podróży i miejsc, w jakie goni mnie mój zawód, mam swoje miejsce, do którego mogę wrócić, miejsce, które mogę nazwać domem.

Wyłączyła automat po ostatniej wiadomości i zajęła się korespondencją, którą zostawiła na biurku przed wyjściem do parku. Same rachunki i reklamy - stwierdziła ponuro, przeglądając papiery. Rachunki odkładała na biurko, a reklamy wyrzucała do kosza. Rachunek za telefon, rachunek od lekarza, ze sklepu, z banku, dalej reklama, reklama, reklama. Zastanawiała się, dlaczego tak dużo przedsięwzięć marnuje tyle pieniędzy na wysyłanie tego wszystkiego? Muszą wiedzieć, że duża ich część - prawdopodobnie większość - ląduje w śmietni-

NORMA BEISHIR

ku, bez otwierania. Spochmurniała na myśl, ile ton reklam co roku musi przejść przez urzędy pocztowe. Nic dziwnego, że tyle ważnych pism ginie lub nie zostaje doręczonych na czas. Może kiedyś napisze o tym artykuł do gazety. Musi pamiętać, że ma pogadać o tym z Benem Rollinsem. Hillyer prawdopodobnie tego nie przyjmie. Zapewne jest jedyną osobą na świecie, która czyta reklamy - pomyślała Jaime. - To prawdopodobnie jedyna poczta, jaką dostaje.

Czasopisma, potwierdzenie podróży - nic nowego, z wyjątkiem kilku listów od przyjaciół, z którymi regularnie korespondowała. Stłumiła ziewnięcie, gdy jej wzrok natrafił na kopertę nadaną z Sound Beach. Niewątpliwie od Alice Harcourt - domyśliła się, oglądając ją przez chwilę.

- Reklama - powiedziała na głos, wyrzucając list do kosza.

# 10

*Southampton, lipiec 1984*

**Przyznaję, jestem** zdenerwowana. Ciagle mam przed oczami wizję siebie, jak idę środkiem, potykam się i padam wprost na twarz.

Jaime roześmiała się, upinając jedwabny, wyszywany perłami welon przyjaciółki.

- Uspokój się - powiedziała. - Ludzie żenią się codziennie.

Andrea spojrzała nerwowo na przyjaciółkę.

- Ale ja nie. - Jej głos brzmiał żałośnie. - A jeśli zrobię z siebie kompletną idiotkę?

Jaime pokazała zęby w uśmiechu.

- Spójrz na to z innej strony. Nawet jeśli zrobisz z siebie kompletną idiotkę, to przynajmniej w wielkim stylu. A znając twoją matkę, nikomu nie będzie wolno nic zauważyć. Wygładziła długi welon.

Andrea odwróciła się gwałtownie, powiewając białym jedwabiem.

- Wielkie dzięki!

- Stój spokojnie - zażądała Jaime, atakując welon kilkoma dużymi szpilkami - bo zgubisz swój welon.

- Jeśli najpierw nie zwariuję!

- Może więc powinniście byli uciec i wziąć gdzieś ślub po cichu.

- Ja proponowałam. Ale rodzice nie chcieli o tym słyszeć, zwłaszcza mama. Cały ten cyrk to jej dzieło.

Jaime rzuciła okiem na suknię ślubną przyjaciółki: warte dwadzieścia tysięcy dolarów kilometry jedwabiu, antycznej koronki i setki pereł. Nikt jej jeszcze nie widział, niewątpliwie pochodziła z wyroczni świata mody Women's Wear Daily. Zaufaj Kitty Marler, a ślub twojej jedynaczki znajdzie się na pierwszych stronach gazet - pomyślała żartobliwie.

Kiedy Andrea przeszła na drugą stronę pokoju, by włożyć naszyjnik z pereł i kolczyki, Jaime stanęła przed dużym lustrem, by skontrolować własną kreację.

Andie dotrzymała słowa - nie było żadnego różu. Sukienka Jaime uszyta była z brzoskwiniowego jedwabiu, bez ramion, ozdobiona szeroką falbaną z kremowej koronki. Razem ze słomkowym kapeluszem z szerokim rondem, przewiązanym brzoskwiniową wstążką, tworzyło to całość pod tytułem „południowa piękność”. Jaime czuła się w niej jak Scarlett O'Hara. Nie było to w jej stylu, zdecydowanie nie - ale idealnie pasowało na ślub w środku lata, pośród towarzystwa z Southampton.

Przez okno obserwowała gości zbierających się na trawniku. Ogród, zawsze piękny, tym razem przyozdobiony był szerokimi białymi wstęgami i mnóstwem kwiatów, głównie białych. Od drzwi patio, z których mieli wyjść nowożeńcy, do ołtarza na środku trawnika prowadził biały dywan. Przy ołtarzu miał czekać pastor. Po obu stronach dywanu rozstawiono rzędy krzeseł dla gości weselnych. Jaime stanęła przed oczami fotografia ślubna jej rodziców.

**Tato, co to jest? - zapytała Jaime, wyciągając z szuflady grubą księgę, oprawioną w białą skórę. Miała wtedy sześć lat i z ledwością mogła ją unieść.**

**Spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy.**

**- To nasz album ślubny, księżniczko - odparł - Zdjęcia zrobione podczas naszego ślubu, mojego i twojej mamy.**

**- Mogę je obejrzeć? - zapytała z podnieceniem.**

- *Jeżeli chcesz, możemy to zrobić razem.*

*Przytaknęła radośnie.*

*Posadził ją sobie na kolanach i otworzył album. Wypełniały go zdjęcia z romantycznego ślubu i wesela w wielkim stylu. Dla Jaime było to jak ilustracje z bajki o pięknej księżniczce i czarującym księciu.*

- *Mama wyglądała tak pięknie, prawda? - zauważyła Jaime, zafascynowana zdjęciami*

- *Wciąż jest piękna, kochanie - powiedział cichym, łagodnym głosem*

- *Jest ładniejsza, gdy się uśmiecha - stwierdziła Jaime, wskazując palcem jedną z dużych fotografii. Spojrzała na ojca i zmarszczyła nos. - Teraz się nie uśmiecha.*

*Ojciec pokiwał głową.*

- *Wiem, księżniczko - odparł, delikatnie głaszcząc ją po główce. - Twoja mama jest chora. Dlatego się nie uśmiecha.*

- *Czy mama umrze, tato? - zapytała z twarzą pełną niepokoju.*

*Uderzyło go to pytanie.*

- *Nie, księżniczko. Oczywiście, że nie.*

Ale ojciec się mylił. Matka umarła dwa tygodnie później.

Zmierzchało już, gdy Jaime wymknęła się z przyjęcia i przebrawszy się w dzinsy oraz luźną bawełnianą koszulę, wsiadła do swojego Jeepa Cherokee. Jadąc na zachód, pomyślała nagle o domu na Sound Beach, w którym wyrosła. Ile to lat, odkąd go opuściła? Sześć? Pomiędzy wydarzeń, które sprawiły, że tak gwałtownie stamtąd wyjechała, tęskniła za tym dużym, starym domostwem. Spędziła w nim najszcześniejsze lata. Ciekawa była, czy bardzo się tam zmieniło od jej odejścia.

Wiedziona impulsem skręciła z autostrady na Route 21 i skierowała się w stronę Sound Beach. Jechała krętą drogą wzdłuż Long Island Sound i skonstatowała, że

okolica nie zmieniła się zbyt przez te lata. Domy pozostały takie same, tylko na skrzynkach pocztowych figurowały inne nazwiska. Rodziny, których dzieci były towarzyszami jej zabaw, teraz już tu nie mieszkały, ale i tak straciła z nimi kontakt wcześniej, gdy w roku 1974 wyjechała do Princeton.

Zatrzymała Jeeпа przed bramą rodzinnej posiadłości i wysiadła, by się rozejrzeć. Wspiąwszy się na biały płot, skierowała oczy na stojący w oddali dom. Z zewnątrz wydawał się taki sam, choć z powodu zapadających ciemności widziała go niezbyt wyraźnie. Alice i Joseph wciąż tam mieszkali. W jej domu. Powinna była wyrzucić ich tego dnia, gdy odkryła zdradę, ale w jakiś sposób wtedy nie miało to znaczenia. Nic się wtedy nie liczyło oprócz bólu, który przeszywał ją tego kwietniowego dnia, bólu, który wciąż czuła. Chciała wtedy tylko znaleźć się jak najdalej od nich.

Dlaczego zostali tu po moim odejściu? - zastanawiała się. Zawsze twierdzili, że ich zadaniem była opieka nad nią po „śmierci” ojca. Tylko że mój ojciec nie zginął - pomyślała Jaime, czując, jak odżywa w niej stary gniew. Przypomniała sobie popołudnie na strychu, gdy znalazła listy i prezenty, wysyłane przez ojca. Prezenty, których wcześniej nie pozwolili jej nigdy zobaczyć. Nie zginął, więc dlaczego chcieli ją przekonać, że nie żyje. I dlaczego zadali sobie tyle trudu, by przeszkodzić jego kontaktom z córką?

Dawno już dręczyły ją pytania, na które nie znajdowała odpowiedzi, a także podejrzenie, że Harcourtowie nie są w rzeczywistości jej rodziną. Skąd brało się w niej to przekonanie? A gdyby nie byli rodziną? W pewnym stopniu byłoby jej żal, bo zawsze lubiła Josepha. Był dla niej dobry. W przeciwieństwie do Alice chyba ją rozumiał, i podejrzewała, że żałował tego, co zrobili. Ale jego żony nie lubiła nigdy i nigdy jej nie ufała. I dopiero tego popołudnia na strychu zrozumiała dlaczego.



Okłamywała mnie we wszystkim, dlaczego nie miała-  
by kłamać i o ich pokrewieństwie? - pomyślała nie-  
chętnie.

Wracając myślami w przeszłość, zdała sobie sprawę,  
że niekiedy Joseph próbował dać jej do zrozumienia -  
choć nie wyrażał tego słowami - by nie traciła wiary  
w ojca, by postępowała tak, jak dyktuje jej serce. Czy  
był jakiś powód, dla którego nie wolno mu było powie-  
dzieć prawdy? Nie mogła tego pojąć. Wszyscy wkoło  
wierzyli w te kłamliwe historie, ale Jaime znała ojca.  
Wiedziała, że nigdy nie zostawiłby jej samej, gdyby przy-  
puszczał, że nie będzie mógł wrócić! Nigdy!

Koło domu rozbłysły nagle światła samochodu i roz-  
legł się warkot silnika. W chwilę później w stronę bramy  
ruszył jakiś samochód. Chcąc uniknąć rozpoznania,  
Jaime zeskoczyła z płotu i pobiegła do Jeepa. Zanim  
samochód dotarł do bramy, pośpiesznie odjechała. Któ-  
regoś dnia wrócę tu - obiecała sobie.

**Gangi** uliczne - powiedziała głośno Jaime.

- Co „gangi uliczne”? - Ben Rollins, krzepki mężczy-  
zna grubo po pięćdziesiątce, o rzadkich, siwych włosach  
i grubych rogowych okularach, uniósł głowę znad żółte-  
go notesu, w którym robił notatki z posiedzenia zespołu  
redakcyjnego.

- Chcę napisać o nich artykuł - powiedziała, sięgając  
po kubek, zawierający zwykle sok owocowy lub colę,  
gdyż nigdy nie piła kawy. - Wiesz, zdjęcia, komentarze  
policji, odczucia ludzi, których napadli...

- A kogóż to napada policja? - zapytał Mike Turner,  
nie proszony włączając się do rozmowy.

- Policja nikogo nie napada - ucięła. - Jak zwykle nie  
słuchałeś.

- Ależ słuchałem! - oburzył się. - Powiedziałaś, że  
chcesz przeprowadzić wywiad z policją i ludźmi, któ-  
rych ona napada.

- Zrób nam przysługę, Mike. Idź i napisz reportaż o wejściu na Empire State Building. Z zewnątrz - odezwał się Rollins, po czym zwrócił się ponownie do Jaime: - Mówiłaś, że...

- To byłby świetny reportaż, Ben - mówiła z entuzjazmem. - Może uda mi się nawet pogadać z członkami gangu.

- To trochę ryzykowne, nie uważasz?

Na drugim końcu długiego stołu konferencyjnego Hillyer chrząknął cicho.

- Czy zależy ci na śmierci, Lynde? - zapytał swoim zwykłym, drwiącym tonem.

Terence Hillyer miał trzydzieści siedem lat, wyglądał na czterdzieści siedem, a zachowywał się, jakby skończył osiemdziesiąt siedem, jak to zgrabnie ujął Turner. Był wysokim, niezwykle chudym mężczyzną, zgarbionym i przedwcześnie łysiejącym. Nie kwestionował hazardu, jeśli tylko ktoś inny podejmował ryzyko.

- Czy planujesz to też wyrzucić, Terry? - zapytała Jaime, rozdrażniona jego sarkazmem.

- Ależ skąd! - odparł szybko. - Jeżeli życzysz sobie ryzykować życie dla artykułu, to twoja sprawa.

Wzajemna niechęć tych dwojga zaczęła się wkrótce po zatrudnieniu Jaime w redakcji magazynu, kiedy odważyła się zakwestionować jedną z jego decyzji - i zamieniła się w otwartą wojnę, gdy awansował.

Karyn Barnes, asystentka Turnera, rzuciła Hillyerowi gniewne spojrzenie.

- Myślę, że Jaime ma rację - powiedziała. - To jest na czasie, każdy będzie chciał to przeczytać.

- Jasne - poparł ją Rollins. - A przy talencie Jaime do zdobywania niesamowicie trudnych fotografii, to może być hit, którego bardzo potrzebujemy. - Zwrócił się do Jaime: - W porządku. Masz zielone światło.

- Dzięki, Ben. - Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Kwadrans później posiedzenie zakończono. Kiedy

Jaime zbierała swoje drobiazgi - ołówek, notes, kubek - podszedł do niej Turner.

- Niezłe wejście, Ruda - powiedział z szerokim uśmiechem.

- Dzięki. - Nie podniosła głowy.

- Zdumiałaś ich wszystkich - kontynuował cicho, jakby nie zauważył, że stale go ignorowała.

Teraz spojrzała na niego.

- A to dlaczego?

Mike włożył ręce do kieszeni.

- Cóż, kto by się spodziewał, że kobieta będzie chciała zająć się czymś takim!

Jaime powoli odłożyła trzymane w ręku przedmioty i stanęła przed nim wyprostowana.

- A cóż to ma znaczyć?

- Nie strosz się tak, Ruda, coś ty - próbował złagodzić sprawę. - Jestem po prostu ciekawy. Dlaczego ktoś taki jak ty chce się włączyć po nieciekawej okolicy, szukając elementów z marginesu społecznego?

Jaime zagryzła usta, hamując ogarniającą ją falę gniewu.

- Ktoś taki jak ja? - zapytała powoli.

- No właśnie.

Jej oczy zwęziły się ze złości.

- Dla twojej informacji, panie kierowniku plastyczny: kiedy ty siedzisz tutaj w swoim przyjemnym, klimatyzowanym biurze, robiąc diabli wiedzą co, za co ci zresztą płać, ja nadstawiam karku, żeby napisać artykuł. A dodatkowo jeszcze powiem ci, że pisałam o porwaniach samolotów, protestach politycznych, zamachach i morderstwach na długo, zanim się tu pojawiłeś! Nie mów mi więc, co „ktoś taki jak ja” może lub nie może napisać!

- Ależ poczekaj chwilę. Ja nie mówiłem... - zaczął.

Spojrzała na niego.

- Wiesz co? Zawsze myślałam, że te wszystkie bzdury, które pleciesz, to wygłupy - powiedziała zimno, zbiera-

jąc znowu swoje rzeczy. - Ale myliłam się. Ty naprawdę jesteś draniem.

Wyszła z pokoju, zostawiając go i wszystkich pozostałych, wpatrzonych w drzwi, które za sobą zatrzasnęła.

**Rzecz** nie w tym, że oni nie traktują poważnie kobiety dziennikarki. Oni mnie nie traktują poważnie - myślała chmurnie Jaime, zmierzając Trzydziestą Czwartą w kierunku stacji metra. Na ramieniu miała dużą torbę z nowym aparatem i obiektywem, która kołysała się w rytm jej długich, szybkich kroków. Martwiło ją to, że koledzy wciąż nie widzą w niej poważnej dziennikarki. Była dla nich - dla większości w każdym razie - tylko zepsutym dzieckiem z bogatego domu, traktującym pracę jako hobby. Nieważne, że została osierocona i z konieczności nauczyła się radzić sobie sama. Była wnuczką Harrisona Colby'ego, człowieka, który nie tylko był bogaty, ale swego czasu cieszył się wielkim prestiżem wśród elity Waszyngtonu. Ich zdaniem dorastała, mając wszystko.

Od pierwszego dnia musiała pracować dwa razy tyle, co wszyscy inni w wydawnictwie, by zyskać jakie takie uznanie. Wiedziała, że jest dobra w swoim zawodzie. Jej fotografie ozdabiały okładki „World Views” częściej niż zdjęcia innych fotografów. W ciągu minionych pięciu lat uzyskała nagrody w trzech liczących się konkursach. Ostatnio jedna z galerii na Manhattanie przysłała jej propozycję wystawienia tam swoich najlepszych prac. A jednak wciąż między kolegami Jaime znajdowali się tacy jak Turner czy Hillyer, którzy uważali, że jej sukcesy są efektem przypadkowego uśmiechu losu lub wpływów rodziny Colbych. Uśmiechnęła się do swoich myśli. Turner nigdy nie traktował kobiety poważnie, dopóki się z nią nie przespał. I prawdopodobnie potem też nie - stwierdziła.

Zeszła ze schodów na Penn Station i udała się na peron. Właśnie podjechał pociąg i z otwartych drzwi

wylała się masa pasażerów, pędzących na oślep, jak stado bydła. Wyjęła z kieszeni bilet, włożyła do kasownika i wsiadła do zatłoczonego wagonu. Wszystkie miejsca siedzące były zajęte, stanęła więc w przejściu, wcisnąwszy się między eleganckiego mężczyznę około czterdziestki i kobietę w średnim wieku, trzymającą wypchaną torbę z zakupami. Kobieta miała na głowie stary, zniszczony kapelusz, który, sądząc z fasonu i obecnego stanu, musiał mieć co najmniej dwadzieścia lat.

Pijacy - zauważyła Jaime ze zdumieniem, spoglądając przez ramię na stojących za nią dwóch brudnych, zaróżnionych i obdartych mężczyzn. - Skąd, u diabła, pijacy wytrzasnęli bilety na metro?

Pociąg stanął na Times Square. Mimo że kilka osób wysiadło, miejsc siedzących wciąż nie było.

- Cholera - zakląła zataczając się, gdy pociąg szarpnął ruszając. - Może na następnym...

Nagle poczuła czyjaś dłoń przesuwającą się po jej ciele, a na szyi oddech, przesycony alkoholem. Spojrzała przez ramię i dostrzegła tuż za sobą twarz jednego z tych...

- Jeżeli zależy panu na tej ręce, to radzę ją natychmiast zabrać - syknęła groźnie.

Mężczyzna drgnął przestraszony i odwrócił się gwałtownie.

Jaime wciągnęła głęboko oddech. Założy się, że nie kapał się od czasów wielkiego kryzysu - pomyślała, wciąż niezbyt pewna, czy próbował ją tylko objąć, czy chciał wyciągnąć jej portfel.

Wysiadła z metra na Siedemdziesiątej Drugiej i ruszyła w kierunku domu. Nie cierpiała podziemnych połączeń i korzystała z nich tylko w ostateczności. Co prawda ten sposób podróży był mniej kłopotliwy niż „łapanie” taksówki - a już zdecydowanie łatwiejszy od szukania miejsc na zaparkowanie Jeepa, ale odczuła ulgę, gdy już weszła do mieszkania.

Odłożyła torbę na kanapę i machinalnie włączyła automat przy telefonie, po czym przejrzała korespondencję. Myśłami wciąż jeszcze była na posiedzeniu zespołu redakcyjnego. Samo wspomnienie pewności siebie i wyższości okazywanej przez Mike'a i Terry'ego rozpalało jej gniew. Użyła całej siły woli, by powstrzymać się wtedy od pobicia tych uśmiechających się z ironią twarzy.

Jaime obudziła się nagle. Siadając gwałtownie, rozejrzała się po ciemnej sypialni, nie bardzo wiedząc, gdzie jest Czy to był sen? Oczywiście, to musiało jej się śnić. Widziała ojca. Był w wielkim niebezpieczeństwie, próbował się do niej dostać - i nie mógł.

Po omacku wyciągnęła rękę i włączyła małą lampkę na nocnym stoliku. Światło wydało jej się niezwykle rażące, osłoniła więc oczy ramieniem. Drżała. Ile razy w ciągu minionych lat miewała podobnie przerażające sny? Ile bezsennych nocy przeleżała, zastanawiając się, co naprawdę wydarzyło się w Paryżu w tamto Boże Narodzenie. Czy kiedykolwiek pozna prawdę?

Czy zobaczy jeszcze ojca?

### *Nowy Jork, sierpień 1984*

**Taksówka** zwolniła i zatrzymała się za jedną z długich czarnych limuzyn zaparkowanych przed hotelem Plaza na rogu Piątej Alei i Wschodniej Pięćdziesiątej Dziewiątej. Jaime wyskoczyła z niej i wbiegła po schodach budynku. W pośpiechu skinęła głową portierowi, który przytrzymał ciężkie podwójne drzwi; przemknęła obok niego i przecinając zatłoczony hol, poszła w kierunku Edwardian Room. Na ramieniu miała zawieszony duży aparat fotograficzny. Zerknęła na zegarek. Piętnaście po jedenastej. Była kwadrans spóźniona. Zapewne już zaczęli - pomyślała smętnie.

Zmierzała do drzwi, nie patrząc w pośpiechu przed siebie, gdy nagle wpadła na kogoś. Uniósłszy głowę, zobaczyła najgłębsze błękitne oczy, jakie w życiu widziała. Reszta twarzy też nie była najgorsza - stwierdziła, w ułamku sekundy oceniając stojącego przed nią mężczyznę. Był bardzo wysoki, dobre piętnaście centymetrów wyższy niż ona, szczupły, niemal za chudy, jak na swój wzrost; miał dość ostre rysy i czarujący uśmiech pod gęstym, lecz krótko przyciętym wąsem. Ciemne, kręcone włosy były trochę za długie jak na jej gust.

Wygląda jeszcze lepiej na żywo niż na ekranie - zauważyła, rozpoznając w nim Martina Cantrella, prezentera telewizyjnego z wieczornych wiadomości TBC.

- Przepraszam... - zaczęła.

- Przepraszam - powiedział w tej samej chwili.

Roześmiali się oboje. Przepuścił ją przed sobą, by weszła do zatłoczonego Edwardian Room. Wcisnął się za nią razem z kamerzystą i technikiem.

- Zdaje mi się, Marty, że trudno będzie nakręcić coś dobrego w takich warunkach - usłyszała za sobą głos kamerzysty.

- Chyba masz rację - zgodził się.

- Kto późno przychodzi... - powiedziała żartobliwym tonem.

- Ja utknąłem w korku - odparł z uśmiechem. - A co pani ma na usprawiedliwienie?

- To samo. Pan przynajmniej przyjechał samochodem TBC, ja bezskutecznie próbowałam pokonać dwie staruszki, by zdobyć taksówkę. Nie ma pan pojęcia, jak ciężko ostatnio o taksówkę w tym mieście!

- Owszem, mam pojęcie - zapewnił ją. - Dziś rano czekałem pod domem tak długo, że zacząłem podejrzewać taksówkarzy o kolejny strajk.

- Ja nie ryzykowałam - przyznała się Jaime. - Pojechałam metrem. Miałabym zapewne lepszy czas, gdybym przyjechała nim aż tutaj.

- Metrem? - Uniósł brwi. - Podziwiam odważne kobiety. - Uśmiechnął się z uznaniem.

Rozejrzała się po sali.

- Zdaje się, że nie jesteśmy jedynymi spóźnialskimi - zauważyła. - Gościa honorowego też jeszcze nie ma.

- Senator utknął w korku, jadąc z La Guardia - poinformował ją stojący obok reporter. - Ciągłe nam mówią: „to potrwa tylko parę minut”, ale, prawdę mówiąc, zaczynam się denerwować.

- Okropne - odparła Jaime, wznosząc oczy do góry.

Martin uśmiechnął się.

- Nie słyszałem nigdy, by senator Marlowe przybył gdziekolwiek na czas, korek czy nie korek. Podczas ostatnich wyborów krążyły o nim nawet dowcipy, czy w ogóle zdaży zostać senatorem.

- Na to akurat politycy zawsze zdążają, nawet ci, którzy potrafią się spóźnić na własny pogrzeb - stwierdziła.

- Mówi pani tonem osoby doświadczonej w tej dziedzinie - zauważył Cantrell z lekkim zaciekawieniem w głosie.

- W pewien sposób jestem - przyznała. - Mój dziadek był politykiem.

Spojrzał na nią zaintrygowany.

- Doprawdy?

Skinęła głową.

- Harrison Colby.

Tłum uciszył się gwałtownie, gdy na podium wszedł jeden z asystentów senatora.

- Senator właśnie przybył - ogłosił zebrany. - Pojawia się tu za małą chwilę.

- Znowu obiecują - mruknął któryś z reporterów z tytułu sali.

Jaime odwróciła się do swego rozmówcy.

- Może ten dzień nie będzie całkiem stracony.

- Jak dla mnie, to już nie jest - odparł z czarującym



uśmiechem. - A przynajmniej nie będzie, jeśli da się pani zaprosić na kolację.

- Kolację? - Udała zaszokowaną. - Przecież nawet się nie znamy.

- Mogę to załatwić - odparł szybko, wyciągając rękę.  
- Jestem Marty Cantrell z TBC News.

Roześmiała się.

- Zawsze się pan przedstawia tak urzędowo?

- Tylko kiedy chcę komuś zaimponować - przyznał.

- Aha. - Powoli skinęła głową. - W takim razie muszę panu coś wyznać. Wiem, kim pan jest, bo oglądam telewizję. Ja nazywam się Jaime Lynde z „World Views”.

Teraz on się uśmiechnął.

- A czy pani zawsze się tak przedstawia?

- Tylko kiedy chcę komuś zaimponować. - Roześmiała się. - A co do tej kolacji...

**Jaime** rzadko się z kimś umawiała. W duszy wciąż miała nie zagojone blizny z dzieciństwa, które sprawiały, że bała się przywiązać do kogoś zbyt mocno. Miała niewielu przyjaciół. Wolała spędzać wieczory ze znajomymi, dyskutując o pozytywnych i negatywnych stronach jej zawodu. Mówiła sobie, że nie ma znaczenia, czy tym znajomym będzie akurat przystojny mężczyzna, taki jak Marty - chociaż musiała przyznać, że był niezwykle atrakcyjny.

- Powiedz mi, co też taki wielki reporter jak ty ma na celu, robiąc sprawozdania z tak małych wydarzeń jak kampania senatora Marlowe'a? - zapytała Jaime, siedząc naprzeciwko Marty'ego w jednej z sal Shinbashi na Park Avenue.

Uśmiechnął się.

- Myślę, że jest to powrót do początków mojej kariery, gdy debiutowałem jako spiker w lokalnej stacji mojego rodzinnego miasta - odparł, próbując smaku zamówionego piwa Sapporo.

- Skąd pochodzisz?
- Z Brownsville w Teksasie. Potem było Boca Raton, Floryda, Miami i Atlanta, w tej kolejności.
- Cygan! - podsumowała. - To coś dla mnie.
- Dokładnie tak.

Pojawił się kelner z ich *saskimi*. Twarz dziewczyny wydłużyła się. W przeciwieństwie do nowojorczyków nie lubiła tej japońskiej potrawy: surowej ryby, pokrojonej w cieniutkie plasterki, obficie garnirowanej. Nie znosiła nawet nie dopieczzonego steku, nie wspominając już o surowej rybie. Marty patrzył na nią ubawiony, jakby czytał w jej myślach.

- To jest tuńczyk - powiedziała, wskazując pałeczką czerwone kawałki na jej talerzu. - wszystko, co tu podają, jest świeże i chłodne. Nie znajdziesz tu nic galaretowatego ani zmrożonego, jak w wielu innych lokalach w tym mieście.

Jaime spróbowała tuńczyka i została mile zaskoczona.

- A co to jest? - zapytała, wskazując kolorową masę otoczoną wianuszkami wodorostów.

- Jeż morski.
- A to tutaj?
- Ośmiornica.

Zmarszczyła nos, zdecydowanie odsuwając ośmiornicę na skraj talerza.

- Nie, dziękuję.
- Znowu się roześmiał.

- Ależ spróbuj - nalegał. - Jest naprawdę smaczna.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Postanowiłam nigdy nie jeść czegoś, co mogłoby mnie zjeść - oświadczyła, czując lekkie mdłości na samą myśl o spożyciu ośmiornicy.

- Ale ona nie może cię zjeść - przekonywał. - Przecież nie żyje.

Przyglądała mu się, opierając podbródek na dło-

niach, a łokcie na stole, w sposób, który jej matka uznawała za karygodny.

- W przyszłości - zaczęła ostrożnie - wolałabym pozostać przy *tonkatsu* albo *salmon teriyaki*, jeśli to możliwe.

Był to, jak stwierdziła później, przyjemny wieczór, mimo ośmiornicy. Marty nalegał, by poszli do niego, ale Jaime wolała wracać do domu. Uparł się, że odprowadzi ją pod same drzwi.

- Lepiej się pośpiesz - powiedziała, wkładając klucz do zamka. - Licznik na parkingu bije.

- Wiem. - Wszedł za nią do mieszkania. - Niech sobie bije.

- Będzie cię to kosztowało fortunę - poczuła się nieswojo.

- Nie będzie. - Delikatnie przycisnął ją do ściany. - Złożę to na rachunek firmy. - Jego wargi dotknęły jej ust

- Nie zrobisz tego - mruknęła.

- Mmmm... Oczywiście, że zrobię.

Pieścił jej usta, pobudzając ją wbrew woli. Poczowała jego dłonie na swoim ciele. Ku swemu przerażeniu stwierdziła, że jej sutki twardnieją pod jedwabną bluzką, i była pewna, że on też jest tego świadom. Sięgnął jedną ręką pod bluzkę i gwałtownie rozpiął przód biustonosza. Palcami objął pierś. Miała wrażenie, że ściany wirują, gdy zaczął ją tulić do siebie. Coraz gwałtowniej igrał z jej sutkiem. Wzięła głęboki oddech i odepchnęła go od siebie.

- Marty - szepnęła, czyniąc bezradny ruch dłońmi.

Przyglądał się jej w ciemności.

- Przepraszam - odparł. - Nie chciałem, żebyś... Myślałem tylko, że...

- Nie jestem jeszcze gotowa - powiedziała, wpatrując się w podłogę.

Skinał, drapiąc się w tył głowy z zażenowaniem lub irytacją, a może z zażenowaniem i irytacją.

- Pośpieszyłem się - powiedział w końcu.  
Przytaknęła.
- Głupi start. - Uśmiechnął się. - Myślisz, że mogli-  
byśmy zacząć jeszcze raz od początku?  
Uśmiechnęła się z wysiłkiem.
- Jasne. Czemu nie?
- Jutro wieczorem?
- Znowu przytaknęła.
- Gdzie chciałabyś pójść? - zapytał wyraźnie zdener-  
wowany.
- Wolałabym coś włoskiego lub francuskiego, jeśli  
to ja mam wybierać. - Uśmiechnęła się. - Mam dość  
ośmiornic.
- Żadnych ośmiornic - obiecał. - Znam świetną wło-  
ską restaurację na East Side.
- Uwielbiam włoską kuchnię.
- Przyjdę po ciebie o siódmej, O.K.!
- Postaram się pozbierać do tego czasu.

Dopiero kiedy wyszedł i usłyszała, że zamykają się za nim drzwi windy, odetchnęła z ulgą. Wiele czasu minęło, odkąd pozwoliła sobie na przypadkowy związek seksualny. A jeszcze więcej, odkąd była kimś tak mocno zafascynowana. Zwłaszcza kimś, kogo dopiero poznała. Siła jej fizycznego pociągu do Cantrella zdumiała ją nawet bardziej niż jego atrakcyjność.

Dopóki dotyczy to tylko sfery fizycznej, jestem bezpie-  
czna - powiedziała sobie.

**Jaime** spotykała się z Martym codziennie. Jeśli poz-  
walał im na to czas, jedli razem lunch. Chodzili do ulu-  
bionych restauracji: Manhattan Market, Fonda la Paloma,  
Gloucester House. Czasami kupowali hot-dogi u ulicznych  
sprzedawców i urządzali sobie piknik w Central Parku.  
Jadali także wspólnie kolacje, a w weekendy włączyli się  
po galeriach od Madison Avenue po Soho. Pływali pro-  
mem na Liberty Island, chociaż posąg był w renowacji

i otaczały go rusztowania. Słuchali koncertów na wolnym powietrzu, chodzili do teatru i na spacer. Czuli się dobrze razem. Marty nie czynił nic, żeby się do niej bardziej zbliżyć.

- Poczekam, aż będziesz gotowa - mówił.

Jestem gotowa - myślała, przyglądając mu się, gdy rozkładał koc na trawie w nowo otwartej części Central Parku. W żółtej koszulce polo i oliwkowych spodniach był tak samo przystojny, jak we włoskim garniturze. Uważaj - ostrzegęła samą siebie.

- Mogę zapytać, o czym tak myślisz? - zapytał Marty, opróżniając kosz, który przynieśli ze sobą. - Z twego wyrazu twarzy sędzę, że musi to być coś dobrego.

- Nieważne - stwierdziła, wciąż uśmiechnięta.

- Nie wygląda to na „nieważne”, przynajmniej nie z tego miejsca, w którym siedzę. - Odkorkował wino, wyjął z kosza naczynia i napełniwszy je, podał jej kieliszek.

- No więc, przyznasz się czy nie?

To ją rozbawiło.

- Do czego?

- Do wszystkich tych niewłaściwych myśli, które tańczą po twojej pięknej głowie - odparł z figlarnym uśmiechem.

Wypiła łyk wina.

- Dlaczego sądzisz, że moje myśli są niewłaściwe?

- Twoja twarz cię zdradza. - Wyciągnął się na kocu i podparł na łokciu. - Dobry reporter potrafi czytać z ludzkiej twarzy. Twój uśmiech, kochanie, jest tak niewłaściwy, jak rzadko kiedy.

- Bardzo dziękuję.

- To miał być komplement - powiedział. - Uwielbiam takie grzeszne uśmiechy. Zwłaszcza na pięknej twarzy.

Skończył wino, odstawił pusty kieliszek i odebrał jej, jeszcze pełny. Kiedy chciał go postawić, kieliszek przewrócił się i wino splamiło koc. Nie zwrócił na to uwagi.

- Chodź tu, kochanie - powiedział ochryple, przyciągając ją do siebie.

Całował długo, żarliwie. Odpowiadała z równym entuzjazmem, zarzucając mu ramiona na szyję. Pragnęła go, była tego pewna - i on jej pragnął. Dopiero poczawszy jego dłonie, przesuwające się w dół jej ciała, gwałtownie wróciła do rzeczywistości.

- Może lepiej zjedźmy coś - powiedziała, odrywając się od niego.

- Później - sięgnął po nią ponownie.

Cofnęła się, unikając jego rąk.

- Nie jesteśmy całkiem sami, jeśli tego nie zauważyłeś. - Zatoczyła ręką krąg. - Jeżeli posuniemy się dalej, umieszczą cię w wieczornych wiadomościach - bynajmniej nie jako prezentera!

- To cudownie. Zawsze lubiłem zwracać uwagę. - Uśmiechnął się szatańsko.

- Ale ja nie! - odparła, szybko wyjmując resztę rzeczy z kosza. - Jedźmy, biedny, zgłódniały człowieku.

To było bardzo przyjemne - powiedziała Jaime, gdy wchodzili do jej mieszkania. - Musimy to kiedyś powtórzyć.

Postawił kosz na podłodze.

- Mam plany na bliższą przyszłość - odparł, zamykając drzwi.

- Czyżby? - Odwróciła się do niego z uśmiechem. - Cóż takiego planujesz?

Spojrzała w jego płonące z pożądania oczy.

- Myślę, że dobrze znasz odpowiedź.

Przytaknęła powoli.

- Sądzę, że tak - wyznała ledwo słyszalnym szeptem.

- Czekałem - powiedział z wolna, podchodząc do niej. - Starałem się nie poganiać. To już miesiące, Jaime. Dotrzymałem słowa.

Wyciągnęła do niego rękę.

- Przestań być takim cholernym dżentelmenem i weź mnie do łóżka, idioto!

W następnej chwili znalazła się w jego ramionach. Ich usta złączyły się pożądliwie, ciała przyłgnęły do siebie. Wypełniło ją dziwne podniecenie, jakiego dotąd nie przeżywała. Poczwała, jak jego dłonie przesunęły się w dół jej pleców, objęły pośladki i przycisnęły do bioder. Wiedziała, że jego pożądanie było równie wielkie. Schylił się, by ją podnieść, ale powstrzymała go.

- Mogę jeszcze chodzić, dziękuję ci bardzo - szepnęła, odwracając się w kierunku sypialni i ciągnąc go lekko za sobą. Po drodze rozpięła fioletową bluzkę, ściągnęła ją i rzuciła na podłogę, pozostając naga do pasa. Zdjęła narzutę z łóżka i pozbyła się reszty ubrania, podczas gdy Marty niecierpliwie zdzierał z siebie bieliznę.

Rozrywając zębami paczkę prezerwatyw, patrzył zaintrygowany, jak rozbiera się przy nim bez skrępowania. Podziwiał jej otwartość. Nie było w niej nic z fałszywej skromności czy onieśmienia. Podobało mu się to. Podziwiał jej wspaniałe ciało, gdy stała przed nim, płonąca z pożądania, nie skrępowana nagością. Ich ciała złączyły się z gwałtownością od miesięcy powstrzymywanych pragnień i potrzeb. Całował ją namiętnie. Jaime odpowiadała mu z żarem, który zadawał kłam jej zewnętrznemu opanowaniu. Złączeni uściskiem padli na łóżko. Obsypywali swoje twarze gorącymi pocałunkami, ich usta i dłonie odkrywały tajemnice nie znanych sobie dotąd ciał.

- Tak długo - szeptał Marty, delikatnie całując jej policzki. - Myślałem, że nigdy już nie ujrzysz światła...

- Nie jestem tak uparta, jak wszyscy uważają - powiedziała miękko, całując po każdym słowie jego szczupły, umięśniony kark. - W każdym razie, kochanie, nigdy nie odmawiam sobie tego, czego naprawdę pragnę. Jak na przykład teraz...

Wplątała palce w jego włosy, gdy pochylił głowę do

jej piersi. Przeszedł ją mimowolny dreszcz, kiedy zaczął pieścić sutki koniuszkiem języka. Plecy Jaime wygięły się w łuk, piersi zbliżyły się ku niemu, jakby z przynagleniem. Począł je ssać, najpierw delikatnie, później coraz gwałtowniej. Po dłuższej chwili odepchnęła go. Przewrócił się na plecy, pociągając ją za sobą. Całowała go raz po raz - najpierw w czoło, później w nos, usta i podbródek, w końcu wtuliła twarz w jego szyję. Nagle ugryzła go żartobliwie. Spojrzał na nią zdumiony.

- Teraz poczułaś głód, co? - zapytał, uśmiechając się złośliwie.

- Uhm... - mruknęła, odrzucając z twarzy pasmo długich włosów.

Roześmiał się.

- Dam ci coś, co zaspokoi ten twój żarłoczny apetyt - powiedział cicho, łagodnie spychając jej głowę w kierunku brzucha. - Coś, co ucieszy nas oboje.

Uśmiechając się Jaime schyliła głowę i wzięła go do ust. Lizała leniwie, od czasu do czasu ssąc delikatnie, pieszcząc wargami i językiem, dopóki nie była pewna, że już jest gotowy. Uniosła się gwałtownie i wprowadziła go w siebie. Jego palce wyciągnęły się w ciemności, znajdując miejsce, w którym byli złączeni, i gładziły je żarliwie, dopóki oboje nie osiągnęli szczytu.

Opadła na niego bezsilnie. Ich oczy spotkały się, gdy oboje próbowali złapać oddech.

- Jesteś za szybka, moja pani - jęknął Marty, przesu-  
wając delikatnie palcami po jej ustach. - Przyszedłem  
tutaj z zamiarem poświęcenia na to całej nocy.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Liczę na to.

**Do** czasu poznania Marty'ego Jaime lubiła seks, jednak nigdy nie pozwalała sobie na jakiegokolwiek uczucia poza fizycznym pożądaniem. Tak było lepiej - rozumowała, zbyt mocno pamiętając ból po samobójstwie matki



i bezsilny gniew, gdy zniknął uwielbiany przez nią ojciec. Zawsze podejrzewała, że gdyby matka naprawdę ją kochała, nie odebrałaby sobie życia. Choć przez ostatnich osiemnaście lat starała się przekonać samą siebie, że zniknięcie ojca związane było z jakąś tragedią, rozgrywającą się wbrew jego woli - w głębi duszy czuła się porzucona.

Te uczucia zaważyły na wszystkich jej stosunkach z ludźmi. Rzadko wiązała się z kimś na dłużej, zaspokajając seksualne potrzeby, kiedy uznała to za niezbędne, ale nigdy nie pozwalała sobie na luksus stworzenia najmniejszej więzi emocjonalnej z wybranym partnerem. Zrażała wszystkich, którzy próbowali się do niej zbliżyć - dopóki w jej życiu nie pojawił się Marty. Przed Martym - bystrym, przystojnym, namiętnym Martym, z jego naturalną śmiałością i cudownym poczuciem humoru - nie liczył się nikt. Zakochała się, nawet nie wiedząc kiedy, i nie było już odwrotu. Nie tylko go kochała, ale ufała mu tak jak nikomu. Czuła się z nim bezpieczna.

Nakryła mały stół w „jadalni”, to znaczy w kącie salonu, koronkowym obrusem po babce oraz porcelaną i srebrem, które kupiła na aukcji w Connecticut. Ocenivszy z zadowoleniem swoje „dzieło”, weszła do kuchni, by sprawdzić, czy kurczak jest już miękki. Zazwyczaj jedli gdzieś w mieście, a potem spędzali nocę u niej lub u niego. Dzisiaj jednak chciała, żeby było inaczej. Chciała być z nim sama. Następnego dnia wyjeżdżała do Chile i zdecydowała, że ten wieczór będzie specjalny.

Weszła do sypialni i zaczęła się ubierać. Włożyła czarną jedwabną bieliznę i ciemnozielony kostium z szalowym kołnierzem. Biżuterię miała tę samą co zwykle, z dodatkiem ciężkiego, złotego naszyjnika i złotej bransoletki. Zrobiła lekki makijaż i rozczesała gęste włosy, rozpuszczając je luźno na ramionach. Dokładnie tak jak

Marty lubi - pomyślała zadowolona, spoglądając w lustro.

Marty pojawił się dokładnie o siódmej trzydzieści.

- Czy się spóźniłem? - zapytał, wręczając jej butelkę wina i bukiet kwiatów, owiniętych zielonym papierem.

Jaime pocałowała go.

- Dokładnie na czas, panie prezenterze - powiedziała. - Dwadzieścia sekund do czasu transmisji. - Zabrała prezenty do kuchni.

Uniósł pytająco brwi.

- Masz tu kamerę wideo?

Wróciła, uśmiechając się figlarnie.

- W sypialni - odparła pieszczotliwym głosem.

- Jesteś bezwstydną - powiedział, obejmując ją. - Ale ja, w skrytości ducha, zawsze byłem ekshibicjonistą, wiesz o tym?

- Podejrzewałam cię o to - przyznała.

- Masz na myśli to popołudnie w parku? - Pocałował ją w usta.

- Tak, to też. I ten dzień w galerii. - Dotknęła ustami jego podbródka. - I wtedy na platformie widokowej w World Trade Center. - Znowu jego usta. - I w Met. - Koniec nosa. - I na promie na Staten Island. - Musnęła go w powieki. - A tego dnia na schodach w supermarkecie? Drogi panie, sądzę, że potrafiłbyś to zrobić na twoim biurku podczas nadawania wieczornych wiadomości!

Zaśmiał się cicho.

- Wiesz, że teraz, jak o tym wspomniałaś, sądzę, że to prawdopodobne. - Przerwał, wciągając mocno powietrze. - Czy coś się pali?

Oczy Jaime rozszerzyły się z przerażenia.

- O Boże, mój kurczak!

**Leżeli** w ciemnej sypialni, wyczerpani po długiej, pełnej miłości nocy, ze spletanymi ramionami i nogami.

Ich ciała były wilgotne od zaspokojenia. Jaime pociągnęła lekko wskazującym palcem po profilu Marty'ego.

- Biedaku - powiedziała, śmiejąc się cicho. - Wyglądasz na wykończonogo.

Uniósł brew, jedyną część ciała, którą był zdolny poruszyć w tej chwili.

- Przypuszczasz, że ty nie?

- W ogóle - odparła lekko.

Jęknął rozpaczliwie.

- Cóż ci jest, panie Cantrell? - Była najwyraźniej w pieszczotliwym nastroju. - Nie dasz rady?

- Wiesz co, kobieto, przyszedłem tu dziś ze szczerym zamiarem poproszenia cię o rękę - zaczął słabym głosem. - Ale myślę, że zrobisz ze mnie staruszka w niezwykle krótkim czasie.

Usiadła i spojrzała na niego.

- Czy to są oświadczyzny?

- Owszem, to miały być oświadczyzny.

Uśmiech nagle zniknął z jej twarzy. Propozycja małżeństwa była jedyną możliwością, której nie wzięła pod uwagę.

- Nie wyglądasz na uradowaną - zauważył Marty. - Czy to odmowa?

Potrząsnęła głową.

- Jestem tylko zdziwiona, to wszystko.

Uniósł się na łokciu.

- Nie mów mi, że jesteś jedną z tych bojowych kobiet kariery, które potrzebują mężczyzny tylko od czasu do czasu, by zaspokoić swoje... uch, pożądanie. - Przeciągnęła dłonią po włosach.

Nie wiesz, jak jesteś bliski prawdy, jeśli chodzi o minionych kilka lat - pomyślała chmurnie Jaime.

- Nie - powiedziała szybko. - To nie to.

- W takim razie coś musi być we mnie nie tak - odparł.

Próbując przełamać rosnące napięcie, uniósł jedno

ramię i powąchał. - Może używam złego dezodorantu?  
A może to był płyn do ust?

Nie uśmiechnęła się.

- To nie ty - zapewniła go.

Przyglądał jej się przez chwilę.

- Po prostu nie chcesz za mnie wyjść - stwierdził. -  
Czyż nie tak?

- Och, nie! - zaprzeczyła szybko. - Tu chodzi o mnie,  
Marty. Nigdy nie potrafiłam całkowicie zawierzyć dru-  
giemu człowiekowi. - Wzruszyła bezradnie ramionami.

- Nie zrozumiesz tego.

- Spróbuję.

Zawahała się.

- Boję się - powiedziała w końcu, unikając jego wzroku.

- Czego? - Jego głos był łagodny.

- Zaufać, przywiązać się za bardzo - odparła ledwo  
słyszalnie. - Dać się znowu zranić.

- Znowu? - Wyciągnął dłoń, by pogłodzić ją po twarzy.

- Kto cię już zranił?

Potrząsnęła głową.

- Nie potrafię o tym mówić, Marty. Jeszcze nie teraz.  
Nalegał, nie dając za wygraną.

- Chciałbym ci pomóc. Jeśli mi pozwolisz.

Chciała o tym mówić. Chciała się z nim podzielić,  
a jednak coś ją powstrzymywało. Nigdy o tym z nikim  
nie rozmawiała. Odsłaniając się naruszyłaby swoją  
odporność na ciosy, a postanowiła nigdy więcej nie być  
bezbronna. A jednak...

- Moja matka... i ojciec... - powiedziała w końcu, zdzi-  
wiona brzmieniem własnego głosu. ,

- Jak oni cię zranili?

- Porzucili mnie. Po prostu odeszli, bez ostrzeżenia,  
bez niczego. Po prostu zostawili mnie i nigdy nie wrócili.

- Jej głos drżał. - Moja matka odebrała sobie życie, gdy  
miałam sześć lat. Ojciec dużo podróżował w interesach.  
Pewnego dnia wyjechał i nigdy go już nie widziałam.

## WIĘZY KRWI

Nieoczekiwanie słowa płynęły strumieniem, emocje, które chowała głęboko w sobie przez tyle lat - zostały uwolnione. Mówiła mu o rzeczach, o których nigdy nikomu nie mówiła - o obawach, że matka nigdy jej nie kochała, o tym, co stało się z ojcem, o wszystkim. Długo potem Marty trzymał ją w ramionach, gładząc po włosach i zapewniając, że bardzo ją kocha i nigdy jej nie opuści.

Rano jej zaproponował, by wgłębiła się w okoliczności, w jakich zginął jej ojciec.

- Mówisz, że on nie zginął - stwierdził. - Nie sądzisz, że mogłabyś to sprawdzić?

Spojrzała na niego.

- Jak? - zapytała niepewnie.

Uśmiechnął się.

- Jesteś reporterką. Użyj swoich dróg.

Pomyślała przez chwilę.

- Myślisz, że to możliwe?

- Myślę - stwierdził, patrząc na nią - że jedyne, czego prasa nie zdołała odkryć do tej pory, to to, co stało się naprawdę z Jimmym Hoffa.

### *Nowy Jork, kwiecień 1985*

Ja i me stanęła przed budynkiem firmy O'Donnel-Colby na Wall Street. Przyglądając się dwudziestu siedmiu piętrům stalowo-szklanej konstrukcji, zauważyła, że wyrasta jak błyszcząca kolumna spośród wielu starszych budynków. Przeczytawszy tabliczkę nad drzwiami -1974 - stwierdziła, że ojca nie było już w firmie, gdy stawiano ten kolos. Zastanawiała się, ilu ludzi, z którymi miał kontakt - jeśli w ogóle ktokolwiek - nadal jeszcze pracowało w firmie.

Pchnęła jedyne z obrotowych drzwi i weszła do środka. Imponujące - pomyślała, obejmując wzrokiem ogromne rośliny w doniczkach i okna od podłogi do sufitu. Stwierdziła, że wygląda tu jak kwiatek przy kozuchu, w swoich brązowych spodniach i luźnym kremowym swetrze, ale miała to w nosie. Gdy podchodziła do windy, obcasy jej skórzanych butów stukały o szaro-czarne płytki podłogi. Zatrzymała się na chwilę przed tablicą informacyjną, by sprawdzić, czy są tam jakieś znajome nazwiska ludzi, którzy byli tu, gdy ojciec pracował w firmie dziadka. Trzech z nich jeszcze tu jest - spostrzegła, zapisując nazwiska w małym notesie.

Wjechała windą na szesnaste piętro. Pierwszy na jej liście był John Matthews, obecnie dyrektor personalny. Jego sekretarka, elegancko ubrana siwa pani, o spojrze-

niu jastrzębia ścigającego swą ofiarę, uniosła głowę znad maszyny do pisania i spojrzała na wchodzącą.

Wygląda, jakby mnie chciała zjeść - pomyślała Jaime. Przyjrzawszy się jej dokładnie, stwierdziła, że makijaż tej kobiety jest stanowczo zbyt jaskrawy i że odruchowa niechęć do niej jest uzasadniona.

- Słucham? - zapytała sekretarka chłodno.

- Chciałabym widzieć się z panem Matthewsem. - Jaime zmusiła się do uprzejmego uśmiechu.

- Czy jest pani umówiona? - zapytała sekretarka niczym Cerber u bram Hadesu.

- Tak - skłamała Jaime.

- Pani nazwisko? - Kobieta zaczęła skrupulatnie przewracać kartki kalendarza.

- Właściwie to nie jestem umówiona - powiedziała szybko - ale wuj John mówił, że gdybym była w mieście, to mam zadzwonić, a ponieważ przyjechałam nieoczekiwanie, więc...

- Jest pani zatem jego siostrzenicą?

Jaime przytaknęła.

W tej chwili drzwi w drugim końcu pokoju otworzyły się i wyszedł wysoki, mocno zbudowany mężczyzna o przerzedzonych, siwych włosach. Miał na sobie garnitur, który - jak przypuszczała Jaime - musiał kosztować fortunę.

- Cora, ja... - Przerwał nagle, dostrzegłszy Jaime.

- Jaime? - przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. - Zapytał wreszcie: - Jaime Lynde?

Skinęła głową.

- Mój Boże, ty naprawdę wyglądasz jak twój ojciec - powiedział.

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Tak mi mówiono.

- To już tyle lat. Co cię tu sprowadza?

- Muszę z panem porozmawiać, panie Matthews. O moim ojcu - odparła cicho. - To bardzo ważne.

Zawahał się, po czym skinął głową.

- Chodźmy do mnie.

Gdy wchodziła do jego pokoju, obejrzała się przez ramię na mocno zdziwioną sekretarkę. Matthews zamknął drzwi.

- Proszę usiąść - powiedział, wskazując krzesło przed biurkiem.

Jaime usiadła i rozejrzała się po gabinecie. Super-nowoczesne wnętrze, szkło, nikiel, na ścianach abstrakcyjne obrazy - idealne dla człowieka na jego stanowisku. Stylowe, ale nie mówiące nic o nim samym.

- Co mogę dla ciebie zrobić, Jaime?

Spojrzała mu w oczy.

- Może mi pan opowiedzieć o moim ojcu - wyjaśniła wprost, nie owijając w bawełnę.

Wiedział, o co jej chodzi.

- Jesteś pewna, że chcesz to usłyszeć? - zapytał z wahaniem.

Skinęła głową.

- Jestem dorosła. Chcę wiedzieć.

Odetchnął głęboko.

- Do pewnego czasu był kryształowo czysty - zaczął.

- Jeden z najlepszych pracowników. - Zagryzł wargi. - Później miał konflikt z Harrisonem, twoim dziadkiem. Gdy Colby nakrył go z jedną z jego kobietek...

- Kobietek? - zapytała zdziwiona.

Matthews potwierdził.

- Zdaje się, że cała rodzina Colbych uważała, że Lynde poślubił Fran dla pozycji i pieniędzy - ciągnął. - Po wojnie twój ojciec miał wiele medali i dyplom ze studiów, ale żadnej pozycji w świecie biznesu. Żeniąc się z jedną z córek Harrisona Colby'ego, zapewnił sobie miejsce w jego firmie. Chodziły plotki, że miał chętkę na młodszą, ale poślubił Frances, ponieważ łatwiej nią było kierować, zwłaszcza jeśli zamierzał mieć jakieś miłośki na boku.

Jaime szukała we wspomnieniach czegokolwiek, co



potwierdziłoby słowa tego człowieka. Nie znajdowała nic. Pamiętała napięcie między ojcem a dziadkiem po śmierci matki - ale nigdy przedtem. Zdawała sobie sprawę, iż było możliwe, że miał jakąś kobietę, ale nie wierzyła w to. Chociaż, trzeba przyznać, matka nie była zbyt dobrą żoną w ostatnich latach życia, spędzając czas zamknięta w swojej sypialni.

- Słyszałam, że ojciec był oskarżony o defraudację - zagaiła, wracając do teraźniejszości, nie miała bowiem ochoty usłyszeć słowa więcej o związkach ojca z kobietami.

Matthews zmarszczył brwi.

- Powiedziałem ci o tym, ponieważ, jak mówiono, było to przyczyną tego, co zrobił. - Zapalił grube cygaro.

- Rozumiem. A co takiego zrobił?

- Poróżnił się z Harrisonem tuż po śmierci twojej matki. Wszyscy wiedzieli, że to było samobójstwo, co tylko dolewało oliwy do ognia. Harrison był gotowy wyrzucić go z firmy i podjąć kroki, by odebrać mu prawa rodzicielskie do ciebie, jego jedynej wnuczki. Lynde wiedział, że gdyby sprawa dostała się do sądu, przegrałby. Colby miał zbyt wielkie wpływy. Ale postanowił, że Harrison mu za to zapłaci. Musiał lecieć do Paryża. Miał tam zawrzeć wysoką gotówkową transakcję na Gwiazdkę 1966 r. Do Paryża poleciał, ale na spotkaniu się nie zjawił. Nikt go więcej nie widział.

- I wszystko, co mi pan powiedział, to fakty? - zapytała bez przekonania. Nie wiedziała nic o konflikcie ojca z dziadkiem. To babka winiła go za śmierć córki!

- Właściwie, to nie. Jak mówiłem, większość z tego to plotki, domysły. Jedyne, co wiemy na pewno, to fakt, że Jim Lynde zniknął pewnego dnia z wielką sumą pieniędzy i nikt go odtąd nie widział - przyznał Matthews.

Jaime wstała powoli.

- Przez lata, panie Matthews, mówiono mi, że mój ojciec nie żyje - powiedziała. - Sądziłam, że słyszałam

już wszystkie możliwe kłamstwa o tym, co się z nim stało i dlaczego. Ale pańska opowieść, muszę przyznać, powinna otrzymać nagrodę Pulitzera za fikcję!

Odwróciła się na pięcie i wyszła bez słowa.

**Drugi** mężczyzna, z którym rozmawiała, nie był wiele sympatyczniejszy; trzeci odmówił w ogóle spotkania się z nią.

Najwyraźniej wszyscy wierzyli w te bzdury opowiedane o moim ojcu, od defraudacji po zdradę małżeńską - stwierdziła oburzona Jaime, jadąc taksówką w kierunku domu. Uważali, że był winien, bez względu na „okoliczności łagodzące”. Bez względu na to, że nikt nie miał żadnych dowodów. Pieprzyć ich wszystkich - myślała z furją. - Tato i ciotka Kate? Niemożliwe! A ta zabawna bajka o oskarżeniu ojca przez dziadka, że oszukiwał matkę, i o próbie odebrania mnie - cholerne bzdury!

Taksówka zatrzymała się przed domem. Jaime wygrzebała z torby portfel, zapłaciła, wysiadła i śpiesznie wbiegła do budynku. Wcisnęła się do zatłoczonej windy tuż przed zamknięciem drzwi i w milczeniu wjechała na swoje piętro, unikając rozmów z kimkolwiek. Nie była w nastroju do rozmów. Nie dzisiaj.

Wysiadła i wyłowiła z torby klucze. Dwa razy upuściła je na ziemię, wciąż drżąc z gniewu. Byli koledzy ojca oskarżyli go, skazali i ścięli. Nic ich nie obchodziło, uwierzyliby we wszystko, żeby tylko zachować spokój stabilnej egzystencji.

Do diabła z nimi wszystkimi - pomyślała gniewnie.

Weszła do mieszkania, rzuciła torbę na ziemię i skierowała się do kuchni. Zwalczyła przemożną chęć kopania wszystkiego, co mogło stanąć na jej drodze. Zalała ją fala wściekłości i rozpacz. Otworzyła puszkę soku i wypijała ją szybko, żałując, że nie ma czegoś mocniejszego. Zgniotła pustą puszkę jedną ręką, wrzuciła do kosza i przeszła do sypialni. Zsunęła buty, ciskając je

z pasją na ziemię. Nie mogła przestać myśleć o tym, co usłyszała. Opowieści Matthews'a i innych podsycały tylko jej pragnienie dotarcia do korzeni tajemnicy, do odkrycia prawdziwej przyczyny zniknięcia ojca.

Raz na zawsze.

**Mogliby** go znaleźć na dnie Seine i wszystko, co by ich obchodziło, to te cholerne pieniądze - mówiła Jaime ze złością, siedząc z Martym przy kolacji w Quilted Giraffe. - Do szafu mnie to doprowadza.

Martin skinął na kelnera, by przyniósł mu jeszcze jednego drinka.

- Czy ty naprawdę spodziewałaś się po nich czegoś innego? - zapytał.

Odłożyła widelec na talerz.

- Nie, a właściwie tak - przyznała. - Spodziewałam się znaleźć przynajmniej jedną osobę, która miałaby jakieś wątpliwości, która wierzyłaby, że tato miał ważne powody ku temu, co zrobił.

- Ten gniew jest stratą twojej energii - stwierdził Marty. - Masz ważniejsze rzeczy do zrobienia niż przeklinać wszystkich ograniczonych drani na świecie.

- Jak na przykład co, panie prezenterze? - W jej głosie brzmiał sarkazm.

Uśmiechnął się.

- Jesteś dziennikarką. Gdybyś pisała na ten temat reportaż, gdybyś nie była zaangażowana w to emocjonalnie, jaki byłby twój następny ruch?

Pomyślała przez chwilę.

- Porozmawiałabym z rodziną - powiedziała w końcu. - Tylko że w tym wypadku to niemożliwe. Nie ma takiej.

- Żadnej w ogóle?

- Nigdy nie znałam rodziny ojca - odparła, dziobiąc w zamyśleniu mięso na talerzu. - Z wyjątkiem jego tak zwanej siostry i szwagra.

- Tak zwanej? - Uniósł pytająco brwi.

- Oni twierdzili, że są moją rodziną - wyjaśniła Jaime z wyraźnym powątpiewaniem w głosie. - Wiedzieli wiele o ojcu i o mnie, ale coś mi w tym wszystkim nie brzmiało prawdziwie. Może dlatego, że tato nigdy nie wspominał o siostrze. Nie wiem. Nie powinno mnie to dziwić. Nigdy nie mówił o rodzicach, tylko tyle, że pochodzili z Vermont i przenieśli się do Baltimore. Ponadto nigdy tej „rodziny” nie ufałam. Zwłaszcza Alice.

Marty przyglądał jej się przez chwilę.

- Czy ty w ogóle komuś ufałaś po jego zniknięciu?

Zawahała się.

- Nie, nie sądzę - przyznała w końcu.

Rozmowę przerwał kelner, który przyniósł drinka i zapytał, czy zechcą deser. Kiedy odszedł, znów wróciła do tematu.

- Oprócz Alice i Josepha, którzy okłamali mnie tyle razy, że straciłam rachubę, nie ma nikogo, z kim mogłabym porozmawiać. Mama nie żyje, dziadkowie też. Moja... - Przerwała nagle.

Marty przyglądał się jej wyczekująco.

- Moja ciotka Kate. Siostra matki - powiedziała. - Mieszka w Waszyngtonie, dokładnie w Maryland. Jest żoną senatora Craiga Pearsona.

- Myślisz, że może coś wiedzieć? - zapytał, sięgając po szklanę.

- Prawdopodobnie niewiele - odparła, wzruszając ramionami. - Ale nawet niewiele będzie czymś więcej, niż wiem teraz.

- Zadzwoń więc do niej. A co potem?

Potrząsnęła głową.

- Nie zadzwonię do niej - powiedziała. - Pojadę tam.

**Lampka** z napisem „Zapiąć pasy bezpieczeństwa” zamrugała, gdy samolot zaczął kołować nad lotniskiem w Waszyngtonie. Jaime spojrzała przez okienko. Gdy

chmury się rozstały, dostrzegła znajome kształty: Kapitol, Mall, pomnik Waszyngtona, Biały Dom. Ile to już czasu? - zastanawiała się. - Sześć miesięcy, odkąd widziałam Waszyngton... Szesnaście lat, odkąd widziałam Kate.

Podróże dawno już stały się częścią życia codziennego Jaime. Od czasu rozpoczęcia pracy w „World Views” często stwierdzała, że spędza w powietrzu więcej czasu niż przeciętna stewardesa.

Teraz jednak nie myślała o tym. Cała jej uwaga skupiona była na spotkaniu, które ją czekało. Jaka będzie Kate po tylu latach niewidzenia? Robiły, co mogły, by pozostawać w kontakcie, ale częste podróże, zarówno jednej jak i drugiej, utrudniały to w dużym stopniu. Przypomniały jej się słowa Matthews: „Plotka głosi, że Jim Lynde miał ochotę na młodszą siostrę...” Czy to było możliwe?

Gdy samolot wylądował, Jaime odpięła pas i wstała, by wyjąć skórzaną torbę ze schowka nad siedzeniem. Przepisnęła się przez przejście między fotelami i skierowała do wyjścia, wciąż myśląc o wczorajszej rozmowie telefonicznej z Kate. Ciotka była chyba ucieszona jej wizytą. Przechodząc przez bramkę, rozejrzała się. Czy ją w ogóle poznam?

- Jaime, kochanie! Tutaj!

Odwróciła się gwałtownie w stronę, z której dochodził znajomy głos. Kate Colby Pearson stała nieco dalej, machając do niej ręką. Kate nie zmieniła się zbytnio przez szesnaście lat. Postarzała się, oczywiście. Przybyło jej kilka funtów, ale w stosownych miejscach. Nosiła się z tym samym, wyszukany gustem, dopasowanym do najświeższej mody. Jaime pamiętała ten styl. Ciemne włosy ciotki były teraz krótko obcięte. Błękitny kostium i kapelusz z szerokim rondem nadawały jej szyku.

- Kate! - wykrzyknęła Jaime radośnie, wpadając w jej objęcia i przekreślając dzielące je lata.

Ciotka, niższa od siostrzenicy o dobre piętnaście centymetrów, odsunęła się o krok, by przyjrzeć się córce siostry.

- Kate? - zapytała z łagodną dezaprobatą w głosie. - A gdzie się podziała „ciocia” Kate?

- Dorosłam - powiedziała po prostu Jaime. - Poza tym słowo „ciocia” przywodzi mi na myśl zrędliwą staruszkę, drepczącą po podobnym do mauzoleum mieszkanku, między dziesiątkami kotów różnej maści i rozmiarów. Jesteś na to zbyt atrakcyjna i pełna życia.

Kate roześmiała się.

- W takim razie - odrzekła, obejmując Jaime ramieniem - nie tylko ci wybaczam, ale musisz obiecać, że nigdy więcej nie nazwiesz mnie „ciocią”.

- Zgoda - Jaime zaśmiała się.

Rozpoznałabym cię wszędzie, nawet po tylu latach - mówiła Kate, spacerując z Jaime po posiadłości Pearsonów w Maryland koło Brookmont - Jesteś, moja droga, w każdym calu córką swego ojca; masz te same włosy, te same oczy, ten sam zdecydowany wyraz twarzy. Musiałabyś urodzić się chłopcem, by być bardziej podobna.

- Nie ma we mnie nic z mamy? - Jaime podniosła z ziemi patyk, przełamała go na pół i wyrzuciła.

Kate potrząsnęła głową.

- Jesteś zupełnie inna niż Frannie - powiedziała cicho. - Moja siostra była śliczna na swój sposób, ale krucha i delikatna jak motyl. Krucho z wyglądu i delikatna w uczuciach. Przez większość swego życia była nieszczęśliwa, chociaż nikt z nas nie wiedział dlaczego.

- Taką ją pamiętam - potwierdziła Jaime z westchnieniem. - Smutną. Zawsze się zastanawiałam, czy to tato i ja byliśmy tego powodem.

Kate zmarszczyła brwi.

- Fran była zawsze nieszczęśliwa - odparła. - Nawet kiedy byliśmy dziećmi, zawsze miała powód do melan-

cholii. Dużo czasu spędzała sama. To ja byłam konfliktowym dzieckiem, zbuntowanym i ciągle sprawiającym kłopoty, wymykającym się nocą z domu, z hukiem wyrzucanym ze szkół...

- Typowa nastolatka - stwierdziła Jaime.

- O tym próbowałam właśnie przekonać rodziców - zgodziła się Kate. - Fran nie robiła nic z tych rzeczy. Dużo czytała i malowała, ale głównie marzyła. Zawsze miałam wrażenie, że ona ucieka w świat wyobraźni, ponieważ nie potrafi sobie poradzić z rzeczywistością. Tak było, dopóki nie spotkała twojego ojca. - Ściągnęła liść ze swojego swetra.

Jaime spojrzała na nią zdziwiona.

- Ojciec ją uszczęśliwił?

Wspomnienie przywołało uśmiech na usta Kate.

- Względę takiego mężczyzny jak Jim uszczęśliwiłyby każdą kobietę, jak sądzę - odparła szczerze.

Jaime pomyślała o tym, co powiedział jej Matthews.

- To brzmi, jakbyś ty też była nim zafascynowana - zauważyła.

Kate zawahała się przez chwilę.

- Myślę, że zakochałam się w nim w chwili, gdy go zobaczyłam - przyznała.

- Kochałaś się w moim ojcu?

- Pokochałam go jeszcze wcześniej niż Fran - wyznała. - Zawsze uważałam, że pasowalibyśmy do siebie lepiej. Było w nas obojgu coś awanturniczego, co grałoby ze sobą. Ale on od początku stawiał sprawę jasno: zależało mu tylko na Frannie. Byli tak różni jak noc i dzień, ale kochali się, i to się tylko liczyło.

- I nigdy nie byliście ze sobą... związani? - zapytała ostrożnie Jaime.

Kate wyglądała na zdziwioną.

- Nie, oczywiście, że nie. Skąd to pytanie?

Jaime opowiedziała jej o rozmowie z Johnem Matthewsem. Kate potrząsnęła głową.

- Nic między nami nie zaszło, chociaż bardzo tego pragnęłam. Od kiedy się zaręczył z Frannie, moje nadzieje się skończyły. Z tego co wiem, Jim nigdy nie zdradził Fran w czasie ich małżeństwa.

- Czy myślisz, że ojciec był defraudantem?

Kate potrząsnęła głową.

- Jima Lynde'a można oskarżać o wiele, ale o kradzież? Nie. Nigdy w to nie uwierzę.

- A dziadek i babcia? - pytała Jaime.

Kate westchnęła.

- Mama uwierzyłaby w najgorsze, ponieważ oskarżała go o śmierć Frannie, ale tato w głębi duszy wiedział, że to nieprawda.

- Czy on uważał, że ojciec zdradzał mamę? - indagowała Jaime.

- Jeśli nawet, to nigdy nic nie powiedziało, ale wiesz, jak łatwo powstają plotki - odparła Kate.

- To nigdy nie chciał odebrać mnie ojcu?

- Nie, oczywiście, że nie - zdumiała się. - Jaki by twój ojciec nie był, uwielbiał cię. Był dobrym ojcem, a przynajmniej starał się nim być, wszyscy o tym wiedzieliśmy. Nawet mama.

Jaime odetchnęła.

- Czy wierzysz w niego tylko dlatego, że kiedyś go kochałaś?

- Wierzę w niego, ponieważ zawsze go kochałam. Nie zrozum mnie źle. Kocham Craiga i Bóg mi świadkiem, że jest cudownym mężem. Jesteśmy dobrym małżeństwem. Ale twój ojciec zawsze był typem awanturnika - w stylu Indiany Jonesa, wiesz - i było w nim coś fantastycznie romantycznego. Myślę, że coś we mnie zawsze za tym tęskniło.

- I to wszystko? Twoja wiara opiera się tylko na miłości?

Kate zamyśliła się na długą chwilę.

- Głównie tak, ale też na tym, jaki był - odparła



w końcu. - Twój ojciec był bohaterem, wiesz, nagradzanym medalami i tak dalej. Chodziły słuchy, że był w jakiejś specjalnej służbie rządu, która doprowadziła do inwazji w Normandii. Lew, który przedstawił go nam wtedy w klubie, służył z nim podczas wojny. We Francji.

- Francji! - Jaime aż drgnęła. Ojciec zaginał w Paryżu. Czy to się jakoś wiązało? - Jak się nazywał ten człowiek, który go wam przedstawił?

- Lew. Lewis Baldwin.

- Gdzie on jest teraz?

- Nie mam pojęcia - odparła Kate, patrząc na ścieżkę pod nogami. - Nie widziałam go od lat. Ostatnio, jak słyszałam, mieszkał w Virginii, gdzieś koło Langley - spojrzała na Jaime podejrzliwie. - Miałaś specjalne powody, żeby do mnie przyjechać, prawda?

Jaime zawahała się, po czym przytaknęła.

- Chciałaś o tym porozmawiać?

Jaime zatrzymała się i zajrzała ciotce w twarz.

- Chciałam poznać prawdę, Kate - odparła. - Przez tyle lat żyłam wśród kłamstw i niedomówień. Chcę wiedzieć, dokąd pojechał i dlaczego nigdy nie wrócił. Chcę oczyścić jego nazwisko z zarzutów, jeśli potrafię.

Kate zamyśliła się, próbując przypomnieć sobie cokolwiek, co mogłoby pomóc.

- A próbowałaś rozmawiać z Harrym?

- Jakim Harrym?

- Wujem twojego ojca, Harrym Warnerem. Widziałam go tylko raz, na ich ślubie, ale zdawało się, że on i Jim byli ze sobą blisko związani - przypomniała sobie Kate.

Jaime wzniosła oczy do nieba.

- Jak na człowieka bez rodziny, krewni mojego ojca mnożą się w tajemniczy sposób - zauważyła. - Czy on przypadkiem nie wygrał czegoś na loterii?

- Loterii?

- Zawsze jak ktoś dostaje dużą sumę pieniędzy, nagle okazuje się, że ma mnóstwo przyjaciół i krewnych, o któ-

rych nigdy dotąd nie słyszał. - Przerwała i potrząsnęła gwałtownie głową. - Nie wierzę w te historie, Kate. Ani przez chwilę. I nie uwierzę w to, dopóki ktoś nie udowodni, że był winny.

Kate objęła ją ramieniem.

- Ja też w to nie wierzę - powiedziała łagodnie. - Twojego ojca, jak już mówiłam, można oskarżyć o wiele rzeczy, ale nie o defraudację.

Tej nocy Kate Colby Pearson nie mogła zmrzyć oka. Siedziała w swojej sypialni, skulona w wielkim fotelu koło okna, pogrążona we wspomnieniach wywołanych wizytą Jaime. Wspomnieniach o młodej kobiecie, która całe życie gorąco, choć skrycie, kochała męża siostry. Pamiętała ból, gdy patrzyła na ich ślub. Kochała go bardziej, niż ktokolwiek mógł przypuszczać - zwłaszcza Fran i rodzice. Och, oczywiście wiedzieli, że coś jest nie w porządku, ale nigdy się nie dowiedzieli, co było przyczyną. Zastłaniała się nudą życia i ogłosiła, że chce podróżować.

I co to dało - pytała siebie teraz. Z pewnością nie zmieniło jej uczuć do szwagra. Nie ułatwiło pogodzenia się z ich małżeństwem, kiedy wróciła do Stanów. Ból nie zmniejszył się ani trochę. Wyjechała więc w kolejną podróż. I jeszcze jedną. Wszystko było lepsze niż spędzanie czasu wspólnie z nimi. Kochała siostrę, ale kochała także jej męża - bardziej niż powinna. Ale widywanie ich razem... przerastało jej możliwości.

Wtedy poznała Craiga.

Craig Pearson był młodym senatorem z Virginii, wylansowanym przez jej ojca. Był przystojny, wykształcony, pochodził z dobrej rodziny. Jak Kennedy. I jak tamten - on również posiadał urok, który przyciągał wyborców, zarówno kobiety, jak i mężczyzn. Od chwili poznania okazywał jej duże względy. Poślubia go ze świadomością, że jest to tylko substytut tamtego, którego mieć

nie mogła. Stwierdziła jednak, że będzie to lepsze niż samotność. Nie był to najlepszy powód do małżeństwa - przyznawała teraz, ale wtedy wydawało jej się to dostateczne.

Szczerze mówiąc, kochała męża, nie tą gwałtowną, głęboką miłością, którą czuła do Jima, ale na swój sposób kochała. Nie widywała go co prawda zbyt często, ponieważ oboje podróżowali. Ona związała się z wieloma instytucjami charytatywnymi, on wyjeżdżał na posiedzenia senatu czy coś w tym rodzaju (nigdy z nią o tym nie rozmawiał) - a ostatnio spędzał wiele czasu na Środkowym Wschodzie. Niepokoiło ją to, ale wiedziała, że nie ma sensu się sprzeciwiać. Takie były jego obowiązki, jak powiadał. Craig miał wiele obowiązków. Po każdej podróży za granicę spędzał wiele godzin na konferencjach za zamkniętymi drzwiami w Langley.

Langley - pomyślała. - CIA ma swoje kwatery w Langley.

W sypialni po drugiej stronie korytarza Jaime także leżała bezsennie. Rozmyślała o wszystkim, co usłyszała od Kate.

**- Dlaczego nie zamieszkałam wtedy z wami? - zapytała Jaime przy kolacji - Czy twój mąż nie chciał..**

**- To nie to - zapewniła Kate. - On.. My... po prostu uważaliśmy, że to nie byłoby dla ciebie dobre. Byłaś taka mała, a my tak wiele podróżowaliśmy. Musiałabyś mieszkać w internatach...**

Jaime nie uwierzyła w to. Znała Kate dość dobrze, by wiedzieć, że chciałyby ją wziąć do siebie. Nie - była pewna, że to Craig się sprzeciwił. Kate po prostu go kryła.

Pomyślała o nim. Craig Pearson był senatorem Stanów Zjednoczonych. Był związany ze Środkowym Wschodem. Może on coś wie - pomyślała. - Może ktoś dotarł do ojca.

A może po prostu wpadam w obłąd...

Harry Warner czytał w **swoim** biurze gazetę, gdy zadzwonił telefon.

- Rozmowa na pierwszej linii, sir - powiedziała sekretarka.

- Kto?

Podąła mu nazwisko.

- Połącz go - odparł bez wahania.

W słuchawce rozległ się trzask, po czym odezwał się znajomy mu męski głos.

- Harry, mamy pewien problem.

- W Syrii?

- Nieco bliżej domu. Cóрка Lynde'a zaczęła się niepokój, zadaje wiele pytań.

- O swojego ojca? - domyślił się Warner.

- Głównie. Ale pyta też o ciebie. Sądzi, że jesteś wujem Jima.

Warner zastanowił się chwilę.

- Zajmę się tym - odparł.

**Samolot** wystartował miękko.

„Twojego ojca można oskarżyć o wiele... ale nie o defraudację...” Słowa Kate odbijały się echem w pamięci Jaime.

Przynajmniej dwie osoby wierzą, że jest niewinny - pomyślała. - Nieważne, że obie go kochamy.

Kate kochała jej ojca; wciąż nie mogła w to uwierzyć. Gdyby nie usłyszała tego od niej samej, nie dałaby wiary. Była pewna, że Matthews i inni kłamali, mówiąc o ich romansie. Chociaż może „kłamali” nie było właściwym słowem. Powtarzali tylko to, co im mówiono. „Wiesz, jak łatwo powstaje plotka”. Tyle lat i nikt nie wiedział - a już na pewno jej ojciec. Kate wolała, żeby tak zostało.

- *Dlaczego nigdy nie przyjechałaś do mnie po odejściu ojca?*

- *Chciałam Dzwoniłam kilka razy. Pani Harcourt powiedziała, że jesteś w depresji i że spotkanie ze mną pogorszyłoby tylko sprawę.*

- *Och, czegoż innego można by się po niej spodziewać!*
- *Za każdym razem, gdy dzwoniłam, znajdowała jakąś wymówkę. Pisałam do ciebie, ale ponieważ nigdy nie odpisywałaś, nie miałam pewności, czy w ogóle dostałaś moje listy.*
- *Nie dostałam. Nie dostałam wielu rzeczy przesyłanych do mnie.*

Opowiedziała Kate o kufrze, który znalazła na strychu w Sound Beach.

Kate obiecała jej pomóc.

**Dziesięć** dni później Kate Colby utonęła w rzece tuż koło swojego domu. Jej ciało znalazł mężczyzna, który był dawnym przyjacielem rodziny. Powiedział policji, że przyjechał na spotkanie z nią po niespodziewanym telefonie poprzedniego dnia.

Mężczyzna nazywał się Lewis Baldwin.

**Została** zamordowana, Marty - stwierdziła Jaime przy lunchu.

Spojrzał na nią zdumiony.

- Oficjalny raport policji mówi, że to był wypadek, czy nie tak?

- Do diabła z oficjalnym raportem! - fuknęła gniewnie. - Kate świetnie pływała. Nawet jeśli wpadła przypadkowo do wody, nie utonęłaby, nie w płytkiej wodzie!

- Wielu świetnych pływaków tonie, kochanie - powiedział, podnosząc widelec do ust.

- Mówię ci, Marty, że to nie był wypadek - upierała się, zapominając o jedzeniu. - Coś tu jest nie w porządku. Czuję to.

- Tak jak czułaś, że Harcourtowie nie byli twoimi krewnymi? - zapytał. - Żadnych podstaw, tylko przecucie?

- Poczekaj, a zobaczysz - obstawała przy swoim.

- W porządku. Co więc tak ci tu nie gra poza faktem,

że twoja ciotka dobrze pływała i utonęła w płytkiej wodzie? - zapytał z zainteresowaniem.

- Na przykład to, że znalazł ją właśnie Lewis Baldwin.

Jaime wzięła do ręki widelec.

- On był przyjacielem rodziny - przypomniał jej.  
 - Którego nie widziała od lat!  
 - Zadzwoiła do niego. Chciała się z nim spotkać.  
 - Bo prosiłam ją o skontaktowanie się z nim. - Nieobecny wzrokiem wpatrywała się w talerz. - Prosiłam ją o to, ponieważ znał ojca. Służyli razem w czasie wojny, we Francji.

- I sądzisz, że dlatego twoja ciotka została zamordowana? - zapytał z powątpiewaniem w głosie.

- Nie wiem, dlaczego ją zamordowali - odparła, potrząsając głową. - Naprawdę nie wiem. Wiem jedynie, że przez szereg lat wielu ludzi posuwało się bardzo daleko, by ukryć prawdę, gdzie zniknął mój ojciec i dlaczego. Odnoszę wrażenie, że jest to coś o wiele poważniejszego niż defraudacja. Pomyśl o tym, Marty. Kate rozmawiała ze mną, a teraz nie żyje. Znienacka pojawia się Lewis - akurat po to, by znaleźć jej ciało. A Harry Warner, który przypuszczalnie jest wujem mojego ojca, okazuje się duchem, który pojawił się raz, by zniknąć na zawsze.

- Mówisz o jakiejś konspiracji?

- Myślę, że to możliwe - przyznała. - Nie wiem tylko dlaczego.

**Marty** wysiadł z taksówki przed swoim domem przy Park Avenue. Wieczór był niezwykle wietrzny, nawet jak na kwiecień. Wiatr tarł jego ciemne włosy, gdy szedł do wejścia. Skinął głową wiekowemu stróżowi, który otworzył mu drzwi. Wszedł do windy i wjechał na swoje piętro. Miał nadzieję, że Jaime przyjdzie dziś do niego na noc, jak to często robiła, ale wołała być dzisiaj sama.

*WIEŻY KRWI*

Była bardzo przygnębiona nagłą śmiercią ciotki i najwyraźniej nie miała ochoty na seks. Może jutro - pomyślał.

Wysiadł z windy i zobaczył zbliżającego się doń mężczyznę, którego nigdy przedtem nie widział. Tamten błysnął kartą identyfikacyjną.

- Pan Martin Cantrell? - zapytał cicho.

- Tak.

- Chciałbym z panem porozmawiać prywatnie.

Marty potrząsnął głową.

- Jest już późno - odparł słabo. - Czy to nie może poczekać do jutra, może w biurze...

Mężczyzna zaprzeczył.

- Muszę z panem porozmawiać natychmiast - nalegał. - To bardzo ważne...

# 12

O czwartej nad ranem Jaime wciąż jeszcze nie spała. Siedząc skulona na kanapie w swoim salonie, automatycznie popijała dawno wystygłą ziołową herbatę i patrząc w ciemność próbowała zrozumieć, co dzieje się wokół niej. Wciąż nie mogła się pogodzić z nagłą śmiercią Kate - a jeszcze bardziej z oficjalnym wytłumaczeniem jej przyczyn. To nie wypadek - była tego całkowicie pewna. Kate została zamordowana. Jaime była przekonana, że miało to związek z jej wizytą, z tym, w co wplątał się ojciec.

Nie posiadała żadnych dowodów, a bez nich nie miała szans przekonania kogokolwiek. Nie, nie mogła powiedzieć nikomu o swych podejrzeniach, ale wiedziała, że ma rację. Sprawy, o których opowiadała jej Kate, dziwne sprawy... I nagle jej niespodziewana śmierć, tak wkrótce potem. Zbieg okoliczności? Nie. Jaime nigdy nie wierzyła w zbiegi okoliczności. Zwłaszcza teraz, w tym czasie. Kate dotrzymała obietnicy i odnalazła starego przyjaciela rodziny. Odnalazła... i utraciła życie. Baldwin - którego nie widziała od lat - pojawił się nagle, akurat po to, by znaleźć jej zwłoki. W płytkiej wodzie. Prawdopodobnie utonęła naprawdę - myślała Jaime - ale to nie był wypadek.

Ileż to razy w ciągu tych kilku dni podnosiła słuchawkę, by zadzwonić do męża Kate, Craiga Pearsona, i po-



rozmawiać z nim, ale traciła ochotę przy pierwszym sygnale. Cóż bowiem mogła mu powiedzieć? I cóż on mógł zrobić, nawet gdyby jej uwierzył? A zapewne by tego nie zrobił. Ktoś tu robi cholernie krecią robotę - skonstatowała pośpiesznie.

Wstała z kanapy i podeszła do stolika z fotografiami w małych, mosiężnych ramkach. Wzięła do ręki ulubione zdjęcie ojca i przyglądała mu się długo w słabym świetle przenikającym z kuchni. To wszystko ma związek z tobą, tato - myślała. - Nie wiem jaki, ale na pewno ma. I czuję, że jestem w stanie ustalić prawdę, mogę cię odnaleźć lub przynajmniej dowiedzieć się, czemu mnie opuściłeś. Może wtedy oboje odnajdziemy spokój.

Marty Cantrell również spędził tę noc bezsenne. Siadając na balkonie swojego mieszkania, wpatrywał się nieobecny wzrokiem w horyzont, obojętny na rozciągające się pod nim miriady mrugających świateł Manhattanu. Dobry Boże, jakby Jaime wiedziała, w co się wplątuje, gdyby miała pojęcie, jak bardzo ją to przeraża! Gdyby mógł ją ostrzec o grożącym niebezpieczeństwie, jeśli nie przestanie wnikać w to, co ma pozostać tajemnicą.

Gdyby mógł jej powiedzieć... Miała rację. To była konspiracja. Ale na tak wielką skalę, jakiej nigdy by nie podejrzewała. Jego gość, który pozostał anonimowy i nie wyjawiał przyczyny swego zainteresowania zaprzestaniem poszukiwań prowadzonych przez Jaime, postawił sprawę jasno: jeśli Marty nie zdoła jej powstrzymać, on i jego ludzie będą zmuszeni zrobić to sami. W powietrzu zawisło nie wypowiedziane zdanie: „W ten sam sposób, w jaki powstrzymaliśmy panią Pearson”. Teraz najważniejsze było ochronić Jaime. Nieważne jak, ale musiał ją chronić. Niezależnie od tego, z kim i czym związany był jej ojciec - musiało to być doprawdy coś wielkiego.

Jego reporterska dusza wyczuwała wspaniały mate-

riał na artykuł. Może największy w jego karierze. A może...

Gdyby przyczaił się na jakiś czas, rozegrał to tak jak chcą... Jasne! Mógłby ustrzec Jaime od niebezpieczeństwa i jednocześnie ustalić, co stało się z jej ojcem. A później zrobiłby z tego bombę, sensację roku! Jaime wybaczyłaby mu na pewno. Próbował usprawiedliwić się przed samym sobą, że to, co zamierza zrobić, wynika z chęci ochrony jej. Z pewnością zrozumie, że robił to bardziej dla niej niż dla siebie. Efekt okazałby się na końcu. Miałby wyłączność - i bez wątpienia kluczowe miejsce w wieczornych wiadomościach. Może nawet przytrafiłoby mu się coś takiego jak Danowi Ratier, któremu CBS oferowało stanowisko po Walterze Cronkite, gdy ten odszedł na emeryturę. Pobraliby się wtedy z Jaime. Pozostawiwszy przeszłość za sobą, wiedliby wspaniałe, spokojne życie.

Do rana przekonał sam siebie, że robi to wszystko z miłości. Tylko dla Jaime.

**Zrobione** - oświadczył głos w telefonie.

- Czy możemy na sto procent liczyć na tego Cantrella?  
- zapytał Warner.

Ktoś z tamtej strony linii roześmiał się cicho.

- Mamy szczęście, że trafiła na człowieka z wielkimi ambicjami.

- Nie przewidujesz problemów?

- Żadnych.

**Myślałam**, że umówiliśmy się na lunch.

Marty spojrział na nią znad sterty notatek.

- Przepraszam cię, kochanie - usprawiedliwiał się. - wszystko tu dzisiaj zwariowało. Nie mogę się wyrobić.

- Czy twój telefon nie działa?

Zmarszczył brwi.

- Myślałem, że nie ma cię w biurze.

- Mogłeś zostawić wiadomość. - Usiadła na krześle, stawiając torbę nie opodal swoich stóp. - Wyglądasz fatalnie - zauważyła. - Jak ona się nazywa?

- Kto znowu? - Był zbyt zajęty, by złapać dowcip.

- Ta kobieta, która nie dała ci spać całą noc - odparła z uśmiechem. - Kto to jest?

Marty nie roześmiał się, jak to miał w zwyczaju.

- Wiesz, że nie liczy się nikt prócz ciebie - powiedział z irytacją.

Przyglądała mu się przez chwilę.

- Zaczynam w to wątpić - narastała w niej złość.

Co w niego wstąpiło? - zastanawiała się.

Spojrzał na nią znowu.

- Przepraszam. To tylko praca. Przyjadę do ciebie wieczorem, przyrzekam.

- Nie wiem, czy będę miała czas dziś wieczorem - odparła, wstając gwałtownie. Nie ukrywała niezadowolenia. - Zadzwoń do mnie później.

Zabrała swoje rzeczy i ruszyła do drzwi, zatraskując je za sobą.

Marty patrzył, jak wychodzi, nie próbował jej jednak zatrzymać. Kiedy zniknęła, wyjął z aktówki dużą brązową kopertę i wpatrywał się w nią dłuższą chwilę. Informacje zostawione przez wczorajszego gościa. Wszystko, czego będzie potrzebował do przekonania Jaime - tak przynajmniej tamten powiedział. Wyjął zawartość z koperty i przejrzał uważnie. Ile z tego było prawdą, a ile fikcją? Czy kiedykolwiek się tego dowie? Jakie to ma znaczenie...

Właściwie liczy się tylko rezultat końcowy.

Co w niego wstąpiło? - zastanawiała się Jaime, idąc zachodnią stroną Central Parku. Widziała go już w sytuacjach stresowych. Bywał zdenerwowany, roztargniony, czasami nawet porywczy, ale to było coś innego. Mówił, że to praca, jednakże Jaime odniosła wrażenie,

że coś się za tym kryje. Najwyraźniej nie chciał o tym mówić. To musi być coś poważnego - pomyślała, zatrzymując się na światłach przy Siedemdziesiątej Drugiej. Zdenerwował ją, to prawda, lecz teraz, po namyśle, stwierdziła, że należy go zrozumieć. Przecież i ona miała złe dni. Może porozmawiamy o tym później - pocieszała się.

Przechodząc przez skrzyżowanie, spojrzała przelotnie przez ramię na idącego za nią mężczyznę. Poczowała ogarniający ją niepokój. Śledził ją... I to od samego biura. Zauważyła go na dole w holu; obserwował ją, gdy wychodziła. Widziała go także, gdy przystanęła na Madison Avenue, by kupić gazetę, ale nie zwróciła na to uwagi, sądząc, że idą po prostu w tym samym kierunku. Wsiadał do autobusu jadącego do zachodniej części Central Parku i nie widziała go aż do Siedemdziesiątej Drugiej. To nie była wyobraźnia, chociaż Marty na pewno będzie tak uważał. Ten człowiek ją śledził... Z dyskretnej odległości, ale nie wypuszczał z zasięgu swego wzroku.

Światło na skrzyżowaniu Broadwayu i Siedemdziesiątej Drugiej było czerwone. Poczekała niecierpliwie na zmianę, po czym śpiesznie skręciła w West End Avenue. Nie oglądała się, ale czuła, że idzie za nią. Na **tym** koniec, przyjacielu - pomyślała, wchodząc do windy swojego domu. Życzę szczęścia następnym razem.

**Może** powinnaś to zostawić, **Jaime**. Przestań doprowadzać się do obłądzenia i zacznij żyć własnym życiem. - Marty stał na środku swojego pokoju, wyraźnie zdenerwowany.

- Tylko dlatego, że podejrzewam, że ktoś mnie śledzi? - zapytała. - Mówię ci, Marty, że on naprawdę mnie śledził. Od samego biura!

- Robisz sobie krzywdę - powiedział zmartwionym głosem. - Myślę, że to wszystko nie jest warte twojego bólu.

Wpatrywała się w Marty'ego, nie wierząc własnym uszom.

- I ty to mówisz!? - krzyknęła zirytowana. - To ty namówiłeś mnie, żebym rozpoczęła całą tę sprawę! Ty mi mówiłeś, że muszę znaleźć odpowiedzi na moje pytania, zanim będę mogła zostawić przeszłość za sobą i zacząć wreszcie własne życie.

Marty przerwał jej.

- No więc dobrze, myliłem się! - stwierdził ostro. - Każdy może się kiedyś pomylić.

- Tak. - Podeszła do niego powoli. - Tak, każdy. Nawet ja.

Spojrzał jej w oczy.

- Co masz na myśli? - zapytał ostrożnie.

- Myślałam, do cholery, że jesteś inny! - wybuchnęła. - Myślałam, że ze wszystkich ludzi ty właśnie zrozumiesz! Muszę poznać prawdę - dla mojego ojca i dla siebie! A teraz, ponieważ sytuacja staje się ryzykowna, ty...

- Twój ojciec był szpiegiem, Jaime. - Słowa ciężko zawisły w powietrzu.

- Coś ty powiedział?

- Twój ojciec był szpiegiem - powtórzył cicho. - Cały czas pracował dla rządu.

- Nie wierzę ci - zaprzeczyła gniewnie.

- Mam na to dowód - odparł.

- Ty masz dowód? - Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. - W jaki sposób ty zdobyłeś dowód, którego ja bez skutku szukam od miesięcy?

- Mam znajomości w Waszyngtonie. Nie chciałem ci nic mówić, dopóki nie byłem pewien, ale... - Odwrócił się, podszedł do biurka i wzięwszy do ręki dużą, brązową kopertę; podał ją Jaime. - Miałem nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała tego widzieć - powiedział z żalem.

Spojrzała na kopertę lękliwie, jak gdyby to był wąż, który może ukąsić. Uniosła ją i otworzyła powoli, wyjmując zawartość drżącymi palcami. Były tam fotografie,

które nic jej nie mówiły: zdjęcia ojca w Paryżu, Londynie, Moskwie, Bejrucie. Były też dokumenty - oficjalne raporty z działalności ojca jako agenta wywiadu rządu Stanów Zjednoczonych. Opadła bezsilnie na kanapę.

- To niemożliwe - powiedziała ledwo dosłyszalnie, potrząsając głową.

- Nie wolno mu było mówić o tym komukolwiek, nawet rodzinie. Miałem nadzieję, że zostawisz przeszłość, nie dowiadując się o tym.

Patrzyła na Marty'ego, jakby widziała go pierwszy raz w życiu.

- To dlatego zamordowano Kate - szepnęła.

- Nie wiemy na pewno, czy ją zamordowano - sprostował.

- Ja wiem. Wiedziałam od początku. To tylko potwierdza moje zdanie. I wszystko to - oskarżenie o defraudację, opowieści o katastrofie i jego śmierci - było po to, by zamaskować prawdę. Cokolwiek ojciec robił... robi, było na tyle ważne, że posunięto się tak niewiarygodnie daleko, by utrzymać sprawę w tajemnicy. Boże, Marty, więc on nie był kryminalistą! wszystko, co robił, robił dla kraju!

- Twój ojciec nie żyje, Jaime - powiedział Martin powoli.

Otworzyła usta. Chciała krzyknąć, ale nie mogła. Potrząsnęła gwałtownie głową. Marty zbliżył się śpiesznie, by ją objąć, ale go odepchnęła.

- Nie! - szepnęła z rozpaczą, jakby to słowo ją dławilo. - Nie!

- To prawda - powtórzył łagodnie. - To wszystko jest tutaj, w tych raportach.

- Nie! - Zerwała się na nogi, z twarzą wykrzywioną bólem. - Nie, to nie może być prawda! Nie teraz, po tylu latach nadziei i poszukiwań. Tyle lat myślałam, że nie żyje, by dowiedzieć się, że to nieprawda. A teraz znowu...  
- Wybuchnęła nieopanowanym płaczem.

Objął ją i przytulił mocno, nienawidząc siebie za to, że ją rani, w pełni przekonany, że robi to dla dobra ich obojga.

- Już dobrze, kochanie - szeptał, gładząc jej włosy. - Płacz.

Jak on umarł, Marty?

Leżeli w jego ciemnej sypialni, oboje ubrani. Marty trzymał Jaime w objęciach, jakby była zagubionym, przerażonym dzieckiem. I jest nim w tej chwili - myślał, gładząc jej włosy. Nalegał, żeby została, ponieważ wiedział, że nie chce być sama.

- Marty?

Dźwięk jej głosu gwałtownie ściągnął go do rzeczywistości.

- Co takiego? - zapytał.

- Jak umarł mój ojciec? - powtórzyła.

- Został zabity we Francji, nie jestem tylko pewien gdzie. W 1975 roku. Nie znam szczegółów, ale został wykryty i zlikwidowany, jak to się mówi, przez agenta obcego wywiadu. Jest pochowany na cmentarzu w Nicei.

- Przerwał. - Wiem, że to dla ciebie cios, kochanie, ale nic nie możesz zrobić. Musisz zostawić to wszystko poza sobą i...

Jaime, leżąc na jego piersi, poczuła, jak wciągnął głęboki oddech.

- I zaczęła żyć własnym życiem - skończyła zdanie za niego.

- Właśnie.

- Nie mogę - oświadczyła cicho. - Jeszcze nie.

Jaime powoli otworzyła oczy i zamrugała, oslepiąca jasnym słonecznym światłem padającym z okna. Uniosła dłoń, by osłonić oczy, i w tej chwili dostrzegła, że Marty'ego nie ma w łóżku. Usiadła gwałtownie, usiłując sobie przypomnieć, co stało się poprzedniego wieczoru.

Świadomość powróciła ze straszliwą falą bólu. Niespodziewane informacje Marty'ego, dokumenty dotyczące szpiegowskiej działalności ojca, wiadomość o jego śmierci... To był tylko sen - mówiła sobie. - Tego nie było. Nie mogło tak być.

Jedną ręką zgarnęła włosy z twarzy i spojrzała na zegarek przy łóżku. Za piętnaście jedenasta. Marty prawdopodobnie już poszedł. Zaczęła wstawać, ale opadła z powrotem na łóżko. W głowie jej huczało. Siedziała długą chwilę, ściskając głowę rękami, chcąc w ten sposób zmniejszyć ból. Ból prawdy.

Powoli wstała i podeszła do drzwi. Miała wrażenie, że ktoś wewnątrz jej głowy wali młotem kowalskim. Potarła delikatnie kark i przeszła do salonu. Ani śladu po Martym. Nie była zdziwiona. Zwykle zaczynał dzień pracy bardzo wcześnie - prawie zawsze był w studiu przed świtem.

Zdziwiło ją natomiast, że nie obudził jej przed wyjściem. Mógł co prawda przypuszczać, że nie będzie miała ochoty iść dzisiaj do pracy - i to była prawda. Nie wiedziała, czy mogłaby w ogóle rozmawiać z kimkolwiek. Wolała nie próbować. Musiała jednak zadzwonić do redakcji i powiadomić, że nie przyjdzie. Marty wiedział o tym. Powinien był ją obudzić.

Lepiej zadzwonię od razu - pomyślała, oddychając głęboko. Gdy siadła przy biurku, zauważyła migotanie czerwonego światełka na sekretarce automatycznej. Nie słyszała dzwonka - musiała mocno spać. Ten ktoś telefonował po wyjściu Marty'ego, inaczej sam by odebrał.

Zastanawiała się przez chwilę, czy przesłuchać kasetę. To mogło być coś ważnego. Mogłaby przekazać wiadomość Marty'emu. I tak chciała z nim rozmawiać. Już sam dźwięk jego głosu pomógłby jej się pozbierać.

A może to Marty dzwonił. Nieraz już zostawiał jej w ten sposób wiadomość. A ostatnia noc, mimo że tak bolesna, bardzo ich do siebie zbliżyła. Przynajmniej coś



dobrego z tego wynikło - pomyślała smutnie, naciskając guzik, by przesłuchać kasetę.

Wiadomość była tylko jedna, i to nie od Marty'ego. Jaime nie znała tego głosu. Dzwonił mężczyzna, ale jego głos był stłumiony, jakby nie chciał być rozpoznany. „Cantrell, miałeś wczoraj dzwonić, sukinsynu. Lepiej nie igraj ze mną, do cholery. Nie wiesz, w co Się wplątujesz. Masz zadzwonić dzisiaj, rozumiesz? Muszę wiedzieć, czy ją przekonałeś.”

Jaime wyłączyła aparat i przyglądała mu się zdziwiona. Co to miało znaczyć? - zastanawiała się. Czy Marty ma jakieś kłopoty? Kim była ta „ona”, o której wspomniał ten człowiek? Przekonać ją o czym? Co mogło być tak pilne, że Marty musiał zadzwonić natychmiast?

I dlaczego ten ktoś nie zostawił swojego nazwiska?

**Zanim** wróciła do swego mieszkania, zdążyła zapomnieć o tym telefonie. Była teraz tak wrażliwa na wszystko, że prawdopodobnie robiła z igły widły. Z pewnością to nie było nic ważnego. A przynajmniej nic tak strasznego, jak to sobie wyobrażała. Niemal czuła ulgę, że nie dodzwoniła się do Marty'ego, gdy chciała mu o tym powiedzieć. Wyszłaby na idiotkę, chociaż wiedziała, że zrozumiałby jej obawy. Przy jego zawodzie odbieranie dziwnych telefonów o różnych porach dnia i nocy nie było niczym niezwykłym. Ten człowiek dzwonił zapewne w związku z jakimś reportażem, czy czymś w tym rodzaju.

Naprawdę wpadam w obłęd - pomyślała, z roztargnieniem przeglądając korespondencję. Po tym, co usłyszała zeszłej nocy, nie była już w ogóle pewna, komu i czemu może wierzyć. Wszystko to zdawało się takie nierealne, nieprawdziwe. W jaki sposób ojciec, bliski jej jak nikt na świecie, mógł prowadzić tak niewiarygodnie podwójne życie - i na dodatek nikt wokół o tym nie wiedział?

Na wspomnienie ojca, który zniknął z jej życia nagle, bez żadnego ostrzeżenia, z oka Jaime wymknęła się łza i wolno stoczyła po policzku.

- Tato... Dlaczego? - pytała znowu.

Nie miała ochoty wychodzić tego wieczoru, ale Marty namawiał ją tak długo, aż się poddała.

- Dobrze ci to zrobi - nalegał, gdy dzwonił do niej z pracy.

Teraz pojawił się u niej osobiście - nawet nie zachodząc do siebie - i nie chciał słyszeć o odmowie.

- Nie możesz się tak odcinać od świata.

- Mogę spróbować.

- Przestań. Zaufaj mi, będzie cudownie - prosił.

W końcu ją namówił. Teraz jednak, gdy stała pod prysznicem i odpęzła się w strumieniach ciepłej wody, myślała o wyjściu z niechęcią. Marty chciał dobrze, ale zdawał sobie sprawę, że nie będzie dziś zbyt rozmowna. Jedyne, czego naprawdę chciała, to położyć się samotnie do łóżka, ukryć pod kołdrą i czekać, aż minie ból. Jeżeli w ogóle minie.

Zakręciła wodę i sięgnęła po ręcznik. Owinęła nim głowę, po czym wzięła drugi, by wytrzeć ciało. Narzucając szlafrok, rozważała różne możliwości. Mogli zamówić pizzę i zjeść tutaj. Marty mógłby zostać na noc, jeżeli zechce. Tak będzie o wiele lepiej - stwierdziła, wychodząc bosą z łazienki.

Zatrzymała się przy drzwiach, słysząc, jak Marty rozmawia z kimś przez telefon. Stał przy biurku, odwrócony do niej plecami.

- Pokazałem jej to wszystko, tak jak mi kazaliście - mówił zniżonym, poirytowanym głosem. - Tak! Nie... Nie zamierza się poddać. Chce wiedzieć wszystko, i nic jej nie powstrzyma. Co? Tak, wiem, że zawarliśmy umowę. Wiem o tym. W porządku, do cholery! Będę ją przekonywał. Tak. Oczywiście. - Z trzaskiem odłożył słu-

chawkę i odwrócił się w chwili, gdy Jaime weszła do pokoju.

Zmarszczył brwi.

- Myślałem, że jesteś jeszcze w łazience.
- Byłam jeszcze chwilę temu. - Wskazała ręką telefon.
- Co to wszystko znaczy?
- Interesy - skłamał.
- To nie brzmiało jak interesy. - Podeszła bliżej.
- Ależ tak - upierał się. - Robię reportaż i babka nie chce mówić.
- Chcę prawdy, Marty. Proszę, nie okłamuj mnie, nie ty.

Zawahał się. Wiedział, że nie powinien się przyznawać, ale nie mógł jej dłużej okłamywać.

- To był ten człowiek, który dał mi dane o twoim ojcu - powiedział w końcu.
- Zadzwoił tu do ciebie?

Potrząsnął głową.

- Ja zadzwoniłem do niego. Dostałem wiadomość... Nagle coś sobie skojarzyła. Przypomniał jej się głos z automatycznej sekretarki.

- To on rano dzwonił?
- Słyszałaś to? - Spojrzał na nią przestraszony.
- Kto to jest?
- Nie mam pojęcia.
- I przyjąłeś informacje od niego jako prawdziwe, mimo że nie wiesz, kto to jest? - Jaime nabrała podejrzeń. - Marty, jesteś reporterem, powinieneś lepiej wiedzieć niż ja!

- Ta dokumentacja pochodziła z akt urzędowych - bronił się.

- Mogła być sfałszowana.
- Mogła, ale kto to sprawdzi? - zapytał. - Ci ludzie z CIA nie potwierdzą nam tego.
- A co miałaś zrobić w zamian za to?
- O czym ty mówisz?

- Słyszałam, jak powiedziałeś „zawarliśmy umowę”.  
Co to za umowa?

Popatrzył chmurnie.

- Miałem cię od tego powstrzymać.

- Od szukania informacji o ojcu?

Skinął głową, unikając jej wzroku.

- Ty draniu - powiedziała zniżonym, groźnym głosem.  
Jej oczy zwięzły się z gniewu. - Ty cholerny... Ty też jesteś z nimi!

- Nie kochanie, nie rozumiesz. - Podszedł do niej, wciąż nie mogąc się pozbierać po zdemaskowaniu. - Pozwól mi wyjaśnić...

- Co wyjaśnić, sukinsynu? - zapytała pogardliwie. - Wyjaśnić, jak sprzedałeś się temu, kto dał najwyższą stawkę? Czy ty naprawdę sądzisz, że teraz uwierzę w cokolwiek, co mi powiesz?

- To nie jest tak - bronił się, wyciągając ku niej rękę.

- Nie dotykaj mnie! - wybuchnęła, cofając się. - Niech cię diabli! Ufałam ci! Gorzej, kochałam cię! Boże, byłeś ostatnią osobą, którą podejrzewałabym o zdradę! Wiesz co, powinieneś być dać mi szansę przebicia stawki.

- Odwróciła się. Łzy płynęły po jej twarzy, mimo że próbowała się opanować. - Wyjdź stąd. Wynoś się! I nigdy więcej nie wracaj.

- Nie mówisz poważnie - stwierdził spokojnie.

- Nigdy w życiu nie mówiłam poważniej - odparła. - Nie chcę cię więcej widzieć.

Patrzył na nią przez chwilę, po czym skinął głową.

- W porządku. Nie winię cię za to. - Wziął marynarkę i podchodząc do drzwi, odwrócił się jeszcze ku niej. - Kocham cię - powiedział cicho. - Bez względu na to, co o mnie myślisz, zawsze cię kochałem. Zrobiłem to dla nas.

- Niewątpliwie - skonstratowała zimno.

- To wszystko doprowadza cię do obłądzenia. Wpadłaś w obsesję - wyjaśnił. — Dlatego zaproponowałem, żebyś spróbowała dotrzeć do prawdy.

- I dlatego zawarłeś tę... tę umowę?

Przytaknął.

- Wybacz, że nie rozumiem tego w lot, ale w jaki sposób miało to być dla nas? - zapytała zimno.

- Chciałem, żebyś wreszcie porzuciła przeszłość i żebyśmy w końcu zaczęli nasze życie razem. - Przerwał. - Myślałem, że to nastąpi, kiedy się dowiesz, co się stało z twoim ojcem.

- Chcę wiedzieć, co naprawdę się z nim stało! - parsknęła.

- Myślisz, że tego nie wiem? Robiłem wszystko, co mogłem, by wykopać dla ciebie tę prawdę. Szedłem za każdym najdrobniejszym tropem i wszędzie natrafiałem na ślepe korytarze. Wtedy pojawił się ten człowiek. Mówił, że dotarło do niego, że zadaję dużo niewygodnych pytań, szukam informacji. Przekazał mi to wszystko, co opowiedziałem tobie. Z początku uznałem to za niemożliwe, ale twierdził, że ma dowody. Obiecał mi je dostarczyć, jeśli mu zagwarantuję, że zaprzestaniesz poszukiwań. Mówił, że ludzie, dla których pracuje, zaczynają się niepokoić. Docierałaś zbyt blisko.

- Blisko czego? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

- Nie mówił. Podejrzewam, że CIA. Chciałem to sprawdzić, ale znów napotykałem ślepe korytarze. Zacierali ślady za sobą bardzo dokładnie, co mnie zresztą nie dziwi.

- Więc zawarłeś z nimi umowę. - W jej głosie brzmiała furia.

- Z nim.

- Nie zważając na mnie!

- Robiłem to dla ciebie!

- Z pewnością! - warknęła. - Wynoś się stąd!

- Jaime...

Jej oczy pałały nienawiścią.

- Powiedziałam, wynocha stąd!

Zawahał się, po czym podszedł do drzwi. Z ręką na klamce odwrócił się raz jeszcze.

- Naprawdę cię kocham - powiedział cicho i wyszedł.

Stała nieporuszona, patrząc, jak wychodzi. Wyrzucała go także raz na zawsze ze swojego życia. Dopiero gdy usłyszała trzask windy, jej usta zaczęły drżeć. Opadła na kanapę, przytłoczona bólem po kolejnej stracie w życiu.

Znowu była sama.

# 13

*Waszyngton, D.C. wrzesień 1985*

**Jaime** szła przez ruchliwy terminal Międzynarodowego Portu Lotniczego Dullas, ubrana w swój ulubiony „mundur” - luźną górę, ściągniętą w talii paskiem, i obcisłe džinsy, wciśnięte w wysokie buty. Zdecydowanym krokiem przeciskała się przez tłum, przytrzymując ciężką torbę, wiszącą na ramieniu. Stanęła przy transporterze i poszukiwała wzrokiem swoich walizek. Gdzie, u diabła, mogły się podziać? - zastanawiała się, gdy walizki i torby różnych kolorów i rozmiarów pojawiały się i znikwały, rozchwytywane przez właścicieli.

- No, nareszcie są! - wycedziła, dostrzegłszy brązową skórzaną walizkę, wjeżdżającą na taśmę. Sięgnęła po nią równocześnie z wysokim, niezwykle chudym mężczyzną około czterdziestki, ubranym w nieskazitelny granatowy garnitur.

- Sądzę, że to moja walizka - powiedział szybko, porównując trzymany w ręku kwitek z nalepką na ręczce bagażu.

Puściła gwałtownie i cofnęła się.

- Przepraszam - odparła.

Odebrawszy wreszcie swój bagaż, udała się do wypożyczalni samochodów. Ku jej konsternacji, osiągalne były tylko niewielkie samochody osobowe. Dostała cukierkowoczerwoną Toyotę. Cofnęła siedzenie tak daleko, jak się tylko dało, ale i tak było jej niewygodnie.

Jadąc w kierunku Waszyngtonu, złapała się na tym, że myśli o Martym. Chociaż usilnie próbowała wyrzucić go z pamięci - i z serca - jeszcze jej się to nie udawało. Czuła się jak idiotka. Kochała tego człowieka. Kochała go na tyle, że gotowa była myśleć poważnie o małżeństwie. To nie był kolejny, przypadkowy romans, z całą pewnością nie. A on ją sprzedał. Za co? Co mu za to dali? Czy kiedykolwiek się tego dowie?

Poczuła, jak łyzy spływają jej po policzkach. Po odejściu ojca obiecała sobie, że nikt nigdy więcej jej nie skrzywdzi, a jednak Marty pokonał zasieki obronne. Zakochała się w nim. Do diabła - myślała. - To się nigdy nie powtórzy. Nigdy!

Kolejny raz się zastanawiała, ile działań podejmowanych w minionych sześciu miesiącach było wyprawą z motyką na słońce. Ile z tych informacji, które uzyskała o swoim ojcu, było fałszywych? Ile było wymyślonych po to, by zepchnąć ją z właściwej ścieżki? Czy ojciec był malwersantem, czy też rację miał Marty, twierdząc, że był agentem w służbie rządu. Mimo że początkowo wydało jej się to niewiarygodne, pasowało najbardziej ze wszystkiego. Ktoś zadał sobie wiele trudu, by Jaime nie dowiedziała się prawdy.

We wstecznym lusterku dostrzegła niebieskiego Forda Escorta, tego samego, którego zauważyła za sobą, gdy wyjeżdżała z parkingu przy lotnisku. Ten sam samochód widziała na autostradzie. Czy on mnie śledzi? - zastanawiała się. - Boże, to się naprawdę skończy paranoją! Wzięła głęboki oddech. Musiała się zebrać w sobie. Nie mogła teraz przegrać. Droga przed nią, jak podejrzewała, była długa i kamienista.

Jak bieg z przeszkodami.

**Zdrada** państwa? - Jaime potrząsnęła gwałtownie głową. - Nie, nigdy w to nie uwierzę! Nigdy.

Kongresman William Blackwell spojrział na nią ze współczuciem. Harrison Colby był przez wiele lat jego



bliskim przyjacielem i z tej przyczyny czuł się okropnie, gdy musiał wyjawić jego wnuczce tę bolesną prawdę o jej ojcu. Kiedy zgodził się pomóc tej dziewczynie, nie miał pojęcia, że odkryje coś takiego. Postanowił jednak być z nią szczerzy, wiedząc, że w ciągu minionych lat słyszała już wystarczająco dużo kłamstw jak na jedno życie.

- Wiem, jak musisz się czuć, Jaime, ale...

Potrząsnęła głową.

- Nie, panie Blackwell - odparła. - Nie wie pan. Nie może pan tego wiedzieć. On był moim ojcem, na litość boską! Jak mam uwierzyć. - Przerwała i bezradnie uniosła rękę.

- Nie powinnaś być tak zdziwiona - odrzekł, zapalając fajkę. Zapach tytoniu wypełnił powietrze, przyprowadzając Jaime o lekkie mdłości, ale nic nie powiedziała. - Tak musiało być. Charakter jego pracy wymagał od niego milczenia. Nikt, nawet rodzina, nie mógł wiedzieć.

- Jak długo... - Słowa uwięzły jej w gardle.

- Wiele lat - odparł. - Został powołany do służby czynnej w wywiadzie krótko po wojnie. OSS przestało istnieć, ale powstała nowa agencja, poprzednik dzisiejszego CIA.

- A to oskarżenie o zdradę? - Nie była całkiem pewna, czy chciała wiedzieć.

Blackwell nie patrzył na nią.

- Z danych wynika, że zaprzedał się Rosjanom.

Spojrzała na Blackwella z niedowierzaniem.

- Nie mój ojciec - powiedziała z przekonaniem. - To po prostu niemożliwe.

- To nie wszystko - kontynuował chmurnie. - Został zatrzymany w Nicei i przywieziony tutaj na proces. Stąd wysłano go do więzienia federalnego.

Drgnęła.

- Tutaj? - zapytała z nagłą nadzieją. - Do którego więzienia?

- Fort Leavenworth w Kansas - Blackwell zawahał się. - Tam też umarł.

Jaime zasłoniła ręką usta, na chwilę odebrało jej głos.

- Kiedy? - zapytała wreszcie z wysiłkiem. - To znaczy, jak długo był... - Nie mogła tego z siebie wydusić.

- Około dziesięciu lat, jeżeli moje źródła są wiarygodne. - Mówił łagodnym głosem.

Poczuła łzy napływające do oczu. Starła się pohamować łkanie.

- Dlaczego nigdy nie próbował się ze mną skontaktować? - zastanawiała się na głos. - Przez cały ten czas nie zadzwonił, nawet nie napisał! Gdybym wiedziała, że tam jest, pojechałabym zobaczyć się z nim...

- Sądzę, że tego właśnie chciał uniknąć - odparł Blackwell. - Gdybym ja był w więzieniu, skazany za zdradę państwa, nigdy bym nie chciał, by moja córka się o tym dowiedziała.

Jaime była niebezpiecznie bliska załamania.

- Tyle lat... Tyle cholernych kłamstw. - Wstała powoli. - Nie wiem, komu mogę jeszcze wierzyć.

Blackwell zmarszczył brwi.

- Jaime, mimo wszystko sądzą, że moje źródła są pewne - powiedział cicho, odkładając dokumenty do szuflady. Uśmiechnęła się słabo.

- Nie jest to pocieszające, ale dziękuję panu za stracony dla mnie czas. - Wyciągnęła rękę.

Uścisnął ją delikatnie.

- Uważaj, Jaime - ostrzegł. - Wejdiesz na śliski grunt, jeżeli będziesz brnęła dalej.

- Wiem - skinęła głową - ale muszę to zrobić.

Tej samej nocy odleciała do Kansas City.

**Czego** dowiedziała się od Blackwella? - indagował Warner.

- Tylko tego, co było w oficjalnych raportach.

- Dobrze.

- **Żle** - odparł głos w słuchawce. - Jest w drodze do Leavenworth.
- W takim razie wiesz, co robić.

### *Fort Leauenworth, Kansas*

**Więzienie** federalne położone jest około dwudziestu dziewięciu mil na północny zachód od Kansas City. Jaime zadzwoniła do naczelnika zakładu, gdy tylko rozlokowała się w hotelowym pokoju w Hyatt Regency. Z początku kategorycznie odmawiał spotkania, ale widząc jej upór zrozumiał, że dziewczyna nie wróci do domu, dopóki się z nim nie zobaczy, i zgodził się na rozmowę. Wyraźnie jednak zaznaczył, że jest bardzo zajęty i może jej poświęcić niewiele czasu. Zwiedzanie zakładu i rozmowa z więźniami zostały kategorycznie wykluczone. Co on ukrywa? - zastanawiała się Jaime, jadąc na północ autostradą 73 w kierunku Leavenworth. Była teraz podejrzliwa wobec każdego, z kim rozmawiała. Nie bez powodu zresztą.

Zatrzymała samochód przed bramą więzienia. Budynek główny, usytuowany w znacznej odległości, był dużo większy, niż sobie wyobrażała; szary, ponury i złowieszczy. Wygląda jak zamek Drakuli - pomyślała. Więzienie, zajmujące duży obszar, otoczone było kilkoma płotami, zakończonymi u góry drutem kolczastym. Wciąż nie mogła uwierzyć, że jej ojciec zakończył tu życie.

Spod bramy, zgodnie ze wskazówkami wartownika, podjechała do budynku, gdzie już czekał uprzedzony strażnik. Wprowadził ją do wnętrza i kazał czekać, a sam zniknął z jakimiś drzwiami. Jaime poczuła nagle chłodny dreszcz.

Po chwili wrócił.

- Naczelnik oczekuje pani - powiedział. - Proszę tędy. Idąc korytarzem pomiędzy celami, wywołała swą oso-

bą burzę gwizdów, okrzyków i sprośnych uwag, których nie oszczędzili jej więźniowie.

- Proszę ich zignorować - poradził strażnik.
- Próbuję - odparła. - Ale nie jest to łatwe.

Kwadrans później została wprowadzona do biura naczelnika. Siedzący przed nią pięćdziesięcioletni mężczyzna, niski, krępy, z nalaną twarzą, okazał się zastępcą. Sam naczelnik akurat poprzedniego dnia, całkiem niespodziewanie, został odwołany.

Dlaczego? - zastanawiała się. Zbieg okoliczności? Nie wierzyła w to ani przez chwilę.

- Według akt - mówił zastępca - pani ojciec był tu więźniem od marca 1968 roku do śmierci w maju 1975 roku.

- Na co umarł? - zapytała Jaime z twarzą pozbawioną wyrazu.

Urzędnik przerzucił papiery w leżącej przed nim teczce.

- Akta nie są kompletne, ponieważ kilka lat temu w naszym archiwum był pożar i wiele dokumentów spłonęło...

- Ale wie pan cokolwiek? - zapytała gwałtownie.

- Tak, oczywiście. O, jest! - odpowiedział z wymuszonym uśmiechem. - Rak. Rak płuc. Stwierdzony przez lekarza więziennego w sierpniu 1974 roku.

Nie ukrywała zdziwienia.

- Ale przeszedł chyba chemioterapię? - zapytała.

- Jestem pewien, że tak - odparł. - Nie mogę tu znaleźć nic na potwierdzenie, ale na pewno tak było.

- Oczywiście - zgodziła się chłodno. - Proszę mi powiedzieć, gdzie jest pochowany?

Mężczyzna wyglądał na zdenerwowanego.

- Zwłoki zawsze są oddawane rodzinom.

- Jestem jedynym członkiem jego rodziny - stwierdziła. - Dlaczego nie zostałam powiadomiona?

- Ja... ja nie wiem - wyjąkał nerwowo. - Jestem przekonany, że ktoś musiał się z panią kontaktować...

- Nikt mnie nie powiadamiał - odparła lodowato. - I mówi **pan**, że nie ma pan pojęcia, co zrobiono ze zwłokami?

- Niestety, pożar... - przypomniał.

- Nie wierzę w nic z tych rzeczy, ani przez chwilę. - Spojrzała mu w oczy. - Mój ojciec przez całe życie służył Stanom Zjednoczonym. Z tego, co wiem, był jednym z pierwszych agentów w OSS w czasie drugiej wojny światowej. Był bohaterem. Nie mam całkowitej pewności, że on naprawdę nie żyje. - Wstała z oczami błyszczącymi gniewem. - Do zobaczenia.

Odwróciła się i wyszła, trzasnąwszy drzwiami.

Po jej wyjściu mężczyzna podniósł słuchawkę telefonu i śpiesznie wykręcił numer.

- Tu Baher z Leavenworth - powiedział ściszym głosem. - Mamy kłopot...

**Pani** jest córką Jima Lynde'a?

Jaime drgnęła. Mężczyzna, który się do niej zwracał, był wysoki, miał zaczerwienioną, smagłą twarz i siwe, kręcone włosy. Ubrany był w mundur strażnika.

- Tak, jestem - odparła spokojnie, wciąż starając się opanować gniew.

- Znałem pani ojca... to znaczy, kiedy tu był.

Znieruchomiała nagle, zaprzestając przerzucania zawartości torebki w poszukiwaniu kluczyków do samochodu.

- Mojego ojca? - zapytała. - Jest pan pewien?

- Jest pani okropnie do niego podobna - powiedział, wyszczerzając zęby w uśmiechu. - I tak samo cholernie cyniczna.

Produkt więziennictwa - pomyślała Jaime ze smutkiem.

- Dlaczego chce pan ze mną rozmawiać, gdy wszyscy inni mnie unikają? - zapytała podejrziwie.

- Tak myślałem, że tam pani nic nie powiedzą -

stwierdził, machnąwszy ręką w kierunku biura naczelnika. - Prawdopodobnie im zabroniono.

- A dlaczegoż to? - wyraziła zdziwienie.

- Był przecież szpiegiem, no nie? Zdrajcą!

- Owszem, był agentem wywiadu - odparła powoli, starając się opanować wzbierającą w niej furię. - Zdrajcą natomiast nie był.

- Prawdę mówiąc, moja panienko, ja też w to nigdy nie wierzyłem - przyznał z konspiracyjnym uśmiechem.

Wyciągnął z kieszeni grube cygaro, rozwinął je z opakowania i odgryzł końcówkę, wypluwając na ziemię. Wyjął zapalniczkę, zapalił i zaciągnął się.

Jaime przyglądała mu się, nie bardzo wiedząc, co o nim sądzić.

- Jak dobrze znał pan mojego ojca, panie...

- Bearden. Hank Bearden. - Zaciągnął się znowu. - Poznałem go, jak tylko tu przybył. Byłem zapewne jedynym, z którym tu rozmawiał tak wiele. Jim był samotnikiem. Większość czasu wolał spędzać sam. Jeśli mówił, to zwykle o pani. Dużo o pani opowiadał.

- Co mówił?

- Że za panią tęskni, że chciałby panią zobaczyć, ale nie tutaj. Mówił, że była pani diabelskim dzieckiem i że świetnie jeździła pani na kucyku.

- Powiedział to panu? - Była oszołomiona.

Skinął głową.

- Mówił też o pani matce, ale nie za często. Sądzę, że nie było mu łatwo o tym mówić.

- Dla mnie też nigdy nie było to łatwe.

- Przepraszam. Nie chciałem...

- Nic się nie stało. - Potrząsnęła głową.

- Byłem przy jego śmierci - powiedział nagle.

Zdziwiło ją to.

- Naprawdę?

Skinął głową.

- Próbowałem mu powiedzieć, ale nie przejmował się tym za bardzo.

- O czym pan mówi? - zapytała nie rozumiejąc.

- O paleniu. - Cygaro zwiisało mu z kącika ust. - Palił dwie paczki dziennie, czasem trzy. Mówiłem mu, że to go wykończy, ale nie słuchał. Pewnie go to uspokajało.

- Rozumiem. - Zamyśliła się. - Więc palił bardzo dużo? Bearden przytaknął.

- Mówił, że palii od dzieciństwa, że stare nałogi trudno zwalczyć - kontynuował temat. - Myślę, że to prawda, bo ja nigdy nie zdołałem rzucić tego w cholerę.

- Nie pamiętam, żeby ojciec palił - powiedziała.

- Może zaczął tutaj. - Wzruszył ramionami. - Wielu z nich tak robi. Nie mają zbyt wiele przyjemności, siedząc tu latami.

- Jak to się stało, że był pan przy jego śmierci?

Zaśmiał się krótko, rozbawiony jej pytaniem.

- Jestem strażnikiem więziennym, proszę pani. To mój zawód. Pani ojciec był więźniem. Ktoś musiał być przy nim cały czas i tym kimś akurat byłem ja.

- Rozumiem.

Jaime zawahała się.

- Muszę już iść, panie Bearden. Mam zaraz samolot, ale czy mogę do pana kiedyś zadzwonić?

- Jasne. - Patrzył na nią przez chwilę, po czym zorientował się, że Jaime nie wie, gdzie ma do niego zadzwonić. Wyjął więc z kieszeni mały notes z długopisem, zapisał swój adres i numer telefonu i wyrwawszy kartkę, podał ją Jaime:

- Za dnia jestem zwykle tutaj, z wyjątkiem wtorków i śród, kiedy mam wychodne. Moja żona zawsze mnie męczy, bym wziął wolne w niedzielę i poszedł z nią do kościoła, ale wie pani, jak to jest...

Skinęła głową, uśmiechając się wyrozumiale.

- Dziękuję, panie Bearden. Bardzo mi pan pomógł.

Tego samego dnia wróciła do Nowego Jorku.

W taksówce Jaime odchyliła się na siedzeniu i odechnęła głęboko. Za oknem przesuwały się znajome budynki Manhattanu, ale nie zwracała na nie uwagi. Jej myśli krążyły wokół wydarzeń z zeszłego tygodnia: rozmowy z Williamem Blackwellem, z zastępcą naczelnika Leavenworth i Hankiem Beardenem - strażnikiem, który twierdził, że znał jej ojca tak dobrze. Prawie mu uwierzyła - dopóki nie zaczął mówić o nałogu jej ojca. „Pewnie go to uspokajało.” Tak powiedział, ale to nie miało sensu. Ojciec nigdy nie był człowiekiem nerwowym.

Oczywiście więzienie mogło każdemu nadszarpnąć nerwy, i przyjęła taką możliwość, dopóki nie zaczął bajeczki, że ojciec palił od dziecka. Ojciec nigdy nie palił, ale nie widziała powodów, by się przy tym upierać w obecności strażnika.



# 14

**Powiedziałam ci**, że nie chcę cię więcej widzieć. Ani dziś, ani w przyszłym tygodniu, ani w przyszłym roku. Nie chcę nawet słyszeć twojego głosu w moim telefonie. Dziwię się, że masz czelność pokazywać mi się jeszcze na oczy.

Jaime szła szybko w dół Madison Avenue. Marty kroczył wytrwale u jej boku, zdecydowany nie dać się odepchnąć, zanim nie wykorzysta szansy wytłumaczenia się. Wyciągnął rękę i złapał ją za ramię.

- Pozwól się przekonać...

Wyrwała mu się z pasją.

- Nie interesują mnie twoje cholerne wyjaśnienia! - Jej oczy błyszczały wściekłością. - Nie interesuje mnie nic, co masz do powiedzenia!

- Jaime, ja cię kocham! - krzyknął.

Stała gwałtownie i odwróciła się.

- Znowu kłamstwa, Marty? Boże, ale musisz być desperowany, skoro stać cię na taki teatr. Co z tego miałeś? Co ci oferowali? Pieniądze? Wielki artykuł? Stanowisko?

- Nie chciałem tego zrobić...

- Z pewnością - stwierdziła zimno. - Przystawili ci broń do skroni i musiałeś, tak? Przestań, Marty, nie opowiadaj bzdur! Oszczędź sobie. - I tak w nic nie uwierzę.

Podszedł krok bliżej, zniżając głos do szeptu.

- Powiedzieli mi, że grozi ci niebezpieczeństwo, jeśli nie przestaniesz w tym grzebać - wyjaśnił. - Pomyliłem się, teraz sobie zdaję z tego sprawę!

- Ja też - odparła powoli. - Zaufałam ci, i to był mój wielki błąd! - Odwróciła się i odeszła.

Jak on ma czelność, po tym co zrobił, spojrzeć mi w oczy! - myślała z gniewem Jaime, wchodząc do swojego biura i zamykając z hukiem drzwi. - Czy on naprawdę oczekiwał, że mu przebaczę i zapomnę, jakby nic się nie stało? Do diabła z nim!

Opadła na krzesło i odwróciła się do okna. Potarła delikatnie skronie, czując nadchodzącą falę migreny. Jak mogła być tak głupia? Jak mogła pozwolić się tak omotać? Zdołał się przebić przez wszystkie jej zapory, pokochała go - i ani przez chwilę nie przypuszczała, że jest wykorzystywana.

Otworzyła jedną z szuflad biurka. Wyjęła duże, oprawione w ramki zdjęcie Marty'ego i przyglądała się długo. Odłożyła je tu tego dnia, gdy wyrzuciła go z mieszkania. Powinnam była razem z nim wyrzucić i jego zdjęcie - pomyślała gorzko. - Bóg jeden wie, dlaczego trzymam to tak długo. Patrząc na przystojną, uśmiechniętą twarz, poczuła, że ogarnia ją nieopanowana furia. Nigdy już nie pozwoli się tak wyprowadzić w pole. Nigdy żaden mężczyzna nie zrobi z niej idiotki.

W końcu, nie mogąc dłużej opanować wściekłości, cisnęła fotografię w przeciwległą ścianę pokoju. Szkło rozprysło się przy uderzeniu, spadając gradem odłamków na podłogę. Jaime spoglądała na połamaną ramkę i rozbitą szybkę, ale nie ruszyła się z krzesła. Wpatrywała się bezmyślnie w to miejsce, gdy do pokoju wbiegła Holly Christopher.

- Słyszałam brzęk szkła - powiedziała bez tchu, jakby biegła całą drogę. Spojrzała na stłuczone szkło. - Co się stało?

- Nic wielkiego. Wielka pomyłka w ocenie ludzi. -  
Mogłabyś kogoś przysłać, by to sprzątnął?

Holly spojrzała na nią zdziwiona.

- Jasne. Zaraz. - Schyliła się po fotografię. - Możesz  
zawsze kupić nową ramkę.

Jaime skinęła głową.

- Oczywiście.

Po odejściu sekretarki spojrzała na trzymane w rękę  
zdjęcie. Nie zniszczyło się. Niestety - pomyślała ziryto-  
wana. Powoli, systematycznie darła je na drobne strzęp-  
ki, które wyrzuciła do kosza.

### *Waszyngton, D.C.*

**Harry Warner** siedział samotnie w swoim biurze, gdy  
nagle zadzwonił telefon. Linia prywatna; ten numer zna-  
ło tylko niewielu wybranych. Podniósł słuchawkę przy  
drugim sygnale.

- Warner - powiedział ostro.

- Tu Baldwin - odparł męski głos z drugiej strony.

- Ty ciągle w Nowym Jorku?

- Na razie tak.

- Czy Cantrell zrobił, co mu polecono?

- Zrobił wszystko, co mu kazano. Problem w tym, że  
ona tego nie kupuje. Jest upartą kobietą.

Warner zaśmiał się krótko, bez radości.

- Jest zbyt podobna do ojca.

- Co mam zrobić z Cantrellem?

- Uciszyć go, oczywiście, dopóki nie znajdziemy sposo-  
bu, by zepchnąć Lynde z właściwej ścieżki. Wiesz, co  
masz zrobić.

- Jasne. A co zrobimy z nią?

- Ja się tym zajmę.

- Myślę, że będzie to duży problem.

- Powiedziałem, że się tym zajmę - uciał Warner.

Odłożył słuchawkę i zamyślił się. Musiał coś zrobić. Nic nie mogło przeszkodzić operacjom na Bliskim Wschodzie.

Nie teraz, gdy byli już tak blisko celu.

**Jaime** nie wiedziała zupełnie, w co wierzyć. Siedząc na szczycie najwyższego wzgórza Central Parku, obserwowała zachód słońca, pogrążona w niewesołych myślach. Nie była ani o krok bliższa prawdy niż sześć miesięcy temu, gdy zaczynała jej szukać. Rozmawiała z tyloma ludźmi, słyszała tyle wersji i wciąż nie miała pojęcia, w którą z nich - jeśli w ogóle w którąkolwiek - uwierzyć.

Wierzyła, że ojciec był agentem wywiadu w służbie rządu. To było jedyne wyjaśnienie, które miało ręce i nogi, jedyna przyczyna, dla której ktoś mógł przez tyle lat utrzymywać jego działalność w tajemnicy.

Pamięta dzień, kiedy Joseph i Alice Harcourt przyjechali do Briar Ridge, by ją zabrać... I rozmowę z Josephem na plaży tego popołudnia, gdy znalazła kufer na strychu. Mówili jej, że ojciec zginął, a wtedy jeszcze żył. A teraz Marty. Myślała o nim i jego kłamstwach. Twierdził, że ojciec został zdekonspirowany i zamordowany we Francji. Myślała o tajemniczym Harrym Warnerze, człowieku, który najwyraźniej kiedyś istniał, a o którym ojciec nigdy nie wspominał. Człowiek, którego szukała bez skutku. Myślała też o Williamie Blackwellu i jego opowieści o domniemanej zdradzie państwa i więzieniu... O swojej podróży do Leavenworth i o naczelniku tego zakładu, który nie chciał z nią rozmawiać... O aktach, które przypadkowo spłonęły w pożarze... O strażniku, znającym rzekomo ojca, który już prawie ją „kupił”, dopóki nie zaczął bajki o paleniu. Każdy z nich miał co innego do powiedzenia - lecz czy którykolwiek z nich mówił prawdę?

Pomyślała o Kate. Kate została zamordowana, bo

wiedziała za dużo. Przez wszystkie te lata kochała jej ojca.

Ojciec. Był bohaterem wojennym, walczył we Francji, współpracował z ruchem oporu. Ojciec zaginał w Paryżu. Zawsze wszystko wracało do tego miejsca. Jaime czuła, że jeśli kiedykolwiek ma poznać prawdę, jej podróż powinna zacząć się tam, gdzie był początek i koniec podróży ojca. W Paryżu. Cokolwiek robił, musiało to być ważne, wystarczająco ważne, by wielu ludzi pracowało nad utrzymaniem tego w tajemnicy. Nie wierzyła ani przez chwilę, że dopuścił się zdrady państwa, nie tylko dlatego, że był jej ojcem, ale głównie dlatego, że był taki, jaki był. To po prostu niemożliwe. Nie przy jego charakterze. Pamiętała go jako cudownego ojca i kochała nawet wtedy, kiedy musiał ją zostawić.

### *Znowu wyjeżdżasz, tato?*

*Jaime miała wtedy siedem lat. Stała w drzwiach sypialni ojca, obserwując, jak się pakuje. Od śmierci matki minął zaledwie rok. Przed chwilą wróciła z podwórka i wyglądała tak, jakby brała udział w zapasach. Jej żółta bluzka, cała w żdźbłach trawy, była do połowy wyciągnięta ze spodni, a rude warkoczyki rozluźniły się, niesforne kosmyki sterczały na wszystkie strony.*

*Ojciec przerwał pakowanie i odwrócił się do córki. Próbował być poważny, ale jej widok był przezabawny.*

*- Biłaś się znowu, księżniczko? - zapytał podejrzliwie.*

*- Nie, tato - odparła z anielskim uśmiechem - Ja i Tommy biegaliśmy za piłką...*

*- Tommy i ja - poprawił ją.*

*- No tak. - Skinęła głową. - Tak czy inaczej, biegliśmy oboje za piłką. I tak jakoś przypadkiem wpadliśmy na siebie.*

*- Wyglądasz, jakbyś „tak jakoś przypadkiem” wpadła na ciężarówkę. - Zaśmiał się. - A jak wygląda Tommy?*

*- Jak wszyscy diabli - odparła z dumą.*

*- Jaime! - zganił ją. - To nie był przypadek, prawda?*

*Uśmiechnęła się przymilnie.*

*- Nie - przyznała w końcu.*

*Wzięła ją na ręce.*

*- Ech, Jaime! Co ja mam z tobą zrobić?*

*Spojrzała w dół na jego walizkę.*

*- Mógłbyś mnie zabrać ze sobą - zaproponowała niewinnie.*

*- Niestety, księżniczko. - Potrząsnął głową. - Nie tym razem.*

*- Zawsze tak mówisz. - Zmarszczyła lekceważące nos. - Nigdy mnie ze sobą nie zabierasz.*

*- To są interesy - powiedział poważnie. - To nie miejsce dla małych dziewczynek.*

*To nie miejsce dla małych dziewczynek.*

Słowa te dźwięczały w pamięci Jaime jeszcze teraz, ponad dwadzieścia lat później. Była wtedy za mała, żeby to zrozumieć, ale chciał jej wtedy powiedzieć, że to było dla niej niebezpieczne. Taki był jego zawód - i miał rację. To nie było miejsce dla dziecka.

Gdy zmierzch zaczął spowijać miasto w ciemność, wstała, by oderwać się myślami od wspomnień o tych wszystkich chwilach, gdy zostawiał ją samą, wyjeżdżając w te swoje „podróże w interesach”. Często nie wracał całymi tygodniami. Pamiętała skargi matki, że nigdy nie ma go w domu. Kate powiedziała, że matka bardzo kochała ojca. Musiało jej być ciężko znosić jego ciągłą nieobecność. Czy z tego powodu czuła się tak dalece sama i nieszczęśliwa, że odebrała sobie życie?

Całe moje życie jest serią pytań, na które nie mam odpowiedzi - myślała Jaime przygnębiona, skubiąc bezwiednie liście z gałęzi najbliższego drzewa. Łagodny wieczorny wiatr delikatnie igrał w jej włosach. Zajęta myślami o ojcu, nawet tego nie odczuwała. Dopóki nie dowie się prawdy, w jej życiu będzie zawsze puste miej-

sce, którego nie potrafi wypełnić. Ojciec pozostanie na zawsze z piętnem malwersanta i zdrajcy. Jedyną osobą, która mogłaby udzielić odpowiedzi na pytania Jaime, był on sam. Jeśli jakimś cudem jeszcze żył.

W tej chwili, zupełnie nieświadomie, podjęła decyzję.

**Zwalniasz się?** - zapytał ze zdumieniem Ben Rollins, unosząc głowę znad kartki papieru, którą mu podała.

Skinęła głową.

- To przez Hillyera, prawda? - Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. - Kropla, która przepełniła kielich?

- Nie - zaprzeczyła. - Hillyer jest zdecydowanie wystarczającym powodem do rezygnacji, ale nigdy nie dałabym mu tej satysfakcji. Terry jest strasznym dupkiem, ale nie ma nic wspólnego z moją decyzją. Moje powody są bardziej osobiste niż zawodowe, jeśli mam być szczerą.

- Co chcesz robić?

- Być wolnym strzelcem - odparła. - W najbliższej przyszłości zamierzam dużo podróżować, głównie w Europie. Może nawet przedstawię ci moje projekty.

- Mam nadzieję - Zawahał się. - A jeśli ci to nie wypali?

Zmusiła się do uśmiechu, mimo że nie było jej wesoło.

- Wtedy będę miała nadzieję, że znajdzie się dla mnie jeszcze coś wolnego u was.

Odpowiedział jej uśmiechem.

- Dla ciebie zawsze będę miał miejsce - obiecał.

- Dzięki, Ben.

Zrobione - pomyślała, wychodząc z jego biura. - Jak to mówią, najważniejszy jest pierwszy krok.

Ten pierwszy krok miała już za sobą.

**Zdawało** jej się, że nigdy nie skończy tego pakowania. Nie miała pojęcia, na jak długo wyjeżdża, i chociaż z po-

czątku zamierzała zabrać tylko najpotrzebniejsze rzeczy, odniosła wrażenie, że bierze wszystko, co posiada. Jak ja się z tym zabiore? - zastanawiała się, patrząc na cztery walizki, leżące rzędem na łóżku.

Pozatąd była już wszelkie formalności i była pewna, że nie przeoczyła nic w pośpiechu, z jakim wybierała się do Paryża. Rozważała możliwość wynajęcia komuś mieszkania, ale w końcu ją odrzuciła. Dobrze było wiedzieć, że niezależnie od tego, czego dowie się we Francji, jest miejsce, które zawsze może nazwać swoim domem i wrócić do niego w każdej chwili. W tym momencie ta pewność jest jej bardziej potrzebna niż kiedykolwiek wcześniej.

Mimo że wiele podróżowała i przygotowując reportaże nieraz narażała się na niebezpieczeństwa, zdawała sobie sprawę, że tym razem będzie to coś zupełnie odmiennego. Zawsze była samodzielna i odpowiedzialna za siebie. Teraz, bardziej niż przedtem, odczuła potrzebę niezależności. Nie mogła pozwolić sobie na słabość, zwłaszcza po tym, co zrobił jej Marty. Dręczył ją jednak niepokój. To nie był kolejny reportaż. Tu chodziło o jej własną przeszłość, a może i przyszłość. To, co mogła odkryć w swoich poszukiwaniach, przerażało ją bardziej niż to, co zagrażało jej osobiście.

Mogło to pochłonąć mnóstwo czasu, wiedziała o tym. Szczęśliwie, stać ją było na tak długie „wakacje”. Dziadkowie zostawili jej duży spadek - była w końcu ich jedyną wnuczką. Także część należąca do matki przeszła na nią w całości. Miała ponadto pieniądze, w które przypuszczalnie zabezpieczył ją ojciec.

Przypuszczalnie.

Wchodząc do salonu, spojrzała na telewizor i zauważyła na ekranie znajomą twarz. To był Marty, ale zdawało się, że występował raczej jako bohater reportażu niż jego autor.

Złapała pilota i wzmocniła głos.



- ... prezenter TBC został dziś rano aresztowany przez agenta federalnego z wydziału zwalczania narkotyków pod zarzutem posiadania i sprzedaży narkotyków. Został zwolniony za kaucją i...

Nie słuchała reszty. Opadła na kanapę, nie wierząc własnym uszom. Marty i narkotyki? To niemożliwe! Boże, on przecież robił reportaż o akcji przeciwko narkomanii. Nie był narkomanem. Była tego pewna. Tak jak jeszcze niedawno pewna była jego miłości i nie uwierzyłaby, że ją zdradzi. A jednak ją zdradził, mimo że ją kochał.

Tak samo mógł zrobić to, co mu zarzucają.

Ale w świetle tego, co działo się wokół niej, nietrudno było Jaime uwierzyć, że Marty został wrobiony.

### *Waszyngton, D.C.*

W biurze było ciemno. Warner siedział przy biurku, podziwiając przez okno wspaniały widok Kapitolu oświetlonego gigantycznymi reflektorami. Drgnął, gdy zadzwonił telefon. Linia prywatna.

- Miałeś zadzwonić trzy godziny temu - powiedział ze złością. - Gdzie się, u diabła, podziewasz?

- Jestem dokładnie na lotnisku Kennedy'ego - powiedział ktoś z drugiej strony słuchawki. - Jaime Lynde też tu jest; czeka na samolot do Paryża, jeśli cię to interesuje.

- Masz ją śledzić - zadysponował Warner.

Gdy 747 łagodnie oderwał się od ziemi i zaczął wspinać ku niebu, Jaime odchyliła się w fotelu i spróbowała się rozluźnić. Czekająca ją długa podróż, może nawet bardzo długa, ponieważ nie wiedziała, co zastanie ją w Paryżu. A jeśli rzeczywiście znajdzie ojca lub uzyska odpowiedzi na swoje pytania - czy nie będzie żałować?

Jednego tylko była pewna: dopóki się nie dowie, nie zazna spokoju. W jej życiu na zawsze pozostaną białe plamy.

Spojrzała na gazetę leżącą na jej kolanach. Kupiła ją na lotnisku, gdy czekała na samolot, ale nie zdążyła przejrzeć. Może będą jakieś szczegóły o Martym - pomyślała, przeglądając pierwszą stronę. Oczywiście Marty już jej nie interesował; wyrzuciła go ze swojego życia. A jednak trudno było po prostu przestać się zajmować kimś, kto był dla niej tak ważny, kogo niemal poślubiła. Kochała go przecież, a takie uczucia niełatwo umierają. Zresztą w ogóle nie umarły - stwierdziła gorzko. - Zostały zamordowane, a on był mordercą.

To, czego szukała, znalazła na czwartej stronie. Wraz z fotografią Marty'ego zamieszczony był krótki artykuł. Już sam tytuł zmroził jej serce: „Spiker oskarżony o handel narkotykami umiera z przedawkowania”. Marty nie żyje? Serce łomotało jej w gardle, gdy czytała tekst. Został zwolniony za kaucją poprzedniego dnia - to wiedziała - a tego ranka jakiś anonimowy kolega znalazł martwego w jego mieszkaniu. Gazeta sugerowała, że było to samobójstwo, ponieważ Cantrell przeżywał ostatnio „kłopoty osobiste”. Kłopoty osobiste. Łagodnie powiedziane - pomyślała, przypominając sobie ich ostatnie spotkanie. Mimo to nie wierzyła ani przez chwilę, że mógł odebrać sobie życie. Nie on. Był zbyt ambitny. Pragnął zbyt wiele. Nic nie znaczyło dla niego więcej niż kariera, wiedziała o tym najlepiej ze wszystkich. Sprzedał ją, odwracając się plecami do tego, co przeżyli razem. Za co - tego nie miała się nigdy dowiedzieć.

Opuściła gazetę na kolana i zamknęła oczy. Łzy płynęły jej po policzkach, ciało przeszywały dreszcze. Płakała, nie będąc właściwie pewna, czy z powodu Marty'ego, czy też nad sobą. Ojciec też mógł nie żyć. Był niewątpliwie kluczem do czegoś niezmiernie ważnego.

*WIĘZY KRWI*

Kate została też zamordowana. Za dużo wiedziała i stanowiła zagrożenie. Teraz ten sam los spotkał Marty'ego. Odegrał swoją rolę i kiedy go już nie potrzebowali, postanowili zlikwidować. Kim byli „oni”? Kto - zastanawiała się - decyduje się na morderstwa, by utrzymać tajemnicę?

I jak daleko może się posunąć, by ją powstrzymać?

# 15

## *Paryż*

Jaime, ubrana jak zwykle w obszerny sweter i sztruksowe spodnie, wsunięte w wysokie buty, stała przy recepcji hotelu George V, czekając na potwierdzenie rezerwacji. Właściwie chciała się zatrzymać w mniej ekskluzywnym hotelu, ale stwierdziła, że musi zamieszkać właśnie w tym. Było to konieczne, ponieważ ojciec, zanim zaginął, gościł zazwyczaj w George V. Jego ślad urywa się tutaj - i tutaj rozpocząć się musi jej podróż. Z myślą o tym wzięła do ręki pióro i podpisała się dokładnie tak, jak podpisywał wszystko ojciec: J.V. Lynde. Sądziła, że jeśli jej ojciec uczestniczył w jakiś akcjach wywiadowczych, mógł mieć kontakty również tutaj. Ponieważ ci z Langley w Wirginii najwyraźniej o nim nie zapomnieli, można było się domyślać, że i druga strona - ktokolwiek by to nie był - myśli podobnie. Im więcej robiła, by zwrócić na siebie uwagę, tym pewniejsze było, że czegoś się dowie.

Czuję się, jakbym tropiła UFO - pomyślała, idąc do pokoju za chłopcem hotelowym. I prawdopodobnie było to uzasadnione uczucie.

Pokój był bardziej luksusowy, niż tego oczekiwała; osiemnastowieczne meble, obrazy, których wiek oceniła na dobre sto lat, flamandzkie tapety, nawet antyczny zegar. Rozglądając się, pomyślała o dniach, kiedy prze-

bywał tu ojciec. Kto wtedy pokrywał rachunki - firma O'Donnel-Colby czy ówczesne CIA?

Dała chłopcu szczodry napiwek i po jego wyjściu zabrała się do rozpakowywania rzeczy. W innych warunkach cieszyłaby się otaczającym ją luksusem i pobytem w Paryżu. Zwiedziłaby wszystkie te miejsca, o których tyle słyszała z opowiadań ojca i innych: małe kawiarenki i restauracyjki nie odwiedzane przez turystów, mniej znane galerie i teatry. Paryż artystów. Może kiedy indziej - przyrzekła sobie, rozsuwając zasłony. Paryż jest tak pięknym miastem. Nagle znieruchomiała. Na dole, po przeciwnej stronie ulicy, dostrzegła opartego o słup mężczyznę, wyraźnie patrzącego wprost w jej okno. Widziała go już kiedyś, w Nowym Jorku. Ten sam człowiek śledził ją kilka miesięcy temu. Była absolutnie pewna, że to on. Szybkim ruchem zaciągnęła zasłony i ciężko usiadła na łóżku.

A więc ciągle jej pilnowali.

**Spała** niespokojnie. W nocy budziła się trzy razy i wstawała, by spojrzeć z okna na ulicę, ale mężczyzny nie było widać. Z pewnością jest gdzieś tutaj - myślała zdesperowana. - Jest tu wciąż... Obserwuje.

Chociaż nigdy przedtem nie miewała żadnych, nawet najłżejszych objawów migreny, od pewnego czasu poznała ją z najgorszej strony. I teraz także czuła mdłości, w głowie huczało jej sto wodospadów, tak że z trudem wstała z łóżka. Jeżeli tak wygląda „poranne złe samopoczucie” to cieszę się, że podjęłam decyzję nigdy nie mieć dzieci - stwierdziła ponuro, wchodząc do łazienki.

Wzięła ciepły prysznic i umyła włosy, ale nie poczuła się lepiej. Myśl o jedzeniu tylko pogorszyła jej stan, ale wiedziała, że powinna coś zjeść. Zadzwoiła i zamówiła lekkie śniadanie. Skubiąc jedzenie, myślała o swoim stanie fizycznym. To nie była migrena. To był lęk przed

czekającym ją nieznanym oraz świadomość, że śledzi ją nie zidentyfikowany typ, który może zrobić wszystko, by nie dopuścić do wykrycia prawdy o ojcu.

Wkładając cienkie wełniane spodnie i kremową bluzkę, pomyślała o Martym. Oni - kimkolwiek naprawdę są - wykorzystali go, a gdy był im już niepotrzebny, bo nie wykonał tego, co mu nakazali, po prostu go zlikwidowali. To brzmiało tak zimno. Ale tacy nawyrażniej byli, zimni, nieludscy mordercy.

Co takiego robił ojciec, że ktoś posuwa się do morderstw, by utrzymać to w tajemnicy? Kate odkryła coś, co łączyło jej ojca z człowiekiem nazwiskiem Baldwin - i została uciszona. Raz na zawsze. Marty był tylko pionkiem. Miał za zadanie zniechęcić ją do dalszych poszukiwań. Za przegraną zapłacił życiem.

Czy ją też będą chcieli zabić?

**Jaime** wysiadła z taksówki przed ambasadą amerykańską przy Avenue Gabriel, tuż koło Place de la Concorde. Zapłaciła kierowcy, doszła do drzwi i zatrzymała się. Co ma powiedzieć ambasadorowi? Nie mogła tam po prostu wkroczyć i powiedzieć: „Dzień dobry. Nazywam się Jaime Lynde. Mój ojciec był szpiegiem i potrzebuje pańskiej pomocy, by go znaleźć”. W ogóle nie mogła mu powiedzieć, że ojciec pracował dla wywiadu. Równocześnie nie widziała siebie w roli zaniepokojonej córki, szukającej zaginionego ojca - ojca, którego nie widziała już prawie dwadzieścia lat. „No cóż, widzi pan, właśnie zauważyłam, że zniknął i... ” Skrzywiła się. To nawet nie było śmieszne.

Mogła jednak rozmawiać z ambasadorem jako zawodowa fotoreporterka, szukająca śladów mężczyzny, który zaginął w Paryżu w 1966 roku, a który był jej ojcem. Ale ambasador należy do sfer rządowych - uzmysłowiła sobie. A jeśli jest jednym z nich? Wiedziałyby wtedy, kim ona jest i czego chce, a tym samym wiedzieliby i oni.

Nawet jeśli sam ambasador nie jest w to wplątany, to ktoś z ludzi pracujących w ambasadzie na pewno. Gazety wciąż donosiły o przeciekach i zdradach - sekretarki, strażnicy, nawet sami dyplomaci często prowadzili podwójne życie.

Zabawne - pomyślała - nagle stałam się podejrzliwa wobec wszystkich - nawet wobec ambasadora Stanów we Francji! Ale niewątpliwie mam ku temu powody...

Wpuszczono ją do ambasady i skierowano do biura prasowego. Dowiedziała się, że najpierw przyjmie ją attache prasowy, który mógłby jej ewentualnie pomóc. Dopiero gdy on nie będzie w stanie odpowiedzieć na jej pytania, może prosić o spotkanie z ambasadorem. Gdy szła korytarzem we wskazanym kierunku, poczuła kolejną falę ogarniających ją mdłości. Zatrzymała się. Nie piłam przecież wody, więc to nie może być zatrucie. Wiedziałam, że nie powinnam nic jeść.

Zemdlała.

**Kiedy** otworzyła oczy, leżała na kanapie w czymś gabinecie. Nad nią pochylał się przystojny, ciemnowłosy mężczyzna koło trzydziestki. Poczwała, że rozpina jej bluzkę.

- Proszę natychmiast zabrać te łapy, do diabła! - zaprotestowała gwałtownie, odpychając jego ręce. Usiadła.

- Spokojnie - odparł szybko, zostawiając bez protestu guziki jej bluzki. - Nie miałem zamiaru pani skrzywdzić, jeśli tego się pani obawia. Pani zemdlała. Słyszałem, że rozluźnienie ubrania jest pierwszym krokiem, który należy zastosować, udzielając pomocy w takich przypadkach.

Odetchnęła głęboko.

- Zemdlałam?

Uśmiechnął się.

- Niczym łabędź osunęła się pani prosto w moje ramiona.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Nikt nie mdleje niczym łabędź.

- Chciałem tylko, by zabrzmiało to bardzo poetycko. Podniósł z krzesła mokry ręcznik.

- Proszę się położyć, nie powinna pani wstawać za szybko. Chciałem położyć to pani na czole, jeśli tylko nie zamierza mi pani złamać za to ręki.

Położyła się z powrotem.

- W takim razie rozejm - stwierdziła.

- Tak już lepiej. - Ręcznik powędrował na jej czoło. - Założyłbym się, że jest pani najgorszą pacjentką świata.

- Wnioskuje, że jest pan lekarzem?

- Źle pani wnioskuje. Jestem attache prasowym. Nazywam się Nicholas Kendall - przedstawił się. - A pani jest...

- Jaime Lynde z „World Views” - odparła.

Obserwowała go uważnie. Był naprawdę przystojny, od głębokich, kobaltowych oczu począwszy, poprzez ciemne włosy, sięgające kołnierzyka koszuli, aż po czarujący uśmiech, którym ją obdarzał raz po raz. Powinam się zamknąć - pomyślała - na pewno umarłam i poszłam do nieba. Zawsze wiedziałam, że aniołowie powinni tak wyglądać.

- Co panią sprowadza do Paryża?

- Polowanie na mężczyznę - odparła chmurnie bez namysłu.

Roześmiał się.

- A więc przybyła pani we właściwe miejsce - powiedział uprzejmie. - Chociaż używa pani dziwnych sposobów.

- Co takiego?

- Nie znajdzie pani mężczyzny tak łatwo, jeśli zamierza pani każdemu grozić śmiercią przy pierwszym spotkaniu - stwierdził.



- Ależ nie takie polowanie miałam na myśli! - odparła z naciskiem.

Uniósł brwi.

- O! Coś innego?

- Dla pańskiej informacji: szukam zaginionej osoby - powiedziała, przyciskając zimny ręcznik do czoła. - Zaginął dawno temu, nie będzie więc łatwo.

- Jak dawno? - zapytał.

- Prawie dwadzieścia lat temu. - Spróbowała usiąść, ale opadła z powrotem, czując zawrót głowy.

Podszedł do niej.

- Nie ma pośpiechu. Proszę leżeć i czekać, aż przejdzie - nalegał z troską w oczach. Podał jej szklanke wody. - Czy to się pani często zdarza?

- Nigdy - odparła bez wahania. - Jestem zdrowa jak koń.

~ A może jest pani w ciąży?

Pierwszy raz się roześmiała.

- Jeśli tak, to powinnam się rozejrzeć za trzema facetami na wielbłądach i jasną gwiazdą na wschodzie.

Teraz on się roześmiał. Zdecydowanie miał miły uśmiech - stwierdziła. - Bardzo miły.

- A co do tego człowieka, którego pani szuka - zaczął.

- Co jeszcze może mi pani o nim powiedzieć?

Zawahała się.

- To mój ojciec.

### *Waszyngton, D.C.*

Harry Warner przybył do swojego biura niezwykle wcześnie, bo już przed piątą. Siedział samotnie, czekając na telefon z Paryża. Kiedy odezwał się sygnał, podniósł natychmiast słuchawkę.

- Tu Warner.

- Jaime Lynde jest obecnie w ambasadzie amerykańskiej.

- Już z kimś rozmawiała?
- Z attache prasowym. To Nicholas Kendall.
- To nikt od nas - stwierdził Warner. - Nie spuszcza jej z oka.
- A co z tym Kendallem?
- A co ma być?
- Mogła mu powiedzieć?
- Wątpię - Warner był pewny siebie. - Dopiero go przecież poznała. Jest bardzo nieufna wobec ludzi, zwłaszcza obcych. Nie będzie taka skora do zwierzeń, nie po przeżyciach z Cantrellem.
- Jesteś pewien?
  
- To jedna z niewielu rzeczy, których jestem pewien.

Mój ojciec był szpiegiem.

Jaime wciąż nie była pewna, czy powinna to mówić człowiekowi, którego dopiero co poznała. Została zdradzona przez tych, którym ufała, wykorzystana przez mężczyznę, którego kochała. Ci wokół niej, którzy dostali się poza zasłonę spowijającą ojca i jego tajemnicę - ginęli. Ona sama zaczynała czuć się jak ruchomy cel. Jak więc mogła zaufać komukolwiek, nie mówiąc już o kimś całkiem obcym?

Nicholas przyglądał jej się przez chwilę.

- Agentem wywiadu?

Skinęła głową.

- Sądzę, że wykonywał jakieś zadanie wtedy, kiedy zaginał.

Otarł w zamyśleniu podbródek.

- To komplikuje sprawę jeszcze bardziej - powiedział w końcu.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Dlaczego?

- Gdyby pani ojciec był amerykańskim turystą, który zaginał tydzień czy nawet miesiąc temu, moglibyśmy coś zrobić - odparł, spacerując po dywanie. - Ale pracownik

amerykańskiego wywiadu, który zaginął podczas misji prawie dwadzieścia lat temu...

- Był obywatelem amerykańskim, do cholery! - zdenerwowała się. - Zniknął tu, w Paryżu, pełniąc służbę dla rządu Stanów Zjednoczonych! I w tym jest sedno!

- Ale dwadzieścia lat temu - przypomniał jej łagodnie. Przyglądała mu się z niedowierzaniem.

- Czy chce pan powiedzieć, że Wuj Sam umywa ręce, gdy jego ludzie zostają złapani lub zabici? Czym to się różni od zaatakowania ambasady w Teheranie lub porwania samolotu TWA, czy wreszcie jakiegokolwiek innego ataku na amerykańskich obywateli?

Usiadł koło niej.

- Różni się tym - zaczął, nabierając oddechu - że pani ojciec brał udział w tajnych misjach. Są pewne sytuacje, które agenci wywiadu muszą świadomie zaakceptować, podejmując się tej służby.

- Jakie sytuacje?

- Obecnie życie szpiega nie różni się zbyt od życia w ówczesnych szeregach OSS podczas II wojny światowej. Agent jest z założenia samotny - sam, odrzucony przez obce społeczeństwo, narażony niemal codziennie na wielkie niebezpieczeństwa, a za całą obronę ma tylko własny rozum. Wie, że jeden fałszywy ruch może oznaczać katastrofę. Wie także, że jeśli zostanie pojmany, własny rząd wyprze się go. Ma wtedy do wyboru: więzienie lub śmierć... albo zdradę i pracę dla wroga.

- Niewielki wybór.

Pokiwał głową w zamyśleniu.

- Jak mogą przekreślać człowieka tylko dlatego, że został rozszyfrowany? - zapytała.

- Tajemnica państwowa. Tak się nazywa ta gra. Nikt nie chce się przyznać, że podglądał przez dziurkę od klucza; więc jeśli szpieg zostanie pojmany, może liczyć tylko na siebie. Zawsze.

- Dużo pan wie na ten temat - zauważyła.

Zmarszczył brwi.

- Zanim znalazłem się w Paryżu, pracowałem w ambasadzie w Teheranie - odpowiedział. - Zostałem stamtąd przeniesiony na dwa miesiące przed zajęciem jej przez Irańczyków. W pewnych krajach wywiad pracuje również na terenie ambasad, zwłaszcza w takich krajach jak Iran czy Liban, potencjalnych kolebkach kłopotów.

- Ale nie tutaj - zakończyła jego myśl.

- Francja jest jednym z naszych sprzymierzeńców - powiedział po prostu.

- Jeżeli tu się nic nie dzieje, dlaczego mój ojciec tu był?

Pomyślał przez chwilę.

- Może nie był. Mogła to być tylko przykrywka. Amerykański biznesmen w Paryżu. Pojawia się w hotelu, a potem znika, udając się tam, gdzie czekają go zadania.

Jaime skinęła powoli głową.

- Tak, to możliwe. - Nie pomyślała o tym wcześniej. - Nic więc pan nie może zrobić?

- Drogą dyplomatyczną nie - odparł.

Patrzył, jak wychodzi. Nigdy podczas pracy nie pozwalał sobie na osobiste uczucia. Poza tym, jak dotąd, żadna kobieta nie wywarła na nim większego wrażenia.

Czym więc ujęła go tak Jaime Lynde?

Czy popełniłam błąd, że mu zaufałam? - zastanawiała się Jaime, wysiadając z taksówki przed hotelem. - Wydawał się taki szczerzy. Ale oni wszyscy robią takie wrażenie. Wszyscy chcieli mi pomagać. Marty, Bearden, wszyscy. I żadnemu z nich nie powinnam zaufać.

Zapłaciła za kurs i weszła do hotelu. Szybkim krokiem zbliżyła się do recepcji, żeby sprawdzić, czy ktoś nie zostawił dla niej wiadomości. Owszem, była jedna: Nicholas Kendall 296-12-02. Numer ambasady. Chciał, żeby zadzwoniła. Nie marnuje czasu - pomyślała niepokorna, czy to dobry czy zły znak.

Zadzwoiła do niego, gdy tylko weszła do pokoju.

- Rozmawiał pan z ambasadorem?

- Nie - odparł. - Ale coś wymyśliłem.

- To znaczy?

- Nie przez telefon - powiedział szybko. Niemal za szybko. **Jaime** ogarnął lekki niepokój. - Czy ma pani czas wieczorem?

Zawahała się. Znowu? - pomyślała.

- Tak - odrzekła. - **Jestem** wolna.

- Zna pani choć trochę Paryż?

- Słabo.

- Była pani kiedyś w La Closerie des Lilas?

- Nigdy.

- To na Montparnasse. - Przerwał na chwilę. - Przyjadę po panią do hotelu o wpół do ósmej, dobrze?

- Świetnie.

Czy naprawdę świetnie? - zastanawiała się.

**La Closerie des Lilas** przy Boulevard du Montparnasse znana była bardziej ze swoich bywalców niż z kuchni. Hemingway, Trocki, Verlaine bywali tu w swoim czasie regularnie. Z zielonego tarasu na zewnątrz można było podziwiać widok na pomnik marszałka Ney, podczas gdy wewnątrz przypominało typowy paryski lokal, prowadzony przez dwóch barmanów, zmieniających ciągle zestaw trunków w serwowanych drinkach. Nastroj tworzył tu głównie Ivan Meyer, niewiarygodnie utalentowany pianista.

- Czasami pojawiają się tu niesamowite postacie - powiedział Nicholas, podchodząc wraz z **Jaime** do stolika. - Bywalcy zwykli tu wpadać na drinka o pierwszej w nocy!

- O! - Uniosła brwi. - Bywał pan tu tak późno?

- Parę razy. - Uśmiechnął się.

Złożył zamówienie nieskazitelnym płynnym francuskim. Obserwowała go, gdy rozmawiał z kelnerem. Po-

dobał się jej. Nie była pewna dlaczego, ale podobał się. Problem w tym, że nie miała pewności, czy może mu zaufać. Nie była przekonana, czy może zaufać komukolwiek.

- Mówiła pani, że zrezygnowała pani z pracy w „World Views” - powiedział Nicholas, gdy kelner odszedł. - Cóż więc pani robi, poza poszukiwaniem ojca?

- To samo, tylko że jako wolny strzelec.

- Podziwiam. Trzeba mieć odwagę, by robić coś takiego.

- Nie miałam zbyt wielkiego wyboru - odparła szczerze. - Muszę znaleźć ojca albo przynajmniej się dowiedzieć, co się z nim stało.

Popatrzył na nią uważnie.

- Myślałem o naszej porannej rozmowie - zaczął. - Jak już mówiłem, ludzie z CIA pracują w ambasadach wschodniego bloku i Bliskiego Wschodu. Możliwe, że są również w krajach zaprzyjaźnionych, chociaż, o ile mi wiadomo, tu, w Paryżu, nie ma nikogo takiego.

- Już pan to mówił.

- Powiedziałem „o ile mi wiadomo” - podkreślił. - Jestem pewien, że nawet gdyby byli, również bym o tym nie wiedział.

Podszedł kelner z drinkami. Zapytał, czy podać coś do zjedzenia. Ponieważ Jaime nie zajrzała nawet do karty, spytała:

- Co mi pan poleca?

- Najlepsza jest kaczka albo tatar - odpowiedział Nicholas bez wahania. - Ja zwykle biorę tatar.

- Wolę kaczkę, dziękuję.

Uśmiechnął się.

- Nie lubi pani surowego mięsa?

Potrząsnęła gwałtownie głową.

Nicholas zwrócił się do kelnera, posługując się francuskim z taką łatwością, jakby mówił w tym języku przez całe życie. Gdy kelner odszedł, kontynuował temat.

- Jest w ambasadzie kilka osób pracujących tu od lat
- powiedział, sięgając po szklanę. - Niektórzy byli tu dwadzieścia lat temu.
- I?
- I może coś wiedzą. Cokolwiek. - Spojrzał jej w oczy.
- Warto spróbować, prawda?  
Uśmiechnęła się z wysiłkiem.
- Jestem gotowa próbować wszystkiego - odparła.

# 16

**Dzwonek** telefonu wyrwał Jaime z głębokiego snu. Usiadła na łóżku i lekko zdezorientowana podniosła słuchawkę, przyciskając ją do ucha.

- Halo?
- Jaime?
- Tak - odparła zaspanym głosem.
- Tu Nicholas. Obudziłem cię?
- Tak. Ale to dobrze - powiedziała, odgarniając ręką włosy z twarzy. - Która godzina?
- Piętnaście po dziesiątej. - Chwila przerwy. - Jesteś jeszcze ustawiona według czasu nowojorskiego.
- Pewnie masz rację - stwierdziła. Nagle przypomniała sobie, dlaczego Nicholas dzwoni. - Dowiedziałeś się czegoś? Już?

Zawahał się.

- Mogłabyś zjeść ze mną lunch?
- Jasne. Gdzie i kiedy?
- Przy Champs-Elysees jest świetna mała kafejka. Jedzenie jest cudowne, a widok jeszcze lepszy. Dwunasta piętnaście, pasuje ci?
- Oczywiście.
- Będę czekał na ciebie w holu na dole, dobrze?
- Świetnie. Do zobaczenia. - Powoli odłożyła słuchawkę.

W jaki sposób zdążył dowiedzieć się czegoś w tak



krótkim czasie? Czy w ogóle coś wie? Czy naprawdę próbuje jej pomóc, czy tylko jej pilnuje?

Energicznym ruchem zrzuciła swoje długie nogi z łóżka na podłogę i strząsnęła włosy na plecy. Chciałaby mu naprawdę zaufać. Potrzebowała tego. Chciała mieć pewność, że jest ktoś, do kogo mogła się zwrócić, komu mogła się zwierzyć. Chciała, by tym kimś był Nicholas Kendall. Ale w głębi jej duszy wciąż czaiła się nieufność.

**Miałeś** rację - powiedziała Jaime do Nicholasa. - Zarówno jedzenie, jak i widok są fantastyczne.

Jedli lunch na tarasie małego lokaliku przy Champs-Elysees. Siedzieli przy stoliku z widokiem na Łuk Triumfalny. Ruch na chodniku za ogrodzeniem był duży.

- Podejrzewam, że bardziej podoba ci się widok niż sam posiłek - zauważył, patrząc na jej talerz. - Prawie nic nie zjadłaś.

- Nic na to nie poradzę. - Westchnęła, gryząc kęs kanapki. - Nie mam apetytu, odkąd przyjechałam do Paryża.

- Co, chciałbym zauważyć, zaowocowało omdleniem w ambasadzie - odparł, patrząc na nią oczami głębokimi jak ocean. Gdyby okoliczności były inne, z pewnością pozwoliłaby sobie na zatonięcie w tych głębinach.

- Zbierz siły - odezwał się - będziesz ich bardzo potrzebowała.

Ożywiła się natychmiast.

- Dowiedziałeś się czegoś. - Bardziej stwierdziła, niż zapytała.

- Czekaj! - pohamował ją, unosząc rękę. - Dowiedziałem się, ale to nie jest żadna rewelacja, zapewniam cię.

- Cokolwiek by to nie było, zawsze to jakiś początek - odparła po prostu.

Skinął głową, sięgając po kawę.

- Sekretarka w ambasadzie pracuje na tym stanowi-

sku od dwudziestu trzech lat. Jest oczywiście Amerykanką, ale studiowała na Sorbonie. Pieniądze jej ojca skończyły się, zanim ukończyła studia, ale Paryż podobał jej się tak bardzo, że postanowiła zostać i...

- Była tu więc w czasie, gdy mój ojciec zaginął - przerwała mu Jaime niecierpliwie.

Nicholas przytaknął.

- Rozmawiałem z nią dziś rano - powiedział, dopijając kawę. - Pokazałem fotografię, którą mi zostawiłaś. Rozpoznała go.

Serce Jaime drgnęło.

- I?

Zmarszczył brwi.

- Niewiele ponad to, o czym wiesz - odparł z westchnieniem. - Był w ambasadzie dwa razy. Za każdym razem rozmawiał prywatnie z ambasadorem, to znaczy z ówczesnym ambasadorem. Barbara mówi, że podał się za amerykańskiego biznesmena, załatwiającego w Paryżu interesy firmy.

- To była część jego przykrywki - wyjaśniła nachmurna. - Pracował w firmie dziadka w Nowym Jorku. - W dalszym ciągu przesuwiała jedzenie bezmyślnie po talerzu. Do zeszłego roku sama nie wiedziała o prawdziwym zajęciu ojca.

- Obecny ambasador pracował w tym czasie jako wice - powiedział Nicholas. - Był więc już wtedy w ambasadzie.

Spojrzała na niego z nadzieją.

- Był więc najbliższym współpracownikiem ambasadora! - ucieszyła się. - Może znać prawdę!

- Jeśli ją nawet zna, zatrzymuje ją dla siebie - odrzekł. - Próbowałem, Jaime, wierz mi. Podchodziłem go na różne strony, by mi coś powiedział. Twierdził, że nie ma nic do powiedzenia, że James Lynde był zwykłym Amerykaninem, który przyszedł do ambasady z jakimś niewielkim problemem.

- Niewielkim, do cholery!
- Będę jeszcze sprawdzał. Musi znaleźć się ktoś...

Przerwała mu.

- Dlaczego ty chcesz mi pomóc, kiedy wszyscy inni traktują mnie jak trędowatą?

Spojrzał na nią, zadając sobie to samo pytanie. Wiedział, że igra z ogniem. Zdawał sobie sprawę, że grzebanie w przeszłości Wuja Sama może wciągnąć go w niezłe tarapaty. Wiedział też, że kroczy po polu minowym polityki i jeden fałszywy ruch może obrócić w gruzy jego karierę dyplomatyczną. Jeden fałszywy ruch i wyląduje tyłkiem na bruku. A jednak, patrząc na córkę Jamesa Lynde'a, wczuwając się w jej ból i rozpacz, zapomniał o ostrożności, odpowiedzialności i obowiązkach. Nie myślał o konsekwencjach. Uśmiechnął się do dziewczyny.

- Zew krwi, jak sądzę.

### *Waszyngton, D.C.*

**Ciągle** jest w Paryżu? - zapytał Warner.

- I najwyraźniej nie śpieszy się z powrotem - odparł głos w słuchawce. - W ciągu ostatnich dwóch tygodni wiele czasu spędziła z Kendallem.

- Kendall. - Warner zamyślił się. - Z tego, co mi doniesiono, węszył po ambasadzie, zadając niewygodne pytania.

- Niestety, to prawda. Wtyka nos w nie swoje sprawy. Myślę, że powinno się go przenieść.

- Możliwe - przerwał mu Warner. - Czy dowiedział się już czegoś?

- Jak dotąd nie ma się czym martwić.

- Lepiej pilnujcie jego też - zdecydował Warner. - Przynajmniej na razie.

- O.K. Zajmę się tym.

- Informuj mnie o wszystkim.

**Skąd** pochodzisz? - zapytała.

Siedzieli w eleganckim wnętrzu Relais Plaza przy Avenue Montaigne, przypominającym transatlantyk z lat trzydziestych. Pomiędzy kęsami łososia zdołała w zaledwie pół godziny opowiedzieć mu historię swojego życia.

- Z Maine - odparł, sięgając po kieliszek z winem. - Dokładnie z Tenants Harbor. Słyszałaś kiedyś o tym?

Potrząsnęła głową.

- Nie mogę powiedzieć, że tak - przyznała się. - Jak wylądowałaś tutaj, to znaczy w służbie dyplomatycznej?

Uśmiechnął się ze znużeniem.

- To był kompromis.

Spojrzała na niego pytająco.

- Kompromis?

Skinął głową.

- Kiedy kończyłem studia, chciałem się dostać do telewizji. Marzyłem, żeby kiedyś mieć własny program. Mój ojciec jednak, jak się okazało, zaplanował inaczej. Zawsze miał aspiracje polityczne, których nigdy nie zaspokoił, wobec czego zdecydował, że jeden z jego synów będzie politykiem.

Uniosła brwi w zdziwieniu.

- Jeden z jego synów?

- Było nas trzech - odparł. - Daniel został neurochirurgiem, Thomas maklerem giełdowym. Jako najmłodszy byłem ostatnią nadzieją ojca.

- Robisz to więc dla ojca?

- W pewnym sensie tak.

- Nie sądzisz, że powinieneś robić coś, na co ty masz ochotę? - Miała nadzieję, że nie zabrzmiało to niegrzecznie.

Spojrzał jej w oczy.

- **A ty?**

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Myślę, że na to zasłużyłam.

- Zdecydowanie - zgodził się. - Tak czy inaczej, kiedyś będę robił to, co chcę. - Mimo wszystko nie był zbyt pewny tego, co mówi. - A co z tobą? Kiedy zostawisz przeszłość w spokoju i zaczniesz myśleć o swojej przyszłości?

- Kiedy pozbędę się wszystkich duchów - odparła cicho.

Gdybyż to było łatwe.

**Nicholas** Kendall mieszkał w budynku przy rue de Marignon, niedaleko ambasady. Z okien swojej sypialni miał widok na wieżę Eiffla, ale mieszkając w Paryżu **piąty** rok, przywykł do roztaczającej się panoramy i nie robiła ona na nim większego wrażenia niż budynki Empire State, Chrysler czy bliźniacze wieże World Trade Center na rdzennym nowojorczyku. Teraz jednak, ubierając się do pracy, niespodziewanie złapał się na kontemplacji tego widoku. Nigdy nie oglądał Paryża z platformy obserwacyjnej na wieży, nie był też w tamtejszej restauracji. Nigdy dotąd nie odczuwał takiej potrzeby. Teraz zaś miał ochotę wejść na sam szczyt. Chciałby zabrać tam Jaime.

Był zafascynowany tą dziewczyną od chwili, gdy ją zobaczył. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy wymyślał różne powody, by się z nią spotkać, chociaż podejrzewał, że szczęście niebawem odwróci się od niego - gdy Jaime stwierdzi, że nie pomaga jej zbyt wiele, i wyjedzie, by gdzie indziej szukać potrzebnych jej informacji. Bał się nadejścia tego dnia, choć nie wiedział dlaczego. Nie byli kochankami; z ledwością można by ich związek nazwać przyjaźnią. A jednak im więcej z nią przebywał, tym bardziej się do niej przywiązywał. Była mu bliższa niż wszystkie kobiety, które przewinęły się przez jego życie. Uśmiechnął się do siebie. Prawdopodobnie nawet nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo go zauroczyła. Potrafiła myśleć tylko o swoim ojcu.

Bóg jeden wie, jak bardzo chciałem jej pomóc - pomyślał. W głębi duszy zastanawiał się, jaki będzie kolejny krok Jaime, gdy zdobędzie informacje, których szuka. Bez wątpienia wyjedzie z Paryża. Była to ostatnia rzecz, której mógłby sobie życzyć. Pragnął spędzać z nią jak najwięcej czasu. Chciał poznać ją bliżej, tak jak to tylko możliwe. Czuł się winny, że wykorzystywał jej obsesję szukania zaginionego ojca, jako okazję zbliżenia się do niej. Próbowałem jej pomóc - tłumaczył się przed sobą. - Próbowałem się czegoś dla niej dowiedzieć.

Zawijając krawat, przesunął lustro na biurku. W ciągu tych pięciu lat spędzonych w Paryżu przez jego życie przewinęło się kilka kobiet. Od dawna wołał Francuzki. Starsze Francuzki. Chociaż z kilkoma z nich nawiązał intymny kontakt, żadna, jak dotąd, nie wzbudziła w nim głębszych emocji. Początkowo matka w swoich listach łagodnie napomynała, że czas już pomyśleć o „ustabilizowaniu się”. Z czasem jej listy stały się bardziej naglące. Uważała, że to hańba wciąż być kawalerem i nie myśleć o małżeństwie. Był przecież dojrzałym mężczyzną. Miał trzydzieści pięć lat. Jego bracia, czego nigdy nie zapominała dodać, ożenili się obaj przed trzdziesiątką i mieli już dzieci.

Nicholas nigdy zbyttno się nie śpieszył. Lubił kobiety, naprawdę je lubił, nie tylko jako partnerki w seksie. Wcześnie odkrył, że seks z kobietą, którą lubił i szanował, dawał mu o wiele większą satysfakcję niż z kimś, kto pociągał go tylko fizycznie. Jednak żadna ze spotkanych kobiet nie była tą, której szukał, dla której wyrzekłby się niezależności. I nagle... Pojawiła się Jaime Lynde. Od samego początku miał wrażenie, że z nią będzie zupełnie inaczej.

Ech, Jaime - pomyślał. - **Źle** ze mną.

**Mikrofilm.** Stare gazety. Tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt sześć - Jaime z trudem znajdowała właściwe

słowa, próbując wyjaśnić bibliotekarzowi, o co jej chodzi. On jednak był najwyraźniej zafascynowany jej dżin-sami, swetrem w kolorze rdzy i butami.

- *Journaux Vieux* - niecierpliwie machnęła ręką.

- *Out, mademoiselle. Vieux.* - Twarz mężczyzny rozjaśniła się nagłym zrozumieniem. Wyrzucając z siebie potoki słów, wskazał jej drogę do pokoju z mikrofilmami. Mimo że Jaime zrozumiała nie więcej niż połowę z jego monologu, pewna była, iż znajdzie to, czego szukała.

- *Merci* - powiedziała, skinąwszy głową. - *Merci beaucoup.*

W podziemiach starej biblioteki na Left Bank panowała grobowa cisza. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był stukot jej obcasów o cement podłogi.

Po umiarkowanie udanej próbie przełamania bariery językowej z kolejnym pracownikiem biblioteki otrzymała wreszcie pudło z rolkami mikrofilmów, kopiami wszystkich paryskich gazet z listopada i grudnia 1966 roku. Spędziła nad nimi większość dnia, przerywając na chwilę tylko po to, by zadzwonić z antycznego telefonu do Nicholasa i odwołać lunch, na który się umówili.

- Nie mogę teraz wyjść - powiedziała. - W którejs z tych starych gazet może coś być... A przeszłam piekło, usiłując porozumieć się z tymi ludźmi. Nie chcę przeżywać tego jeszcze raz, jeśli nie muszę.

- Rozumiem - odparł swobodnie, wyczuła jednak w jego głosie rozdrażnienie. - Zamienimy to na kolację?

- Jasne. - To przynajmniej mogła dla niego zrobić. W końcu próbował jej pomóc. Jedyny człowiek na świecie. Nie bardzo chciała tracić cenny czas na cokolwiek innego niż poszukiwania, ale musiała przyznać, że lubiła jego towarzystwo. - Wybierz restaurację.

Roześmiał się.

- Ty nie masz specjalnych życzeń?

- Cóż - zaczęła z wahaniem. - Mam, ale jak ci powiem, będziesz się ze mnie śmiał.

- Nie będę - obiecał. - Powiedz.

- McDonald. Umieram z tęsknoty za Big Makiem - przyznała się.

Zaniósł się śmiechem.

- Obiecałeś, że nie będziesz... - przypomniała mu.

- Przepraszam, nic na to nie poradzę - odparł. - Pójdziemy więc do McDonalda.

- Niezbyt to oryginalne, prawda? - Teraz ona się zaśmiała.

- W Paryżu? Bardzo - zapewnił ją.

- Jestem na twojej łasce - powiedziała. - Wybierz po prostu jakieś miejsce, gdzie dają dobrze jeść i nie wymagają strojów wieczorowych, dobrze? Myślę, że po takim dniu będę potrzebowała trochę relaksu.

- W porządku - odparł. - Przyjdę po ciebie o siódmej. Możesz mieć na sobie džinsy i trampki, jeżeli chcesz.

- Ojej, brzmi złowieszczo. Posłuchaj, muszę chyba wracać do moich mikrofilmów. Ten urzędnik zaraz zasztyletuje mnie wzrokiem.

- W porządku. Do zobaczenia wieczorem.

Jaime powoli odwiesiła słuchawkę. Ostrożnie - powiedziała do siebie. - Zaczynasz go lubić nieco za bardzo.

**Ja** tylko żartowałam, proponując McDonalda - roześmiała się Jaime, gdy Nicholas prowadził ją przez zatłoczoną Champs-Elysees.

- Jezu, to nawet nie wygląda jak prawdziwy McDonald. Żadnych złotych łuków! - wykrzyknęła na widok małej tabliczki przypominającej bardziej szyld gabinetu dentystycznego niż restauracji.

- To jest Paryż - przypomniał jej. - Francuzi nie znieśliby czegoś tak komercyjnego.

- Chcesz powiedzieć, że nie chcieliby czegoś tak sympatycznego - odparła, udając obrażoną.



- Ty to powiedziałaś. - Przytrzymał jej drzwi. - Panie przodem.

- Ach, rycerskość nie zginęła jeszcze na świecie! - wykrzyknęła. - Jest tylko w stanie śpiączki.

- Chodź, chodź, moja droga - mruknął. - Musimy tu stanąć w kolejce.

Stanęła przy ladzie, by spojrzeć na menu.

- **Filet de poisson**, to musi być coś z rybą - stwierdziła. - Błagam, powiedz, dlaczego cheeseburger napisano po angielsku?

- Bo tego nie można przetłumaczyć - odparł. - Cóż sobie życzysz?

- Big Maca - ze wszystkim oprócz sosu.

- A to dlaczego?

- Słyszałam wiele opowieści o tym, co kucharze w restauracjach robią z sosami, ale wierz mi, że nie chciałabym słyszeć tego przed jedzeniem. - Zaśmiała się.

- To zależy. Czy te historie są prawdziwe? - zapytał ostrożnie.

Mrugnęła okiem.

- Zgadnij.

- Jesteś okropna - powiedział. - A co powiesz na biere?

- Na co?

- Na piwo. Podają je tutaj - wyjaśnił. - Chociaż Francuzi nie uznają kawy do posiłków, piwo nie jest wykluczone.

Skrzywiła się.

- Dziękuję, wystarczy cola - odparła. - Już sam Big Mac jest niewybaczalnym grzechem w dzisiejszym dniu.

Uniósł brwi.

- Ty i kompromisy? - zapytał zdziwiony. - Nigdy bym nie podejrzewał!

- Tylko kiedy to konieczne - zapewniła go.

**Jaime** zaczynała czuć potrzebę przywrócenia pewnego dystansu między sobą a Nicholasem. Widziała wyraźnie, że jego zainteresowanie wykraczało daleko poza oficjalną sympatię pracownika ambasady dla amerykańskiej obywatelki. Nie to jednak ją niepokoiło. Znacznie gorsze było to, że ona lubiła go coraz bardziej. Mimo wątpliwości i niechęci zaczynała się do niego przywiązywać. Bardziej niż tego chciała. Zaczęła mu nawet ufać, a zaufanie było czymś, czym obiecała sobie nigdy, przenigdy więcej nikogo nie obdarzyć. Dla kogoś w jej niepewnej sytuacji nikt nie mógł być „poza podejrzaniem”.

Potrzebowała jednak kogoś, komu mogłaby zaufać. Chciała zaufać Nicholasowi Kendallowi.

**Nicholas** w zamyśleniu przyglądał się dokumentom leżącym na jego biurku. Ktoś był bardzo nieostrożny. Czy też może nie? Poczul dziwny niepokój. Mimo że nie wiedział zbyt wiele o wywiadzie, był pewien, że rząd nie toleruje niedbałych idiotów w swoich szeregach. Agenci nigdy nie zostawiliby takich ważnych papierów na wierzchu, tak że każdy mógł je znaleźć i przeczytać. Chyba że nie było to przypadkowe. A jeśli celowo zostawiono je tutaj, na jego biurku?

Według słów Jaime wszystko było możliwe. *Mój narzeczony był jednym z nich. Człowiek, którego kochałam i chciałam poślubić. Sprzedał się im Dlatego tak trudno było się do niej zbliżyć. Podejrzliwość i strach. Zabili go. Kiedy już przestał być im potrzebny, zlikwidowali go.*

Nicholas zastanawiał się, czy to możliwe. Czy Jaime ma rację? Czy rzeczywiście jej ojciec mógł być związany z czymś tak wielkim, że dopuszczano się morderstw, by utrzymać tajemnicę?

*Moja ciotka była na tropie kogoś. Człowieka, który w czasie wojny walczył razem z ojcem. Utonęła w płytkiej wodzie. A pływała świetnie.*

Otworzył teczkę i powoli przejrzał jej zawartość. To nie mieściło się w głowie. Co te papiery robiły w ambasadzie? I do kogo należały? Ktoś popełnił karygodne zaniedbanie.

*Pojechałam do więzienia Leayenworth, Rozmawiałam z zastępcą naczelnika. Bóg jeden wie, co zrobili z prawdziwym naczelnikiem. Nie mieli żadnych dokumentów - wszystko spłonęło w pożarze. I żadnych wyjaśnień, dlaczego, jeżeli tam umarł, nie zostałam powiadomiona o jego śmierci.*

Ojciec, który znika, gdy dziecko ma dziesięć lat. Agent wywiadu, pracujący dla rządu nad czymś tak ważnym, że ktoś posuwa się do zbrodni, by zachować tajemnicę. Zasłona dymna tak dziurawa jak ser szwajcarski. Coś tu nie grało. Nicholas nie był pewien, czy powinien powiedzieć Jaime o znalezionej teczce z dokumentami. A jednak...

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer do George V, prosząc o połączenie z jej pokojem.

- Jesteś systematyczny - powiedziała Jaime, gdy się przedstawił. - Dzwonisz zawsze o tej samej porze, wiesz?

- Nie może być! - Starał się, by jego głos brzmiał beztrąsko. - Co byś więc powiedziała na zmianę obyczajów?

- Co masz na myśli? - zapytała.

- Kolację u mnie. Ja gotuję.

- No, to rzeczywiście zmiana. - Roześmiała się. - Przyniosę wino. - O której mam być?

Chciał powiedzieć „od zachodu do wschodu”, ale zwalczył pokusę.

- Przyjadę po ciebie o wpół do siódmej.

- Nie wygłupiaj się. Mogę wziąć taksówkę.

Jego palce bawiły się dokumentami na biurku.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

- Bez dyskusji - ucięła. - Podaj mi adres.

Podał.

- Do zobaczenia - rzuciła Jaime.
- Na razie.

Powoli odłożył słuchawkę. Nie chciał, by wiedziała, jak niepokozi się o jej bezpieczeństwo, ale czy był na tyle dobrym obrońcą? Jeżeli to, co podejrzewał, było prawdą, jej życie mogło być poważnie zagrożone.

Gdy wychodził po południu z ambasady, miał niejasne wrażenie, że jest śledzony.

# 17

Przejrzałam znowu wszystkie listy, które ojciec wysyłał do mnie przez te wszystkie lata, kiedy byłam w szkole - powiedziała Jaime, idąc wraz z Nicholasem wzdłuż Sekwany. - Pisał do mnie zawsze, bez względu na to gdzie był, nawet jeśli wyjeżdżał tylko na tydzień. W ostateczności wysyłał pocztówkę. - Patrzyła w dal, wypatrując czegoś, co tylko ona mogła widzieć. Zaciśnęła w zamyśleniu wargi. - Ciągłe mi się wydaje, że musi w nich być coś, co mnie naprowadzi na jego ślad.

Zmarszczył brwi, stawiając kołnierz płaszcza, by osłonić się przed ostrym listopadowym wiatrem.

- Jaime, czy jesteś pewna, że rzeczywiście chcesz znać prawdę? - zapytał z wahaniem.

Spojrzała na niego, zdziwiona pytaniem.

- Oczywiście, że chcę. Muszę wiedzieć - odparła z naciskiem.

Wiatr rozwiewał jej długie włosy; w bladym świetle zachodzącego słońca pojedyncze kosmyki mieniły się kolorami od rdzy i czerwieni - poprzez pomarańczowy aż po bladozłoty. Kolory jesieni, jak mawiał jej ojciec.

- Ojca oskarżono o wiele, od malwersacji po zdradę państwa. Muszę go znaleźć albo przynajmniej oczyścić jego imię.

Zawahał się znowu, poruszony cichą rozpaczą w oczach dziewczyny.

- A jeżeli to prawda? Jeżeli był podwójnym agentem albo zdrajcą? Może się okazać, że otwierasz puszkę Pandory.

Jej twarz pokrył ciemny rumieniec gniewu.

- Nie wierzę w to ani przez chwilę - powiedziała gwałtownie. - I nie uwierzę, bez względu na to, co mówią.

Dotknął jej ramienia.

- Wierzysz w niego, bo był twoim ojcem - przekonywał.

- Nie możesz być obiektywna. Nie oczekuję tego od ciebie.

- Nie „był” moim ojcem - odparła. - Jest moim ojcem. Wierzę w to, że wciąż żyje, przynajmniej dopóki nie uzyskam dowodu, że tak nie jest. A wierzę w niego, bo wiem, jakim był człowiekiem.

- Człowiekiem, który opuścił własną córkę bez ostrzeżenia.

Reagując bez zastanowienia, uderzyła go w twarz.

- Nie znałeś mojego ojca, więc nie sądz go, do cholery! - krzyknęła.

Przycisnął rękę do policzka i zamilkł na dłuższą chwilę.

- Przepraszam - powiedział w końcu. - Przypuszczam, że zasłużyłem na to.

- Z całą pewnością, do diabła! - Przechyliła się przez barierkę, nie patrząc na niego.

Myślał przez chwilę, po czym zdecydował się powiedzieć jej o znalezionych dokumentach.

- Znalazłem wczoraj w ambasadzie pewną teczkę - zaczął ostrożnie. - Były w niej notatki ambasadora... to znaczy tego, który był tu, gdy pojawił się twój ojciec.

Teraz na niego spojrzała.

- **I?**

- Są oskarżające, ogólnie mówiąc.

- Oskarżają mojego ojca, to masz na myśli.

Przytaknął.

- I ty w to wierzysz?

- Nie bardzo - odparł. - Nie wyglądają prawdziwie. Mam dziwne wrażenie, że coś tutaj jest nie tak.

Znowu patrzyła na wodę.

- To samo uczucie prześladowuje mnie od dwudziestu lat - powiedziała cicho.

- Wiem.

- Też sądzisz, że to podejrzone?

- Jak wszyscy diabli - odparł ponuro. - To wszystko było zbyt ładne, zbyt łatwe. Ta teczka leżała na moim biurku, czekając, aż ją znajdę. - Przerwał. - Ci ludzie są zawodowcami. Nie robią głupich błędów, a to zdecydowanie kwalifikuje się jako głupi błąd, chyba że zrobiono to umyślnie. Oni sądzą, że wycofasz się z tego, gdy zdążą cię przekonać o zdradzie twojego ojca.

- To bardzo się mylą - odparła Jaime uparcie. - Nie uwierzę w ich kłamstwa i nie zamierzam się poddać.

Przyglądał jej się przez chwilę.

- Czy naprawdę chcesz narażać własne życie, Jaime? - zapytał. - Bo dokładnie to robisz. Sama mi powiedziałaś, że oni mogą zabić, by utrzymać sprawę w tajemnicy. Czy ty nie zdajesz sobie sprawy, że ciebie też zabiją?

- Mogą - przyznała. Jej zielone oczy płonęły gniewem. - Ale jest już za późno, Nicholas.

Spojrzał na nią pytająco.

- To nie ma znaczenia, że ja dzisiaj zrezygnuję. I tak będą mnie pilnować, zastanawiając się, kiedy zacznę znowu. Nie mogę tak żyć. - Patrzyła na rzekę. - Nie mam już odwrotu.

**To** nie było możliwe.

Nigdy nie uwierzy, że ojciec zdradził swój kraj.

Świętym na pewno nie był, zdawała sobie z tego sprawę, ale na pewno nigdy nie sprzedałby swego narodu. Nigdy nie opuściłby jej, jak to ujął Nicholas, gdyby nie musiał. Nie byłby do tego zdolny, o tym była przekonana. Tylko po co ktoś zadał sobie tyle trudu, by podsunąć dokumenty sugerujące, że ona się myli? Dlaczego?

Przy śniadaniu kolejny raz czytała listy od ojca, szukając jakiegoś nazwiska, nazwy miasta, czegokolwiek, co mogło naprowadzić na jego ślad. Po tylu latach treść tych listów, czytanych dziesiątki razy, utkwiała jej w pamięci prawie na stałe, a jednak Jaime wciąż miała nadzieję, że coś umknęło jej uwadze. Czytała więc znowu. Nie znalazła nic. Tato, musiałeś być geniuszem w zacieraniu śladów - pomyślała zirytowana. - Byłeś zbyt dobry, do cholery.

Zajęła się z kolei listami, które ojciec pisał do jej matki na sześć miesięcy przed ślubem. Zawierały więcej szczegółów niż te pisane do dziecka. Jak stwierdziła, były to arcydzieła sztuki w wyrażaniu gorącej miłości. Każdy by uwierzył w prawdziwość jego uczuć, gdyby je przeczytał. Sama bym uwierzyła, gdybym nie wiedziała lepiej - pomyślała. Na kopertach były znaczki z Paryża, Londynu, Amsterdamu, Antwerpii, Rzymu i Moskwy. Zawierały nazwiska ludzi, z którymi przypuszczalnie robił interesy. Jaime wypisała je wszystkie łącznie z miastami, przy których występowały. Chciała sprawdzić wszystko, każdy ślad.

Kwadrans po jedenastej była gotowa się poddać. Umówiła się z Nicholasem na lunch. Gdy niosła stos listów z powrotem do walizki, upuściła jeden z nich na podłogę. Schyliwszy się po niego, zauważyła stempel: Lyon. Otworzyła, wiedziona impulsem. Wewnątrz był krótki list pisany po francusku od człowieka nazwiskiem Armand. Julien Armand. Do listu dołączona była stara, pożółkła fotografia dwóch mężczyzn. Jednym z nich był jej ojciec. Drugiego nie znała w ogóle. Z tyłu widniały dwa nazwiska, ojca i tegoż Armanda, oraz data: 19 czerwca 1947 roku. Julien Armand. Szukała w pamięci jakiegoś wspomnienia, czegokolwiek...

***Chciałabym pojechać z tobą, tato.***

***Miała wtedy osiem lat. Ubrana w różowe spodenki i białą***



*koszulkę, siedziała po turecku na środku jego łóżka, patrząc, jak pakuje walizkę.*

*- Chciałbym bardzo zabrać cię ze sobą, księżniczko, ale podróż służbowa nie jest wycieczką dla małych dziewczynek*

*- odparł*

*Wygięła usta w podkówkę.*

*- A gdybym była chłopcem, zabrałbyś mnie ze sobą?*

*Przerwał pakowanie, zaskoczony jej pytaniem.*

*- Wiesz przecież dobrze - powiedział lekko strofującym tonem.*

*- Większość tatusiów chce, żeby ich synowie robili z nimi razem różne rzeczy - ciągnęła, nie zamierzając porzucić tematu.*

*- Możliwe - odrzekł, biorąc ją na rękę - ale ten tatuś jest bardzo szczęśliwy ze swoją małą rudą córeczką i nie zamieniłby jej na tuzin chłopców. - Zwichrzył jej włosy - Jako chłopiec czy jako dziewczynka, księżniczko, zawsze zdobywaj wszystko, czego zapragniesz. Musisz tylko wierzyć w siebie, rozumiesz?*

*Uśmiechnęła się, salutując żartobliwie.*

*- Rozumiem,*

*Przytuliła się do niego ze śmiechem. Uwielbiała być blisko ojca. Lubiła jego zapach, tak uderzająco inny od jej zapachu, od zapachu matki albo nawet Sadie. Lubiła jego uścisk, o wiele mocniejszy i twardszy niż którejkolwiek z kobiet. Skóra ojca była bardziej szorstka, ale to też jej się podobało. Zarost na jego twarzy, gdy był nie ogolony, łaskotał ją przy całowaniu. Mówiła sobie, że nigdy nie pokocha innego mężczyzny tak, jak kochała ojca*

*- A jednak chciałabym z tobą pojechać - powiedziała ze smutkiem, - Nie chcę, żebyś wyjeżdżał tak często. Tak bardzo za tobą tęsknię.*

*Potrząsnął bezradnie głową.*

*- Nie jesteś przecież sama, masz Sadie - powiedział*

*- To nie to samo - stwierdziła. - A poza tym ty tam jesteś sam. Potrzebujesz kogoś do towarzystwa.*

- *Prawdę mówiąc, księżniczko, prawie nigdy nie jestem sam - przyznał się. - Mam tam przyjaciół. Jak na przykład Julien*

*Zmarszczyła nos z dezaprobatą.*

- *Panią?*

*Roześmiał się tym głębokim, dźwięcznym śmiechem, który znała tak dobrze.*

- *Julien, księżniczko, nie Julia - odparł. - Pan To Francuz. Jesteśmy przyjaciółmi od wielu lat. Na długo przed twoim urodzeniem walczyliśmy razem podczas wojny przeciwko nazistom.*

*Spojrzała na niego pytająco.*

- *Co to są naziści, tato?*

*Roześmiał się.*

- *Naziści - zaczął rozbawiony - to żołnierze, których przywódcą był psychopata, pragnący zawładnąć światem.*

- *Co to jest psy-cho-pa-ta?*

*Zastanawiał się przez chwilę.*

- *Ktoś, kto nie ma poukładane tutaj. - Postukał się w skroń - Kto nie widzi rzeczywistości*

- *Tak jak Tommy? - zapytała Jaime. - On też nie widzi rzeczywistości Kiedy gramy w jakąś grę, on zawsze zmienia reguły.*

*Roześmiał się znowu.*

- *Coś w tym stylu. - Skinął głową. - Tylko że Hitler był o wiele bardziej niebezpieczny, jak sądzę.*

- *Hitler?*

- *Ten człowiek, który przewodził nazistom w czasie wojny - wyjaśnił.*

- *Co to jest wojna?*

*Potrząsnął głową, śmiejąc się cicho.*

- *Wojna - zaczął -jest wtedy, gdy jedna osoba lub państwo chce zawładnąć prawami innego. Na przykład, kiedy Tommy albo Carrie w szkółce jeździeckiej próbują wepchać się przed siebie w skokach - próbował wyjaśnić termin, którego nie mogła pojąć słowami zrozumiałymi dla dziecka.*

Skineęła głową.

- *Rozumiem - powiedziała.*

- *Jestem tego pewien. - Uśmiechnął się z ulgą.*

*Przytuliła się mocno.*

- *Będę za tobą tęskniła, tato.*

*Pocałował ją.*

- *Ja też będę za tobą tęsknił, księżniczko.*

Myślę, że to może być to, Nicholas - powiedziała Jaime przy lunchu, wyjmując kopertę z torebki. - Mój ojciec znał tego człowieka od lat A ściślej od wojny.

Przeczytał dokładnie list po czym obejrzał fotografię.

- Tu ma prawie czterdzieści lat - stwierdził, spojrzawszy na odwrotną stronę. - Ten człowiek może już nie żyje, a jeśli nawet, nie musi mieszkać w Lyonie.

- Równie dobrze jednak może tam być - odparła Jaime z uporem.

Zamyślił się.

- W porządku. Masz tu adres. - Powiedział. - Napisz do niego. Dowiedz się, czy tam jest i czy będzie chciał z tobą porozmawiać.

Potrząsnęła gwałtownie głową.

- To potrwałoby zbyt długo - odparła, biorąc do ręki szklankę. - Pojadę do Lyonu.

Spojrzał na nią zdumiony.

- To może być strata czasu.

- Możliwe. Ale i tak pojadę.

Ponownie przyjrzał się fotografii.

- Dobrze - powiedział wreszcie. - Ale poczekaj do końca tygodnia. Pojadę z tobą.

Potrząsnęła głową.

- Lepiej będzie, jeśli pojadę sama.

- Dlaczego?

Odstawiła szklankę.

- Jeżeli mój ojciec miał jakiś związek ze sprawami objętymi tajemnicą państwową, a najwyraźniej tak jest,

ten człowiek prawdopodobnie nie będzie chciał rozmawiać nawet ze mną. A z pewnością nie będzie szczery w stosunku do dwojga - tłumaczyła.

- To niebezpieczne - argumentował Nicholas. Zauważywszy, że ludzie przy stolikach obok zaczęli im się przyglądać, ściszył głos. - To jest narażanie własnego życia. Sama to powiedziałaś. Oni potrafią posunąć się do morderstwa.

Unikała jego wzroku, rysując paznokciem na serwetce swoje inicjały.

- Czy ty naprawdę sądzisz, że możesz ich powstrzymać, jeśli zdecydują się mnie pozbyć? - zapytała, poruszona jego niepokojem, ale nie chciała mu tego okazać.

- Myślę, że mogłabyś przynajmniej sama nie ryzykować.

W końcu spojrzała mu w oczy.

- Posłuchaj... Dwoje ludzi zginęło przez to, z czym związany był mój ojciec - powiedziała cicho, kontrolując swój głos. - Możliwe, że wystawiam się na linię ich ognia, ale niech mnie diabli wezmą, jeśli pozwolę, by jeszcze jedna niewinna osoba straciła życie z mojego powodu!

- Cholerne bzdury! - syknął Nicholas. - Przestań udawać takiego twardziela, dobrze? Przestań zachowywać się tak, jak gdybyś nie potrzebowała nikogo, i daj mi szansę, bym mógł ci pomóc!

- Myślałam, że właśnie to robisz - powiedziała powoli, biorąc do ręki widelec.

- Wiesz cholernie dobrze, o czym mówię - przerwał jej ostro.

Skinęła głową.

- Wiem, o czym mówisz - przyznała w końcu. - Ale i tak muszę pojechać sama. Chcę pojechać sama.

- Dlaczego, na litość boską?

- Po prostu potrzebuję przez jakiś czas być sama, by móc spokojnie pomyśleć. - Nie chciała mu powiedzieć,

że tak naprawdę to potrzebowała oddalić się trochę od niego, że niepokoili ją jej własne uczucia i że musi poukładać sobie to wszystko w samotności.

- A o czym to musisz tak myśleć?

Wzruszyła ramionami.

- O wielu rzeczach.

Nie wyglądał na przekonanego.

- Wszystko będzie w porządku - zapewniła go.

- Nie mogę się nie martwić - odparł. - Wiesz, że igrasz z ogniem.

Zmarszczyła brwi.

- Wiem.

Nawet na wielu frontach - pomyślała.

### *Waszyngton, D.C.*

W biurze było ciemno. Z wyjątkiem Warnera nie było już nikogo. Siedział przy biurku na swoim krześle z wysokim oparciem i wyczekująco wpatrywał się w telefon. Usłyszawszy dzwonek, podniósł natychmiast słuchawkę.

- Warner - przedstawił się krótko.

- Jedzie do Lyonu - usłyszał. - Wie o Armandzie.

- Czy on wciąż tam mieszka?

- Tak, w tym samym miejscu.

- Może powinieneś z nim porozmawiać pierwszy - zaproponował Warner.

- Nie wiem, czy warto. - Chwila przerwy. - Rozczarował się nami wiele lat temu i stracił kontakt.

- Porozmawiaj z nim, mimo wszystko.

- Postaram się.

- O.K.

Odłożył powoli słuchawkę. Musiał coś zrobić, i to wkrótce.

Podchodziła zbyt blisko.

Chciałbym, żebyś z tego zrezygnowała.

Nicholas opierał się o zderzak wypożyczonego przez Jaime samochodu, obserwując, jak dziewczyna przerzuca zawartość torby, by sprawdzić, czy wszystko zabrała.

- Wiem - odparła cicho. - Ale nie możesz mnie do tego zmusić, więc nie próbuj, proszę.

- Zrobisz coś dla mnie?

- To zależy. - Spojrzała na niego wyczekująco.

- Dzwon do mnie co wieczór, żebym wiedział, że nic ci nie jest.

Zawahała się, po czym skinęła głową.

- Jasne - powiedziała, odgarniając ręką włosy z twarzy. - Myślę, że mogę na to przystać.

- I uważaj na siebie - dodał.

Zmusiła się do uśmiechu.

- Spróbuję.

Odpowiedział uśmiechem.

- To dobrze.

- Spróbuj nie osiwieć za nadto, kiedy mnie tu nie będzie, dobrze? - powiedziała, mrugając okiem. - Nie sądzę, by ci było z tym do twarzy.

- Jeżeli nawet, to ufarbuję je, zanim wrócisz - odparł lekko.

- Dzięki.

- Przez ciebie zestarzeję się przed czasem, wiesz o tym? - zażartował, zatrząskując za nią drzwi samochodu.

- Nie jesteś pierwszym, zapewniam cię. - Wyciągnęła przez okno rękę i dotknęła jego policzka, pozwalając sobie, po raz pierwszy od tego poranka w ambasadzie, na bardziej intymny gest. - Zadzwoń, jak dotrę do Lyonu.

- Dobrze. - Schylił się nagle i pocałował ją delikatnie w policzek. - Będzie mi ciebie brakowało. Rozjaśniłaś monotonię tutejszego życia.

- Brzmi to, jakbym wyjeżdżała na zawsze - odparła śmiejąc się. - Wrócę przecież za parę dni.

- Dobrze by było.

Żadne z nich nie zauważyło, że kiedy Jaime opuszczała Paryż, miała dyskretne towarzystwo.

**Nicholas** zamknął teczkę leżącą na kolanach i przetarł oczy. Kark mu zeszytniał, podobnie jak całe plecy. Spojrzał na zegarek, który dostał od ojca wiele lat temu za uzyskanie dyplomu. Było już dobrze po północy. Odłożył teczkę i wstał, rozprostowując zmęczone ciało.

Jaime wciąż nie dzwoniła i zaczynało go to niepokoić. Powinna przecież dotrzeć do Lyonu już dawno temu. Powtarzał sobie, że nie należało puszczać jej samej, ale w jakiż sposób mógł ją powstrzymać? Nie miał do tego prawa. Nie dała mu takiego prawa i przypuszczalnie nigdy nie da.

Uśmiechnął się do swoich myśli. Odnosił wrażenie, że żaden mężczyzna nie mógł mówić o „prawach” w stosunku do Jaime Lynde. Była panią samej siebie. W całej pełni córka swojego ojca, jeżeli wierzyć temu, co opowiadała o owym tajemniczym Jamesie Victorze Lynde. Musiał to być niepospolity człowiek, jeśli się weźmie pod uwagę tryb jego życia i charakter córki, którą spłodził. Córki, na której Nicholasowi zaczynało coraz bardziej zależeć.

Wziął głęboki oddech i przeczesał palcami włosy. Jeszcze dwa miesiące temu jego życie było ciche, poukładane i - jak przynajmniej stwierdził - zadowolające. Istniały w nim kobiety, nawet jeśli żadna z nich nie była „tą”. Lubił swoją pracę, lubił Paryż, lubił swoje kawalerstwo. I nagle - bez ostrzeżenia, jak tajfun - pojawiła się piękna, porywcza i niesamowicie uparta rudowłosa Amerykanka, która przewróciła jego spokojne, uporządkowane życie do góry nogami, wciągając go w swój tajemniczy i groźny świat, a on nie był pewien, czy chciał być w ten światy wciągnięty. Nagle zwątpił nie tylko w swoją chęć nie wiązania się z nikim przez następane

parę lat, ale i w to, że postąpił słusznie, decydując się na karierę dyplomatyczną.

Z powodu tej dziewczyny, z własnej woli wszedł w to szaleństwo. Stwierdził poza tym, i to zaskoczyło go najbardziej, że niewiele jest rzeczy, jeśli w ogóle takie istnieją, których dla niej nie był gotów zrobić.

Boże, zmiłuj się - pomyślał nagle rozbawiony - czy ja rzeczywiście się zakochałem w tej zwariowanej kobiecie?

**Jaime** była zbyt wyczerpana, by móc się wściekać. Po złapaniu gumi i kłopotach z wymianą kola, a także nawalnicy, którą przeczekała w jakiejś małej wioszczynie, zaczynała się zastanawiać, czy kiedykolwiek w ogóle dotrze do Lyonu.

Jeśli nie wykończą mnie „oni”, to zrobią to żywioły - stwierdziła.

Spojrzała na zegarek. Kwadrans po pierwszej. Uśmiechnęła się do siebie. Nicholas zapewne spaceruje niespokojnie po swoim pokoju, zastanawiając się, czemu nie zadzwoniła. Martwił się o nią. Czasami - a właściwie przez większość jej pobytu w Paryżu - chciała, żeby przestał, ułatwiając jej w ten sposób utrzymanie dystansu między nimi. Nie chcę - myślała uparcie - to tylko skomplikuje sprawę. Wreszcie zdecydowała się znaleźć telefon i dać mu znać, że jest cała i zdrowa, choć jeszcze nie w Lyonie. Zatrzymała się na stacji benzynowej i znalazła automat, który dwa razy wyrzucił jej monetę, a przy trzeciej próbie przerwał połączenie. Kiedy wreszcie dodzwoniła się do Paryża, słuchawka po drugiej stronie została natychmiast podniesiona.

- Słucham? - odezwał się zaniepokojony głos Nicholasa.

- Myślałam, że już śpisz - powiedziała.

- Jaime! - Niemal słyszała westchnienie ulgi. - Jak, do diabła, mam spać, nie wiedząc, co się z tobą dzieje?



- Gdyby coś mi się stało, usłyszałybyś o tym w wiadomościach.

- Wątpię. Ten motłoch, z którym igrasz, nie publikuje swoich triumfów - powiedział z sarkazmem.

- Mów mi o tym - odparła.

- Gdzie jesteś? wszystko w porządku?

- Gdzie jestem, to długa historia, nie mam tyle drobnych - mówiła szybko. - A co do tego, jak się mam, to sama już nie wiem.

- Coś się stało...?

- Tak, ale nie to, co podejrzewasz. Spędziłam uroczy wieczór miotana między matką naturą a moim bezradnym francuskim.

- Aha. - Nie był przekonany.

- Co ci jest? - zapytała.

- Nic - odpowiedział. - Uważaj na siebie, dobrze?

- Obiecuję, że będę bardzo ostrożna - zapewniła. - Zadzwoń do ciebie rano, dobrze?

- O.K - Niechętnie odłożył słuchawkę.

Gdy wracała do samochodu, zauważyła ciemnozielonego Renaulta zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Obserwowała go przez chwilę, pewna, że to ten sam samochód i kierowca, którego widziała, odjeżdżając sprzed restauracji w Ferrieres, gdzie zatrzymała się na lunch. A potem znowu w Auxerre - tam jadła kolację. Była pewna, absolutnie pewna, że to ten sam samochód. I ten sam mężczyzna. Czyżby więc znowu ją śledzili?

Paranoja Nicholasa musi być zaraźliwa - pomyślała, wsiadając do samochodu, zdecydowana nie dać się przstraszyć.

A jednak światła jadącego za nią samochodu sprawiały, że czuła się nieswojo.

# 18

*Lyon, listopad 1985*

**Jaime** szła samotnie wąskimi uliczkami Croix Rousse, które przez lata było najsłynniejszą dzielnicą miasta. Usiłowała wyobrazić sobie, jak wyglądało tu w czasie wojny, kiedy członkowie francuskiego ruchu oporu zwozili Niemców w labiryncie ulic i schodów.

Druga wojna światowa, ruch oporu - myślała Jaime.  
- Czy byłeś tu kiedyś, tato?

Julien Armand mieszkał w pobliżu Croix Rousse w starym budynku o spadzistym dachu, podobnym do innych domów przy Grand Côte. Mieszkał sam, owdowiawszy przed dziesięciu laty. Był wysokim, niezwykle chudym mężczyzną. Wyglądał na jakieś sześćdziesiąt pięć, może osiem lat, z rzednącymi, siwymi włosami i szarą bródką. Choć złagodzone upływem czasu ostre rysy jego twarzy wciąż uwypuklały kanciastą naturę. Miał oczy koloru akwamaryny i badawcze spojrzenie. Mimo piętna, jakie zaznaczyły na nim lata, Jaime rozpoznała go natychmiast jako człowieka z fotografii, którego ojciec zaliczał do przyjaciół. Miała nadzieję, że zbliżył ją do ojca.

- Poznałbym panią, nawet gdybyśmy spotkali się przypadkiem na ulicy, *mademoiselle* - powiedział przy powitaniu. - Jest pani nieodrodną córką Jamesa, tak bardzo go pani przypomina.

Jaime zapadła w głęboki, podniszczony fotel w małym saloniku.

- Dziękuję, *monsieur* Armand - odparła, rozglądając się po pokoju.

Uśmiechnął się ze znużeniem, jakby odgadywał jej myśli.

- Moja rodzina była niegdyś zamożna - wyjaśnił. - Wojna pozostawiła nam niewiele, wszystko poszło na wspieranie ruchu oporu.

Skinęła, lekko zażenowana swoim nietaktem.

- Kiedy pan widział mojego ojca ostatni raz? - zapytała.

Zamyślił się.

- Wiele lat temu, a dlaczego pani pyta?

- Ja nie widziałam go od dwudziestu lat, *monsieur* Armand - odparła cicho.

Opowiedziała mu, jak ojciec wyjechał pewnego dnia, by nigdy więcej nie wrócić. Mówiła o listach, które przez lata ukrywali przed nią Harcourtowie, i o wszystkim, czego się dowiedziała w rezultacie swoich poszukiwań.

- Nie wierzę w nic z tych rzeczy. Nie wiem, komu mogę zaufać - wyznała. - Muszę znaleźć ojca, a przynajmniej dowiedzieć się prawdy o jego losach.

Armand potrząsnął głową, zasępiony.

- Musiał otrzymać bardzo ważną misję - stwierdził.

Spojrzała na niego uważnie.

- Misję?

- Oczywiście. Pani ojciec jest przecież agentem wywiadu, *mademoiselle* - odparł po prostu.

- Więc pan wierzy, że on żyje?

- Jestem tego pewien - powiedział Francuz z przekonaniem. - Pani ojciec w czasie wojny był jednym z najlepszych agentów swojego kraju. Wierzę, że będzie aktywny tak długo jak to możliwe, zwłaszcza teraz, przy takim zamieszaniu i propagandzie antyamerykańskiej na Bliskim Wschodzie.

- Ale skąd może mieć pan pewność, że on żyje? - naciskała Jaime.

- Utrzymywał ze mną kontakty - odparł wymijająco.  
 - Nie mówił, co robi, ani nie podawał żadnych danych, ale był w kontakcie.

- Ale dlaczego... - zaczęła, nie mogąc znaleźć odpowiednich słów.

Uśmiechnął się ze znużeniem.

- Przy, nazwijmy to, trybie pracy pani ojca, zachowanie tajemnicy jest niezwykle ważne - tłumaczył. - Niestety, w każdej organizacji wywiadowczej są przecieki i agenci są wykrywani. Dla ich własnej ochrony potrzebne jest często zaaranżowanie ich „śmierci” czy nawet oskarżenie ich o zdradę...

- W przypadku mojego ojca oba te zarzuty naraz - powiedziała ponuro, oddychając głęboko.

Armand przytaknął.

- Jednorożec prawie zawsze był powiązany z działaniami dotyczącymi bezpieczeństwa państwa.

Spojrzała na niego z zainteresowaniem.

- Jednorożec?

- To pseudonim pani ojca - wyjaśnił. - W czasie wojny wszyscy mieli pseudonimy. Było to konieczne przy przekazywaniu wiadomości. James nazywał się Jednorożec, Jack Forrester - inny Amerykanin, partner pani ojca w wielu akcjach - nosił imię Minotaur. Ja miałem pseudonim Centaur, a Lawrence Kendrick - Anglik z MI6 - Poganin. Byliśmy pośrednikami pomiędzy francuskim ruchem oporu, brytyjskim MI6 i amerykańskim OSS.

- Czy wierzy pan w taką możliwość, że ojciec był winien zdrady państwa? - zapytała.

- W żadnym wypadku - zareagował natychmiast i bez wahania. - Walczyłem z Jamesem Lynde'em podczas wojny. Kiedy dwóch mężczyzn staje twarzą w twarz ze śmiercią w imię tej samej sprawy, poznają swoje dusze do głębi. Pani ojciec i ja przekazywaliśmy informacje, od których zależało powodzenie inwazji w Normandii.

Podczas okupacji ocaliliśmy wiele istnień ludzkich - naziści byli okrutni, bezlitośni. Tu, w Lyonie, *mademoiselle*, wielu nosi do dziś blizny po takich zbrodniarzach jak Klaus Barbie. Łatwo było wtedy załamać się i zdradzić swój kraj dla Trzeciej Rzeszy, ale pani ojciec nigdy nie wybierał prostych wyjść. Był odważnym człowiekiem. Zrobił wiele, by wyrzucić hitlerowców z Francji.

Jaime uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- To, co pan mówi, jest takie inne od tego, co dotąd słyszałam - powiedziała z westchnieniem.

- Jestem tego pewien - potwierdził. - Ale staram się mówić prawdę.

Zamyśliła się na chwilę.

- Czy znał pan człowieka o nazwisku Lewis Baldwin?

- Baldwin? - Usiłował sobie przypomnieć. - Nie, ja nie. Ale znałem ludzi, którzy mieli z nim styczność. Walczył w Prowansji, gdy my byliśmy w Normandii. Ci, którzy go poznali, niewiele o nim wiedzieli.

- Co ma pan na myśli?

- Był bardzo zamknięty w sobie, skryty. Wykonywał swoje zadania, ale nie nawiązywał tu żadnych przyjaźni; nic nie wiązało go z tym miejscem.

- Nie współpracował więc z moim ojcem?

- Nie - zaprzeczył. - Rozumiem, że to dla pani ważne?

Przytaknęła powoli.

- Baldwin przedstawił ojca mojej matce, już po wojnie. Słyszałam, że walczyli razem.

- Nic mi o tym nie wiadomo - dziwił się. - A byłem z Jednorożcem większość czasu.

- To po co to wszystko? - zastanawiała się na głos.

- Chciałbym móc pani powiedzieć, *mademoiselle* - przerwał. - Pani rodzice zostali sobie przedstawieni w określonych celach. Było w tym więcej fałszu, niż można to sobie wyobrazić.

Spojrzała na niego zaniepokojona.

- Dlaczego pan to mówi?

- Tak mi się wyrwało... - Wzruszył ramionami. - Nie powinienem być o tym wspominać.

- Ale wspomniał pan i chciałabym wiedzieć, dlaczego. - Nie zamierzała się poddać.

Westchnął głęboko.

- Pani rodzice nie spotkali się przypadkowo - zaczęli niechętnie. - Zostali sobie przedstawieni, ponieważ ojciec Frances Colby, senator, mógł zapewnić Jamesowi świetną przykrywkę na podróże za granicę. Zdecydowano, że żona jest właściwą częścią tej przykrywki.

Wpatrywała się w niego oszołomiona. Uprzytomniła sobie, że wielka miłość matki do ojca nie była odwzajemniona, ale uwierzyć w to tak łatwo nie mogła...

- Kto panu to powiedział?

- Pani ojciec - odparł cicho, patrząc jej w oczy.

On mówi prawdę - pomyślała Jaime.

- Proszę odszukać Jacka Forrestera. - Głos mu zmartowiał. - Gdy pani go znajdzie, znajdzie pani także i ojca.

W pokoju było ciemno. Jaime leżała na plecach z rękami pod głową. Wciąż nie mogła pogodzić się z tym, co usłyszała od Armanda. Nie wierzyła w to, co jej mówiono - że ojciec był malwersantem, zdrajcą, podwójnym agentem - ale opowiadanie Julienu musiała z bólem uznać za prawdę; ojciec był szpiegiem, znanym jako Jednorożec, człowiekiem, w którego rękach znajdowało się nieraz bezpieczeństwo państwa. Człowiekiem zawierającym związek małżeński nie z miłości, a dla określonej konieczności, dla przykrywki, którą zapewniała mu żona i teść.

Trudno jej było się z tym pogodzić, ale im głębiej analizowała, tym więcej faktów wygrzebanych z pamięci potwierdzało tę okrutną prawdę - częste, długotrwałe nieobecności ojca, spędzającego rzadkie chwile w domu wyłącznie z córką, nie z żoną; matka, tak głęboko nieszczęśliwa z tego powodu, że odebrała sobie życie.

Jaime nie pamiętała żadnej oznaki więzi uczuciowej pomiędzy rodzicami. Nigdy nie widziała, by byli razem szczęśliwi.

Widzę, że znów wyjeżdżasz - zauważyła lodowato Fran, patrząc, jak mąż pakuje walizkę.

- Interesy, Fran - odparł Lynde sucho. - Interesy twojego ojca, mogę dodać. Kto jak kto, ale ty powinnaś była już do tego przywyknąć.

- Przywykłam już do wielu rzeczy - odparła kwaśno, siadając na brzegu łóżka. - Głównie do męża, który stara się jak może, by spędzać czas jak najdalej od domu, a raczej ode mnie.

- Powiedziałem ci już, że to interesy. - Podniósł głos, wkładając koszulę do otwartej walizki

Żadne z nich nie zauważyło wciśniętej w kąt, czteroletniej wówczas Jaime.

- Ciągłe interesy - parsknęła, - Gdyby nie Jaime, nie wracałbyś do domu w ogóle!

- Myślę, że wpadasz w obsesję, Fran. - Był zirytowany. - Rozmawiałaś w tym tygodniu ze swoim terapeutą?

- Znowu zaczynasz, Jim?! - wrzasnęła, - Podobałoby ci się to, prawda? Pozbyć się mnie, żeby przyjmować tu swoje przyjaciółki..

- Przestań, Fran! - wybuchnął, - Jakie przyjaciółki? Gdyby obok mnie pojawiła się jakaś kobieta, to przy tutejszej szybkości rozprzestrzeniania się plotek wiedziałabyś o tym tego samego dnia. Zresztą nie zrobiłbym tego przy Jaime, mimo że czasami mam na to ochotę. Mając za żonę taką zimną rybę jak ty...

- Jaime, ciągle Jaime! - przerwała mu. - Jaime jest dla ciebie wszystkim

Wpatrywał się w nią z niedowierzaniem,

- Czy ty słyszysz samą siebie, Fran? - zapytał wreszcie. - To brzmi tak, jakbyś nienawidziła własnego dziecka!

- A czy nie przyszło ci do głowy, że mogę nienawidzić

*myśli że Jaime jest dla ciebie ważniejsza, niż ja byłam kiedykolwiek?* - odparła.

- *Absurd!*

- *Czy rzeczywiście, Jim? - Wjej głosie był chłód, - Czy naprawdę myślę się, twierdząc, że Jaime jest ci droższa niż ja? Nie sądzę! Wiesz, Jim, czasami się zastanawiam, dlaczego ty mnie w ogóle poślubiłeś?*

Głośne wycie syren przerwało myśli Jaime. Usiadła na łóżku, próbując zlokalizować ich źródło. Musiało to być gdzieś niedaleko. Wstała i podeszła do okna, by przyjrzeć się dokładniej.

W ciemności dostrzegła płomienie, rozświetlające pomarańczowym blaskiem ciemne niebo. Dym wypełniał noc. Ogień trawił jeden z wysokich budynków Grand-Côte, za starą dzielnicą. Serce Jaime zaczęło bić gwałtownie, gdy zrozumiała, co się stało.

Dom Juliena Armanda.

Oni go zabili, Nicholas! - płacząc krzyknęła w słuchawkę, gdy drżącymi palcami wykręciła numer. - Te dranie zamordowały go z zimną krwią, tak jak Kate, Marty'ego i Bóg jeden wie, ilu jeszcze innych!

- Uspokój się, Jaime. - Głos Nicholasa brzmiał kojąco. - Posłuchaj... Myślę, że powinnaś wrócić do Paryża. Natychmiast. Jeszcze dziś. Zostaw samochód. Wsiadaj w samolot i wracaj, będę czekał na lotnisku.

Potrząsnęła głową, zbyt roztrzęsiona, by zdać sobie sprawę, że on jej nie widzi.

- Nie mogę - odparła. - Nie mogę tego teraz zostawić. Ojciec żyje. Teraz wiem to na pewno. Muszę go znaleźć.

- Jeśli pożyjesz jeszcze trochę - stwierdził ponuro. - Powiedz mi, Jaime, czy to jest warte twojego życia?

Wciągnęła głęboko powietrze.

- Wierzę, że tak - powiedziała w końcu.

- A ja wierzę, że zwariowałaś! Mówisz o swoim ojcu



jak o zbawicielu! Czy sądzisz, że gdyby wiedział o tym wszystkim, pozwoliłby ci tak narażać życie?

- Sądzę - zaczęła ostrożnie - że mój ojciec chciałby, żebym robiła wszystko, co uznam za słuszne, bez względu na konsekwencje.

- I co to oznacza w obecnej chwili? - zapytał.

- Oznacza, że jadę do Nicei.

- Nicei?

- Ostatnią informacją, jaką przekazał mi Armand, było: „Znajdź Forrestera, a znajdziesz ojca”. Ten człowiek, Jack Forrester, współpracował z moim ojcem w czasie wojny. Wiele przeszli razem. Był z nimi Lawrence Kendrick, pracujący dla MI 6. Mieszka teraz w Nicei - wyjaśniła.

- A ten Forrester?

- Armand twierdził, że Forrester wyjechał do Szwajcarii. Przypuszcza, że Kendrick będzie znał adres.

- I oczywiście musisz dotrzeć do obydwu...

Znowu nabrała głęboko powietrza.

- Muszę - odparła z uporem. - Kendrick może mi powiedzieć, gdzie znajdę Forrestera, i to, czego nie zdążył powiedzieć mi Julien Armand.

## *Paryż*

**Nicholas** nie był pewien, czego pragnął bardziej - wziąć Jaime w ramiona i zrobić wszystko, by ją ochronić oraz pomóc jej wrócić do rzeczywistości, czy wykreślić ją z życia za to, że jest tak szalona i uparta, że przewróciła do góry nogami jego uporządkowany świat. Z jednej strony doprowadzała go do szału, a z drugiej był coraz bardziej pewny, że ją kocha.

Kochać Jaime! Na samą myśl niemal roześmiał się na głos. Tylko idiota jest zdolny zakochać się w Jaime Lyn-de. Mężczyzna, który się z nią zwiąże, ewidentnie szuka guza - i najprawdopodobniej będzie miał ich więcej, niż mógłby sobie życzyć.

Zdawał sobie sprawę, że to nie jest kobieta dla mężczyzny, który ceni spokój. W tym krótkim czasie zdążyła zburzyć jego życie, podważyć pewność siebie i niemal doprowadzić do rozstroju nerwowego. Fascynowała go umiejętnością trzymania świata na pewien dystans i pasją, z jaką prowadziła swoją prywatną wojnę, pasją, która najwyraźniej była zaraźliwa. Doprowadzała go nieraz do szału. Obawa o nią spędzała mu sen z powiek, ale wszystko, co się z nią wiązało, pobudzało jego uwielbienie. Niewiele znał kobiet - właściwie żadnej - które przeszłyby z własnej woli to wszystko, czego doświadczyła ta dziewczyna w poszukiwaniu ojca, który opuścił ją, gdy była dzieckiem.

Nicholas właściwie nigdy nie definiował swojego „ideału kobiety”, nawet na własny użytek. Wiedział tylko, że rozpozna ją na pewno, gdy na nią trafi. Nigdy nie przypuszczał, że jego „ideałem” stanie się pozbawiony rozsądku rudzielec o gwałtownym charakterze, ze skłonnością do wplątywania się w tarapaty. Prawdę mówiąc, ten typ kobiety nie zajmował czołowego miejsca na jego liście „kategorii dam do wzięcia”. A jednak teraz, gdy poznał ją lepiej...

Boże dopomóż - pomyślał - znalazłem ją.

**Nicholas** niepokoił się o nią. Jaime nie miała co do tego wątpliwości. Właściwie była to jedna z niewielu prawd, co do których w ostatnich dniach nie miała wątpliwości. Przejmował się jej losem bardziej, niż tego chciała. Problem w tym, że nie wiedziała, co sądzić o własnych uczuciach do tego mężczyzny. Zależało jej na nim. Przyznała to sama przed sobą. Zaufała mu, mimo ostrzeżeń wewnętrznych, że nie powinna pozwolić sobie na zaufanie. Z tej ufności wyrosło pragnienie posiadania kogoś, z kim mogłaby się podzielić problemami. Od momentu poznania pociągał ją fizycznie, chociaż uparcie temu przeczyła. Pragnęła go bardziej, niż chciała się

do tego przyznać. Miłość? Nie była przygotowana na miłość, mimo że w głębi duszy uczucie chyba już zaczęło kiełkować. Miłość była luksusem, który odrzuciła po zdradzie Marty'ego. Wszyscy, których kiedykolwiek kochała, opuszczali ją albo zdradzali. Nie zapomniała o tym.

Pograżona w myślach jechała z Lyonu na wschód, wzdłuż Côte d'Azur, w kierunku Nicei. Po drodze zatrzymała się na krótko dwa razy: w Orange i w Aix-en-Provence. Była zmęczona, ale zdecydowana dotrzeć do Nicei. Czekąco ją tam spotkanie z Lawrencem Kendrickiem, a także prawdopodobnie grób na cmentarzu amerykańskim. Rzekomy grób ojca.

Może też czekały tam odpowiedzi na wszystkie wątpliwości dręczące ją od lat

Wokół rozciągał się przepiękny krajobraz; Jaime była pewna, że w innych okolicznościach byłaby nim zachwycona. Teraz jednak pochłaniała ją myśl o ojcu i tym, co robi lub zrobił. Ponownie zadała sobie pytanie, co mogło być aż tak ważne, że kosztowało życie tylu ludzi? Kate, Marty, Armand - ilu jeszcze? Ilu zginęło - czy zginie - by zachować sekret Jednorożca?

W Nicei wybrała hotel Windsor przy rue Dalpazzo, tańszy i mniej ekstrawagancki niż sąsiadujący z nim Négresco. Począwszy od holu, urządzonego w stylu orientalnym, poprzez bar przypominający tradycyjny angielski pub aż po błękitne obramowania basenu, wszystko to tworzyło całość, którą nazywała „księżęcą mieszanką”. W pewnym sensie było to czarujące.

W hotelu spędziła niecałą godzinę. Rozpakowała się i nie marnując czasu wyruszyła na cmentarz amerykański. Znalazła go bez trudu, ale odszukanie grobu okazało się niełatwym zadaniem. Trafiała jednak na kogoś, kto ją tam zaprowadził. Grób znajdował się w południowym krańcu cmentarza, z którego rozciągał się widok na Morze Śródziemne.

Powietrze wypełniał zapach morskiej wody i świeżo ściętej trawy. Było to przepiękne miejsce, zbyt piękne, jak na cmentarz. Stojąc nad grobem zauważyła, że mogiła jest zadbana. Trawnik wokół wielkiego marmurowego nagrobka był nienagannie utrzymany. Kosztowny pomnik, świeże kwiaty; ktoś widocznie zadawał sobie wiele trudu. Zbyt wiele, jak na skromnego zdrajcę - pomyślała, uderzona niekonsekwencją. W jej myślach rodziła się wątpliwość, czy zdrajca mógł w ogóle być pochowany na cmentarzu amerykańskim - nawet jeśli ten cmentarz nie był na amerykańskiej ziemi.

Uklękła, spoglądając w zamyśleniu na nagrobek. Dziwnie było patrzeć i widzieć nań nazwisko ojca, a jednocześnie przypuszczać, że tego człowieka nie było pod pomnikiem. Jeżeli nie on, to kto tam leżał? I kto chciał, by świat uwierzył, że Lynde był nie tylko zdrajcą, ale i martwym zdrajcą?

Gdzie jesteś, tato? - zastanawiała się kolejny raz.

**Dom** państwa Kendrick położony był w części Nicei, zwanej Starym Miastem. Znad morza docierało się tu przez Quai des Etats-Unis, malowniczą wioskę z domkami w pastelowych, spokojnych kolorach. Co krok spotykało się ryneczki kwiatowe, owocowe i warzywne, które wypełniały powietrze aromatem świeżo ściętych róż i owoców cytrusowych, zmieszany z zapachami kawiarenek, pizzerii i barów.

Tego ranka, gdy Jaime zmierzała do domu Kendricka, targ rybny na Place Saint-Francois kipiał życiem. Choć zdecydowanie mniej aromatyczny niż kwiatowy i mniej barwny niż owocowy, targ ten, z mocnym zapachem kiełbi, kałamarnic i ośmiornic, rozkrzyczany głosami sprzedawców, miał swój specyficzny charakter.

Dom, mniejszy, niż się spodziewała, i pomalowany na bladeżółto, miał co najmniej dwieście lat. Powitała ją niewysoka, smągła kobieta około sześćdziesiątki, o po-

ważnym spojrzeniu. Mówiła po angielsku z silnym francuskim akcentem.

- Nazywam się Solange Kendrick, jestem żoną Lawrence'a - powiedziała, gdy usiadły w salonie i Jaime wyjaśniła powód swojej wizyty. - Niestety, nie będzie pani mogła porozmawiać z moim mężem...

Jaime spojrzała na nią zdziwiona.

- Mogę zapytać dlaczego, *madame* Kendrick?

- Mój mąż nie żyje, *mademoiselle*.

Jaime zamarła. Wpatrywała się w Solange z nadzieją, że źle zrozumiała.

- Nie żyje? Ależ...

- Miał wypadek. Dwa tygodnie temu - przerwała jej Francuzka. - Utonął.

- Ale widziałam się parę dni temu z Julienem Armandem - odparła dziewczyna. - Nie wiedział...

- Nie wiedział, ponieważ nie kontaktowałam się z nim - padła cicha odpowiedź. - Nie byłoby to rozsądne, z wielu powodów. Bardzo ważnych powodów.

Czy i do niego dotarli? - zastanawiała się Jaime.

- *Monsieur* Armand także nie żyje - wyszeptwała.

Solange skamieniała.

- Julien? Jak? - wykrztusiła po dłuższej chwili.

- Pożar. Mówią, że to był wypadek, ale... - Jaime wzruszyła bezradnie ramionami.

- Ale nie był to wypadek - skończyła za nią pani Kendrick.

- Dlaczego pani tak mówi?

Kobieta zmieszała się.

- Podsumowałam tylko to, co pani przed chwilą powiedziała - odparła. - Nie powinnam była tego mówić.

- Ale powiedziała pani - nalegała Jaime.

- Proszę, *mademoiselle*, przeżywam naprawdę trudne chwile. Proszę nie komplikować spraw jeszcze bardziej - powiedziała powoli. - Proszę to zostawić. Nie możemy nic więcej zrobić, ani pani, ani ja.

Jaime przyglądała jej się przez chwilę, nie mając zamiaru ustąpić. Zmieniła jednak zdanie. Starsza pani miała rację. Dosyć już przeżyła.

- Bardzo mi przykro - rzekła, podnosząc się z krzesła.
- Dziękuję pani. - Ruszyła do drzwi.
- *Mademoiselle* Lynde, proszę zaczekać! - usłyszała nagle. Odwróciła się.
- Pani ojciec... jak się nazywał?
- Powiedziałam już: James Lynde.
- Nie, nie o to mi chodzi!

Jaime spojrzała na nią zdziwiona. Nagle zrozumiała, czego oczekiwała od niej ta kobieta.

- Jednorozec - odparła powoli. - Pani męża nazywali Poganin.

*Madame* Kendrick skinęła głową.

- Proszę zostać - powiedziała, uśmiechając się po raz pierwszy. - Porozmawiamy.

**Mój** mąż trzymał wszystko tutaj - powiedziała zdyszonym głosem, gdy wspiąwszy się po wąskich schodach, weszły na ciemny, zakurzony strych domu, pełen niemodnych mebli, manekinów krawieckich, skrzyń i pudeł. - Tu właśnie trzymał całą swoją ważną korespondencję.

Wskazała dużą skrzynię w rogu pomieszczenia. Wyciągnęła pęk kluczy o różnych rozmiarach i wybrawszy jeden, otworzyła skrzynię.

- Lawrence przykładał zawsze wielką wagę do ukrywania takich rzeczy przed oczami ciekawskich. Był przekonany, że nikomu nie przyjdzie do głowy zajrzeć tutaj.

- Dużo pani wie o jego „drugim” życiu - zauważyła Jaime, patrząc na stos starych, pożółkłych listów, które Solange wyjęła ze skrzyni i podała jej.

- Wiedziałam, ponieważ byłam częścią tego życia, *mademoiselle* - odparła z godnością kobieta. Wskazała na listy. - Proszę je przejrzeć. Może znajdzie pani jakiś ślad.

- Pani była częścią...? - nawiązała Jaime.

Kobieta skinęła głową.

- Jestem Francuzką i walczyłam za Francję w naszym ruchu oporu. Tam poznałam Lawrence'a. Pobraliśmy się po wojnie. Nasze małżeństwo było bardzo szczęśliwe... do czasu, gdy straciliśmy córkę.

- Mieli państwo córkę?

Kobieta przytaknęła, unikając wzroku Jaime.

- Byłaby teraz w pani wieku, gdyby żyła - odparła cicho. - Ale Lilliane urodziła się z wadą serca, tak powiedzieli lekarze. Żyła trzy dni. Nigdy potem Lawrence nie był już taki sam. Jak gdyby przestał żyć w tej samej chwili co Lilliane.

Jaime nie wiedziała, co powiedzieć, zwróciła więc oczy ku listom trzymanym na kolanach. Mimo że bardzo pragnęła zapytać Solange o wypadek jej męża, nie mogła tego zrobić. Skupiła się na listach, sprawdzając adresy nadawców i pieczętki na znaczkach. Znalazła kilka od Julienu Armanda i kilka od jej ojca, ale wszystkie datowane były przed grudniem 1966 roku.

Po kilku godzinach poszukiwań chciała zrezygnować. Ciągle to samo. Wszędzie, gdzie się zwróciła, napotykała bariery. Oni są naprawdę dobrzy - pomyślała przygnębiona. - Zawsze o krok przede mną.

- Sądzę, że to może być to, czego pani szuka. - Solange podała jej kopertę.

Jaime wpatrywała się w list przez dłuższą chwilę, nie mogąc uwierzyć w szczęśliwy los. Nadawcą był Jack Forrester.

Wysłany był z Brukseli.

### *Beaune*

**Forrester** mieszka w Belgii - powiedziała Jaime Nicholasowi przez telefon. - Żyje i jest wciąż aktywnym agentem.

- Jeśli nawet jest, to czy naprawdę sądzisz, że coś ci powie? - Połączenie było fatalne, ale rozdrażnienie Nicholasa dotarło do niej bardzo wyraźnie.

- A dlaczego miałyby nie powiedzieć? - zacietrzewiła się.

- Jest jednym z nich, zapomniałaś?

- No dobrze, może więc nie zechce ze mną rozmawiać - zgodziła się. - Ale Julien Armand i Solange Kendrick zechcieli, może więc będę miała szczęście i on też się zgodzi. Jest tylko jeden sposób sprawdzenia tego, nie uważasz?

W słuchawce zapanowała chwila ciszy.

- Kiedy wracasz?

- Jutro. Utknęłam w Beaune na noc. Wiatr jest tak cholernie silny, że nie mogę jechać.

- Mistral - stwierdził.

- Nazwałabym to inaczej - odparła. - Do zobaczenia jutro, chyba że mój samochód odleci w nocy.

**Jaime** nie zamierzała właściwie wychodzić wieczorem, zmieniła jednak plany i postanowiła zjeść samotnie kolację w Relais de Saulx przy rue Louis Very, wąskiej uliczce za hotelem Dieu.

Restauracja w pełni zasługiwała na swoją opinię „jednej z najładniejszych w mieście”. Połączenie ciemnego drewna i aksamitu w ciepłych kolorach w zestawieniu z dobrymi obrazami sprawiało rzeczywiście miłe wrażenie.

Siedząc nad pstrągiem w sosie śmietanowym, mocno zaprawionym winem, złapała się na analizowaniu zmian, jakie zaszły w jej życiu od chwili, kiedy postanowiła dowiedzieć się prawdy o ojcu. To rzeczywiście było otwarcie puszki Pandory - pomyślała, przypominając sobie słowa Nicolasa. - Wypuściłam z niej zło całego świata. Życie ojca spowijały nieczyste moce. I życie to stawał ponad własną rodzinę.



## WIEŻY KRWI

Pomyślała o Nicholasie. Bał się o nią. Wiedziała aż za dobrze, że ma ku temu powody. To wszystko było bardziej ryzykowne niż gra w rosyjską ruletkę z pełnym magazynkiem. Gdyby miała choć odrobinę rozsądku, uciekłyby od tego szaleństwa jak najdalej. Ale nie posiadam rozsądku - pomyślała. - Jestem córką swojego ojca.

Gdy wracała do hotelu, walcząc przy każdym kroku z porywami mistralu, miała niejasne odczucia, że jest śledzona. Zanim jeszcze to wszystko się skończy - stwierdziła, wchodząc z ulgą do hotelowego holu - będę kandydatką do pokoju bez klamek.

Już w momencie otwierania drzwi pokoju wiedziała, że coś jest nie w porządku. Było ciemno i nie mogła nic zobaczyć, ale wyczuła to. Gdy zapaliła światło, jej podejrzenia potwierdziły się natychmiast.

Ktoś się tu włamał.

# 19

**Czy** ty sobie zdajesz sprawę, co mogło się zdarzyć, gdybyś weszła tam w chwili, kiedy ten ktoś znajdował się w pokoju? - Nicholas był wściekły i nie próbował tego ukryć. - Mógł cię zabić!

Jechali jego samochodem z dworca do hotelu George V. Gdy zadzwoniła z Beaune z informacją o włamaniu, kazał jej zostawić wypożyczony samochód i wsiąść do najbliższego pociągu zmierzającego do Paryża.

- Nie jestem zupełną idiotką - przyznała. - Wiem bardzo dobrze, co mogło się stać. Nie chcę o tym nawet myśleć, a tym bardziej mówić.

Nicholas nie zamierzał porzucać tematu.

- Jaime, jesteś zawodnikiem trzeciej ligi, grającym przypadkowo w pierwszej - powiedział. - Nie masz szans zwyciężyć.

- To samo mówili Dawidowi, gdy stawał przed Goliatem - odparła ponuro.

Oderwał na chwilę wzrok od jezdni i spojrzał na nią.

- Nie jesteś dzieckiem walczącym ze smokiem przy pomocy pistoletu na wodę - tłumaczył. - Jesteś kobietą walczącą samotnie z czymś większym i o wiele bardziej niebezpiecznym, niż możesz to sobie wyobrazić.

Rzuciła mu ostre spojrzenie, czując narastający gniew.

- A ty możesz?

Odetchnął tak gwałtownie, że usłyszała.

- Tak, do diabła, mogę!

Zamilkła na chwilę.

- Jakie to ma dla ciebie znaczenie? - zapytała w końcu. - Dlaczego tak się przejmujesz, co mi się stanie?

- Ponieważ cię kocham.

Zamarła.

- Co? - Nie była pewna, czy dobrze usłyszała.

Nie oderwał wzroku od jezdni.

- Powiedziałem, że cię kocham - powtórzył cicho.

Odwróciła głowę.

- Wolałabym nie.

- Co nie?

- Żebyś mnie nie kochał.

- Dlaczego?

- Tak byłoby lepiej dla ciebie. Lepiej dla mnie.

Teraz on na nią spojrzał.

- Niezupełnie takiej odpowiedzi oczekiwałem - stwierdził.

- Nie mogę cię kochać - odpowiedziała, trąc palcami skronie. - Jak mogę myśleć o przyszłości, zanim nie zamknę za sobą przeszłości?

- Może gdybyś więcej myślała o przyszłości, przeszłość nie byłaby taka ważna? - Mimo dużego ruchu prowadził samochód niemal automatycznie.

Potrząsnęła gwałtownie głową.

- Nie mogę po prostu udawać, że nic nigdy się nie stało - upierała się.

- Powiedz mi, Jaime, co ty naprawdę do mnie czujesz? Co myślisz o nas?

Patrzyła bezradnie.

- Nie wiem - odparła szczerze. - Zależy mi na tobie. Może nawet bardziej, niżbym chciała.

- Dlaczego bardziej, niżbyś chciała?

- Z kilku powodów. Głównie dlatego, że nie chcę się znowu sparzyć.

Uderzył zdesperowany dłonią w kierownicę.

- Do cholery, Jaime, nie jestem twoim ojcem, nie jestem Martym! - Podniósł głos. - Kocham cię i nie mam zamiaru cię skrzywdzić! - Przerwał, zagryzając mocno wargi. - Chciałbym jedynie, żebyś ty mogła powiedzieć to samo o mnie.

**Nie** poruszali więcej tego tematu. Tego wieczoru przy kolacji oboje byli bardzo milczący, przerywając ciszę jedynie krótką dyskusją na temat „misji odkrywczej”, jak nazwał to Nicholas. Kiedy zegnał się z Jaime w hotelu, był rozdrażniony. Leżała teraz w ciemności, przygnębiona bardziej niż kiedykolwiek, rozerwana między przeszłością a terażniejszością - a najprawdopodobniej również i przyszłością. Pragnęła miłości, potrzebowała jej, a mimo to odpychała ją od siebie, nie chcąc być znowu bezbronna. Nie pozwoli się znowu zranić.

Nicholas jest inny - medytowała. - Ale wtedy myślałam, że Marty też jest inny. Sądziłam, że można mu ufać.

Nicholas nie był taki jak Marty. W niczym go nie przypominał. Od samego początku było jasne, że ją rozumie, że chce pomóc. Wykazywał tak dużo troski o jej bezpieczeństwo. Nigdy nie było między nimi tajemnic, żadnych kłamstw. Największą jego winą była nadopiekuńczość. Jaime nie ułatwiała mu życia. Sobie też nie.

Kochała go na tyle, na ile była do tego zdolna po wszystkim, co przeszła. Głęboko w duszy pragnęła kochać go bardziej, tak jak na to zasługiwał. Gdyby mogła zrobić to, czego od niej oczekiwał, i zamknąć przeszłość za sobą! Nie była jednak do tego zdolna. Dopóki nie dowie się, co i dlaczego stało się z ojcem, nie będzie mogła.

Do tej chwili nie odnajdzie spokoju.

**Obiecuję.** Nie będzie żadnych poważnych rozmów - przyrzekł Nicholas, gdy zadzwonił następnego dnia. - Po

prostu kolacja. To wszystko. Oboje potrzebujemy odprężenia. Zjemy u mnie, dobrze? Ja gotuję.

Roześmiała się z ulgą.

- Myślę, że masz rację. W porządku. Kiedy mam być u ciebie?

- Cały czas.

Zamilkła.

- Obiecałeś - przypomniała z wyrzutem.

- No, dobrze - wycofał się. - Odwołuję to.

- Nie odwołuj - odparła, nie zastanawiając się nad tym, co mówi. - Tylko nie poganiaj. Jeszcze nie.

Milczał przez chwilę.

- Próbuję, ale to niełatwe - przyznał otwarcie. - Co powiesz na siódmą trzydzieści?

- Co siódmą trzydzieści?

- Kolacja - Roześmiał się. - Już zapomniałaś?

- Prawie - potwierdziła. - O wpół do ósmej, świetnie.

- A więc do zobaczenia.

Powoli odwiesiła słuchawkę. Zaczęła się zastanawiać, jak mogłoby wyglądać zwykłe, normalne życie. Być żoną człowieka takiego jak Nicholas Kendall, może nawet mieć dzieci, dom na przedmieściu i wszystko, co się z tym wiąże. Jak wyglądałoby życie wolne od tajemnic, fałszu, pytań bez odpowiedzi? Bez oglądania się przez ramię na podwójne życie ojca? Bez ciągłego zagrożenia? Stwierdziła, że prawdopodobnie nigdy nie pozna takiego życia...

Była w końcu córką Jednorożca.

**Jesteś** naprawdę świetnym kucharzem - powiedziała Jaime, sadowiąc się na kanapie po wspańskiej, iście amerykańskiej kolacji. - Będiesz świetną „żoną”.

Spojrzał na nią pytająco.

- Czy to mają być oświadczyzny?

Zesztywniała.

- Obiecałeś - przypomniawszy.
- To ty zaczęłaś.
- Chciałabym, żebyś mi pomógł znaleźć Forrestera - zmieniła temat. - Muszę do niego dotrzeć. Julien Armand powiedział, że on pomoże mi odnaleźć ojca.
- Jeżeli twój ojciec jeszcze żyje.
- Armand powiedział, że żyje.
- Ale nie widział go od lat. Poza tym Armand mówił też, że Kendrick żyje. To tylko domysły, i to podszyte nadzieją.
- Oni wiedzą takie rzeczy - upierała się.
- Uśmiechnął się.
- Ludzie tylko nazywają ich duchami, ale to nie znaczy, że nimi naprawdę są.
- Ojciec żyje - obstawała przy swoim. - Wiedziałam o tym, zanim Armand mi to powiedział. Czułam to.
- Usiadł obok niej.
- Jaime, wiem, jak musisz się czuć, ale...
- Odwróciła się do niego gwałtownie.
- Pomożesz mi czy nie?
- Równie dobrze mogłabyś mnie prosić o znalezienie lekarstwa na raka - odparł. - Nawet nie wiemy, od czego zacząć! Przecież to szukanie przysłowiowej igły w stogu siana... chociaż nie, znalezienie tej igły byłoby o niebo łatwiejsze!
- On mieszka w Brukseli - powiedziała spokojnie.
- Mieszkał w Brukseli - poprawił ją.
- Ale może wciąż tam jest. Warto sprawdzić.
- Potrząsnęła głową.
- Nawet jeśli jest, to Bruksela jest wielkim miastem. Co mogę zrobić? Sprawdzić tamtejszą książkę telefoniczną pod rozdziałem „Szpiedzy”?
- Nie wygłupiaj się!
- Jaime, to wszystko nie ma sensu. Nawet jeśli znajdziemy tego człowieka - zakładając, że jest wciąż agentem - skąd możesz wiedzieć, czy będzie w ogóle chciał

z tobą rozmawiać, nie mówiąc już o przekazaniu czegoś naprawdę ważnego?

- Jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić - zacięła się w uporze.

- Nawet jeśli będzie chciał mówić, może nie wie-dzieć, gdzie jest twój ojciec, jeśli on w ogóle jeszcze żyje

- nie poddawał się Nicholas.

- Był kolegą mojego ojca.

- Był, to właściwe słowo.

- Jeżeli ktokolwiek będzie wiedział, to na pewno on - stwierdziła.

Jego głos złagodniał.

- Posłuchaj. Rozumiem, co czujesz. Naprawdę. Ale ci ludzie nie patyczkują się, kochanie. Wiesz cholernie dobrze, że jeśli zbliżysz się za bardzo do tego, co starali się ukryć przez wszystkie te lata, zabiją cię.

- Mogą to zrobić - przyznała.

- A jeżeli nie? Załóżmy, że uda ci się odkryć prawdę i przeżyć - tłumaczył. - Co zrobisz, jeśli to wszystko okaże się prawdą? Jeżeli twój ojciec był zdrajcą? Co wtedy?

Jej oczy błysnęły gniewem.

- Nie wierzę w to. Nigdy w to nie uwierzę!

- Wiem o tym - przyznał. - Ale to może być prawda. Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Ale jest szansa, że tak nie jest. Muszę zaryzykować.

- Jesteś potwornie upartą kobietą.

- Mam to we krwi.

- Najwyraźniej.

- Doszłam już tak daleko - zaczęła ostrożnie. - Nie mogę teraz nagle zapomnieć o wszystkim. Gdziekolwiek ojciec jest, cokolwiek zrobił, muszę wiedzieć. Dopóki się nie dowiem, nie odzyskam spokoju.

Patrzył na nią z uwagą. Rozumiał ją. Nie mogła się odwrócić od przeszłości, zostawiając puste miejsce w układance, którą usiłowała ułożyć. Nie potrafiła

wejść w przyszłość - z nim czy z kimś innym, czy nawet sama - dopóki nie zaakceptuje utraty ojca. Trzymał ją w objęciach, gładząc jej włosy.

- Chciałbym ci to ułatwić - szeptał łagodnie. - Gdybym tylko mógł coś zrobić. - Nagle poczuł na szyi jej usta. - Jaime...

Delikatnie pieściła wargami jego ucho.

- Porozmawiamy o tym później - mruknęła, obejmując go ramieniem.

Przez chwilę miał ochotę poddać się pokusie i kochać ją tak, jak tego chciał od samego początku. Wiedział jednak, że robiła to bardziej z wyrachowania niż z prawdziwego pożądanego. Pragnął jej, ale nie w ten sposób. Delikatnie, choć niechętnie, wyswobodził się z jej objęć.

- Wystarczy, Jaime - powiedział cicho, lecz stanowczo.

- Nie chcesz mnie? - zapytała z kokieterijnym uśmiechem.

- Cholernie dobrze wiesz, że chcę - odparł zirytowany, odsuwając się nieco... - Jednak nie chcę, żeby kobieta - nawet ty - szła ze mną do łóżka, ponieważ czegoś ode mnie potrzebuje. Nie bawię się w takie klocki. Nawet z tobą.

Wyprostowała się gwałtownie.

- Cholernie jasno powiedziane!

- Ale to prawda. - Wstał. - Jeszcze dziś po południu prosiłaś, by cię nie poganiać. Powiedziałaś, że potrzebujesz przestrzeni. A teraz nagle chcesz mi wskoczyć do łóżka? Ciekawe dlaczego?

- To, że potrzebuję czasu, nie oznacza, że nie mam innych potrzeb.

- Przestań! - parsknął gniewnie. - Oboje wiemy, czego chcesz. Chcesz, żebym przy pomocy ambasady wytropił tego Forrestera. Powiedziałem ci, że to prawie niemożliwe, do cholery!

Wstała, drżąc z wściekłości.



- Nie owijasz niczego w bawełnę! - powiedziała zimno, podnosząc płaszcz i torebkę z krzesła. - Wielkie dzięki za pokazanie mi, na czym stoje!

- Poczekaj! - krzyknął za nią, gdy ruszyła do drzwi. - Dokąd idziesz?

- Do hotelu, tam, gdzie powinnam była zostać!

Zanim zdążył ją zatrzymać, wyszła, trzasnąwszy drzwiami.

**Tym** razem Jaime była absolutnie pewna, że jest śledzona.

Po wyjściu od Nicholasa usiłowała złapać taksówkę. Ponieważ nie było żadnej w pobliżu, poszła na Champs-Elysees, by wrócić do hotelu autobusem. Zauważyła, że kilka metrów za nią idzie jakiś mężczyzna. Z początku nie zwróciła na to uwagi. Człowiek wsiadł do tego samego autobusu. Zaniepokoiła się lekko, ale mówiła sobie, że to przypadek. Kiedy jednak wysiadł za nią, a potem towarzyszył jej do samego hotelu, była już przekonana.

Poczuła ogromną ulgę, gdy dostrzegła, że nie wszedł do środka. Jadąc sama w windzie, oparła się o ścianę i odetchnęła głęboko. Nicholas miał rację. Zabija ją, jeśli dotrze zbyt blisko. Zabili już Kate, i Marty'ego. Julię Armada. Lawrence'a Kendricka prawdopodobnie również. Dlaczego - zastanawiała się - nie próbowali jeszcze zabić jej?

A może ktoś chciał, by ona doprowadziła go do Jamesa Lynde'a?

**Nicholas** martwił się.

Między ósmą trzydzieści a dziewiątą trzy razy próbował dodzwonić się do Jaime, ale za każdym razem mówiono mu, że nie odbiera telefonów. Czy chciała mu pokazać, jak bardzo była wściekła, i dlatego nie podnosiła słuchawki? A może coś jej się stało? Była taka zagniewana, gdy wychodziła. W normalnych warunkach

nigdy nie wracałaby do hotelu pieszo, zwłaszcza nocą. Ale tego wieczoru... mogła to zrobić. Była na niego rozsierzona. Mogła chcieć „wychodzić” tę wściekłość, wędrując pieszo do hotelu.

- Gdybym miał cię teraz w swoich rękach, Jaime... - Przerwał, zdając sobie nagle sprawę, że mówi głośno do siebie.

Za bardzo się o nią martwił.

Wiedziony impulsem podniósł słuchawkę i wykręcił numer do George V. Kiedy łączono go z jej pokojem, zaczął bębnić niecierpliwie palcami po biurku, słuchając powtarzającego się wolnego sygnału.

- No już, Jaime. Podnieś tę cholerną słuchawkę...

### *Waszyngton, D.C.*

**Wróciła** do Paryża? - zapytał Warner.

- Myślę, że bałagan, jaki zostawiłem w jej pokoju w Beaune, przeraził ją dostatecznie - odparł głos w słuchawce.

- Idiota! - parsknął Warner. - Mówiłem ci, że ona nie ma wiedzieć, że jest śledzona.

- Nic na to nie poradzę. Musiałem to zrobić szybko, w każdej chwili ktoś mógł wejść.

- Nie obchodzą mnie twoje usprawiedliwienia. Miałeś wyraźne instrukcje, tak czy nie?

- Taa... - odparł mężczyzna z ociąganiem. - Miałem rozkazy.

- No więc je wykonuj. I informuj mnie dalej.

**Wbrew** samemu sobie Nicholas zamierzał pomóc Jaime w znalezieniu Jacka Forrestera, a przynajmniej spróbować. Wykorzystując wszystkie możliwe źródła i kanały dyplomatyczne - komputery, kontakty z ambasadą USA w Brukseli, a nawet tak prymitywną metodę,

jak przeszukiwanie belgijskich książek telefonicznych - spędził w swoim biurze całe popołudnie, próbując wytropić tajemniczego Minotaura. W końcu, późnym wieczorem, otrzymał telefon od kogoś z Brukseli.

Amerykański obywatel Jonathan Forbes Forrester mieszkał w Leuven, na wschód od Brukseli. Opis zgadzał się z fotografią, którą Jaime dostała od Solange Kendrick.

Dwa razy podnosił słuchawkę, by zadzwonić do Jaime, po czym zmieniał zdanie. Nie odpowiedziała na żaden z jego telefonów, a przecież z dziesięć razy prosił o wiadomość. Do cholery z nią i jej uporem - pomyślał gniewnie. - I co to da, że zadzwonię? Prawdopodobnie i tak nie odbierze!

Gwałtowny dzwonek telefonu wyrwał go z zamyślenia. Stał wciąż z ręką na słuchawce, więc podniósł ją szybko.

- Kendall - powiedział szorstko.

- Nicholas, tu Jaime... - odezwał się znajomy głos. - Wczoraj wieczorem...

- W porządku - przerwał jej szybko. - Rozumiem.

- Nie, to nie jest w porządku - zaoponowała. - Miałaś rację.

- To nie ma znaczenia. - Miało, ale nigdy by się do tego nie przyznał, nawet przed nią.

- Ktoś mnie śledził wczoraj w nocy.

Nie był pewien, czy dobrze usłyszał.

- Co takiego?

- Ktoś mnie śledził. Od twojego domu, całą drogę aż pod same drzwi. - Przerwała. - Muszę być już bardzo blisko.

Zastanawiał się, czy powiedzieć jej, czego się dowiedział. To mogło tylko pogorszyć sprawę.

- Jesteś pewna? - Próbował zyskać na czasie.

- Mogę przysiąc na Biblię.

Myślał przez chwilę.

NORMA BEISHIR

- Porzuć to szaleństwo, Jaime - poprosił. - Zanim będzie za późno.

- Nie mogę. Wiesz o tym.

Zawahał się.

- Jeżeli wiedziałabyś, gdzie jest ten Forrester, gdybyś mogła z nim porozmawiać i gdyby powiedział ci to, czego chcesz się dowiedzieć, czy dałabyś wreszcie spokój?

Chwila milczenia z drugiej strony.

- Znalazłeś go - zgodła.

# 20

## *Paryż*

Czy ty naprawdę oszalałaś?

- Zadawałeś mi już to pytanie. Znasz więc odpowiedź. Jaime szła przez hol George V z torbą w ręku. Nicholas kroczył z tyłu, niosąc jej walizkę.

- Gdybyś tylko chciała zaczekać do końca tygodnia, pojechalibyśmy z tobą.

Potrząsnęła głową.

- Czekam już dość długo - odparła, mijając drzwi przytrzymywane przez portiera. Zimny listopadowy wiatr rozwiał natychmiast jej włosy. - Każdy kolejny dzień daje im większą szansę na dotarcie do niego przede mną, jeżeli jeszcze tego nie zrobili. Nie zamierzam dawać im więcej forów.

Położył walizkę na tylnym siedzeniu samochodu.

- I tak prawdopodobnie cały czas wiedzą, gdzie jest, jeśli wciąż jest jednym z nich - stwierdził, otwierając jej drzwi po stronie pasażera. - A nawet jeśli dotrzesz do niego pierwsza, oby ci się udało, może nie chcieć z tobą rozmawiać.

- Już o tym mówiliśmy - powiedziała z irytacją, zaszaskując drzwi.

- Zgadza się. - Pchnął drzwiczki, mimo że były już zamknięte, i przeszedł na swoją stronę. - Nie wiem, dlaczego nie mogę się z tym pogodzić - mruknął, siadając za kierownicą.

- Ja też nie wiem.
- Nie chcę się z tobą kłócić, ale...
- To nie rób tego, dobrze? - przerwała mu.

Westchnął ciężko i przekręcił kluczyk w stacyjce.

- W porządku, wiem, że to bezcelowe - przyznał, wyjeżdżając na ulicę. - I tak zrobisz, co zechcesz, bez względu na to, co powiem.

Przytaknęła.

- Masz rację.

- Dobrze więc - poddał się. - Rób, co chcesz. Ale, na litość boską, nie trzymaj mnie tu w niepewności, czy jeszcze w ogóle żyjesz. Możesz przynajmniej dzwonić do mnie co wieczór, że nic ci nie jest?

Skinęła głową, próbując utrzymać powagę. Świadomość, że się o nią niepokoił, sprawiła jej dziwną radość.

- To się da załatwić - powiedziała.

- Dzięki niebiosom za tę łaskę - odparł z lekkim sarkazmem w głosie.

- Jak to sam powiedziałaś, omówiliśmy już wszystko, a ja zawsze nienawidziłam powtórek - stwierdziła. - Kiedy prosiłam cię o pomoc, nie oczekiwałam, że będziesz moim stróżem!

- Czasami mam wrażenie, że potrzebujesz takowego.

- Nie wydaje mi się, żebym prosiła o opinię - odparła szorstko, rozdrażniona jego uwagą.

- Przepraszam więc za cholerną troskę! - Podniósł głos.

- Nie wiedziałem, że taką zbrodnią jest chęć uchronienia kogoś, kogo kocham, od ryzykowania życia!

Opadła z powrotem na fotel.

- Zgodziliśmy się...

- Zgodziłem się nie zmuszać cię do niczego - przerwał jej. - Ale nie zgadzam się przestać cię kochać! Nie potrafię włączać i wyłączać swych uczuć jak światło! - Zatrzymał się gwałtownie na skrzyżowaniu.

Jaime zmarszczyła brwi, ale nie odezwała się. Gdyby tak mogła wyłączyć swoje uczucia.

**Jaime** wrzuciła bagaż do samochodu wypożyczonego na lotnisku Zaventen i zatrzasnęła bagażnik. Wciąż była zła na Nicholasa - i na siebie. Głównie na siebie. Nie miała wątpliwości, że chciał dla niej jak najlepiej. Nie wątpiła też, że ją kocha. Nie... Problem leżał w jego zdecydowanej woli chronienia jej. I w jej zdecydowanej woli nieprzyznawania się do uczuć wobec niego.

Obiecała sobie, że kiedy to wszystko się skończy, gdy odnajdzie ojca albo przynajmniej uzyska informację, co się z nim stało, jej życie się zmieni. Kiedy będzie już mogła odwrócić się plecami do przeszłości, będzie żyła przyszłością. Przyszłością, w której mogą znaleźć się także mąż i dzieci. Chociaż teraz nie była taka pewna, czy kiedykolwiek będzie mogła zapomnieć cały ból i zdradę z przeszłości, a w związku z tym, czy jej życie będzie kiedyś „normalne”. Jakby nie patrzeć, nie miała przecieć „normalnych” rodziców. Ojciec był szpiegiem, człowiekiem tajemniczym jak mityczny jednorożec, od którego wziął pseudonim.

Matka, tak głęboko nieszczęśliwa, nigdy nie była dla niej prawdziwą matką. Nie. Jaime nie miała nigdy normalnego życia. Dlaczego miałyby się zacząć teraz? - pomyślała ponuro.

Z lotniska do hotelu De la Madeleine koło Grand Place nie było daleko, jazda nie trwała dłużej niż dwadzieścia minut. Gdy tylko zameldowała się w hotelu, spełniła obietnicę daną Nicholasowi i zamówiła rozmowę z Paryżem.

- Czy ktoś cię śledził? - zapytał zaraz na początku.

Prawie się roześmiała.

- Nie zauważyłam.

- Nie zwróciłaś na to uwagi?

- Nie miałam na zderzaku naklejki: „Zatrąb, jeśli śledzisz mój samochód” - odparła lekko.

- Jaime, na litość boską...
- Słuchaj, chcesz numer tego hotelu, czy masz ochotę się ze mną kłócić? - Była zirytowana.
- Tak, podaj mi numer. Poczekaj chwilę, wezmę tylko pióro. - W słuchawce zapanowała cisza. - Już jestem.
- Hotel De la Madeleine, numer pięćset trzydzieści siedemdziesiąt trzy, dziewięćdziesiąt dwa.
- Kolejna chwila milczenia po drugiej stronie.
- Myślałem o wszystkim i zamierzam wziąć urlop w ambasadzie - powiedział wreszcie. - Myślę, że powinienem być tam z tobą.
- Jaime odetchnęła głośno.
- Powiedziałam ci, Nicholas, nie potrzebuję niańki... - zaczęła.
- Przestań udawać twardziela, Jaime - przerwał jej.
- Jesteś dzielna, ale do Rambo ci daleko. Nie dasz sobie rady sama, więc nawet nie próbuj. Pozwól, że ktoś ci pomoże. Pozwól mi sobie pomóc.
- Opadła na najbliższe krzesło.
- Czy ty naprawdę chcesz mi pomóc? - zapytała, próbując zapanować nad głosem.
- Wiesz, że tak.
- Nic takiego nie wiem. Zastanawiam się tylko, czy ty przypadkiem nie chcesz wejść mi w drogę, jak wielu innych - przyznała się.
- Do cholery, Jaime! - wybuchnął. - Jesteś tak diabelnie podejrzliwa wobec wszystkich i wszystkiego, że nie potrafisz nawet pojąć faktu, że ktoś może rzeczywiście przejmować się tobą i twoimi cholernymi poszukiwaniami!
- Potrząsnęła głową.
- Dobrze już, dobrze. Nie chciałam tego tak powiedzieć. Po prostu odniosłam wrażenie, że usiłujesz mnie powstrzymać, a ostatnią rzeczą, jakiej bym chciała teraz, jest to, by ktoś wchodził mi w drogę. Jeżeli chcesz znać prawdę, zawsze oglądam się przez ramię. I wiesz co? Zaczynam rozumieć, jak musiał się czuć ojciec.



- Nie bez powodów - odrzekł chmurnie.
- Nie musisz mi o tym mówić.
- Czy wyrzucisz mnie, jeśli przyjadę na weekend?
- Nicholas... - zaczęła.
- Chcę ci pomóc - nalegał. - Co dwie głowy, to nie jedna, nie zapominaj.
- Tylko jeśli współpracują.
- Będę współpracował, jeśli mi pozwolisz.
- Nicholas, to jest moja wojna, nie twoja.
- Teraz już moja, bo mnie w nią wciągnęłaś, skarbie.
- Nie widzę potrzeby, żebyśmy oboje rezygnowali z pracy, kiedy to ja szukam odpowiedzi.
- Nie powiedziałem, że rzucam pracę. Tak czy owak, wpadłem w to razem z tobą.
- Kiedy raz zwiążesz się ze mną i moimi problemami, wyjście z tego przestanie być kwestią wyboru - odparła.
- Za późno - stwierdził. - Już się w to wplątałem.
- Nicholas...
- Zakończyłem dyskusję - przerwał jej stanowczo. - Przyjeżdżam w piątek.

Jaime leżała bezsennie w ciemnościach. Zza okna dolatywał szum i ruch na Grand Place. Ale to nie hałas miasta powodował, że sen nie nadchodził. Jak zwykle przyczyną były myśli o ojcu. Nawet nieobecny - a może właśnie przez tę nieobecność - dominował w każdym momencie jej życia.

**- Dlaczego musisz znowu wyjeżdżać, tato?**

**Jaime miała pięć lat. Siedziała na schodach przed domem w Sound Beach, z brodą wspartą na piąstkach i łokciami opartymi na kolanach. Ojciec stał nad nią z uśmiechem.**

**- Mówiłem ci już, księżniczko - przypomniał jej. - To moja praca.**

**- Tato Tommy'ego też ma pracę - odparła - Pracuje**

*w banku. Ale nie wyjeżdża cały czas. Nie wyjeżdża prawie wcale. Tommy mówi, że jego mama chciałaby, żeby wyjeżdżał bardzo często.*

*Zaśmiał się cicho.*

*- Moja praca jest inna*

*Uniosła ku niemu głowę.*

*- Jaka jest twoja praca, tato?*

*- Jestem pracownikiem banku i zajmuję się wkładaniem pieniędzy w interesy, aby przynosiły zysk.*

*- Tak jak tato Tommy'ego?*

*- Niezupełnie. - Usiadł na schodach obok niej. - Jego ojciec jest bankowcem i pracuje cały czas w tym samym miejscu. Mój bank daje pożyczki ludziom na całym świecie. Dlatego tak często muszę jeździć w różne miejsca*

*- Czy nie może pojechać ktoś inny za ciebie?*

*- Obawiam się, że nie. - Potrząsnął głową z żalem.*

*- Nawet od czasu do czasu?*

*- Nawet czasami. Przynajmniej jeszcze nie teraz...*

**Nigdy** nie mówił jej o swojej „prawdziwej” pracy. Bo jakże wtedy mógł? Zostawił ją bez jednego słowa. Gdy myślała o tym teraz, zastanawiała się, czy kiedykolwiek by jej powiedział.

Czy porzuciłby ją, gdyby miał jakiś wybór.

**Pan** Forrester? Pan Jack Forrester?

- Owszem. - Głęboki męski głos w słuchawce odpowiedział jakby niechętnie, mimo że nie wiedział jeszcze, kim ona jest i czego od niego oczekuje. - Nazywam się Jack Forrester.

- Moje nazwisko Lynde. Jaime Lynde - przedstawiła się. - Wierzę, że znał pan mojego ojca.

- Pani ojca? - w głosie wciąż brzmiała dziwna nuta, której nie potrafiła zinterpretować.

- Jamesa Lynde'a. - Zawahała się. - Jednorożca.

Po drugiej stronie zapanowała długa cisza.

- Nie wiem, o kim pani mówi - odparł w końcu.
- Myślę, że wie pan doskonale - naciskała. - Nie tylko znalazł pan mojego ojca - pracował pan z nim przecież - ale jestem przekonana, iż wie pan, gdzie on teraz jest.
- Blefowała, ale był to jedyny sposób, jaki wymyśliła, by zmusić go do mówienia.
- Jest pani w błędzie - upierał się.
- Nie sądzę.
- Musiała mnie pani z kimś pomylić.
- Proszę przestać - wybuchnęła wreszcie. - Pracował pan z moim ojcem. Pan to wie i ja również. Dlaczego po prostu nie przyzna pan mi racji?
- James Lynde nie żyje! Ja... - Urwał nagle.
- A więc zna go pan jednak!
- W słuchawce znowu zaległa cisza.
- James Lynde był zdrajcą swojego kraju - powiedział powoli. - Gdzie jest obecnie, jeżeli naprawdę żyje, nie mam pojęcia.
- Nie wierzę w to! - Niemal krzyknęła. - I nie wierzę, że pan w to wierzy!
- To już pani sprawa - odparł ostrożnie.
- Wie pan, że on nie był zdrajcą - nalegała.
- A skąd to przekonanie? - zapytał z kamiennym chłodem.
- To proste. Rozmawiałam z Julienem Armandem i wdową po Lawrensie Kendricku - wyjaśniła. - Z pewnością ich pan pamięta: Centaur i Poganin.
- Pamiętam. Ale skąd mam wiedzieć, czy rzeczywiście kontaktowała się pani z nimi?
- Całkiem proste. Wystarczy ich zapytać. - Przerwała, przypominając sobie, że Armand już nie żyje. - To znaczy może pan zapytać panią Kendrick. - Opowiedziała mu o pożarze w Lyonie.
- Nie wiedziałem o tym. - W jego głosie zabrzmiała dziwna nuta.
- Mieszkam w hotelu De la Madeleine w Brukseli,

panie Forrester. Proszę zadzwonić, gdyby pan zmienił zdanie. Zostanę tu przynajmniej do końca tygodnia.

### *Waszyngton, D.C.*

**Jest** w Brukseli - dowiedział się Warner. - Przyjechała wczoraj, mieszka w hotelu De la Madeleine.

- Widziała się już z Forresterem?  
 - Nie. Ale rozmawiała z nim przez telefon.  
 - Do cholery, lepiej bądź u niego pierwszy! - Warner nie panował nad głosem.

- Posłuchaj, Harry. To nie jest łatwa do poskromienia osoba - tłumaczył się mężczyzna po drugiej stronie linii.  
 - Za bardzo jest podobna do ojca! Jest przebiegła i cholernie dobra w zacieraniu śladów!

- Radzę ci więc, do diabła, żebyś dopilnował, by nie dowiedziała się od Forrester'a niczego! - W głosie Warnera zabrzmiała groźba.

- Nie obawiaj się. On wciąż nie jest przekonany, czy to naprawdę jest córka Lynde'a. Odwiedzę go dziś wieczorem, a po tej wizycie nic już jej nie powie.

- Lepiej by było dla ciebie.

### *Paryż*

**Nicholas** rzucił w desperacji pióro i wstał od biurka. Siedział w ambasadzie od rana, ale nie mógł się skupić. Myślał cały czas o Jaime i o tym, co się dzieje w Brukseli. W co mogła się wplątać przy swoich zdolnościach. Do diabła! Nawet kiedy jej tu nie ma, nie mogą się od niej uwolnić.

Od chwili, kiedy ją poznał, wiedział, że wplątana jest w coś, co ją przerasta. Nie miała szans, grając z takim przeciwnikiem, ale nie zamierzała się poddać. Była zdecydowana odnaleźć ojca i im więcej przeszkód napoty-

kała, tym bardziej zacinała się w uporze. Wiedziała, że większość osób, z którymi spotykała się podczas poszukiwań, była przeciwko niej, a jednak nie przestała walczyć o to, w co wierzyła. Podziwiał ją za wytrwałość, chociaż nie ułatwiało mu to życia.

Ze wszystkich kobiet na świecie, w których mogłem się zakochać, musiałem wybrać właśnie Joannę d'Arc - pomyślał zirytowany bardziej na siebie niż na nią. - Ja i ktoś taki! Nikt w domu by w to nie uwierzył.

Zawsze sądził, że pisana mu jest „tradycyjna” żona - jak jego matka, cudowna kobieta - która byłaby dobrą żoną, kochanką, przyjacielem i matką jego dzieci. Ktoś, kto czekałby na niego co wieczór, podróżował z nim, gdy zajdzie potrzeba i... dałby mu dzieci, których zawsze pragnął. Ale taka kobieta bladła przy Jaime, upartej, gwałtownej Jaime, która wtargnęła do ambasady - i do jego życia - nieoczekiwanie jak powódź. Jaime odgrzebuująca stare tajemnice, które przewróciły jej życie - a teraz i jego - do góry nogami.

- Nie mogę uwierzyć. Nick Kendall się objaja? No coś podobnego!

Nicholas drgnął. W drzwiach, cmokając z dezaprobatą, stał Roger Milford, jego bliski przyjaciel i współpracownik w ambasadzie. Szare oczy błysnęły rozbawieniem, gdy Roger przeczesywał palcami swoje ciemne włosy.

- Nie objam się - zaprzeczył Nicholas. - Po prostu nie mogę się dziś skupić.

Przyjaciel uśmiechnął się.

- Czy przypadkiem nie ma to czegoś wspólnego z tą rudą dziewczyną, z którą się ostatnio widzisz?

- To nie to, o czym myślisz - odparł przygnębiony.

- Rozumiem więc, że to nie ona przeszkadza ci spać po nocach - stwierdził Roger z niedowierzaniem w głosie, siadając naprzeciw Nicholasowi.

Byli w tym samym wieku i przybywszy do Paryża niemal jednocześnie, szybko się zaprzyjaźnili.

- Och, więc dobrze, masz rację. To ona nie pozwala mi spać nocami, ale problem w tym, że nie ma jej wtedy przy mnie.

Roger wciąż nie był przekonany.

- Żartujesz, co? - Odchylił się na krześle, zakładając ręce za głowę.

- Niestety, nie. - Nicholas pokręcił głową. - Takie mam szczęście. Po raz pierwszy spotkałem kobietę, której naprawdę pragnę, a ona myśli zupełnie o czym innym.

- O czymże to?

- To długa historia - odparł ponuro. - Nawet nie będę zaczynał.

### *Bruksela*

Jak to, nie może pan ze mną rozmawiać? - Jaime, ubrana w dżinsy i obszerny sweter we wzory, opadła na łóżko w swoim pokoju hotelowym, zaciskając palce na słuchawce. - Nie kontaktował się pan z *madame* Kendrick?

- Owszem, zrobiłem to - przyznał Forrester cicho.

- I potwierdziła panu?

- Powiedziała, że była u niej córka Jamesa Lynde'a. Skąd mam wiedzieć, że pani jest tą samą osobą, albo że jej nie oszukano?

- Ależ...

- Oni, Julien Armand i Kendrick, nie widzieli Lynde'a od wielu lat - mówił. - Nie wiedzieli, że zdradził swój rząd. Nie kwestionowali pani tożsamości, ponieważ nie mieli ku temu powodów.

- A pan ma?

- Panno...

- Wie pan, panie Forrester, pan i pańscy koledzy zadajecie sobie wiele trudu, by chronić zdrajcę - powiedziała powoli. - Zastanawia mnie tylko dlaczego.

- Są ku temu powody.
- Och, nie wątpię, panie Forrester - zgodziła się. - Ale jeśli choć przez chwilę sądzi pan, że uwierzę w to, co od pana usłyszałam, to bardzo się pan myli! - Z trzaskiem odłożyła słuchawkę.

Do diabła z tobą - pomyślała z wściekłością. - Do diabła z wami wszystkimi!

### *Leuven*

Jack Forrester, wysoki, barczysty mężczyzna grubo po sześćdziesiątce, o mocnych rysach i siwych, przereźdzonych włosach, powoli odłożył słuchawkę. Na twarzy miał grymas niezadowolenia.

- No i cóż, uwierzyła panu? - zapytał stojący za nim mężczyzna.

Forrester zaprzeczył, kręcąc głową.

- Ani przez chwilę - odparł, zwracając się ku swemu rozmówcy. - Wierzy głęboko w swojego ojca. Nikt jej nie zmusi, by uwierzyła, że był zdrajcą.

- To bardzo źle... dla niej.

Forrester skinął głową z dezaprobatą na twarzy.

- Czy wciąż chce tu przyjechać?

- Szczerze mówiąc, wątpię - odparł szorstko i mijając mężczyznę wyszedł z pokoju.

Człowiek uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- To dobrze.

### *Bruksela*

Jaime wsiadła do wypożyczonego samochodu i położyła za sobą teczkę zawierającą listy jej ojca, fotografie i jej własne dokumenty: świadectwo urodzenia i paszport.

Nicholas miał rację - pomyślała, wciąż jeszcze zła, włączając silnik i przysłuchując się przez chwilę szumom

wi motoru. - Nie powinnam była w ogóle tu przyjeżdżać. Mogłam się tego spodziewać. Należało oczekiwać, że drzwi zatrzasną mi się przed nosem.

Myślała o tym wszystkim, jadąc w kierunku lotniska Zaventen. Od początku napotykała same przeszkody. Pod jej nogi padały wciąż nowe kłody. Niewielu chciało jej pomóc, wielu udawało, że popiera jej wysiłki, próbując ją zepchnąć z tropu. Na ogół traktowano ją jak trędowatą, za wszelką cenę unikając z nią kontaktu. Dlaczego Forrester miał być inny? - pytała siebie z gorzką ironią.

A jednak Forrester powinien być inny. Pracował z ojcem. Znał go prawdopodobnie lepiej niż ktokolwiek inny. W końcu, gdy ludzie stają twarzą w twarz ze śmiercią, walcząc w imię tej samej sprawy, poznają swoje dusze do głębi. Czy nie tak ujął to Julien Armand? Forrester musiał wiedzieć, że ojciec nie był zdrajcą.

Musiał wiedzieć wiele.

Gwałtownie zjechała na pobocze i zahamowała. Forrester wiedział - to jasne! Pracował z ojcem. Nie tylko go znał, ale wiedział wszystko o jego działalności. Musiał wiedzieć! Możliwe, że znał obecne miejsce pobytu ojca... Niech ją diabli wezmą, jeśli przynajmniej nie spróbuje wyciągnąć z niego tej wiadomości!

Zawróciła i skierowała się na wschód, jadąc Route 3 prowadzącą do Leuven.

### *Leuven*

**Wiem**, że wysoko mierzę - mówiła Jaime do Nicholasa tego samego popołudnia przez telefon - ale nie mogę wyjechać bez próby zmuszenia go przynajmniej do rozmowy ze mną.

- Próbowałam przecież. Nic z tego nie wyszło.
- Muszę spróbować jeszcze raz, osobiście. Ten Forrester pracował z ojcem. Pracowali razem przez lata, tak przynajmniej twierdził Armand.



- Ale on twierdzi, że twój ojciec był zdrajcą - przypomniat jej.

- Kłamał niezbyt przekonująco.

- A nie pomyślałaś, że może niezręcznie mu było mówić ci takie rzeczy o twoim ojcu?

- Nie, nie pomyślałam, i nie sędzę, żeby to było możliwe.

- Przestań, Jaime, bądź rozsądna.

- Muszę z nim porozmawiać - upierała się. - Tak czy inaczej, muszę. Może zmienię jego zdanie. W każdym razie pojedę do niego. Wyjeżdżam zaraz, jak tylko odłożę słuchawkę.

Zamilkł na chwilę.

- Uważaj na siebie - poprosił wiedząc, że obieca mu to, po czym zrobi, co będzie chciała.

- Spróbuję - odparła.

- Poczekaj! - powiedział szybko, zanim odłożyła słuchawkę. - Gdzie ty teraz jesteś?

- Hotel La Royale. Numer dwadzieścia dwa, dwanaście, pięćdziesiąt dwa. Muszę lecieć. Zadzwoń wieczorem, dobrze?

- W porządku. - W jego głosie słychać było wyraźną dezaprobatę. - Do usłyszenia.

- Na razie.

Gdy tylko odwiesiła słuchawkę, zesła na dół i zapytawszy w recepcji o drogę, wsiadła w samochód i ruszyła w stronę domu Jacka Forreстера, położonego piętnaście kilometrów za miastem. Jechała, nie zwracając uwagi na piękno belgijskiego krajobrazu, skupiona na obmyślaniu metody zmuszenia Forreстера do wysłuchania jej i szczerzej rozmowy.

Drogi poza miastem były wąskie i kręte, pełne ostrych, niebezpiecznych zakrętów. Myślałby kto, że budowali je, idąc śladem węża przez te wzgórza - stwierdziła Jaime. Decydując się na ukrycie, Forrester wybrał świetne miejsce.

Zbliżając się do ostrego zakrętu, nacisnęła na hamulec. Kiedy samochód nie zareagował, nacisnęła jeszcze mocniej. Bez skutku. Hamulce nie działały!

Nie dotarło to do niej od razu. Gwałtownie naciskała pedał raz po raz. Serce waliło jej jak młotem, podczas gdy samochód pędził w dół długiego, stromego wzgórza, wciąż nabierając szybkości. Ścisnęła kierownicę, z całej siły starając się opanować i utrzymać pojazd na drodze. Gdy dojechała do stóp wzgórza i weszła w szeroki zakręt poniżej, przycisnęła znowu pedał. Bez rezultatu. Hamulce były bezużyteczne.

Zerknęła na prędkościomierz. Jechała bardzo szybko, a strzałka wciąż posuwała się ku górze. W panice rozejrzała się, szukając miejsca, w którym mogłaby zjechać z drogi i zwolnić, jeśli nie zatrzymać się. Wszystko wokół było rozmazane, obrazy za szybą migały z przerażającą szybkością. Nagle zauważyła mocny drewniany płot z prawej strony. Było to ryzykowne, ale zważywszy sytuację, postanowiła podjąć ryzyko. W ułamku sekundy zdecydowała się. Gwałtownym ruchem skręciła kierownicę, zjeżdżając rozpędzonym autem z drogi. Rzuciło ją w fotelu, gdy z równej powierzchni samochód ześliznął się na wyboiste pole. Kierując się wprost na płot, zamknęła oczy i przygotowała się na zderzenie. Poczuła nagły wstrząs i ogłuszający trzask.

Potem zapadła ciemność.

# 21

Otworzywszy oczy, Jaime rozejrzała się zdziwiona, nie bardzo wiedząc, gdzie się znajduje. Wyglądało to na szpital. Wzrok miała trochę zamglony, ale dostrzegła, że wszystko wokół jest białe. Chociaż jej węch również był przyćmiony, czuła wyraźnie szpitalny zapach. Spróbowała się poruszyć, lecz stwierdziła, że coś ją przytrzymuje. W lewym nadgarstku czuła ostry ból, który wzmagał się przy każdej próbie poruszenia się. Z tyłu głowy waliły jej tysiące młotów, powodując huk. Spróbowała mówić, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Jeszcze raz z wysiłkiem poruszyła ręką; nagły ból przeszył ją ze straszliwą siłą.

Na Boga, gdzie ja jestem? - zastanawiała się zaniepokojona. - Co się stało?

- Jaime?

Głos wydał się znajomy. Tak, oczywiście... Głos Nicholas. Ale gdzie on jest? Głos dochodził z daleka, jak gdyby z drugiego końca długiego tunelu. Próbowała odpowiedzieć, ale wciąż nie wiedziała, gdzie podział się jej głos.

- Jaime? Słyszysz mnie?

Tak... to był Nicholas. Tak, Nicholas, słyszę cię. Dlaczego ty mnie nie słyszysz?

- Jeżeli mnie słyszysz, mrugnij dwa razy.

Mrugam, Nicholas. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Doktorze! Obudziła się! Rozumie mnie!

Oczywiście, że cię rozumiem. To tylko ty mnie nie możesz zrozumieć.

Obraz zaczynał się poprawiać. Rozróżniała już pochylone nad nią twarze. Chciała wyciągnąć rękę, ale nie mogła.

- Czy możesz mówić, Jaime?

A jak myślisz, do diabła? Dlaczego jej usta nie chciały się poruszyć? Dlaczego słowa nie przechodziły przez gardło? Spróbowała jeszcze raz.

- Gdzie... ja... jestem...?

- Próbuje mówić, doktorze!

- Nicholas...

- Jestem tutaj. - Ścisnął jej dłoń, pochylając się niżej.  
- Jestem.

- Dlaczego... Dlaczego nie mogę się ruszać? - Słowa wciąż przychodziły z trudnością.

- Ciężarki - wyjaśnił. - Jesteś zagipsowana i podwieszona. - Dotknął jej twarzy. - Już jest dobrze. Wszystko będzie w porządku.

W porządku? - zastanawiała się. - Jestem obandażowana jak potwór Frankensteina, a ty mi mówisz, że wszystko w porządku?

Przy łóżku stanął drugi mężczyzna. Ubrany był w białe fartuch. Lekarz, niewątpliwie. Tyle zdołała pojąć. Pochylił się nad nią, uważnie zaglądając w oczy. Potem poczuła zimny stetoskop na klatce piersiowej, gdy słuchał bicia jej serca.

- Miała pani dużo szczęścia, *mademoiselle* - odezwał się po francusku.

- Szczęścia?

- Że pani przeżyła - wyjaśnił. - To był paskudny wypadek.

Wypadek? Nagle przypomniała sobie wszystko... Samochód pędzący w dół stromego zbocza... Ostre zakręty... Uderzenie w płot...

Mam szczęście, że żyję - pomyślała.

- Jak długo już tu jestem?

- Cztery dni. - Lekarz znów badał jej oczy. - Większość czasu była pani nieprzytomna.

- Co się stało? - Nie mogła sobie przypomnieć szczegółów.

- Miała pani wypadek samochodowy. Jakimś cudem wyrzuciło panią z auta tuż przed eksplozją.

- Eksplozją?

Skinał głowę.

- Znalazł panią przejeżdżający motocyklista, który zawiadomił władze. - Przerwał na chwilę. - Kiedy panią tu przywieziono, była pani nieprzytomna. Miała pani wstrząs mózgu i, jak przypuszczaliśmy na początku, uszkodzoną czaszkę.

- Cztery dni... - Nie mogła uwierzyć.

Przeniosła wzrok na Nicholasa.

- Byłeś tu cały czas?

- Prawie - odparł, skinąwszy głową. - Kiedy nie zadzwoniłaś, zacząłem się niepokoić. Przyleciałem tutaj i dowiedziałem się, że nie wróciłaś tego dnia do hotelu. Policja pomogła mi cię znaleźć.

- Stracisz pracę - zmartwiła się.

- Nie przejmuj się tym - powiedział pogodnie.

Znowu zwróciła się do lekarza:

- Kiedy mnie wypuścicie?

- Porozmawiamy o tym później, *mademoiselle*.

**Ciężarki** odczepiono następnego ranka. Nicholas był przy tym. Był zresztą cały czas.

- Czy ty w ogóle nie śpisz? - zapytała go Jaime przy śniadaniu, gdy próbował ją karmić szpitalnym jedzeniem pozbawionym zarówno zapachu, jak i smaku.

- Śpię - zapewnił, wpychając w nią łyżeczkę czegoś, czego składu nie rozpoznawała. - Jedz.

Spróbowała, po czym skrzywiła się.

- Czy to jest jakieś niepisane prawo, że szpitalne jedzenie na całym świecie musi być wstrętne?

Uśmiechnął się.

- Jak z tego wyjdiesz, zabiorę cię do najlepszej restauracji w mieście - obiecał. - Na razie jednak jesteś na to skazana. Otwieraj usta!

- Jeśli będę musiała jeść to świństwo, nigdy nie nabiorę sił - wyrzydzała. - Ale jeżeli ci na tym zależy... - Wzięła nieco do ust, łykając bez entuzjazmu.

- Im szybciej odzyskasz siły, tym szybciej będziemy mogli wrócić do Paryża.

- A masz tam do czego wracać? - zapytała sceptycznie, patrząc na niego z uwagą.

- Mam nadzieję, że nie. - Zawahał się. - Złożyłem podanie o rezygnację. Występuję ze służby dyplomatycznej.

- Jesteś pewien, że tego chcesz? - zapytała.

Uśmiechnął się.

- Masz na mnie zły wpływ - odparł. - Patrzyłem, jak gonisz po Europie, ryzykując życie w imię tego, w co wierzysz, i zapytałem siebie, jak mogłem poprzestać na tym, czego chciał ojciec, rezygnując z tego, czego naprawdę pragnąłem w życiu.

- No i?

- I myślę, że przyszedł czas na ruch, o którym kiedyś rozmawialiśmy.

Milczała chwilę.

- Nicholas, myślałam o tym wypadku - powiedziała wreszcie.

- Nie ma sensu wracać teraz...

- To nie był wypadek - przerwała mu.

Spojrzał na nią uważnie.

- Hamulce nie działały. - Oparła się o poduszkę. - Samochód był w porządku, gdy dojechałam do Leuven. Jeszcze gdy wyjeżdżałam z hotelu, działały.

- To skąd wiesz...

- Ktoś musiał podciąć przewody hamulcowe. Do czasu, gdy dojechałam do wzgórza, płyn musiał wycieknąć - stwierdziła.

Gwizdnął cicho.

- Myślę, że jesteś już bardzo blisko tajemnicy. - Nachmurzył się. - Grają o wiele ostrzej.

- Stawki są o wiele wyższe.

**Dokąd** idziesz? - zapytała Jaime zauważywszy, że Nicholas nakłada płaszcz. Prawie zmierzchało, niewiele mógł zdziałać o tej godzinie.

- Spróbuję porozmawiać z tym mechanikiem, który przeglądał twój samochód po wypadku.

- Myślisz, że to coś da?

- Na pewno nie zaszkodzi. - W jego głosie zabrzmiał dziwny ton.

- Zaczynasz mnie zadziwiać.

- Wróć niedługo - obiecał, zapinając guziki.

- Nicholas! - zawołała za nim, gdy ruszył do drzwi.

- Tak?

- Zapytaj ich o moją aktówkę.

- Aktówkę?

- Teczkę, w której miałam wszystkie listy. Nikt nie ma pojęcia, gdzie się podziała.

Zmarszczył brwi. Dlaczego to go nie zdziwiło?

**Niewiele** z tego zostało, jak pan sam widzi, *monsieur* - mówił mechanik do Nicholas.

Stali nad spalonym wrakiem samochodu Jaime w warsztacie w Leuven.

- Jeżeli rzeczywiście ktoś majstrował przy hamulcach, czy mógłby pan to stwierdzić nawet w tych warunkach?

- Tak. To znaczy sądzę, że tak. - Mężczyzna wyglądał na dziwnie zdenerwowanego.

- Nie miałyby pan więc nic przeciwko temu, żebym

przyprowadził eksperta? - zapytał Nicholas, w zamyśle-  
niu przyglądając się wrakowi.

- Ja jestem ekspertem, *monsieur!* - parsknął mecha-  
nik z oburzeniem. - Sprawdziłem ten samochód, czy  
raczej to, co z niego zostało, i nie znalazłem żadnych  
śladów majstrowania ani przy hamulcach, ani przy  
czymkolwiek innym!

Nicholas pokiwał głową powoli i podejrzliwie. Wciąż  
wpatrywał się w samochód. Po chwili odwrócił się do  
mężczyzny.

- Był pan na miejscu wypadku, prawda? - zadał  
ostrożnie pytanie.

- Byłem - odparł mechanik.

- Czy widział pan jakąś teczkę w samochodzie?

- Teczkę?

Nicholas skinął głową.

- Jeżeli nawet była w samochodzie, *monsieur*, naj-  
prawdopodobniej nic z niej nie zostało. - Wzruszył ra-  
mionami. - Ja nie widziałem nic obok samochodu, ale  
może pan zapytać w komisariacie policji.

- Rozmawiałem już z nimi. Dziękuję panu. - Wycho-  
dząc odetchnął głębokko.

**Eksplozja** zniszczyła wszystko.

- Wszystko? - Jaime była poruszona. - Nic nie zosta-  
ło?

- Obawiam się, że nie. - Potrząsnął głową. - Tak mi  
przykro.

Wyglądała tak, jakby się miała za chwilę rozpłakać.

- Całe moje życie było w tej teczce - powiedziała  
głosem niewiele donośniejszym od szeptu. - Listy ojca,  
zdjęcia, świadectwo urodzenia, paszport...

- Paszportem mogę się zająć - zapewnił ją. - Chciał-  
bym, żeby reszta była równie prosta.

Skinęła głową, zagryzając drżącą dolną wargę.

- A co z hamulcami? - zapytała w końcu.



Ponownie potrząsnął głową.

- Twierdzi, że nie znalazł nic, co by wskazywało, iż ktoś grzebał przy hamulcach.

- Kłamie albo po prostu się myli - odparła z irytacją.

- To ja prowadziłam ten samochód i wiem, że hamulce nie działały. Z całą pewnością.

- Nie musisz mnie przekonywać - powiedział. - Ja ci wierzę. Właściwie to od samego początku miałem wrażenie, że coś ukrywa.

- Nie wierzysz mu więc?

- Myślę, że ktoś z nim rozmawiał przede mną.

**Kiedy** ją pan wypuści, doktorze?

- Właściwie mógłbym jutro - odparł lekarz - ale mówiła, że mieszka sama w hotelu w Paryżu. Sądzę, że nie powinna być teraz sama. Wciąż przeżywa szok pourazowy, a to jeszcze trochę potrwa.

- Proszę się o to nie martwić. Nie będzie sama - zapewnił Nicholas. - Zamieszka ze mną.

## *Paryż*

**Nie** kłóć się ze mną - mówił Nicholas, prowadząc Jaime przez mieszkanie do sypialni.

Patrzyła na niego wciąż nieco oszołomiona, gdy odchylił kołdrę i klepnął lekko prześcieradło, wskazując, że ma się położyć.

- Nie sądzą, żeby to był dobry pomysł - protestowała.

- Nie masz wyboru - stwierdził. - Lekarz mówił, że nie możesz być teraz sama. Tylko na tych warunkach zgodził się wypisać cię ze szpitala.

- A ty gdzie będziesz spał?

- Na kanapie.

- Nie mogę na to pozwolić.

- Jest tylko jedno inne wyjście - zasugerował.

- Przestań.

- Wobec tego naprawdę nie masz wyboru. Lekarz kazał - przypomniał.

- Nie potrzebuję opiekunki, do cholery - powiedziała zirytowana.

- A ja nie zamierzam nią być, więc tu jesteśmy zgodni - odparł. - Ale niech mnie diabli wezmą, jeśli pozwolę, żebyś została sama w obecnej sytuacji.

- Nie jesteś moim stróżem.

Przerwał to, co robił, i wyprostował się.

- Wiesz co? Podobałaś mi się o wiele bardziej w szpitalu - powiedział. - Z całą pewnością nie robiłaś tylu trudności.

- Nie byłam zdolna robić żadnych trudności - przyznała.

- Zgadza się. - Uśmiechnął się. - Położysz się wreszcie dobrowolnie czy mam użyć siły?

- No więc dobrze - poddała się. Położyła się na łóżku ubrana i skrzyżowawszy nogi, złożyła ręce na piersi. - Nie wiedziałam, że taki z ciebie tyran.

- A ty jesteś okropną pacjentką, ale nie mogę pozbawić cię swojego towarzystwa. - Schylił się i ściągnął jej buty.

Po raz pierwszy się roześmiała.

- Wciąż próbujesz mnie rozebrać?

Nicholas też się roześmiał.

- Nie możesz mnie winić za to, że wciąż próbuję.

**Byłam** już tak blisko - mówiła do Nicholasa przy kolacji. - Gdybym tylko mogła zobaczyć się z Forresterelem, porozmawiać z nim... Jestem pewna, że byłby w stanie odpowiedzieć na większość moich pytań, jeżeli nie na wszystkie.

- Nie chciał przecież z tobą rozmawiać - przypomniał jej, sięgając po serwetkę. - Dlaczego sądzisz, że miałyby zmienić zdanie?

- Nie wyszłabym stamtąd, zanim by tego nie zrobił - odparła.

- Mogłem się tego spodziewać.

Z okazji Święta Dziękczynienia zjedli razem tradycyjną kolację. Nicholas sam przygotowywał dania, wpuszczając Jaime do kuchni dopiero na sam koniec, gdy nalegała, że zmyje naczynia.

- Jesteś pewien, że chcesz ukrywać znanego wroga rządu? - zapytała, płucząc talerze.

Nicholas wycierał, ustawiając suche naczynia na blacie stołu.

- Czy ty nim właśnie jesteś? - zapytał lekko rozbowiony.

- Jestem celem ostrzału. - Sięgnęła po ściereczkę. - A to jeszcze gorsze.

Zdał sobie nagle sprawę, iż gorsze jest to, że ona ma rację. Naprawdę była celem ostrzału.

Stało się to boleśnie oczywiste już w Leuven.

**Dokąd** wybierasz się tak wcześnie? - zapytała Jaime sennie, wychodząc z sypialni.

Stał już przy drzwiach.

- Muszę jechać do ambasady - odparł. - Zdaje się, że przyjęli moją rezygnację.

- Tak bez pytań?

- Najwyraźniej.

- Jesteś pewien, że tego chcesz, Nicholas?

- Całkowicie.

- Co teraz zrobisz? - Była nieco zmartwiona, czując się odpowiedzialna za tę jego decyzję.

- Kiedyś może wrócę do Stanów.

- A teraz?

Uśmiechnął się.

- Teraz mam co innego do zrobienia.

Z jakiej to okazji świętujemy?

Siedzieli przy kolacji w Tour d'Argent, kiedyś uznawanej za najlepszą restaurację w Paryżu. Mimo że straciła swoją pozycję, wciąż była jedną z najładniejszych,

a jej fantastyczną kuchnię uzupełniał imponujący wystrój wnętrza w stylu Ludwika XIV. Ze swoich miejsc widzieli Notre Dame i statki na Sekwanie.

- Nie wydaje mi się, byśmy specjalnie mieli co świętować. Ty jesteś bez pracy, a ja wciąż nie wiem, co stało się z moim ojcem.

- Może i jestem bez pracy, ale nareszcie czuję się wolny - odparł, krojąc na talerzu kaczkę. - Dawno już powinienem był to zrobić.

- Nikt nie jest naprawdę wolny - zauważyła Jaime filozoficznie. - Wszyscy jesteśmy niewolnikami losu.

- Gdzie podzielaś całą swoją wiarę i ufność? - zapytał, patrząc jej w oczy.

- To był mój spadek po ojcu - odparła.

Jeżeli przedtem Nicholas sądził, że kocha Jaime, to teraz był tego pewien. Żyli razem - czy raczej tylko mieszkali - od miesiąca i im więcej czasu spędzali wspólnie, tym bardziej był przekonany, że zostali dla siebie stworzeni. Wiedział już na pewno, że to jest kobieta, jakiej pragnie.

Oczywiście Jaime bardzo odpowiadał ten stan rzeczy. Nicholas był świadomy tego, że dziewczynie odpowiadają takie układy. Dla niego było to zarówno niebo, jak i piekło - mieć ją tu u siebie, wiedzieć, że śpi w jego łóżku, i jednocześnie nie mieć prawa jej dotknąć.

- Nie wiem, co to są dobre związki między ludźmi - wyznała mu któregoś wieczoru, gdy oglądali razem telewizję. - Nie mam żadnych podstaw do porównań. Wszystkie układy, które napotykam w życiu, były obrzydliwe.

- A twoi rodzice?

- Oni zwłaszcza - odparła z pogardą w głosie. - Zdecydowanie nie byli dobrym przykładem dla swojej jedyńaczki.

- Chcesz o tym pomówić?

Potrząsnęła głową.

- Raczej nie.

Obserwował ją przez chwilę.

- Opowiedz mi jednak o nich - nalegał czując, że Jaime potrzebuje podzielić się z kimś dźwiganym balastem przykrości.

Zawahała się.

- Moi rodzice zaczęli źle od samego początku - powiedziała w końcu. - Ojciec ożenił się z matką tylko dlatego, że potrzebował przykrywkę. Potrzebna mu była praca umożliwiająca wyjazdy za granicę i miła, bierna żona, która nie protestowałaby, gdy będzie spędzał większość czasu poza domem. Jak się okazało, matka pasowała do tej roli idealnie.

- To znaczy?

- Była nie tylko typem kobiety, jakiego szukali, ale na dodatek pochodziła z idealnej rodziny - kontynuowała. - Jej ojciec był senatorem, który wkrótce miał przejść na emeryturę i przejąć po teściu wielką międzynarodową firmę bankowo-inwestycyjną. Firmę, która zapewniała mojemu ojcu swobodne podróże po świecie pod pretekstem załatwiania interesów bankowych. Pikanterii dodawał temu fakt, że matka kochała ojca do szaleństwa. - Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ciasno.

- Ale ciebie ojciec kochał, prawda?

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Nigdy w to nie wątpiłam - powiedziała cicho. - Był jedyną osobą na świecie, która naprawdę darzyła mnie miłością... niestety, nie na tyle głęboką, by powstrzymała go od opuszczenia mnie.

**Nie** jesteś w ogóle podobna do matki, prawda? - zapytał Nicholas później.

Jaime potrząsnęła głową.

- To zakrawa na ironię. Ona zawsze powtarzała, że

odnosi wrażenie, jak gdyby nie miała ze mną nic wspólnego. - W jej głosie dominował żal.

- A jak ty to odczuwasz?

Patrzyła przed siebie.

- Jakbym nigdy nie miała matki.

Zrobili sobie tradycyjne amerykańskie Boże Narodzenie. Któregoś dnia Nicholas przyniósł do domu choinkę, niewysoką, ale śliczną, jak uznała Jaime. Ubrali ją, po czym obsypali prażoną kukurydzą, której połowę Jaime zjadła od razu.

- Niezupełnie to samo co w domu, ale ujdzie - stwierdziła, gdy objawszy się podziwiali swoje dzieło.

Pocałował ją delikatnie.

- Mamy teraz tylko siebie, kochanie.

Jaime spała niespokojnie tej nocy. Śnił jej się ojciec. Stał na drugim końcu długiego, ciemnego tunelu i coś do niej wołał. Biegła przez ciemność, chcąc do niego dotrzeć, ale im szybciej pędziła, tym bardziej odległość się zwiększała, i ojciec, zamiast się zbliżyć, oddalał się od niej. Słyszała jego głos, ale postaci nie widziała. Zawołała. W tunelu pełno było niewidzialnych duchów, które śmiały się z niej głośnym, szyderczym śmiechem... Wręcz szatańskim. Nagle zobaczyła ojca - wisiał na szubienicy. Zgładził go! „Tato, nie!” - krzyknęła.

- Nie!

Poderwała się na łóżku drżąca, z krzykiem zamartwionym na ustach.

- Nie!

Nicholas obudził się gwałtownie, wyrwany z głębokiego snu krzykiem Jaime. Zerwał się z kanapy i ignorując fakt, że był w samej tylko bieliznie, wpadł do sypialni. Prawie runąwszy na łóżko, objął dziewczynę.

- Mój Boże - szepnął, tuląc do siebie jej drżące ciało.  
- Co się stało?

- To było takie straszne - jęknęła. - Takie prawdziwe...

- To tylko sen - tłumaczył łagodnie, gładząc ją po włosach. - To tylko zły sen.

- Nie zostawiaj mnie - szepnęła, przytulając się do niego. - Bądź przy mnie...

Poczuł jej łyzy na swojej twarzy. Była tak blisko... Przez cienką koszulę nocną czuł ciepłe pagórki piersi przyciśnięte do jego ciała. Wchłaniał kojący zapach perfum. Chciał zwałczyć pożądanie, ale jej bliskość pobudziła go. Nie teraz - mówił sobie. Była taka bezbronna... Pragnął jej bardzo, a jednak...

- Bądź ze mną - szepnęła, spojrzawszy w jego oczy. - Kochaj mnie.

Popatrzył na nią.

- Cśś... - powiedział, kładąc jej palec na ustach. - Jesteś jeszcze w szoku. Nie wiesz, co mówisz.

- Wiem dobrze - odparła. - Chcę, żebyśmy się kochali. Potrzebuję tego.

Tłumaczył sobie, że to nie jest właściwa chwila, że Jaime po prostu przeraziła się i potrzebowała jego obecności, że mógł przy niej spać bez seksualnego kontaktu, ale jego pożądanie zwyciężyło w końcu zdrowy rozsądek. Lekko się odchylając, odwrócił jej twarz ku sobie i pocałował mocno, sięgając jednocześnie pod koszulę. Chwytał za pierś i gładził sutek, póki nie poczuł, że twardnieje. Gwałtownym ruchem ściągnął z Jaime koszulę i odrzucił na bok. Na chwilę zaparło mu dech. Była taka piękna, piękniejsza, niż to sobie wyobrażał. Całował ją namiętnie, gładząc jej ciało. Objęła go i przytuliła się mocno, oddając pocałunki z nie mniejszą żarliwością. Kiedy Jaime wyprężyła się, wszedł w nią z gwałtownością i pożądaniem, które tyle czasu czekały na spełnienie. Jego umysł wypełniała tylko jedna myśl:

*NORMA BEISHIR*

nareszcie urzeczywistniło się to, na co czekał i pragnął tak długo. Teraz wiedział, że ona jest jego.

- Kocham cię, zwariowana dziewczyno - szepnął chrapliwie po długiej chwili, tuląc ją do siebie.

- Ja też cię kocham - przyznała się w końcu jemu i sobie.

- Pragnę cię, Jaime, nie tylko teraz i nie tylko dziś.

- Nie mogę ci nic obiecać - odparła powoli.



# 24

**Nicholas** wszedł do łazienki, podśpiewując radośnie. Noc spędzona z Jaime przeszła jego najśmielsze marzenia erotyczne. Pomimo przygnębienia Jaime uprawiała miłość z taką samą pasją, z jaką robiła wszystko inne. Był tego zresztą pewien. Jednak to nie intensywność fizycznych doznań czyniła ich miłość tak niezwykłą, lecz uczucia, jakie budzili w sobie, jak gdyby łączyły ich niewidzialne nici. Nigdy jeszcze nie był zakochany i nie miał pojęcia, że wiąże się to z tak głębokimi przeżyciami. To jest zaraźliwe, kochanie - pomyślał.

Wchodząc pod prysznic, poczuł przyjemne ożywienie, gdy gorąca woda biła w ciało... A może spowodowała to myśl o minionej nocy, kiedy tak bardzo się pragnęli? Powiedziała, że go kocha. Chciał w to uwierzyć, tak **jak** wierzył w swoją miłość do niej. Gotów był się oświadczyć, od razu i bez wstępów. Gdyby tylko ona chciała. Co prawda przyznała, że go kocha, ale wciąż wzbraniała się przed obietnicami. Dlaczego? Dlaczego to wszystko musiało być tak skomplikowane? Nie mógł się z tym pogodzić. Zdał sobie bowiem sprawę, że teraz już nie potrafiłby z niej zrezygnować.

Bez niej nie mógłby oddychać.

**Jaime** leżała w łóżku na wpół odkryta i wpatrywała się w sufit. Miała mieszane uczucia co do minionej nocy.

Nie żałowała niczego, ale nie była pewna, czy powinna była **do** tego dopuścić.

Wiedziała, że Nicholas ją kocha. Bóg świadkiem, że mówił mi to dostatecznie wiele razy - pomyślała. Wiedziała teraz również, że i ona go kocha, ale nie była pewna, czy powinna być z tego powodu szczęśliwa. Miłość uważała za luksus, na który nie mogła sobie pozwolić. Nie teraz, a może i nigdy. Miłość kosztuje wiele i Jaime nie wiedziała, czy ma ochotę zapłacić tę cenę jeszcze raz.

Nie chciała zranić Nicholasa.

Nie chciała również zostać zraniona.

**Pobierzmy się** - zaproponował Nicholas.

- Nie przyspieszajmy tego, dobrze? - stanowczo odparła Jaime, wciągając buty.

Narzuciła na siebie koszulę.

- Ciągłe trwasz przy swojej niezależności? - zapytał, zapinając guziki.

- Wiesz, że nie mogę teraz nic planować - powiedziała.

- Dopóki nie znajdziesz ojca - podsumował, usiłując zwałczyć gorzki ton w głosie.

Przytaknęła, unikając jego wzroku.

- Może popełniasz błąd. - Patrzył w jej twarz. - Jeśli nawet nie był zdrajcą, lepiej by było, gdybyś nie wiedziała, co się z nim stało.

- Nie, nie byłoby - zaprzeczyła. - Spędziłabym resztę życia, zastanawiając się nad prawdą, co niewątpliwie doprowadziłoby mnie do obłądzenia. Jeżeli przynajmniej się dowiem, wszystko jedno czego, uzyskam spokój.

- Jesteś tego pewna?

- To ryzyko, które muszę podjąć.

Przyglądał się jej przez chwilę, zdając sobie sprawę, że nigdy nie dowie się prawdy. Jeżeli pragnął z nią być,

musiał to zaakceptować, a co więcej, dołączyć się do jej poszukiwań.

Tylko wtedy będą mogli kiedyś żyć spokojnie.

9 stycznia 1986 roku w greckim barze w Gryfada, do którego uczęszczali amerykańscy żołnierze, podłożono bombę. Kiedy Jaime przeczytała o tym w paryskiej gazecie, przypomniała sobie, co mówił Julien Armand o jej ojcu, że miał związek ze zwalczaniem terroryzmu. Czyżby Julien miał rację?

A jeżeli tak, to czy ojciec mógł być teraz w Grecji?

### *Waszyngton, D.C.*

**Wyszła** już ze szpitala? - zapytał Harry Warner.

- Wróciła nawet do Paryża - odparł męski głos w słuchawce. - Mieszka z Kendallem.

- Ciekawe - odrzekł Warner w zamyśleniu. - On niedawno zrezygnował z pracy w ambasadzie.

- Zdążył przedtem zadać tam wiele pytań.

- To bardzo niedobrze. A co z Forresterem?

- Był niezadowolony... Ostatnio wyjechał na urlop.

- Nie miał ochoty na ponowną rozmowę z córką Lynde'a?

- Jeżeli nawet miał, to nic nie mówił.

- Dobrze. Informuj mnie nadal.

Jaime stała na Pont Aleksander III, wpatrując się w Sekwanę, jakby dojrzała coś w głębinie. W gruncie rzeczy nie patrzyła jednak na rzekę. Spoglądała w przeszłość.

- *Co to jest jednorożec, tato?*

- *To mityczne zwierzę, taki koń z rogiem na czole - wyjaśnił.*

*Jaime miała wtedy siedem lat, od ósmych urodzin dzieliło*

ją kilka miesięcy. Spędziła z ojcem cały dzień na Manhat-tanie. Zjedli lunch w małej włoskiej restauracji przy Upper East Side, a teraz stali przed oknem wystawowym galerii przy Madison Avenue, podziwiając wielki obraz, przedsta-wiający pięknego białego jednoroźca ze złotym rogiem, oto-czonego światłem księżycy, tęczą i mgłą.

Jaime przyglądała mu się z powagą. Wydawał jej się taki ogromny, niemal jak olbrzym.

- Co to znaczy mityczny?

- Coś jak bajkowy. Coś, w co ludzie wierzą, ale nikt nie potrafi udowodnić, że istnieje naprawdę - odparł

- Tak jak Bóg? - zapytała.

Słumił śmiech.

- Niezupełnie, księżniczko.

- No to jak?

- Bardziej tak jak Myszka Micky.

- To znaczy coś, co nie jest prawdziwe - podsumowała

- Właściwie tak.

- Więc jednoroźca właściwie nie ma?

Uśmiechnął się do niej.

- Nie, chociaż podejrzewam, że niektórzy by się z tym nie zgodzili.

Spojrzała na niego pytająco.

- Niektórzy ludzie w to wierzą - wyjaśnił jej. - Twierdzą, że jednorożec istnieje i ma tajemną moc.

- Jaka to moc?

Wzruszył ramionami

- Zależy od tego, gdzie usłyszysz tę legendę, księżniczko.

- Czy ty wierzysz w jednoroźca, tato?

Popatrzył na nią z uśmiechem i mrugnął okiem.

- Ja? Nigdy.

- A ja wierzę - odparła.

Ja wierzę w jednoroźca - myślała, wciąż wpatru-jąc się w wodę. - Wierzę, że są tajemnicze, nieuchwytne i cenne... Wystarczająco cenne, by dla nich zabijać.

W porządku, wygrałaś.

Jaime podniosła głowę, spoglądając na wchodzącego do pokoju Nicholasa.

- To świetnie - odparła. - Ale co takiego wygrałam?

- Zdecydowałem, że jeżeli nie mogę cię pokonać, to muszę do ciebie dołączyć.

- To znaczy? - Uśmiechnęła się.

- To znaczy... - zaczął - że jeśli tak cholernie się uparłaś, by skoczyć do ognia w poszukiwaniu swego ojca, nie mogę cię powstrzymać.

- Cieszę się, że w końcu to zrozumiałaś - powiedziała, odkładając szcztokę do włosów.

- Daj mi dokończyć - przerwał jej, ściągając krawat.

- Zrobimy wszystko, by go znaleźć.

- My? - Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- To jest niebezpieczna gra, Jaime. Nie zamierzam ci pozwolić grać w pojedynek.

Roześmiała się.

- Nie zauważyłam, żebyś do tej pory mi pozwalał.

- Nie będę z tobą więcej walczył. - Westchnął głęboko.

- Mogę dostać to na piśmie? - zapytała, wciąż rozbawiona.

- Mówię poważnie. - Pochylił się nad nią, z rękami złożonymi na piersi. - Kocham cię, moja droga. Jeżeli ma cię to uszczęśliwić, pomóc zapomnieć o przeszłości i umożliwić myślenie o przyszłości, naszej przyszłości, to odtąd podejmuję ryzyko razem z tobą.

Wstała i podeszła do niego z uśmiechem.

- Może mimo wszystko jesteś wart mojego czasu, Kendall - stwierdziła, obejmując go. - Sądzę, że nadszedł moment, bym wykazała wdzięczność... Wiesz, o czym pomyślałam? - zapytała Jaime.

- Nie mam pojęcia. A o czym?

Nicholas leżał na niej, opierając się łokciami o łóżko, i całował jej szyję.

- O dniu, w którym się spotkaliśmy. Pamiętasz go?  
 - Mmm... Jak mógłbym zapomnieć? - Jego usta przesunęły się niżej.

- Wtedy, u ciebie w biurze, zacząłeś od rozpinania mojej bluzki. Byłam pewna, że jesteś zbrojcem, próbującym mnie rozebrać. - Gładziła jego włosy.

- Myślałem o tym poważnie. - Zaczął pieścić jej piersi.

Drażnił sutek końcem języka, po czym objął go wargami i ssał gwałtownie.

- Jesteś maniakiem seksualnym, Nicholas - szepnęła, przesuwając dłońmi po jego plecach. - Eleganckim, nie dającym tego poznać po sobie, erotycznym maniakiem.

Uniósł głowę i uśmiechnął się leniwie.

- Nie podoba ci się to?

- Tego powiedzieć nie mogę. - Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała. - Wielu moich wielbicieli jest maniakami seksualnymi.

- O! - Uniósł brew. - A iluż to znasz osobiście?

- Kilku - przekomarzała się. - Właściwie straciłam rachubę.

- Nie dziwię się. - Przycisnął ją swym ciałem, okazując pożądanie. - Zawsze sądziłem, że bierzesz sobie za dużo na głowę.

- Przestań, Nicholas, jestem tylko człowiekiem - zaśmiała się, obejmując go.

Pocałował ją w ramię.

- Były chwile, że w to wątpiłem.

Przeczesała palcami jego włosy.

- Teraz też w to wątpisz?

- Teraz? - Pieścił jej piersi. - Ani trochę. Nawet zbyt dobrze wiem, jak bardzo jesteś ludzka.

Wsunęła dłoń pomiędzy ich ciała. Pod dotykiem jej palców drżał z podniecenia. W końcu, nie mogąc dłużej czekać, odepchnął jej dłoń. Jaime wygięła się w łuk; kiedy wszedł w nią głębokim pchnięciem, poruszając

**powoli** biodrami. Obsypywał ją krótkimi pocałunkami, biorąc ją coraz gwałtowniej. Obejmowała go mocno, chcąc zachować ten moment - siłę jego ruchów, gładkość skóry na mięśniach pleców, mocny, męski zapach. Jednak najbardziej ze wszystkiego chciała zachować w pamięci miłość, którą widziała w jego oczach.

Kochała go. Chciała go kochać i pragnęła jego miłości. Pragnęła tego wszystkiego, czego nigdy nie zaznała: miłości, zaufania, bezpieczeństwa. I nie tylko tego. Pragnęła przeżywać wszystko z tym mężczyzną.

Gdyby tylko mogła odwrócić się od przeszłości.

**Kiedy** Jaime obudziła się rano, Nicholasa już nie było. Na lustrze w łazience znalazła kartkę:

PRZYSZŁO MI DO GŁOWY COŚ, CO WARTO SPRAWDZIĆ.

WRACAM, JAK TYLKO BĘDĘ MÓGL. ZADZWONIĘ, JEŚLI TO POTRWA DŁUŻEJ. KOCHAM CIĘ, NICHOLAS.

Uśmiechnęła się do siebie. Mówił więc serio wczoraj wieczorem. Ilu ludzi w ciągu tych dwudziestu dziewięciu lat obiecywało jej różne rzeczy, by w końcu ją zdradzić? Nareszcie - pomyślała - nie jestem sama.

Dzwonek do drzwi przerwał jej myśli. Zerknęła na zegarek przy łóżku. Kwadrans po dziesiątej. To musiał być ktoś z pralni, dostarczali czystą bieliznę dwa razy w tygodniu. Zarzuciła szlafrok i podeszła do drzwi.

- Trochę wcześniej - powiedziała, otwierając je. - Pan... Pan nie jest z pralni.

Mężczyzna stojący w drzwiach zdecydowanie nie był gońcem z pralni. Wysoki, dobrze ubrany, o opalonej twarzy i siwych włosach, wyglądał na niewiele ponad sześćdziesiąt lat. Było w nim coś znajomego, chociaż Jaime była pewna, że nigdy go jeszcze nie widziała.

- Naprawdę jest pani do niego podobna - zauważył.
- Nie można się pomylić.
- Do kogo? O czym pan mówi? - zapytała nieco zmieszana i wciąż jeszcze nie do końca rozbudzona. - Czy ja pana znam?
- Nie bezpośrednio - odparł ze zmęczonym uśmiechem. - Nazywam się Forrester. Jack Forrester.



# 23

**Pani** ojciec zawsze idealnie nadawał się do takiego życia. Miał awanturniczą duszę - opowiadał Forrester. - Jeszcze w czasie wojny, gdy pracowaliśmy w OSS, nie było rzeczy, której by nie dokonał. Pewnego razu przekazywał naszym ludziom w Anglii informacje przez radio tuż pod nosem gestapo. Siedział w wielkiej beczce na wino razem z nadajnikiem, a ja ciągnąłem wózek z tym wszystkim po ulicach Le Havre. Innym razem, włożywszy niemiecki mundur generalski, dostał się prosto do kwatery gestapo w Paryżu. - Przerwał. - Po wojnie nie mógł się pogodzić ze spokojnym życiem. Brakowało mu wyzwania, ryzyka.

- Więc do tego wrócił - domyśliła się Jaime, nalewając gościowi kawę do filiżanki.

Skinął głową.

- Nikt nie był bardziej podniecony niż pani ojciec, gdy powołano ponownie do życia agencję wywiadu - ciągnął. - Podczas zimnej wojny jeździł regularnie do Związku Radzieckiego, pod pretekstem interesów bankowych, oczywiście.

- Oczywiście. - W głosie Jaime brzmiał smutek.

- W roku 1961, gdy zaczęły narastać problemy na Kubie, James został wysłany do Hawany, by wykryć, co kombinuje Castro z tymi pociskami, które wysyłali tam Rosjanie.

- A teraz?!

Spojrzał na nią z uwagą, ale odpowiedział.

- Pani ojciec jest specjalistą w dziedzinie zwalczania terroryzmu.

- Co to oznacza bliżej?

- Przez pewien czas związany był ze szkoleniem oddziałów amerykańskiej Delta Force i brytyjskiej SAS - odparł Forrester, popijając kawę. - Obecnie pracuje jako podwójny agent w obozie szkoleniowym terrorystów w Libii.

- W Libii. - Zamarła w bezruchu.

Przytaknęła.

- Jest tam już od dłuższego czasu.

- Po co więc te wszystkie kłamstwa? - spytała. - Dlaczego czegoś powiedział mi pan, że był zdrajcą? Dlaczego miałam uwierzyć, że zdradził swój kraj?

- Było to niezbędne, by zapewnić mu bezpieczeństwo.

Ojciec jest w Libii - przyznała się Nicholasowi, gdy leżeli w łóżku. - Wysłano go tam w 1969 roku, gdy CIA popierała dążenia Kadafiego do zrzucenia z tronu króla Idrisa. Musieli z niego zrobić zdrajcę, żeby został zaakceptowany w Libii jako „swój”.

Nicholas odetchnął z ulgą.

- Więc już wiesz - powiedział, trzymając ją blisko siebie. - Twój ojciec żyje, tak jak to zawsze przeczuwałaś. Nie był zdrajcą ani malwersantem. - Pocałował ją. - Czy teraz moglibyśmy porzucić to szaleństwo i zająć się naszym własnym życiem?

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Niezupełnie.

- Ależ otrzymałaś odpowiedź na twoje pytanie - stwierdził obawiając się, że domyśla się, do czego Jaime zmierza. - Wiesz, że nie zrobił żadnej z tych rzeczy, o które go oskarżano, ale nie możesz tego, do cholery, nikomu powiedzieć. Cóż więc zostało?

- Muszę go zobaczyć.
- On jest w Libii, Jaime. Oni tam zjadają Amerykanów na surowo, pamiętasz o tym?
- Muszę się z nim zobaczyć.
- Rozpaczliwie uderzył dłonią w czoło.
- Chryste! Ty chyba nie mówisz poważnie!
- Jak najbardziej.
- Nie możesz pojechać do Libii, by tam szukać ojca
- tłumaczył. - Zwłaszcza w obecnej sytuacji.
- Do cholery, muszę!

Nawet w ciemności dostrzegł znajomy błysk determinacji w jej zielonych oczach. Pojął, że nic jej nie odwiedzie od zamiaru wyjazdu do Libii w poszukiwaniu ojca.

Wiedział również, że z całą pewnością nie puści jej samej.

### *Waszyngton, D.C.*

Gdy zadzwonił telefon, Harry Warner jadł śniadanie w swoim domu w Georgetown. Słuchawkę podniosła jego żona, Myrna, i po paru zdawkowych słowach przekazała ją mężowi, dyskretnie wycofując się z pokoju.

- Halo? - powiedział.
  - To ja.
  - Do diabła, mówiłem ci, żebyś nigdy nie dzwonił do domu! - zdenerwował się.
  - To ważne.
  - Co jest ważne?
  - Forrester nas wykiwał.
  - Co?! - Niemal zerwał się z krzesła.
  - Siedzi teraz u córki Lynde'a.
  - Mówi jej coś?
  - Ajak myślisz? - Mężczyzna przerwał na chwilę. - Cholernie dobrze zrobiłem, umieszczając tam te nadajniki.
- Warner zacisnął nerwowo szczękę.

- Masz siedzieć bez przerwy na nasłuchu.
  - A myślisz, że co innego robię?
- Pominał uwagę milczeniem.
- Nie spuszczaaj z nich oka.
  - Co mam zrobić z Forresterem?
  - Nie martw się. Zajmę się nim.
  - Myślisz, że Jaime Lynde będzie na tyle głupia, by pojechać do Libii?
  - Sądzę, że będzie próbowała.

W sześćdziesiątym dziewiątym roku CIA wspierało Kadafiego w jego dążeniu do usunięcia króla Idrisa I, który był już stary, schorowany i przypuszczalnie nastawiony antyamerykańsko - wyjaśnił Forrester. - Kadafi miał wtedy dwadzieścia siedem lat i około sześćdziesięciu oficerów libijskiego korpusu łączności za sobą. Żaden z nich nie przekroczył trzydziestego roku życia. Z pomocą Stanów zajęli Trypolis i Bengazi, wtargnęli do pałacu, przechwycili strażę, transport i łączność. Dzięki CIA Kadafi zdołał również zwerbować w swoje szeregi jakieś siedem tysięcy żołnierzy.

- I mój ojciec przyczynił się do wzrostu jego potęgi - stwierdziła Jaime w zamyśleniu.

Forrester zawahał się, po czym przytaknął.

- Tak, zgadza się. Miał, co prawda, od samego początku obiekcje co do osoby Kadafiego, ale wykonywał swoje zadania.

- A teraz jest tam, by zmniejszyć tę potęgę. - Jaime skubała rękaw swetra w brzoskwinowym kolorze, siedząc wyprostowana na krześle. Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć, podobnie jak głos.

- Opuścił Trypolis krótko po tym, jak ludzie Kadafiego stłumili próbę kontrrewolucji. Był w Syrii przez jakiś czas - mówił Forrester dalej. - Badaliśmy tam sytuację w aspekcie terroryzmu. To był początek pracy Jamesa w szeregach antyterrorystycznych.

- Dlaczego nigdy nie wrócił do domu? - zapytała Jaime. - Dlaczego przynajmniej nie próbował się ze mną skontaktować?

- Nie mógł. To byłoby niebezpieczne, i dla pani, i dla niego. Proszę pamiętać, że miał być zdrajcą, człowiekiem, który nigdy nie mógł wrócić do domu. Gdyby został wykryty, skończyłoby się to fatalnie dla was obojga.

Jaime mrugała oczami, powstrzymując łzy.

- Kiedy wrócił do Libii? - zapytała drżącym głosem. Zamyślił się na chwilę.

- Bywał tam kilka razy, odkąd Kadafi przejął władzę. Ten maniak od początku stwarzał same problemy. Wystawił CIA do wiatru. Jest bardziej antyzachodnio nastawiony niż stary król Idris, za to wspiera terrorystów.

- Czy on nie jest przypadkiem fanatykiem religijnym? - zastanawiała się Jaime, przypomniawszy sobie czytane artykuły.

- Można to tak nazwać - odparł. - Policja, działając zgodnie z jego rozkazami, siłą wprowadza normy postępowania ustalone według jego własnej interpretacji moralności muzułmańskiej. Młode kobiety są łapano na ulicach większych miast, jeśli ich spódnice zostaną uznane za zbyt krótkie. Nogi takich nieszczęśnic zaznacza się czerwoną farbą, której niemal nie sposób usunąć. Najgorsze jednak jest to, że policja jest bardziej zainteresowana pieszczeniem nóg grzesznic niż wprowadzaniem rzeczywistej moralności. - Przerwał na chwilę, po czym mówił dalej: - Oczywiście, prawo nie dotyczy wyłącznie kobiet. Mężczyznom nie wolno mieć długich włosów ani nosić obcisłych spodni. Kadafi uważa to za oznakę zniewieścienia i fatalnych wpływów Zachodu. Kiedy pani ojciec powrócił z Trypolisu w siedemdziesiątym roku - wtedy gdy Kadafi ostrzeliwał bazę lotniczą Wheelus i bazy powietrzne w Tobruku i El Adem - ufarbował włosy na czarno, by nie zwracać na siebie uwagi. Ze swoją rudą głową zdecydowanie odróżniałby się od Arabów.

Jaime zamyśliła się, nie mogła bowiem wyobrazić sobie ojca z czarnymi włosami.

- Od tamtej pory zdażył już kompletnie osiwieć - dodał Forrester, jakby czytając w jej myślach.

- Nie dziwi mnie to wcale - zauważyła Jaime.

- Kadafi okazał się problemem nie dającym wytchnienia pani ojcu. James był jednym z garstki specjalistów, którzy nie spuszczaali wzroku z obozów szkoleniowych libijskich terrorystów w ogóle, a Kadafiego w szczególności. Kiedy stało się jasne, że „wściekły pies Bliskiego Wschodu” stanowi naprawdę duże zagrożenie, zdecydowano się na ciągłą inwigilację, poza tym, przy rozmowach z nim, Stany miały przedsięwziąć szczególne środki ostrożności. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku Departament Stanu odmówił licencji eksportowej dwóm amerykańskim kompaniom proponującym sprzedaż reaktorów jądrowych i paliwa do Libii, co jeszcze bardziej rozdrażniło Kadafiego.

- A co z moim ojcem?

- James wysyłał ostrzeżenia, że terroryści libijscy stanowią zagrożenie nie tylko dla Zachodu, ale i dla sprzymierzonych z Libią państw arabskich. Z raportów wynikało, że w tym samym roku Kadafi popierał także próbę zamachu na króla Jordanii Husseina w Ammanie. Zamieszany też był w zamachy na życie Nimeiry z Sudanu, marokańskiego Hassana i Bourguiby z Tunezji. Nawiązywał kontakty z Malcią, Ugandą i Syrią, krajami znanymi z terroryzmu. Był blisko związany z takimi organizacjami, jak Czarny Wrzesień czy włoskie Czerwone Brygady. Im bardziej rosło napięcie na Bliskim Wschodzie, tym ważniejsze było to, by pani ojciec tam pozostał, i to w ukryciu.

- Jednego tylko nie rozumiem - zaczęła ostrożnie Jaime. - Dlaczego musiał udawać, że jest zdrajcą?

- By złapać prawdziwego zdrajcę - odparł Forrester cicho.

**Oszalałaś.**

- Muszę zobaczyć ojca - stwierdziła ostro.
- Posłuchaj, wiem, co czujesz - tłumaczył Nicholas. - Wiem, ile to dla ciebie znaczy. Wiem, że obiecałem ci pomagać w tym wszystkim. Ale przecież to jest Libia! To nie tylko niebezpieczne, to jest samobójstwo!
- Nie musisz ze mną jechać - powiedziała.
- Usiadł i przyglądał się jej z niedowierzaniem.
- A co na to Forrester?
- Twierdzi to samo co ty. Że to zbyt ryzykowne.
- Posłuchaj go. Wie, co mówi. - Odetchnął, kładąc się do łóżka.
- Ale on jedzie ze mną - dodała, gasząc światło.

Od jakiegoś czasu mieliśmy podejrzenia, że pomiędzy naszymi ludźmi w Libii jest zdrajca - mówił Forrester do Jaime następnego dnia.

- Edwin Wilson - zgadła.

Przypomniała sobie, że czytała gdzieś o sprawie Edwina Wilsona. Według oficjalnych raportów był to agent CIA wplątany w sprzedaż broni do Libii. Nigdy w takich raportach nie napotkała nazwiska ojca. Tylko domysły i sprzeczne plotki. Teraz wreszcie rozumiała dlaczego.

Forrester przytaknął.

- Pani ojciec podejrzewał również i innych - odparł.
- Wilson nie był sam - domyśliła się Jaime.
- Nie, nie był - potwierdził. - Ale James był przekonany, że na terenie Libii działali również i inni byli agenci, niezależnie od Wilsona i jego ludzi.
- A jeśli go wykryją?
- Forrester spojrzał jej w oczy.
- Zabiją go.

*Waszyngton, D.C.*

**Czytając** leżące na biurku raporty, Warner poczuł dziwny niepokój. Przykrywka Jamesa Lynde'a - jego

domniemana zdrada i dobrowolne wygnanie do Libii - była przecież dokładnie i uważnie zaplanowana od samego początku. Garstka ludzi wtajemniczona we wszystko przewidywała najdrobniejszy szczegół, by Libijczycy nie zaczęli czegoś podejrzewać.

A jednak ktoś celowo podsuwał Jaime Lynde sprzeczne informacje o zniknięciu jej ojca. Ktoś z ich własnych szeregów.

Dlaczego? - pytał siebie Warner. - W jakim celu ktoś z nich wzbudza podejrzenia dotyczące Lynde'a i jego sytuacji?

Chyba że chciał go zniszczyć.

**Usłyszałam** tak wiele sprzecznych opowieści - zwierzała się Jaime Forresterowi, opowiadając o wszystkich kłódach, które padały jej pod nogi w czasie poszukiwań. Mówiła o rozmowie z Harcourtami, z byłymi kolegami ojca w firmie O'Donnel-Colby, z Kate i Martym. Wspomniała wizytę u Williama Blackwella i u zastępcy naczelnika więzienia Fort Leavenworth. - Każdy z nich miał co innego do powiedzenia. W końcu zdecydowałam, że muszę drażyć tak długo, dopóki nie znajdę ojca - a przynajmniej nie dowiem się prawdy o jego zniknięciu.

Forrester patrzył na nią z napięciem w oczach.

- Coś tu jest nie w porządku - powiedział niespokojnie.

- Co ma pan na myśli? - zapytała przygnębiona.

- Chodzi o to, że nie miało być żadnych odstępstw od oficjalnej wersji. Zostało uzgodnione, że wszystko ma pasować do siebie i być jak najbardziej wiarygodne.

- I co w związku z tym?

- I w związku z tym sądzę, że ktoś panią wykorzystał, by wytropić pani ojca. Ktoś, komu zależy na odnalezieniu go, tak samo jak pani. - Przerwał na chwilę. - Jeżeli



moje podejrzenia są słuszne, nie mamy chwili do stracenia. Muszę lecieć do Trypolisu jeszcze dzisiaj.

- Musimy lecieć dzisiaj - poprawiła go.

- Nie - odparł, potrząsając głową. - To zbyt niebezpieczne. Muszę lecieć sam.

- Jadę i tak - stwierdziła uparcie. - Z panem czy sama, obojętnie. Co pan woli?

Zawahał się nie wiedząc, co jest bardziej ryzykowne.

- Dobrze więc. Pojedzie pani ze mną.

- Czy nie powinien się pan z kimś skontaktować? To znaczy, jeżeli mój ojciec jest w niebezpieczeństwie, czy...

Potrząsnął głową.

- Nie możemy kontaktować się z nikim.

- Dlaczego?

- Nie wiem, kto zdradził. Na razie więc nie możemy powiedzieć tego nikomu.

**To jest bez sensu!** - wybuchnął Nicholas. - Nie możesz tak po prostu pojechać do Libii jak do kurortu! Czy ty masz pojęcie, jak napięta jest tam sytuacja?

- Wyobraź sobie, że wiem! - odparła z gniewem. - Czytam gazety!

- Wobec tego masz w nosie własne życie, czy tak? - wrzasnęła. - A może życzysz sobie nagłej śmierci?

Poderwała się i stanęła przed nim.

- Gdzie podziała się cała ta miłość i zrozumienie? - zapytała. - Co się stało z obietnicą, że będziesz mnie wspierać do końca?

- Wolę cię żywą, wyobraź sobie!

- W Libii jest przecież wielu Amerykanów - przypomniała mu.

- I wszyscy są tam wbrew zaleceniom Departamentu Stanu - stwierdził. - Nie uda ci się tam wmieszać w tłum, wiesz o tym?

Rzuciła mu mordercze spojrzenie.

- Co ty sobie, do diabła, myślisz? Uważasz się za mojego anioła stróża?

- Nie! - parsknął. - Jestem tylko bezmyślnym pół-główką, któremu zdarzyło się pokochać ciebie!

Przyglądała mu się przez chwilę.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Nie chciałam tego tak sformułować. Kocham cię i znam twoje uczucia do mnie. Wiem, że się niepokoisz. Ale zrozum, co ja czuję. Wiesz, że muszę znaleźć ojca. Muszę go zobaczyć i wyjaśnić wiele spraw. Nawet jeśli by to miała być ostatnia rozmowa.

Objął ją.

- Wiem - powiedział, gładząc jej włosy. - A przynajmniej próbuję. Po prostu nie mogę znieść myśli, że sama chcesz wpakować się na strzelnicę Kadafiego. - Pocałował ją w czoło. - Boże, przecież to wygląda na dobrowolne wskoczenie do basenu pełnego głodnych rekinów!

Przytuliła się do niego.

- Ja też się boję, Nicholas - przyznała cicho. - Boję się od chwili, gdy weszłam w to wszystko. Co rano budzę się z pytaniem: „Czy powinnam to robić”. I bez względu na wszystko odpowiedź zawsze brzmi: „tak”. To jest coś, co muszę zrobić, dla siebie samej.

- Wobec tego zacznijmy się lepiej pakować - zdecydował w końcu.

Spojrzała na niego zdumiona.

- My?

Uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Jestem zdecydowany nie puścić cię samej.

# 24

24 marca, tego samego dnia, kiedy Jaime i Nicholas opuścili wraz z Jackiem Forresterem Paryż, zespół floty amerykańskiej składający się z trzydziestu okrętów wojennych i dwustu samolotów przekroczył tzw. linię śmierci Kadafiego, rozpoczynając manewr w Zatoce Sidra. Jak było do przewidzenia, Kadafi spełnił groźbę ostrzelania każdego nieolibijskiego statku i samolotu, który przekroczy tę linię, i wydał rozkaz użycia radzieckich rakiet ziemia-powietrze. Walka trwała niecałe dwadzieścia cztery godziny i w tym czasie siły amerykańskie zatopiły dwa libijskie statki patrolowe, mocno uszkodziły trzy inne i zbombardowały instalacje radarowe na lądzie.

Trójka przybyła z Paryża przeczekać konflikt w Algierii, tuż przy granicy libijskiej. Forrester zabrał ich do małego hotelu koło miasta granicznego Edjeleh i mimo niecierpliwości Jaime stwierdził, że lepiej będzie przeczekać starcie militarne tutaj.

- W tej chwili gotowi są zabić wszystko, co wygląda choć trochę po amerykańsku - tłumaczył. - A nie jest możliwe uznać panią za Arabkę.

- Niech pan nie będzie taki pewien - odparła Jaime, przyjmując wyzwanie.

- Co ci przyszło do głowy tym razem? - zapytał Nicholas podejrzliwie, gdy zostali sami w pokoju.

Jaime uśmiechnęła się tylko.

- Zobaczysz.

Kiedy zeszli na kolację, Forrester na jej widok nie mógł ukryć zdumienia. Miała na sobie długą, obszerną szatę, noszoną zwłaszcza przez Arabki z północnej Afryki - białą z akcentami zieleni i brązu. Jej rude włosy całkowicie zakrywał materiał, którym owinęła głowę. Oczy miała podkreślone tuszem, a stopy obute w *babou-ches* - skórzane klapki.

- Muszę przyznać, że nie poznałbym pani, gdyby nie Kendall u pani boku - powiedział Forrester z uznaniem w głosie.

Nicholas patrzył na niego pytająco.

- Mam tu znajomości - mówił Forrester. - Otrzymamy ubrania i prowiant, po czym ktoś przewiezie nas przez granicę, do Trypolisu, to jakieś pięćset kilometrów stąd. Jeżeli postaramy się wyglądać jak tubylcy, wszystko powinno pójść nieźle.

- W takim razie jestem za - powiedział Nicholas.

Hotelowa kawiarnia wyglądała jak przeniesiona wprost z Casablanki: małe stoliki stłoczone w zadymionej sali, wentylatory pod sufitem, które skrzypiąc obracały się powoli; mężczyźni w tradycyjnych *gakibiyya*, luźnych bawełnianych szatach, białych lub w paski, niektórzy w turbanach podobnych do tych, jakie mieli na głowach Forrester i Nicholas; rozmowy przy stolikach w arabskim lub francuskim języku. W jednym rogu sali trzech Arabów w oliwkowych wojskowych mundurach, nie uczesanych i nie ogolonych, rozmawiało przyciszonym tonem z czwartym mężczyzną, ubranym po cywilnemu. Człowiek wyglądał na tak samo zdenerwowanego jak Jaime. Obok nich leżały noże w skórzanych pochwach.

Znaleźli stolik po drugiej stronie kawiarni. Kelner pojawił się prawie natychmiast i Forrester zamówił posiłek, posługując się płynnie arabskim.

- Czy chcesz coś pić? - przetłumaczył pytanie kelnera.
- Dla mnie podwójny - powiedziała Jaime nerwowo. Nicholas trącił ją pod stołem.
- Alkohol stanowi tu tabu - szepnął.
- Mówiłem wam. Mam tu znajomości - powiedział Forrester.

### *Waszyngton, D.C.*

**Było** prawie południe. Warner spacerował nerwowo po swoim biurze, dając upust frustracji i złości. Jego człowiek w Paryżu nie dzwonił od ponad trzydziestu sześciu godzin. Czy coś się stało? Co Forrester powiedział córce Lynde'a? Czy ona naprawdę jest tak szalona, że zechce pojechać do Libii?

Dobry Boże, ona nie wie, co robi - pomyślał z gniewem. - Równie dobrze mogłaby przyłożyć załadowany pistolet do jego skroni i nacisnąć cyngiel. Jeżeli do niego dotrze, zabije go!

Z napięciem wbił wzrok w telefon. Chciał zamówić rozmowę z Trypolisem, ale zaniechał tego pomysłu, wykluczając go jako zbyt ryzykowny. Zwłaszcza teraz. Był już tak blisko... A Libia stanowiła beczkę prochu z zapalonym lontem. To tylko kwestia dni...

Jesteś zdany na siebie, przyjacielu - pomyślał, patrząc nieobecny wzrokiem na jasny budynek Kapitolu widniejący za oknem. W którym miejscu się pomylił? - pytał siebie. Byli tak ostrożni. Tylko czworo ludzi znało prawdę. W jaki sposób zostali odkryci? Kto był winien?

Kto zdradził Jednorożca?

### *Edjeleh*

**Gdy** Nicholas usnął, Jaime skuliła się w fotelu stojącym w rogu pokoju i przy świetle małej lampki oliwnej

czytała. Na jej kolanach leżała duża szara koperta zawierająca wycinki z gazet całego świata. Artykuły opisujące akcje terrorystyczne w Europie i na Bliskim Wschodzie.

- Miętowa herbata dla wszystkich - zamówił Forrester. Kelner skinął głową.

- *Shukran* - powiedział cicho. - Dziękuję. - Po chwili zniknął w kuchni.

- Od tej pory ja będę mówił przy ludziach - zaproponował Forrester po jego odejściu. - Jeżeli mamy być przekonujący, musimy mówić ich językiem.

Nicholas zaniepokoił się.

- Mamy więc grać głuchoniemych?

Forrester potrząsnął głową.

- Nie, tylko pozwólcie, że ja będę mówił w imieniu nas wszystkich - odparł przyciszonym głosem. - Nauczę was kilku arabskich słów, by przez to przebrnąć.

- Nawet nie zapytam, co pan dla nas zamówił. - Umierała z głodu i obawiała się, że posiłek może okazać się nie do przełknięcia.

- Cokolwiek nam przyniesie, powinnaś to zjeść - stwierdził Nicholas. - Mamy być przecież Arabami, nie pamiętasz?

Skrzywiła się.

- Jak mogłabym zapomnieć.

Danie przyniesione przez kelnera okazało się jednak zupełnie smaczne, pieczone jagnię, mocno przyprawione, mieszana sałatka i *briouats* - małe kawałeczki cienkiego jak papier ciasta z miodem i migdałami - na deser.

- Jest pan pewien, że mój ojciec przebywa wciąż w Trypolisie? - dopytywała się Jaime, gdy kelnera nie było w pobliżu.

Forrester skinął głową.

- Był tam jeszcze dziś w nocy.

Oboje spojrzeli na niego, nie ukrywając zdumienia. Wzruszył ramionami.

16 kwietnia 1984 roku, na rozkaz Kadafiego, w Trypolisie powieszono dwóch studentów w odwecie za próbę zamachu na kuzyna i najbardziej zaufanego doradcę Kadafiego, Ahmeda Kadafadama; 13 czerwca 1985 roku - porwanie przez libańskich szyitów samolotu TWA, lot 847, w drodze z Aten do Bejrutu; 16 lipca 1985 roku - napad zbrojny na Cafe de Paris w Rzymie; 22 lipca 1985 roku - fanatycy muzułmańscy Jihad detonują bomby w amerykańskim biurze lotniczym w Kopenhadze.

Jaime poczuła, że przeszył ją dreszcz. Terroryci są jak zwierzęta - bezlitośni, nieludzcy mordercy. I to był świat, w którym ojciec żył od tylu lat. Świat, który zwalczał.

Powoli wstała i podeszła do okna, chłonąc niewiarygodny spokój nocy na pustyni. Skuliła się nagle, czując wewnętrzny chłód.

Ogarnęło ją przykre wrażenie, jakby miała zstąpić do piekła.

I jak wyglądam? - zapytał Nicholas.

Miał na sobie *galabiyya*, które załatwił Forrester leką, bawełnianą szatę, białą, w szare pionowe paski, która zwisała aż do ziemi. Na głowę nałożył turban. Jaime nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Jakbyś się wybierał do łóżka - podsumowała.
- Do łóżka? - Zachmurzył się.
- Wygląda to diabelsko podobnie do koszuli nocnej
- wyjaśniła, wciąż pokładając się ze śmiechu.
- Bardzo śmieszne - mruknął.
- Powinieneś spojrzeć w lustro - poradziła mu.
- To ma być maskowanie - przypomniał. - Znasz przeczcie przysłowie: „Jeśli wszedłeś między wrony...” i tak dalej.
- Niewątpliwie masz rację - przyznała.
- Czy ja się z ciebie śmiałem, gdy włożyłaś te łachy?
- zapytał.

- Nie, ale ja wyglądam lepiej w koszuli nocnej niż ty - odparła z rozbawieniem.

- Dzięki. - Jego głos daleki był od entuzjazmu.

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi.

- Kto tam? - zapytała Jaime ostrożnie.

- Forrester.

Otworzyła i wpuściła go do środka. On również miał na sobie *galabiyya* i turban.

- Piękny kostium - przywitała go Jaime radośnie.

Forrester nie uśmiechnął się. Pokazał gestem, by zamknęła drzwi, po czym postawił na stole małe przenośne radio i włączył je. Transmisja była po arabsku.

- Co mówią? - zapytał Nicholas zaniepokojony.

- Na pokładzie samolotu TWA lecącego przez Grecję wybuchła bomba. Czworo pasażerów, wszyscy Amerykanie, zginęło - tłumaczył szybko. - Kadafi za to odpowiada.

Jaime przeniosła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego.

- Czy to znaczy... - zaczęła, nie mogąc skończyć pytania.

Forrester potrząsnął głową.

- To znaczy, że nigdzie nie jedziemy. Jeszcze nie.

**Bomba** wybuchła, gdy samolot TWA 840 był na wysokości piętnastu tysięcy stóp. Gdyby wzniósł się wyżej, zostałby kompletnie zniszczony. Ludzie z Atgos w Grecji zobaczyli tylko spadające z nieba ciała czterech pasażerów: kobiety, jej córki i kilkumiesięcznej wnuczki oraz mężczyzny, który wciąż jeszcze był przypięty do fotela, gdy uderzył o ziemię, zamieniając się w krwawą miazgę ciała i metalu.

Na pokładzie samolotu lecącego z Kairu do Aten zatrzymano libańską terrorystkę, podejrzaną o podłożenie bomby - nie tylko dlatego, że leciała lotem 727, ale zajmowała miejsce, pod którym bomba została umieszczona. Arabskie ugrupowania rewolucyjne twierdziły,



że eksplozja na pokładzie 840 była odwetem za działania Stanów Zjednoczonych w Zatoce Sidra.

Napięcie w Libii wciąż rosło.

5 kwietnia w dyskotecie La Bella w Berlinie Zachodnim wybuch bomby spowodował śmierć dwojga ludzi - Turczynki i amerykańskiego żołnierza - a ponadto rany odniosło około dwustu trzydziestu osób. Wiele z nich doznało poparzeń trzeciego stopnia, z rozległymi uszkodzeniami ciała sięgającymi w niektórych przypadkach dziewięćdziesięciu procent powierzchni skóry. Poparzeni i poranieni ludzie leżeli na całej szerokości ulicy.

Wywiad amerykański doniósł o przechwyceniu wiadomości przekazywanej z libijskiego biura w Berlinie Zachodnim do Trypolisu: „Misja zakończona sukcesem. Nasza ręka nie została wykryta”.

Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta.

11 kwietnia o czwartej trzydzieści nad ranem Forrester obudził Jaime i Nicholasa gwałtownym stukaniem do drzwi ich hotelowego pokoju.

- Co się stało? - zapytał Nicholas zaspanym głosem, wpuszczając go do środka.

- Ubierajcie się - nakazał Forrester. - Wyjeżdżamy do Trypolisu.

- Teraz?

- Teraz - odparł zdecydowanym głosem. - Macie pół godziny. Czekam na dole.

Jaime usiadła na łóżku.

- Myślałam, że mamy czekać, aż sytuacja w Libii się poprawi.

- Nie poprawi się. - Wyczuli grozę w jego słowach. - Może być jedynie diabło gorzej.

- Gorzej? Ale...

- Pół godziny - powtórzył. - Jeżeli mamy jechać, to tylko teraz.

**Myślisz**, że on wie więcej, niż nam mówił? - zapytała Jaime, gdy ubierali się pośpiesznie.

- Postawiłbym na to życie - Nicholas znieruchomiał na moment. - Co właśnie w tej chwili robimy.

Jaime westchnęła.

- Przepraszam, że cię w to wciągnęłam - powiedziała, unikając jego wzroku.

Odwrócił się do niej.

- W nic mnie nie wciągnęłaś - stwierdził. - Sam się wciągnąłem.

- Jasne - odparła chmurnie.

- Nie wywiozłaś mnie przecież z Paryża, przystawiając lufę do skroni - przypomniał.

Spojrzała mu w oczy.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Wiem. Ale i tak jestem tu dlatego, że chcę być.

- Tylko nieświadomy niczego lunatyk mógłby chcieć tu być.

- Wiesz, co mam na myśli - powtórzył słowa Jaime.

- Taak...

Ujął ją za ramiona.

- Obiecay mi coś, dobrze?

Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Jeżeli będę mogła.

- Jeśli wyjdziemy z tego żywi - zaczął, szukając w półmroku jej oczu - obiecay mi, że się pobierzemy i będziemy wiedli takie zwykłe, szare życie, o którym rozmawialiśmy w Paryżu. Wiesz, dzieci, dom w Connecticut, członkostwo w najbliższym klubie, święta na Palm Beach i wakacje na wschodzie.

Zagryzła dolną wargę i objęła go w pasie.

- Z dziećmi czy bez, w domu w Connecticut czy w igloo na Grenlandii - powiedziała, całując go. - To nie ma znaczenia. Utknąłeś przy moim boku.

Spojrzał na nią.

- Czy to ma być „tak”?

Przytaknęła, znowu go całując.

- Odpowiedź brzmi „tak”, mój drogi.

**Forrester** czekał na nich w holu, z młodym Arabem wyglądającym na około trzydzieści lat, szczupłym, niezbyt wysokim, o gęstych, kruczoczarnych włosach, ciemnych wąsach i z czarną przepaską na lewym oku. Ubrany był w znajomy strój w maskujące cętki, przy boku wisiała mu maczeta w pochwie, na ramieniu miał karabin.

- To jest Rashid - powiedział Forrester, gdy wychodzili na zewnątrz. - Nie mówi zbyt dobrze po angielsku, nie obrażajcie się więc, jeśli nie odpowie na jakieś pytanie, dobrze?

- Jasne - mruknęła Jaime.

Ich środkiem transportu okazała się stara wojskowa ciężarówka, która pamiętała jeszcze II wojnę światową. Według Forrestera była świetnie dostosowana do warunków pustynnych.

- I tu prawdopodobnie przetrwała ostatnie czterdzieści lat - szepnął Nicholas do Jaime.

- Czy jest pan pewny bezpieczeństwa tego... pojazdu?  
- zapytała, gdy wspinali się na pakę ciężarówki.

Forrester skinął głową.

- Jest stara, ale nie budzi podejrzeń. Jedynym środkiem lokomocji, który przyciągałby mniej uwagi, byłby wielbłąd. Jeżeli pani woli...

Potrząsnęła głową.

- A nie, nie. Dziękuję bardzo.

Przytuliła się do Nicholasa, gdy Rashid włączył silnik i stara ciężarówka skoczyła naprzód, rozpoczynając niełatwą drogę przez miasto w kierunku pustyni.

Zaczęło się - pomyślała. Wszystko, co do tej pory przeszła, było niczym w porównaniu z tym, co ich czekało teraz.

- Nie ma już odwrotu - powiedziała do siebie.

# 25

## *Granica libijska. Piątek, U kwietnia 1986, godz. 5.36*

Schowajcie się i bądźcie cicho - nakazał Forrester, gdy zbliżali się do granicy. - Ja będę z nimi rozmawiał.

- Będziemy panu wdzięczni - odparł Nicholas, osłaniając głowę, gdy Rashid zahamował gwałtownie. Chwytając Jaime za ramię, pociągnął ją w dół.

Ze swej kryjówki z tyłu samochodu Jaime widziała trzech mężczyzn w mundurach, którzy powoli zbliżali się do ich pojazdu. Jeden z nich zwrócił się po arabsku do Rashida. Ten odpowiedział, po czym do rozmowy włączył się Forrester, posługując się płynnie arabskim.

Tak świetnie zna język - dziwiła się Jaime. Nagle przeszło ją dziwne podejrzenie. Ktoś zdradził jej ojca i tropił go razem z nią, by go zabić. Ktoś, kto wykorzystał jej poszukiwania, by po tych śladach dopaść Lynde'a. Skąd miała mieć pewność, że to nie jest sam Forrester? Ale gdy tylko nawiedziła ją ta myśl, odrzuciła ją natychmiast. Ten człowiek próbuje nam pomóc. Przywiózł nas tutaj, chce dotrzeć z nami do ojca. Z drugiej strony - ilu już deklarowało swoją pomoc? Czy mogła komukolwiek ufać?

Do samochodu zbliżyło się dwóch innych mężczyzn, podobnie ubranych. Obaj trzymali w rękach karabiny. Wstrzymała oddech, czując dzikie kołatanie serca. Instynktownie przysunęła się bliżej Nicholasa, który objął ją ramieniem.

- Tak mi przykro - szepnęła.

- Niepotrzebnie - odparł i wiedziała, że naprawdę tak myśli.

Słyszeli rozmowę mężczyzn, ale nie rozumiejąc ani słowa po arabsku, nie mieli pojęcia, co było jej przedmiotem. Było to deprymujące. W końcu jeden z Libijczyków machnął na Rashida, zezwalając na dalszą jazdę. Jaime odetchnęła z ulgą. Gdy silnik ciężarówki ożył i ruszyli dalej, oparła się o ramię Nicholasa.

Oboje zdawali sobie sprawę, że znaleźli się na wrogim terytorium.

### *Waszyngton, D.C. Piątek, 11 kwietnia, południe.*

**Członkowie** Narodowej Rady Bezpieczeństwa zebrałi się w Gabinetcie Owalnym Białego Domu na spotkaniu z prezydentem Reaganem. Wiceprezydent Bush i minister obrony Weinberger byli nieobecni z powodu podróży poza granice kraju. Jeden z członków rady wyraził zastrzeżenia wobec proponowanych działań militarnych przeciwko Libii. Dyrektor CIA, William Casey, otwarcie domagał się zgody na wycofanie swoich agentów z terenu Libii, zanim te działania zostaną podjęte. Wszyscy obecni zgodzili się z sekretarzem stanu, George'em Shultzem, iż Stany Zjednoczone zniosły już **dość** wiele i czas najwyższy podjąć zdecydowane kroki odwetowe.

Jeżeli chodziło o ścisłość, prezydent zatwierdził plan ataku powietrznego na Libię dwa dni wcześniej. Wszyscy zainteresowani twierdzili jednomyślnie, że powinien być to atak niespodziewany. Prezydent Reagan zaznaczył, że należy przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności, by zminimalizować liczbę ofiar wśród libijskiej ludności cywilnej.

Niestety, zanim powzięto stosowną decyzję, domysły i spekulacje rozrosły się na taką skalę, że zarówno sam prezydent, jak i członkowie rady zaczęli szczerze wątpić

w możliwość niespodziewanego ataku. W miarę jak ich wątpliwości rosły, zaczęły skłaniać się ku decyzji odłożenia działań. Na jakiś czas.

***Pustynia libijska. Sobota, 12 kwietnia, godz. 6.42***

Stara ciężarówka pędziła przez pustynię, wzbijając za sobą tumany kurzu i piasku. Rashid przyciskał pedał gazu z taką furją, że rozklekotany pojazd wpadał w silne wibracje.

- Co on sobie wyobraża, że to rajd Safari? - irytowała się Jaime, wytrzepując piasek z ubrania.

- Próbuje nadrobić stracony czas - tłumaczył go Forrester. Otworzył jedną ze skórzanych toreb, które zabrał z algierskiego hotelu, i wyjął cztery puszki oraz dwa długie bochenki chleba. - Zatrzymując się po drodze dla przeczekania burzy piaskowej i dwukrotnie celem usunięcia awarii w samochodzie, opóźniliśmy się o ponad dwadzieścia cztery godziny.

- Ile jeszcze czasu zajmie nam droga do Trypolisu? - zapytał Nicholas.

- Trudno powiedzieć. - Forrester przełamał jeden z bochenków i wręczył połowę Rashidowi, dokładając do tego puszkę. - Powinniśmy tam być wczoraj.

Wygląda na zdenerwowanego - zauważyła Jaime. - Czego on nam nie powiedział?

Przełamał drugi bochenek i podał im połówki. Potem otworzył jedną z puszek i napełnił dwa metalowe kubki płynem wyglądającym jak mleko. Jaime, spragniona zimnego napoju, chciwie pociągnęła duży łyk. Przełknąwszy skrzywiła się.

- Co to jest?

- Wielbłądzie mleko.

- Tak tylko pytam.

- W tej chwili wypiliśmy wszystko, nawet olej silnikowy.

wy, gdyby tylko to było dostępne - przyznał się Nicholas, opróżniając kubek. - Co mamy do chleba?

- Nic.

- Nic? Po prostu chleb?

- Kanapka Kadafiego - powiedziała Jaime. - Chleb i gorące powietrze.

Forrester nie uśmiechnął się.

- To jedyne, co mogłem dostać w tak krótkim czasie - stwierdził, żując w zamyśleniu.

Jaime przyglądała mu się przez dłuższą chwilę.

- Nie chce nam pan powiedzieć?

- Powiedzieć czego? - zapytał z roztargnieniem, popijając mleko.

- Co naprawdę tak pana niepokoi.

Spojrzał na nią zdziwiony.

- Jeśli pani dotąd nie zauważyła, to wkraczamy właśnie w bramy piekła, moja droga - odparł. - Jeśli ta świadomość pani nie niepokoi, to nie jest to normalna reakcja. - Ugryzł ponownie kawałek chleba i żuł niechętnie.

Więc dobrze, boję się również - pomyślała Jaime.

### ***Waszyngton, D.C. Sobota, 12 kwietnia, godz. 23.15***

W biurze Warnera panowała grobowa cisza. On sam siedział w ciemności, wpatrując się w telefon. Dlaczego to diabełstwo nie dzwoni? Jego rozpacz rosła z każdą minutą. Musiał porozumieć się z Lynde'em... Jak? Wiceprezydent Bush właśnie wrócił z Arabii Saudyjskiej. Weinberger był w drodze z Filipin do Waszyngtonu. Ambasador Stanów Zjednoczonych w ONZ przebywał w Londynie na spotkaniu z premierem brytyjskim Margaret Thatcher. Tego dnia oświadczone, że przedstawiciel prezydenta USA pojawi się u włoskiego premiera w poniedziałek.

A czas wciąż ucieka - pomyślał Warner ponuro.

Najtrudniejsza do zaakceptowania była dla niego

myśl, że popełnił fatalny błąd i wysłał prawdziwego zdrajcę w ślad za córką Lynde'a.

Gdyby tylko mógł ich ostrzec, że morderca jest na ich tropie.

*Trypolis. Niedziela, 13 kwietnia, godz. 8.52*

Po wielu irytujących przystankach w niedzielę rano Rashid wjechał wreszcie w ulice libijskiej stolicy. Jaime spała w ramionach Nicholasa z tyłu ciężarówki, nieświadoma faktu, że dotarli wreszcie do celu.

- Rashid pójdzie do Jednorożca - powiedział Forrester do Nicholasasa. - Możemy teraz jedynie czekać.

Kendall popatrzył mu w oczy.

- Jaime ma rację, prawda?

- W czym? - Forrester odwrócił wzrok.

- Niepokoi pana coś jeszcze oprócz sytuacji politycznej.

- Owszem - przyznał po chwili wahania. - Niepokoi mnie o wiele więcej.

- Nie sądzi pan, że powinniśmy wiedzieć?

- Są pewne sprawy, o których wolałbym żebyście, ściślej mówiąc, żeby ona nie wiedziała - odparł Forrester przygnębiony, spoglądając przez szparę w brezencie okrywającym tył ciężarówki.

- Sam pan mówił, że jest to krytyczna sytuacja - przypomniał mu Nicholas, oddychając ciężko. - Ja naprawdę chciałbym znać wszystkie fakty, gdy stawiam na szali własne życie.

Tamten zamyślił się na chwilę.

- Myślę, że ma pan rację - odezwał się w końcu. Spojrzał na Jaime, która wciąż spała. - Od dnia, gdy zaczęła poszukiwać ojca, ktoś celowo podsuwał jej sprzeczne informacje, licząc na podsycenie jej determinacji w dotarciu do prawdy. Ktoś popychał ją w kierunku Jednorożca, bo sam chciał do niego dotrzeć i zlikwidować.



- I pan wie, kto to jest?
- Skinieniem głowy potwierdził, że wie.
- Powie jej pan? - zapytał Nicholas ostrożnie.
- Jeśli będę mógł tego uniknąć, nie.

***Zatoka Sidry. Niedziela, 13 kwietnia, godz. 11.57***

**Amerykańska** Szósta Flota zajęła pozycje niedaleko wybrzeży Libii. Lotnikowcom *America* i *Coral Sea*, ze stu sześćdziesięcioma bombowcami i myśliwcami na pokładzie, towarzyszyło czternaście okrętów eskorty i dwie jednostki zaopatrzenia. W składzie eskorty znajdował się **U.S.S. Ticonderoga** ze swoim fantastycznym systemem obrony powietrznej. Załogi wszystkich okrętów były w pełnej gotowości bojowej, czekając na rozkazy z Waszyngtonu.

Oczekiwanie...

***Trypolis. Niedziela, 13 kwietnia, godz. 16.25***

**Co** robimy teraz? - zapytała Jaime.

- Czekamy - odparł Forrester. - Rashid ma znaleźć twojego ojca. Nie możemy do niego pójść, to byłoby zbyt niebezpieczne. Możemy jedynie czekać, aż on przyjdzie do nas.

Zdecydował, że najbezpieczniej będzie oczekiwać w brytyjskim konsulacie w Trypolisie.

- Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tego dokonałam - zwierzała się Jaime Nicholasowi, gdy zostali sami w pokoju na pierwszym piętrze konsulatu. - Naprawdę zobaczę ojca... Po tylu latach.

- Jeszcze nie jest po wszystkim, kochanie - uprzytomnił jej, nie wypuszczając z objęć.

- Ale to ma się stać. Wreszcie mam go zobaczyć.

Popatrzył na nią podejrzliwie.

- Denerwujesz się?

Skinęła głową, lekko zażenowana tym faktem.

- Trochę. To dużo czasu - powiedziała cicho. - Zmieniłam się, on na pewno także.

- Zapewne.

Chciał jej to w jakiś sposób ułatwić, ale sam był za bardzo zaniepokojony tym, co się dzieje, by móc się skupić na jej przeżyciach.

Spojrzała na niego bezradnie.

- Co ja mam mu powiedzieć?

Gładził ją po włosach.

- A co powiedziałaś mi dziewiętnaście lat temu?

Uśmiechnęła się.

- Zapytałabym, czy mi coś przywiózł.

***Londyn. Poniedziałek, 14 kwietnia, godz. 14.54***

**Premier** Wielkiej Brytanii Margaret Thatcher oficjalnie oświadczyła, iż jej kraj popiera plany USA w kwestii niespodziewanego ataku powietrznego na Libię; stwierdziła, że „nie do pomyślenia” byłoby, gdyby nie ujęto się za Stanami Zjednoczonymi w ich walce o obronę swych słusznych praw.

Tego samego dnia osiemnaście bombowców F-111 z Trzeciej Armii Powietrznej wystartowało z bazy brytyjskich sił powietrznych i rozpoczęło przelot długości dwóch tysięcy mil morskich wokół Europy - nie uzyskano bowiem zgody na przelot nad terytorium Francji - by dołączyć do Szóstej Floty w Zatoce Sidry.

Czas wciąż płynął...

***Trypolis. Poniedziałek, 14 kwietnia, godz. 20.30***

**Jest** już tutaj - poinformował Forrester.

Jaime spojrzała na Nicholasa, który uniósł kciuki. Uśmiechnęła się do niego.

- Chcesz poznać przyszłego teścia? - zapytała, próbując opanować głos.

Uśmiechnął się również.

- Nie wiem - odparł. - Jak mu się nie spodobam, może mnie oddać libijskim strzelcom na próbne strzelanie do celu.

- Nie, nie zrobiłby tego - zaproponowała. - Zastrzeliłby cię sam.

- Tego się właśnie obawiałem.

- Czy wyglądam dobrze?

- Jak arabska księżniczka - zażartował, patrząc na jej kolorową szatę.

Wciągnęła głęboko oddech.

- Chodźmy więc.

Trzymając się za rękę, zeszli ze schodów do biura konsula brytyjskiego. Serce Jaime biło jak oszalałe, gdy Forrester otworzył drzwi i ujrzała ojca, pierwszy raz od niemal dwudziestu lat.

Nie był taki wysoki, jak go pamiętała, ale ona była przecież o dobry kawałek wyższa niż w 1966 roku. Wyglądał trochę masywniej. Jego włosy były całkiem siwe, na twarzy czas wycisnął swoje piętno, a jednak patrząc na niego, wiedziała, że poznałaby go wszędzie. Podeszła krok bliżej.

- Tato? - zapytała drżącym głosem.

Jego twarz rozjaśniła się uśmiechem.

- To ja, księżniczko. - Wyciągnął do niej ramiona. - Boże, jak długo na to czekałem!

- Och, tato! - Wybuchając płaczem, rzuciła mu się na szyję. Złączeni uściskiem płakali oboje.

Minione dwadzieścia lat stopniało w ułamku sekundy.

### *Zatoka Sidry. Wtorek, 15 kwietnia, godz. 1.45*

Nad zatoką zapanowała wielka cisza. Szósta Flota była wciąż w gotowości bojowej. Za piętnaście minut

mieli wykonać pierwszy ruch. Do godziny 1.59 prezydent Stanów Zjednoczonych mógł odwołać atak.

Do godz. 1.45 nie zrobił tego.

***Waszyngton, D.C. Poniedziałek, 14 kwietnia, godz. 18.58***

Harry Warner siedział w swoim biurze, wpatrując się w zegar na ścianie. W Libii był już wtorek rano. Z Białego Domu nie padło żadne słowo, co mogłoby oznaczać, że ataku nie odwołano.

Warner nigdy nie był religijny, ale tego wieczoru modlił się.

***Trypolis. Wtorek, 15 kwietnia, godz. 1.58***

**Bardzo** mi przykro, ale muszę wam przeszkodzić - przeprosił ich Forrester. - Trzeba natychmiast opuścić konsulat. Musimy stąd uciekać. Rashid powinien tu zaraz podjechać.

- Dokąd pojedziemy? - zapytał Nicholas, gdy wyszli na ulicę.

- Tunezja jest najlepszym wyborem w naszym przypadku. Możemy być poza granicami Libii w parę godzin.

- Jeżeli mamy aż tyle czasu - powiedział Lynde w zamysleniu, wpatrując się w ciemne, spokojne niebo.

Forrester rozglądał się po tonącej w mroku ulicy.

- Cholera! - mruknął niecierpliwie. - Gdzież on się, u diabła, podział?

Lynde zerknął na zegarek.

- Jeżeli nie będzie tu zaraz, nie pojedziemy nigdzie - mruknął.

- To brzmi, jakbyśmy siedzieli na czynnym wulkanie - szepnęła Jaime do Nicholasa.

- Dokładnie tak - stwierdził ponuro ojciec, z twarzą śmiertelnie poważną.

- Halo, Jim - usłyszeli nagle za sobą. - Dawno nie widzieliśmy się, co?

Wszyscy naraz popatrzyli w stronę, skąd dochodził głos. Stojący w mroku mężczyzna mógł być w wieku Lynde'a i z całą pewnością był Amerykaninem. Tylko ojciec Jaime rozpoznał go od razu.

- Cześć Lew - powitał go spokojnie. - Nawet w tym wieku wyglądasz wciąż nieźle.

- A ty wciąż nie straciłeś zimnej krwi, co? - zauważył tamten.

- Trzeba mieć poczucie humoru w tym zawodzie, nie uważasz? - Lynde wciąż stał nieruchomo. - Tylko to nas ratuje.

Lew? - Jaime poczuła mróz na plecach.

- To jest Lewis Baldwin? - zapytała, zwracając się do ojca. To jest człowiek, który zniszczył tyle istnień ludzkich? - pomyślała.

- We własnej osobie.

- Prawdziwy zdrajca. - Forrester, mówiąc te słowa, zrobił krok do przodu.

- Nie próbowałbym niczego na pana miejscu, panie Forrester - ostrzegł Baldwin, wychodząc z cienia. W ręku trzymał karabin automatyczny. - Dziwi się pan, że poznaję? Nie powinien pan. Niemal od początku wiedziałem o panu wszystko, dzięki determinacji tej damy w szukaniu ciebie, Jim.

Jaime patrzyła to na niego, to na ojca, szeroko otwartymi oczyma.

- To on...

Lynde skinął głową.

- To on sprzedawał Kadafiemu broń od 1982 roku - powiedział. - MAC-10, rakiety Redeye, M-1, Colt Cobra-38, M-16, AK-47, RPG - to wszystko jego towar. W tym tygodniu właśnie dostarczył Libijczykom wielki ładunek Primacord z C-4.

- Przykro mi, że musiałem wykorzystać twoją córkę,

by cię znaleźć, przyjacielu - rzeki Baldwin z zimnym uśmiechem na ustach - ale nie zostawiłeś mi wyboru, taką ścisłą tajemnicą cię otoczyli. Kiedy Jaime zaczęła węszyć, Harry puścił Harrisa jej śladem, nie wiedząc, że tym samym przykłada ci brzytwę do gardła.

- Allan Harris? Pracuje dla ciebie? - Lynde był zdumiony. Harris był jednym z niewielu jego przyjaciół, jeszcze z czasów OSS.

- Pracował - odparł Baldwin, wzruszając ramionami. - Musiałem się go pozbyć, kiedy wypełnił swoje zadania. Nie mogłem ryzykować możliwości, że zacznie mówić. - Przerwał. - Tak jak muszę teraz zlikwidować was wszystkich. - Chociaż bardzo mi przykro z tego powodu.

- Nie wątpię.

Lynde doskonale pamiętał o swoim rewolwerze w kieszeni, ale miał świadomość, że Baldwin mógł zabić ich wszystkich w ciągu sekund, które zabrałyby mu sięgnięcie po broń.

- Nie cierpię długich pożegnań, więc... - zaczął Lew.

Przerwał mu głośny pisk hamulców starej ciężarówki, która zatrzymała się kilka jardów od nich. Zanim Baldwin zdążył zareagować, Rashid wyskoczył z kabiny i otworzył ogień ze swojego M-16. Działając instynktownie, Nicholas pchnął Jaime na podłogę i zakrył ją swoim ciałem. Lynde i Forrester wyciągnęli broń, ale Baldwin, brocząc krwią, osunął się powoli na ziemię. Był martwy. Wszystko minęło, zanim się jeszcze na dobre zaczęło.

- Szybko! - krzyknął Forrester, biegnąc do ciężarówki. - Musimy wiać z tego piekła!

- Racja, przyjacielu! - odkrzyknął Lynde, pomagając córce podnieść się z ziemi.

W tym momencie ciemności rozdarł oślepiający błysk. Ziemia zadrżała pod ich nogami, jakby niebo eksplodowało.

Było już za późno.

# 26

*Trypolis. Wtorek, 15 kwietnia, godz. 2.05*

Ogłuszający huk detonacji wokół miasta sprawił, że ulice zapełniły się przerażonymi Libijczykami uciekającymi pieszo i samochodami. Wszędzie powstawały korki i zatory, zewsząd rozlegały się sygnały klaksonów. Wysoko ponad miastem odrzutowe bombowce A-6 odpalały swoje 500- i 2000-funtowe laserowo sterowane bomby. Z dala słychać było ogień artylerii przeciwlotniczej, a pociski smugowe rozświetlały niebo. Miasto ogarnał dym. Na ulicach pojawili się żołnierze Rewolucyjnej Gwardii Kadafiego.

Gdy stara ciężarówka przedzierała się przez boczne, mniej zatłoczone ulice, Forrester obserwował przez lornetkę, co się dzieje na zachód od miasta.

- Wheelus dostał - poinformował resztę. - Cholernie dużo dymu.

Ciężarówka szarpała gwałtownie przy każdej eksplozji. Rashid prowadził z wielką wprawą, starając się omijać przeszkody. Jaime, owinięta w koc, siedząc z tyłu samochodu, przyglądała się, jak Nicholas ładuje amunicję do wszystkich karabinów i rewolwerów, jakimi dysponowali. Ojciec zmagał się z małym przenośnym radiem, z którego nie mógł wydobyć nic prócz trzasków.

- Dlaczego ja zawsze muszę trafić na takie antyczne ścierwo? - mruknął z irytacją.

W końcu stare radio ożyło. Wciąż trzeszczało, ale dało się również słyszeć głos mówiący coś szybko po arabsku.

Nicholas odłożył rewolwer i pochylił się, by posłuchać.

- Co mówią? - zapytał.

Lynde potrząsnął głową.

- Niewiele zniszczeń w samym mieście - przetłumańczył. - Zaatakowano ich główne lotnisko wojskowe, bazę morską i baraki Azizyah. - Przerwał, by posłuchać dalej. - Uderzono też w bazę raketową w Benghazi.

- A co z Kadafim? - zapytał Forrester. - Dorwali tego sukinsyna czy nie?

- Nic nie mówią - odparł Lynde. - Jego rezydencja została również ostrzelana, ale nie wiedzą, czy są jakieś straty w ludziach.

- Ktoś powinien zlikwidować tego drania - mruknął Forrester gniewnie.

Rashid walczył z ciężarówką, niemal kładąc się na kierownicy. Forrester wcisnął się w siedzenie obok niego, natomiast Lynde, Jaime i Nicholas skazani byli na własne siły, trzymając się całą mocą, czego mogli.

Lynde spojrzął na córkę i uśmiechnął się lekko.

- Co, u diabła, przywiodło cię tutaj?

- Jak tylko się dowiedziałam, że żyjesz, musiałam cię zobaczyć.

- Czy nie byłoby łatwiej, gdyby Jack przyjechał tu po mnie i zorganizował nasze spotkanie poza tym piekłem?

Teraz i Jaime się uśmiechnęła.

- I stracić całą tę zabawę?

Roześmiał się głośno.

- Jesteś moją nieodrodną córką! - stwierdził. - Niech ci Bóg dopomóż!



*Pustynia libijska. Wtorek, 15 kwietnia, godz. 3.25*

**Nalot** trwał dwadzieścia minut. Przez następny kwadrans słychać było jeszcze z daleka jazgot artylerii przeciwlotniczej. Ciężarówka posuwała się na zachód przez pustynię, a w tym czasie Lynde wciąż usiłował łapać transmisje radiowe. Zniszczenia baz wojskowych w Trypolisie i Bengazi określone były jako rozległe. W wyniku ataku na rezydencję Kadafiego zginęła jego córeczka, a kilku członków rodziny odniosło rany. Libijczycy w całym kraju domagali się zemsty na „barbarzyńskich amerykańskich intruzach”.

- Jak oni mogą stać za takim szaleńcem? - zastanawiała się głośno Jaime.

Rashid roześmiał się.

- Oni myślą, Kadafi jest wielki zeros - odparł, kalecząc angielski.

- Chciałeś powiedzieć „heros” - poprawił go Nicholas.

- Myślę, że miał rację za pierwszym razem - stwierdziła Jaime.

- Twierdzą, że zestrzelili trzy amerykańskie samoloty, których piloci zostali zamordowani przez ludność cywilną. - Lynde relacjonował kolejną transmisję.

- Wierzy pan w to?

Uśmiech Lynde'a był wymuszony.

- Mniej więcej tak samo, jak wierzę we wszystko, co pochodzi od Kadafiego - odparł chmurnie. - wszystko jedno, nie mamy zbyt wiele szans. Musimy dostać się do Tunezji tak szybko, jak tylko ta stara landara da radę jechać.

- Co, niestety, nie jest „bardzo szybko” - zauważyła Jaime, opierając głowę na ramieniu Nicholasa.

- Nie pogardzaj nią. To jedyne, co mamy.

Lynde, opierając się na chwilę, by dać wypocząć nachylonym plecóm, popatrzył uważnie na Nicholasa.

- Więc chce się pan ożenić z moją córką, tak? - zapytał z uśmiechem na ustach.

- Jak tylko wydostaniemy się z tego piekła - przytaknął Kendall.

- Uważa pan, że da pan sobie z nią radę?

Nicholas roześmiał się.

- Nie jestem tego taki pewien.

Nagle, w środku pustyni, ciężarówka stanęła gwałtownie.

- Cisza! - rozkazał ostro Forrester ze swego miejsca obok Rashida.

Lynde założył na głowę turban. Jaime schowała niesforny kosmyk rudych włosów, który wysliznął się z ukrycia. Nicholas, którego ciemna karnacja - w przeciwieństwie do błękitnych oczu - sprawiała, że mógł uchodzić za Araba, nie poruszył się.

Zostali otoczeni. Wokół nich pojawili się żołnierze Libijskiej Gwardii Rewolucyjnej, wszyscy z bronią w ręku. Lynde wyciągnął rewolwer i czekał. Jaime skuliła się w cieniu. Przez fałdy ubrania dotykała gładkiego, zimnego metalu karabinu, który dał jej ojciec. Nie była pewna, czy w razie potrzeby będzie zdolna go użyć. Słuchali, jak Forrester i Rashid rozmawiają po arabsku z żołnierzami. Jaime nie rozumiała słów, ale z tonu głosów domyśliła się, że nie jest to towarzyska konwersacja. Otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć, ale Nicholas przycisnął palec do warg, nakazując milczenie. Spojrzała na Lynde'a, który skinął głową. Kendall wyciągnął broń i przeniósł się na tył ciężarówki.

Głosy na zewnątrz nabrzmiwały gniewem. Lynde przesunął się płynnym, bezszelestnym ruchem w miejsce, z którego mógł obserwować, co dzieje się na zewnątrz. Jaime była zdziwiona, że mimo swego wieku ojciec wciąż jest tak sprawny. Trzymając dłoń na swej broni, zastanawiała się, czy będzie potrafiła strzelić. Usłyszała Rashida, jak kłóci się z kimś podniesionym głosem.

Powoli uniosła się i wyciągnęła karabin. Padł pierwszy strzał.

Gdy Libijczycy zaatakowali, reakcja nastąpiła łańcuchowo. Rashid i Forrester otworzyli ogień ze swoich M-16, Lynde i Nicholas strzelali do żołnierzy zbliżających się od tyłu. Nagle Jaime ujrzała, że ojciec pada, trzymając się za prawe ramię. Zerwała się na nogi i przypadła do niego. Nicholas wciąż strzelał.

- Nic mi nie jest, księżniczko - powiedział Lynde, gdy Jaime rozerwała jego *galbijya* wokół rany.

- O Boże, tato... - jęknęła.

- To tylko powierzchowna rana - zapewnił ją. - Bóg mi świadkiem, że to nie pierwszy raz.

- Tyle krwi... - Czerwona fontanna tryskała z rany, wsiąkając w ich ubrania.

- Cholera! - zaklął Nicholas, padając na podłogę.

Jaime odwróciła się do niego gwałtownie.

- Skończyła mi się amunicja - odparł, szukając w ciemności innej broni.

- Weź tę.

Uniosłszy głowę, stwierdziła, że patrzy prosto w lufę libijskiego karabinu. Reagując instynktownie, pociągnęła za spust trzymanego w ręku rewolweru. Poczowała gwałtowne szarpnięcie. Libijczyk zatoczył się do tyłu, po czym osunął się na ziemię.

W tej chwili ciężarówka znowu ożyła i ruszyła ze zdumiewającą jak na jej możliwości szybkością. Jaime straciła równowagę i upadła na podłogę.

- Kryj nas od tyłu! - krzyknął Forrester do Nicholasu.

- Jasne! - zawołał i wystrzelił jeszcze dwa razy.

Jaime podczołgała się bliżej ojca. Stracił dużo krwi i był półprzytomny. Oderwała kawałek materiału ze swej szaty i opatrzyła ranę, usiłując zatamować krwotok.

- Boże, tato - szeptała, mocując się z opatrunkiem. - Proszę, nie teraz; nie rób mi tego po tym wszystkim, co przeszłam, by cię znaleźć.

**Waszyngton, D.C. Wtorek, 15 kwietnia, godz. 10.56**

**Warner** nie opuścił swego biura tej nocy. Patrząc w ekran małego przenośnego telewizora, zastanawiał się, czy zdołali wydostać się stamtąd na czas. Gdyby tylko dali mu znać...

Według informacji podawanych w prasie, radiu i telewizji zniszczenia obiektów cywilnych były minimalne. Celem ataku stały się głównie libijskie bazy wojskowe oraz przypuszczalne miejsca obozów szkoleniowych terrorystów, i te ucierpiały najbardziej. Podawano sprzeczne dane w kwestii zniszczeń francuskiej misji dyplomatycznej w Trypolisie, a także liczby ofiar. Nie wiadomo było również, czy Kadafi znajdował się wśród poległych. Nie widziano go od chwili ataku, czyli od szesnastu godzin, i plotek o jego śmierci było dużo. Libia wciąż twierdziła, że zniszczyła trzy samoloty amerykańskie, ale według danych Pentagonu, jak dotąd nie wrócił tylko jeden F-111.

Gdzież oni, u diabła, są? - zastanawiał się Warner.

**Granica libijska. Wtorek, 15 kwietnia, godz. 23.15**

**On** musi się znaleźć w szpitalu - powiedziała Jaime, sprawdzając ponownie puls ojca. Był słaby.

- Już prawie jesteśmy w domu - próbował ją uspokoić Nicholas. - To już nie potrwa długo.

Jaime spojrzała na niego w ciemności; w jej oczach widać było strach.

- Nie sądzę, żeby wytrzymał jeszcze długo.

Usłyszeli głos na zewnątrz. Ciężarówka zatrzymała się. Przez chwilę Jaime czuła, że się dławi. Tylko nie to - pomyślała. Serce tłukło jej się w piersi.

Dwóch uzbrojonych mężczyzn podeszło z tyłu do ciężarówki i zajrzało do środka. Jaime zamarła, wpatrując

się w ich twarze. Zastanawiała się, czego chcą i co mogą im zrobić. Drżącymi palcami szukała w ciemności broni.

- Jaime, odkryj głowę - powiedział Nicholas.

Zdumiała się.

- Co?

- Odkryj głowę, udowodnij, że jesteś Amerykanką!

Gdy wciąż się nie ruszała, pochylił się nad nią i ściągnął z jej głowy materiał. Długie rude włosy rozsypały się na jej ramionach. Mężczyźni spojrzeli na siebie. Wymienili kilka zdań, po czym odsunęli się.

- To Tunezyjczycy - szepnął Nicholas.

Jaime odetchnęła z ulgą, gdy Rashid włączył ponownie silnik. Wjechali na teren Tunezji.

Wreszcie byli bezpieczni!

# 27

*Wiesbaden. Niemcy Zachodnie.  
Sobota, 19 kwietnia, godz. 15.35*

**Wyjdzie z tego** bez szwanku - powiedział lekarz w szpitalu amerykańskiej bazy wojskowej. - Stracił dużo krwi, ale zrobiono mu transfuzję. Po dobrym odpoczynku będzie zdrow jak ryba!

- Kiedy będzie mógł wyjść ze szpitala? - zapytała Jaime, biorąc Nicholasa za rękę.

- Jutro - odparł lekarz. - Mogę go wypisać już jutro.

- Możemy go teraz zobaczyć?

- Oczywiście. - Lekarz odsunął się od drzwi, robiąc im przejście.

Wchodząc do pokoju, odnieśli wrażenie, że Lynde śpi. Jaime usiadła na krześle przy łóżku, Nicholas stanął za nią, opierając dłonie o jej ramiona. Jaime obserwowała ojca przez długą chwilę. Dopiero teraz, gdy emocje przeżyć w Libii były już za nimi, dotarło do niej, że go odnalazła.

- Gdzie jest Jack?

Drgnęła zdziwiona.

- Tato, myślałam, że śpisz!

- Nie śpię, odkąd weszliście - powiedział zmęczonym głosem. - Gdzie jest Jack?

- Wyjechał dziś rano - odparł Nicholas. - Wrócił do Belgii. Powiedział, że jesteśmy zbyt monotoni i jedzie szukać mocniejszych wrażeń.

Lynde uśmiechnął się z wysiłkiem.

- Zawsze taki był. - Przerwał. - Kiedy mnie wypuszczą z tej choleralnej instytucji?

- Jutro - obiecała Jaime. - Lekarz mówi, że wypisze cię zaraz rano.

- Nie mogę się doczekać.

- Ja też - zgodziła się. - Jak tylko wrócimy do Nowego Jorku...

Uniósł rękę, by jej przerwać.

- Nie wrócę do Nowego Jorku, księżniczko - powiedział cicho.

Spojrzała na niego zdumiona.

- A ja myślałam... - zaczęła.

Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń.

- Wiem, co myślałaś, księżniczko - powiedział. - Powinienem cię uprzedzić o tym wcześniej.

- Po wszystkich tych latach, tato, po tak długim czekaniu... - zaczęła drżącym głosem. - Myślałam, że wrócisz z nami do domu...

Skinął głową.

- Wiem. I pozwoliłem ci w to wierzyć. To był błąd. - Zamyślił się na chwilę. - Posłuchaj, księżniczko. Przez tych kilka dni leżałem tu i myślałem o tobie... I o tym, co ci wyrządziłem...

Potrząsnęła gwałtownie głową.

- Nie zrobiłeś nic...

- Pozwól mi skończyć - przerwał jej stanowczo. - Skrzywdziłem cię, opuszczając w taki sposób, wiem o tym. Zostawiłem cię brutalnie, choć ty zawsze odnosiłaś się do mnie z takim uwielbieniem, na które nie zasługiwałem.

- Tato, ja...

- Zawsze myślałaś o mnie jak o wielkim bohaterze, nieprawdaż?

Zawahała się, po czym przytaknęła.

- Sądzę, że tak.

- Nie jestem nim - powiedział szczerze. - Byłem nie-dobrym ojcem i jeszcze gorszym mężem. Kochałem cię, ale to nie przeszkodziło mi cię zostawić. Nie byłem przy tobie, gdy dorastałaś. - Przerwał, po czym mówił dalej: - Gdzieś w głębi duszy zawsze się bałem zbyt wielkiego uczucia, dopóki ty się nie zjawiłaś na świecie. Nawet wtedy byłem przerażony. Uciekałem, zagłębiając się w ten brutalny, nikczemny świat.

- Uciekałeś? - Jaime spojrzała na Nicholasa, po czym znowu przeniosła wzrok na ojca.

- Tak... Uciekałem od ciebie i od siebie, jeżeli to ma jakiś sens. - Westchnął. - Jak myślisz, dlaczego twoja matka odebrała sobie życie?

Pokiwała głową.

- Wiem, dlaczego mama się zabiła - powiedziała cicho. - Myślała, że ty jej nie kochałeś.

- Wiedziała, że jej nie kochałem - poprawił ją. - Była ofiarą tego systemu. Po prostu znalazła się w złym miejscu o złej porze i została wybrana do roli, której nie była w stanie zagrać.

Jaime pochyliła głowę.

- Taka była prawda, księżniczko - kontynuował. - Potrzebowałem przykrywki, a Fran Colby zapewniała mi ją w idealny sposób.

- A ja? - zapytała Jaime. - Czy ja też byłam częścią twojej przykrywki?

- Wiesz dobrze, że nie - odparł. - Zawsze cię kochałem. Nie byłem może najlepszym ojcem na świecie. Przed twoim urodzeniem byłem przekonany, że dzieci nie pasują do moich wyobrażeń o życiu. Ale to wszystko zmieniło się w chwili, gdy pierwszy raz trzymałem cię w ramionach. Byłaś jedynym okruczem dobra, które dało to małżeństwo.

Odwróciła wzrok.

- Mama tak nie uważała - powiedziała chmurnie.

Lynde uściśnął lekko jej dłoń.



- Twoja matka była chora, księżniczko - tłumaczył. - To nie była jej wina, że nie mogła być dla ciebie matką, jakiej potrzebowałeś.

- Tak to sobie usiłowałam tłumaczyć przez te wszystkie lata - przyznała drżącym głosem. - Mówiłam sobie, że nie wiedziała, co robi, że nie była odpowiedzialna za... że ja nie byłam odpowiedzialna...

- Nie byłeś - przerwał jej ojciec. - Nie ponosisz winy za chorobę matki. Sądzę, że spowodowało ją coś, co zapuściło w mamie korzenie na długo przed twoim urodzeniem.

- Jednak trudno mi było wierzyć, że to nie ja ponoszę winę. - Jej głos był pełen żalu. - Najpierw mama, potem ty...

- Nie miałem wyboru. - Zmarszczył brwi. - Taki wybrałem zawód. To było coś, co musiałem zrobić. Poświęciłem temu swoje życie od wczesnej młodości.

- Wtedy tego nie wiedziałam - odparła. - Wiedziałam jedynie, że matka mnie opuściła, a po niej także i ojciec. Mówili mi, że nie żyjesz, że zdefraudowałeś fortunę z firmy dziadka i uciekłeś do Europy. Nie mogłam uwierzyć, że naprawdę mnie tak zostawiłeś... Dopóki nie znalazłam tego kufra.

- Kufra?

- Twojego kufra - wyjaśniła. - Stał na strychu w naszym domu. Któregoś dnia znalazłam go. Był pełen listów, kartek i prezentów, które wysyłałeś mi przez te wszystkie lata. Oni - Harcourtowie - ukrywali to przede mną. W dniu, kiedy to znalazłam, wyjechałam. Nigdy tam nie wróciłam.

- To twój dom - przypomniał jej.

Potrząsnęła głową.

- To nie miało znaczenia. To nie ma znaczenia. - Przerwała. - Wciąż jeszcze mam ten kufer, wiesz?

- Naprawdę? - Nie miał pojęcia, co powiedzieć.

Przytaknęła.

- Mam go w domu. To było wszystko, co mi zostało po moim ojcu, aż do tej nocy w Trypolisie.

- Masz mnie teraz - zapewnił ją.

- Na jak długo?

- Na zawsze - odparł. - Bez względu na to, gdzie jestem i co robię, jestem z tobą duchem.

- Więc naprawdę nie wracasz - stwierdziła.

Pokręcił głową.

- Nie mogę. To jest całe moje życie, Jaime. Jedyna rzecz, jaką potrafię robić. Taki właśnie jestem i nie mogę już tego zmienić.

Odwróciła głowę, czując napływające do oczu łzy.

- Jeżeli nie chcesz wrócić z nami do Stanów, dokąd pojedziesz?

- Z powrotem na Bliski Wschód - odparł bez wahania.

- Po tylu latach nie mógłbym wrócić znowu do biurka. Poza tym odkryłem, że mówię po arabsku lepiej niż po angielsku.

- Chcesz wrócić do Libii? - zapytała.

- Tam nie mogę. Ale istnieje jeszcze Iran, Liban, Syria i inne kraje znane z terroryzmu.

- I nawet nie przyjedziesz na nasz ślub?

Uśmiechnął się.

- Będę tam, księżniczko - duchem. - Spojrzał na Nicholasa. - Opiekuj się księżniczką, bo inaczej znajdę cię i zapłacisz mi za nią.

- Mam najszczerze chęci - obiecał Kendall.

Jaime podniosła się powoli.

- Nie będziesz mógł pozostawać z nami w kontakcie?

- Zobaczymy. - Nie mógł nic obiecać. - Kiedy wyjeżdżacie?

- Pod koniec tygodnia - odpowiedział Nicholas. - Zatrzymamy się parę dni w Paryżu, by załatwić kilka spraw.

- Opiekuj się nią.

- Obiecuję.

*WIĘZY KRWI*

Gdy wychodzili z pokoju, zasypiał.

- Tak trudno mi się pogodzić z myślą, że znowu go tracę - powiedziała Jaime, gdy szli korytarzem. - Tak chciałam, żeby był na naszym ślubie...

Nicholas objął ją z uśmiechem.

- Mam wrażenie, że będzie tam - zapewnił ją. - Tak czy inaczej, będzie.